

*Klimatyczny kryminał w stylu Agathy Christie, ale też pełnokrwisty thriller psychologiczny ze sporą dawką akcji. Książka, dla której warto zarwać noc.*

**ANNA KAŃTOCH**

# RUTH WARE

# JEDNO PO DRUGIM

**LUKSUSOWY DOMEK W GÓRACH WYDAJE SIĘ RAJEM NA ZIEMI.  
DO CZASU, GDY LAWINA NIE ZMIENI GO W PIEKŁO.**



**JEDNO PO  
DRUGIM**

# RUTH WARE

## JEDNO PO DRUGIM

Przełożyła  
ANNA TOMCZYK



Tytuł oryginału: *One by One*

Copyright © Ruth Ware, 2020

First published as *One by One* by Harvill Secker, an imprint of Vintage. Vintage is part of the Penguin Random House group of companies.

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2022

Copyright © for the Polish translation by Anna Tomczyk, 2022

Redaktor inicjujący: Adrian Tomczyk

Redaktor prowadzący: Mateusz Witczak

Marketing i promocja: Greta Sznycer, Marta Kujawa

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Pawłowska, Anna Nowak

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Ilustracje na okładce: © Getty, Shutterstock

Adaptacja okładki: Magda Bloch

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie książki w internecie. :-)

eISBN 978-83-67054-93-5

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Dla Alego, Jilly i Marka,  
którzy pokazali mi Secret Valley*

## **Z zakładki „O nas” na stronie internetowej firmy Snoop**

Cześć. Tu Snoop. Poznaj nas, napisz do nas, snoopuj nas – jak chcesz. Jesteśmy całkiem fajni. A ty?

### **Topher St. Clair-Bridges**

Kto tu rządzi? Jeśli w ogóle ktoś, to Toph. Współzałożyciel Snoopa (razem z byłą dziewczyną, modelką/artystką/zawodową wymiataczką @evaluation), od niego wszystko się zaczęło. Jeśli nie siedzi przy swoim biurku, to pewnie szusuje w Chamonix, szaleje w berlińskim Berghain albo po prostu się objaja. Zasnoopuj go na @xtopher albo spróbuj do niego dotrzeć poprzez jego asystenta Iniga Rydera – jedyne gościa, który może mówić Topherowi, co ma robić.

**Słucha teraz:** Oscar Mulero / Like a Wolf

### **Eva van den Berg**

Z Amsterdamu do Sydney, z Nowego Jorku do Londynu, Eva podróżuje służbowo po całym świecie – ale teraz akurat mieszka na Shoreditch w Londynie, z mężem finansistą Arnaudem Jankovitchem oraz ich córką Radisson. W 2014 roku założyła Snoopa razem ze swoim ówczesnym partnerem @xtopher – ich pomysł zrodził się z prostego pragnienia, by utrzymać kontakt mimo dzielących ich pięciu tysięcy kilometrów oceanu. Topher i Eva zdążyli się rozstać, ale ten kontakt przetrwał: jest nim Snoop. Połącz się z Evą na @evaluation lub poprzez jej asystentkę Ani Cresswell.

**Słucha teraz:** Nico / Janitor of Lunacy

## **Rik Adeyemi**

### **Liczykrupa**

Rik trzyma kasę, spina budżet, pilnuje waluty, czujecie to. Czuwa nad Snoopem od samego początku, a Topha zna jeszcze dłużej. Co zrobić, Snoop to rodzinny biznes. Rik mieszka z żoną Veronique na Highgate w Londynie. Możesz go zasnoopować na @rikshaw.

**Słucha teraz:** Willie Bobo / La Descarga del Bobo

## **Elliot Cross**

### **Naczelny nerd**

Co prawda serce Snoopa bije w rytm muzyki, ale jego DNA to kod, a mistrzem kodów jest Elliot. Zanim Snoop został soczyście różową ikonką w twoim telefonie, był tylko linijkami Javy na czyimś ekranie – a konkretnie na ekranie Elliota.

Przyjaźnił się z Tophem, jeszcze zanim zaczęli się golić, jest najfajniejszym informatykiem, jakiego znacie. Zasnoo puju go na @ex.

**Słucha teraz:** Kraftwerk / Autobahn

## **Miranda Khan**

### **Caryca znajomych**

Miranda kocha zabójcze obcasy, poważną modę i naprawdę świetną kawę. Pomiedzy kosztowaniem macerowanych

węglowo ziaren z Gwatemali a buszowaniem po Net-a-Porter jest uśmiechniętą twarzą Snoopa. Chcesz do nas napisać, zagadać, skrytykować nas albo po prostu się przywitać? Uderzaj do Mirandy. Snoop wie, że nie sposób mieć za dużo obserwujących – ani zbyt wielu znajomych. Dołącz do nich Mirandę na @mirandelicious.

**Słucha teraz:** Madonna / 4 Minutes

## **Tiger-Blue Esposito**

### **Królowa spokoju**

Uosobienie chillu. Tiger utrzymuje swój rozpoznawczy stan zen dzięki codziennej jodze, *mindfulness* oraz – oczywiście – stałemu streamingowi Snoopa w ogromnych słuchawkach. Kiedy nie ćwiczy bhujapidasany ani nie relaksuje się w pozycji anantasany (dla niewtajemniczonych: to takie przyciąganie nogi w leżeniu na boku), smaruje trybiki Snoopa, żebyśmy mogli wyglądać i brzmieć jak najl epiej. Pochilluj z nią na @blueskythinking.

**Słucha teraz:** Jai-Jagdeesh / Aad Guray Nameh

## **Carl Foster**

### **Człowiek prawa**

Prosta sprawa – Carl trzyma nas na poziomie i pilnuje, żebyśmy snoopowali zawsze w zgodzie z prawem. Absolwent University College w Londynie, zrobił aplikację w Temple Square Chambers. Od tamtej pory pracuje dla wielu



międzynarodowych firm, przede wszystkim w przemyśle rozrywkowym. Mieszka w Croydon. Zasnoopuj go na @carlfoster1972.

**Słucha teraz:** The Rolling Stones / Sympathy for the Devil

## **Ze strony internetowej BBC News Czwartek, 16 stycznia**

### **Czworo Brytyjczyków zginęło w tragedii w kurorcie narciarskim**

Ekskluzywnym francuskim kurortem narciarskim wstrząsnęły wieści o drugiej tragedii w tym tygodniu, zaledwie kilka dni po lawinie, która zabiła sześć osób i pozostawiła dużą część regionu bez prądu na wiele dni.

Teraz pojawiają się doniesienia, że w położonej na uboczu chatce narciarskiej, odciętej przez lawinę, miała miejsce sytuacja rodem z horroru. W jej wyniku czworo Brytyjczyków poniosło śmierć, a dwoje trafiło do szpitala.

Alarm podniesiono dopiero wtedy, gdy ocalańcy przedarli się pieszo prawie pięć kilometrów przez śniegi, by wezwać pomoc drogą radiową, co wywołało pytania, dlaczego francuskie władze nie pracowały szybciej nad przywróceniem prądu oraz zasięgu telefonii komórkowych po niedzielnej lawinie.

Komendant lokalnej policji Etienne Dupont odmówił komentarza, powiedział tylko, że „śledztwo jest w toku”, ale głos zabrał rzecznik ambasady brytyjskiej w Paryżu: „Możemy potwierdzić, że poinformowano nas o śmierci czterech obywateli Wielkiej Brytanii w departamencie Sabaudia we francuskich Alpach, a tamtejsze organy ścigania w tej chwili traktują te wypadki jako powiązane z morderstwem, w którego sprawie prowadzone jest śledztwo. Przekazujemy wyrazy współczucia przyjaciołom i rodzinom ofiar”.

Bliscy zmarłych zostali poinformowani.

Podobno w policyjnym śledztwie pomaga ośmioro ocalańców, prawdopodobnie również Brytyjczyków.

Opady śniegu okazały się w tym roku wyjątkowo duże. Niedzielną lawina była szóstą od początku sezonu

narciarskiego, a w jej wyniku liczba śmiertelnych wypadków w regionie wzrosła do dwunastu.

# **PIĘĆ DNI WCZEŚNIEJ**

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: James Blunt / You're Beautiful

Snooperzy: 0

Snoopserwujący: 0

Kiedy siedzę w minibusie z genewskiego lotniska, mam uszy zatkane słuchawkami. Ignoruję pełne nadziei spojrzenia Tophera i Evy, która zerka na mnie przez ramię. To mi jakoś pomaga. Pomaga uciszyć głosy w mojej głowie, *ich* głosy, wzywające mnie to tu, to tam, bombardujące odwołaniami do lojalności oraz argumentami za i przeciw.

Pozwalam, by odciągnął je ode mnie James Blunt, mówiący

mi w kółko, że jestem piękna. To tak ironiczne, że mam ochotę się roześmiać, ale nie robię tego. W tym kłamstwie jest coś pocieszającego.

Jest osiem minut przed czternastą. Niebo za oknem zrobiło się metalicznie szare, hipnotycznie wirują na nim płatki śniegu. Dziwnie to wygląda. Śnieg jest taki biały na ziemi, ale kiedy spada, na tle nieba wydaje się szary. Równie dobrze mógłby to być popiół.

Zaczynamy teraz jechać pod górę. Jesteśmy coraz wyżej, a płatki śniegu robią się większe, nie zamieniają się już w deszcz, gdy dotykają okna, tylko się przyklejają i zsuwają po szkle, a przednie wycieraczkę rozsuwają je na boki, tworząc strumyki brei płynącej poziomo po oknach pasażerów. Mam nadzieję, że ten bus ma zimowe opony.

Kierowca zmienia bieg; zbliżamy się do kolejnego ostrego zakrętu. Kiedy pojazd chwieje się na ciasnym łuku, ziemia się osuwa i natychmiast dopada mnie poczucie, że zaraz spadniemy – ostre szarpnięcie wywołujące odruch wymiotny i zawroty głowy. Zamykam oczy, odcinam się od nich wszystkich, zatracam się w muzyce.

I wtedy ta się urywa.

Jestem sama, w mojej głowie pozostał tylko jeden głos i nie mogę go uciszyć. Mój własny. Szepcze pytanie, które zadawałam sobie, odkąd samolot wzniósł się nad pasem startowym lotniska w Gatwick.

Dlaczego tu przyjechałam? *Dlaczego?*

Ale znam odpowiedź.

Przyjechałam, bo nie mogłam sobie pozwolić na to, by mnie tu zabrakło.

## **ERIN**

Snoop ID: niedostępny

Słucha teraz: niedostępny

Snoopserwujący: niedostępny

*Nadal* pada śnieg – duże, białe płatki opadają leniwie i kładą się miękko na szczytach, stokach i dolinach w St. Antoine.

Przez ostatnie kilka tygodni napadały trzy metry śniegu, a zapowiadane jest więcej. Śniegokalipsa, jak to nazwał Danny. Śniegogeddon. Wyciągi zamknięto, potem otwarto, a następnie znowu zamknięto. W tej chwili prawie wszystkie wyciągi w całym kurorcie są zamknięte, ale dzielna mała kolejka linowa wiodąca do naszego przysiółka nadal telepie się w górę i w dół. Jest oszklona, więc nie szkodzą jej nawet największe zasy, śnieg po prostu przykrywa tunel niczym

kocem i nie blokuje torów. To dobrze – bo czasami się zdarza, że ją zamykają, a wtedy jesteśmy całkowicie odcięci od świata. Do St. Antoine 2000 nie prowadzi żadna droga, w każdym razie nie zimą. Poczynając od gości w domku, aż po każdy kawałek jedzenia na śniadanie, obiad i kolację, wszystko i wszyscy muszą tu wjechać kolejką. Chyba że ktoś ma pieniądze na kurs helikopterem (a możecie mi wierzyć, tutaj wcale nie jest to takie niespotykane). Jednak helikoptery nie latają w trudnych warunkach. Jeśli nadejdzie śnieżycą, zostają bezpiecznie w dolinie.

Dziwnie się czuję, kiedy myślę o tym zbyt długo – dopada mnie jakiś rodzaj klaustrofobii, która nie współgra z otwartymi panoramami roztaczającymi się z domku. Nie chodzi tylko o śnieg, ciążą mi setki kilogramów nieprzyjemnych wspomnień. Jeśli zatrzymam się na dłużej niż minutę lub dwie, w głowie zaczynają mi się mnożyć nieproszone obrazy – zdrętwiałe palce drapiące mocno ubity śnieg, promień słonecznego światła na sinej skórze, błysk zamarzniętych rzęs. Ale na szczęście nie mam dziś czasu się zatrzymywać. Minęła już pierwsza, a ja nadal sprzątam przedostatnią sypialnię. Słyszę dochodzący z dołu drżący dźwięk gongu. To Danny. Woła moje imię, a potem coś, czego nie rozumiem.

– Co? – odkrzykuję, a on woła znowu, tym razem jego głos jest wyraźniejszy. Musiał wyjść na klatkę schodową.

– *Powiedziałem: żarcie gotowe. Truflowa zupa z pasternaku.* Więc rusz tu swój leniwy tyłek.

– Tak jest, szefie! – odkrzykuję żartobliwie. Szybko wrzucam zawartość łazienkowego kosza do mojego czarnego worka, zmieniam wkład w śmietniku, a potem zbiegam po spiralnych schodach do lobby, gdzie witają mnie smakowity zapach zupy Danny’ego oraz dźwięki *Venus in Furs* dochodzące z kuchni.

Sobota jest zarówno najlepszym, jak i najgorszym dniem tygodnia. Najlepszym, bo to dzień zmiany – nie ma gości,



a Danny i ja mamy domek dla siebie, możemy się lenić w basenie, grzać w zewnętrznej saunie i puszczać muzykę tak głośno, jak nam się podoba.

Najgorszym, bo to dzień zmiany, co oznacza dziewięć podwójnych łóżek do wymiany pościeli, dziewięć łazienek do umycia (jedenaście, jeśli liczyć toaletę na dole i prysznic koło basenu), osiemnaście szafek na narty do zamiecienia i odkurzenia, nie wspominając już o salonie, jadalni, konferencyjnym i dodatkowym pokoju oraz o palarni na zewnątrz, gdzie muszę podnosić te wszystkie obrzydliwe pety, które palacze zawsze rozrzucają wokół siebie, zamiast ciskać je do przeznaczonych do tego koszy i pojemników. Na szczęście Danny zajmuje się kuchnią, chociaż on ma własną listę rzeczy do zrobienia. W sobotę wieczór zwykle jest wystawna kolacja. Wiadomo, trzeba się pokazać przed nowymi gośćmi.

A teraz siadamy razem przy dużym stole w jadalni, czytam wiadomości wysłane mi rano przez Kate i nabieram łyżką zupę Danny'ego. Jest słodka i ziemista, na wierzchu posypana maleńkimi chrupiącymi kawałeczkami – chyba tartym pasternakiem uprażonym na oleju truflowym.

– Ta zupa jest naprawdę dobra – mówię. Znam swoją rolę. Danny przewraca oczami, jakby chciał powiedzieć „no raczej”. Zero w nim skromności. Ale za to świetnie gotuje.

– Myślisz, że im dzisiaj będzie smakowało? – Oczywiście czeka na więcej komplementów, ale nie mogę go winić. Jeśli chodzi o jedzenie, to Danny jest bezwstydną diwą, cieszy się, kiedy go doceniają, jak każdy artysta.

– Na pewno. Wspaniała, naprawdę rozgrzewająca i... cóż... skomplikowana. – Próbuję uchwycić konkretny smak, który czyni ją taką dobrą. Danny lubi *konkretne* komplementy. – Jak jesień na talerzu. Co jeszcze robisz?

– Mam amuse-bouche. – Danny odhacza dania, rysując ptaszka palcem. – Potem na pierwsze zupa truflowa.

Następnie udziec sarni dla mięsożerców i grzybowe ravioli dla vegetarian. Dalej na deser crème brûlée. I na koniec sery.

Crème brûlée Danny'ego jest powalający, dałabym się za niego pokroić. Naprawdę widziałam gości, którzy kłócili się o to, kto dostane ostatnią porcję.

– Brzmi idealnie – mówię, chcąc go utwierdzić w tym przekonaniu.

– Pod warunkiem, że tym razem nie trafią nam się żadni cholerni ukryci weganie – stwierdza posępnie. Wciąż nie otrząsnął się po poprzednim tygodniu, kiedy to jeden z gości nie tylko okazał się weganinem, ale do tego cierpiał na nietolerancję glutenu. Chyba jeszcze nie wybaczył Kate.

– Kate postawiła sprawę *naprawdę* jasno – zauważam, siląc się na uprzejmość. – Jeden z nietolerancją laktozy, jeden bezglutenowy, troje vegetarian. Żadnych wegan. To wszyscy.

– Wcale tak nie będzie – wzdycha Danny, któremu umartwianie się nadal sprawia przyjemność. – Okaze się, że jeden ogranicza węglowodany albo coś. Może będzie frutarianinem. Albo żywi się powietrzem.

– No więc jeśli będą się żywić powietrzem, to przynajmniej problem z głowy – punktuje rozsądnie. – Mają tu tyle powietrza, ile dusza zapagnie.

Macham ręką w stronę wielkiego okna zajmującego przeważającą część południowej ściany pomieszczenia. Roztacza się stamtąd widok na szczyty i grzbiety Alp, a panorama zapiera dech w piersiach, i chociaż sama tu mieszkam, od czasu do czasu nadal sprawia, że zatrzymuję się w pół kroku, aż mnie zatyka, taka jest piękna. Dziś widoczność nie dopisuje, chmury wiszą nisko, a w powietrzu wiruje zbyt wiele śniegu. Ale w dobre dni można prawie zobaczyć Jezioro Genewskie. Za nami, na północny wschód od doku, wznosi się Mont Blanc, najwyższy szczyt doliny St. Antoine, który okrywa cieniem wszystko, co poniżej.

– Przeczytaj mi imiona – prosi Danny między jedną a drugą łyżką zupy; brzmi trochę niewyraźnie. Ma południowolondyński akcent, chociaż wiem, że tak naprawdę pochodzi z Portsmouth. Nigdy nie jestem pewna, na ile jest prawdziwy, a na ile udaje. Danny lubi odgrywać role i im lepiej go znam, tym bardziej fascynuje mnie skomplikowana mieszanina osobowości, jaka się w nim kryje. Dla gości jest zawiadaczającym londyńczykiem mówiącym cockneyem. Kiedy wychodzimy wieczorami w St. Antoine, widuję go, jak w przeciągu zaledwie pięciu minut zmienia się z nieskazitelnego Guya Ritchiego we wspaniałe płomiennego RuPaula.

Nie żebym sama tak nie robiła. Ja też gram. Do pewnego stopnia chyba wszyscy tak robimy. To jedna z zalet przyjazdu tutaj, do takiego miejsca, gdzie wszyscy są tylko na chwilę. Można zacząć wszystko od nowa.

– Tym razem musi mi się udać – oznajmia Danny, przerywając moje myśli. Dorzuca małą szczyptę mielonego czarnego pieprzu do swojej zupy, próbuje jej i robi zadowoloną minę. – Nie mogę sobie pozwolić na kolejną taką akcję jak z pieprzoną Madeleine. Kate by mnie oskalpowała.

Kate jest lokalną pośredniczką i zajmuje się obsługą rezerwacji oraz całą logistyką związaną z wynajmem wszystkich trzech domków górskich naszej firmy. Lubi, kiedy już od pierwszego dnia witamy naszych gości po imieniu. Mówi, że to właśnie nas odróżnia od wielkich sieciówek. Osobiste podejście. Jednak ponieważ klienci zmieniają się z tygodnia na tydzień, jest to trudniejsze, niż może się wydawać. W ubiegłym tygodniu Danny zakolegował się z kobietą o imieniu Madeleine, tylko że kiedy przyszły ankiety ewaluacyjne, okazało się, że w tej grupie nikt tak nie miał na imię. Nie było nawet żadnej kobiety, której imię zaczynałoby się na M. Nadal nie ma pojęcia, z kim rozmawiał przez cały

tydzień.

Przesuwam palcem po liście, którą wczoraj wieczorem przesłała nam Kate.

– Tym razem to jest impreza firmowa. Jakieś przedsięwzięcie technologiczne, nazywa się Snoop. Dziewięć osób, wszyscy w osobnych pokojach. Eva van den Berg, współzałożycielka. Topher St. Clair- Bridges, współzałożyciel. Rik Adeyemi, liczykrupa. Elliot Cross, naczelny nerd. – Danny’emu zupa poszła nosem, ale czytam dalej: – Miranda Khan, caryca znajomych. Inigo Ryder, szef Tophera. Ani Cresswell, ujarzmiaczka szefowej Evy. Tiger-Blue Esposito, królowa spokoju. Carl Foster, człowiek prawa.

Nim kończę czytać, Danny na serio zdążył popłakać się ze śmiechu i zakrztusić się zupą.

– Naprawdę tam jest tak napisane? – charczy, kasłając. – Liczykrupa? Tiger... i co jeszcze, do cholery? Nie sądziłem, że Kate ma poczucie humoru. Gdzie jest prawdziwa lista?

– To jest prawdziwa lista – odpowiadam, starając się nie śmiać na widok wykrzywionej twarzy Danny’ego i jego załzawionych oczu. – Proszę, weź serwetkę.

– Co takiego? Pierdolisz. – Nabiera powietrza, prostuje się i zaczyna się wachlować. – W sumie, cofam to. To bardzo w stylu Snoopa.

– Słyszałeś o nich?

Zaskoczył mnie. Danny zwykle nie należy do tych, którzy są na bieżąco. Przyjeżdżają tu różni ludzie, mamy wiele prywatnych imprez, czasami śluby albo rocznice, ale o dziwo bardzo często pojawiają się wycieczki służbowe; przypuszczam, że łatwiej przełknąć tę cenę, jeśli płaci ją firma. Wiele kancelarii prawnych, funduszy hedgingowych oraz największych amerykańskich przedsiębiorstw z listy Fortune 500. Pierwszy raz się zdarzyło, żeby Danny kojarzył jakąś firmę, a ja nie.

- Czym oni się zajmują?
- Snoop? – Teraz Danny wygląda na zaskoczonego. – Erin, czy ty mieszkasz, kurwa, w jaskini?
- Nie, po prostu... Nigdy o nich nie słyszałam. To jakaś spółka medialna? – Nie wiem, dlaczego tak strzeliłam. Wydaje mi się, że Tiger-Blue Esposito mogłaby pracować w mediach.
- Nie, to aplikacja. – Danny patrzy na mnie podejrzliwie. – *Naprawdę* o nich nie słyszałaś? No wiesz, Snoop, apka muzyczna. Pozwala ci, no, snoopować ludzi. I tyle.
- Naprawdę nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.
- Erin, Snoop – zaznacza Danny, tym razem ostrzej, jak gdyby chciał tak powtarzać w nieskończoność, aż w końcu uderzę się w czoło i zawołam: „ach, no tak, *ten* Snoop!”. Wyciąga komórkę i przewija listę aplikacji, aż znajduje jedną, której ikona wyglądała jak dwoje oczu na wściekle różowym tle. Albo może dwie zębatki, na logo trudno rozpoznać. Naciska ją, a wtedy ekran robi się jasno różowy, potem czarny z odcinającym się fuksjowym napisem: „Snoop. Prawdziwi ludzie, prawdziwy czas, naprawdę głośno”.
- Tym razem oba „o” z nazwy są kółkami z kasety magnetofonowej.
- No, więc łączysz go ze swoim kontem na Spotify albo czymś takim – wyjaśnia Danny, przewijając menu, jak gdyby listy przypadkowych celebrytów miały mi wszystko rozjaśnić. – A on publikuje to, jakiej muzyki słuchasz.
- Dlaczego ktoś miałby tego chcieć? – pytam osłupiała.
- No, to jest w końcu wymiana dóbr – odpowiada Danny zniecierpliwionym tonem. – Chodzi o to, że ciebie nikt nie chce słuchać, ale jeśli dołączysz, możesz słuchać innych ludzi. Taki „Voyeuryzm dla twoich uszu”, jak to nazywają w Snoopie.
- Czyli... mogę zobaczyć czego... nie wiem... czego słucha Beyoncé? Jeśli ona tam jest.
- No. I Madonna. I Jay-Z. I Justin Bieber. I wszyscy inni.

Celebryci go kochają, to taki nowy Instagram. Wiesz, tak jakby można się łączyć, nie? Ale w rzeczywistości nie udostępnia się zbyt wiele informacji.

Powoli kiwam głową. W sumie jestem w stanie zrozumieć, co w tym atrakcyjnego.

– Więc to są po prostu playlisty sławnych ludzi?

– Nie playlisty – zaprzecza Danny. – Tu chodzi o to, że wszystko jest w czasie rzeczywistym. Wyświetla ci się to, czego słuchają *w tej chwili*.

– A jeśli śpią?

– To wtedy nic się nie wyświetla. Nie pojawiają się na pasku wyszukiwania, jeśli nie są dostępni online i nie słuchają, a jeśli podglądasz kogoś, kto przestaje słuchać, to kanał się wyłącza, a ty masz możliwość przeskoczenia do kogoś innego.

– Więc jeśli kogoś podglądasz, a on zatrzymuje piosenkę, żeby odebrać telefon...

Danny potakuje.

– Tak, wtedy po prostu się wyłącza.

– To naprawdę koszmarny pomysł.

Śmieje się i kręci głową.

– Neeee, po prostu tego nie łapiesz. Chodzi o to... – Przerywa, żeby ubrać w słowa coś niewymiernego. – Najważniejsze jest połączenie. Naprawdę słuchasz dokładnie tego samego co oni, w tym samym momencie, nuta po nucie. Wiesz, że niezależnie od tego, gdzie się w danej chwili znajduje, Lady Gaga słucha właśnie tego, co ty. Tak jakby... – Wpada na jakiś pomysł, twarz mu się rozpromienia. – Tak jakby, wiesz, kiedy zaczynasz się z kimś spotykać i dzielicie się słuchawkami, on ma w uchu jedną słuchawkę, a ty drugą.

Kiwam głową.

– No, to właśnie tak wygląda. Dzielisz się słuchawkami z Lady Gagą. To naprawdę coś. Leżysz w łóżku, ktoś się rozłącza i domyślasz się, że prawdopodobnie robi gdzieś tę

samą rzecz, co ty, odwraca się na bok, zasypia... Wiesz, to bardzo intymne. Ale nie chodzi tylko o celebrytów. Powiedzmy, że jesteś w związku na odległość, śledzisz koleśka i słuchacie tej samej piosenki w tym samym czasie. Oczywiście jeśli znasz ID jego Snoopa. Ja swojego nie ujawniam.

– Okej... – mówię powoli. – Czyli... tak jakby... twój kanał jest publiczny, ale nikt nie wie, że to ty?

– Tak, dlatego mam chyba ze dwóch obserwatorów, bo nie zwracałem sobie głowy łączeniem go ze swoimi listami kontaktów. Ale wiesz, niektórzy z najbardziej popularnych snoopersów też są całkowicie anonimowi. Jest taki jeden gość z Iranu, nazywa się HacT. Prawie co miesiąc pojawia się na liście dziesięciu najpopularniejszych snoopersów. W sensie, powiedziałem, że jest z Iranu, ale tak naprawdę nie można tego sprawdzić. Tak ma napisane w swoim bio na Snoopie. Równie dobrze może mieszkać na Florydzie.

Brzęczy mu powiadomienie w telefonie i otwiera je.

– O, no tak, widzisz? To jest ktoś, kogo obserwuję, Msaggronistic. Jakaś francuskojęzyczna Kandyjka z Montrealu, słucha naprawdę dobrego punka. Przyszło mi powiadomienie, że jest online i słucha... – Przewija wiadomość. – O, Slits. Nie jestem pewien, czy to moja bajka, ale o to w tym chodzi, może tak. Po prostu nie wiem.

– No dobrze. – Mam wątpliwości, czy naprawdę się czegoś dowiedziałam, ale mniej więcej rozumiem, o co chodzi.

– W każdym razie – Danny wstaje i zaczyna zbierać nasze talerze po zupie – to właśnie miałem na myśli. Jeśli chodzi o te technologiczne start-upy, to rzeczywiście można sobie wyobrazić, że nazywają swojego księgowego naczelnym liczykrupą, czy co tam sobie odpiardolili. Wydaje im się, że są na czasie. Kawy?

Zerkam na zegarek. Czternasta siedemnaście.

– Nie mogę. Mam jeszcze parę pokoi do zrobienia, a potem

basen.

– Przyniosę ci.

Wstaję, przeciągam się, prostuję szyję i ramiona. Sprzątanie to fizyczna robota. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo, dopóki nie zaczęłam tej pracy. Tachanie odkurzaczy w górę i w dół po schodach, szorowanie toalet i płytek. Dziewięć pokoi za jednym zamachem to niezły trening.

Kończę już basen, kiedy Danny przynosi mi kawę. Ma na sobie te kąpielówki, co zawsze – najmniejsze i najbardziej obcisłe, jakie kiedykolwiek w życiu widziałam. Są bananowo żółte, a kiedy się odwraca, żeby postawić moją kawę przy leżaku, na jego tyłku widzę szkarłatny napis „BAD BOI”.

– Ani mi się waż nachlapać – ostrzegam go, kiedy staje wyprężony na brzegu basenu z rozpostartymi ramionami. – Nie będę drugi raz biegać z mopem.

Nic nie odpowiada, tylko wystawia język, a potem idealnie, bez rozchlapywania, zanurza się z płytszej strony basenu. Tam nie jest dość głęboko, by nurkować, ale Danny delikatnie muska dno, po czym wynurza się bezpiecznie na drugim końcu basenu.

– Daj spokój, jest już cholernie czysto. Wskakuj.

Waham się. Nie odkurzyłam jadalni, ale nie wiem, czy ktokolwiek byłby w stanie to zauważyć.

Zerkam na zegarek. Piętnasta piętnaście. Goście mają przyjechać o szesnastej. Wyrobiłam się na styk.

– No dobra, niech będzie.

To nasz cotygodniowy rytuał. Dziesięć minut w basenie po wykonaniu wszystkich obowiązków, w ten sposób zaznaczamy swoją obecność i przypominamy sobie, kto tak naprawdę tu rządzi.

Mam bikini pod ubraniem, więc ściągam przepocony T-shirt



i poplamione dzinsy do sprzątanania, gotowa zanurkować. Właśnie mam się odepchnąć, kiedy czuję, że ktoś łapie mnie za kostkę i ciągnie do przodu tak, że z piskiem wpadam do basenu.

Wynurzam się, parszając, odgarniając sobie włosy z oczu. Woda jest *wszędzie*.

– Pieprzony debilu! Prosiłam, żebyś nie chlapał!

– Wyluzuj. – Danny śmieje się w głos, na jego ciemnej skórze woda lśni jak szlachetne kamyki. – Powycieram, przysięgam.

– Zabiję cię, jak tego nie posprzątasz.

– Zrobię to! Przecież powiedziałem. Powycieram, jak będziesz suszyć włosy. – Wskazuje swoją ogoloną głowę, przypominając mi, że w tej kwestii on jest już do przodu.

Uderzam go w ramię, ale wściekłość szybko mi przechodzi, więc przez kolejne kilka minut pływamy, siłujemy się i przepychamy jak szczeniaki, aż w końcu oboje jesteśmy wykończeni, dyszymy ciężko i musimy zrobić przerwę na złapanie oddechu.

Danny wychodzi z wody z uśmiechem, sapiąc, po czym idzie do przebieralni, żeby się przygotować do powitania gości.

Wiem, że powinnam pójść w jego ślady. Jeszcze sporo przede mną roboty – prace do wykonania i zadania do ukończenia. Ale przez chwilę, tylko przez chwilę, pozwalam sobie na dryfowanie z rozłożonymi rękoma i nogami w przejrzystej, błękitnej wodzie. Dotykam palcami blizny biegnącej przez policzek, śledzę nimi wklęsłą linię cienkiej i nadal delikatnej skóry oraz wpatruję się w szare niebo przez szklany dach nad sobą; oglądam, jak płatki śniegu opadają wirującym torem.

Niebo ma *dokładnie* kolor oczu Willa.

Zegar odmierza czas do przyjazdu naszych gości, a ja słyszę, jak Danny zaczyna wycierać mopem przebieralnię.

Powinnam wyjść, ale nie potrafię. Nie umiem odwrócić wzroku. Po prostu leżę tak na wodzie, moje ciemne włosy układają się wokół mnie w wachlarz, dryfuję i patrzę w górę. Wspominam.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: snoopuje EDSHEERAN

Snooperzy: 0

Snoopserwujący: 0

Jesteśmy teraz dość wysoko w górach. Minibus przedziera się przez maleńkie alpejskie wioski, które wyglądałyby jak na pocztówkach, gdyby niebo nie miało przerażającego, ciemnoszarego koloru – zamiast niebieskiego. Śnieg z deszczem w dolinie zamienił się w ogromne białe płatki, kierowca przełączył wycieraczki na najwyższe obroty, tak że natychmiast odgarniają spadający śnieg na boki. Pod nami

czarny asfalt zmienił się w szare wały lodu, opony dziwnie na nich grzechoczą. Po obu stronach drogi pług śnieżny zostawił ogromne, ochlapane błotem zasy. Zupełnie jakbyśmy jechali przez jakiś tunel. Czuję się dziwnie osaczona, zerkam na telefon i przewijam aplikacje, próbując się czymś zająć, zanim wrócę do Snoopa.

Po tym, jak odeszłam z firmy, usunęłam apkę. Chciałam się pozbyć wszystkiego, co związane ze Snoopem, i nie podobała mi się myśl, że Topher, Eva oraz cała reszta mają mnie na oku przez oprogramowanie. Ale kilka tygodni później znowu ją pobrałam. Nie bez powodu właśnie stuknęło jej sto milionów użytkowników: jest uzależniająca.

Jednak tym razem mój profil jest zablokowany, jak tylko się da, i podłączyłam do niego konto mejlowe, którego używam do spamu, więc nawet Elliot, mający dostęp do wszelkich tajnych informacji, nie dowie się, że to ja. Nie żebym była paranoiczką. Nie wyobrażam sobie, że co kilka dni przeszukuje dane użytkowników w poszukiwaniu „Liz Owens”. Po prostu cenię sobie prywatność. To przecież normalne.

Topher mówi coś do mnie przez ramię. Wyciągam z uszu słuchawki.

– Słucham?

– Pytałem, czy się napijesz. – Wyciąga w moją stronę otwartą butelkę szampana. Kręcę głową.

– Nie. Dzięki.

– Jak sobie życzysz. – Bierze łyka prosto z butelki, a ja staram się nie wzdrygnąć. Przelyka, ociera usta, a potem ciągnie: – Mam nadzieję, że pogoda się poprawi. W tych warunkach to sobie na nartach nie pojeździmy.

– Czyli nie da się jeździć po śniegu? – pytam. Śmieje się, jakby myślał, że jestem idiotką.

– Pewnie, można, ale nic w tym fajnego. Trochę jak bieganie po deszczu. Nigdy nie jeździłaś?

– Nie. – Zauważam, że ogryzam martwą skórę z boku paznokcia, i zmuszam się, żeby odsunąć rękę. Nagle słyszę w głowie zatroskany głos mojej matki: „Liz, nie rób tak, proszę, wiesz, że tatuś tego nie lubi”. Odzywam się głośniej, żeby go zagłuszyć: – To znaczy nie naprawdę. Próbowałam kiedyś w szkole jeździć na sztucznym stoku, ale to chyba nie to samo.

– Będiesz zachwycona – stwierdza Topher z tą swoją wkurzającą pewnością. Oczywiście tak naprawdę nie może mieć pojęcia, czy zachwycę się jazdą na nartach, czy nie. Ale z jakiegoś powodu wszyscy mu wierzą, kiedy wygłasza takie stwierdzenia. Gdy mówi „twoje pieniądze będą absolutnie bezpieczne” albo „to wspaniała inwestycja” czy też „nigdy już nie trafią ci się takie warunki”, człowiek mu ufa. Podpisuje ten czek. Wpłaca zaliczkę. Oddaje wszystko w jego ręce.

Chyba dlatego jest jaki jest. Przez tę wartość milion dolarów pewność siebie. Ych.

Nic mu nie odpowiadam. Ale on nie czeka na odpowiedź. Obdarza mnie szerokim, olśniewającym uśmiechem, bierze kolejny łyk kruga, a potem odwraca się z powrotem do kierowcy.

– Musimy być już prawie na miejscu, mam rację?

– *Comment?* – odpowiada po francusku kierowca. Topher uśmiecha się przesadnie uprzejmie i powtarza, tym razem wolniej.

– Prawie. Na miejscu?

– *Presque* – odpowiada opryskliwie kierowca.

– Prawie – tłumaczę szeptem, a potem żałuję, że to zrobiłam.

– Nie wiedziałam, że mówisz po francusku – odzywa się Eva. Odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. Jest uśmiechnięta. Wypowiada słowa, jakby rozdawała złote gwiazdki uznania.

*Nie wiesz o mnie wielu rzeczy, Evo, myślę.*

– Zdawałam egzamin w szkole średniej – mruczę w zamian.

– Nie za dobrze.

– Ty to jesteś zawsze czarnym koniem – rzuca z podziwem Eva. Wiem, że próbowała mnie skomplementować, ale jej słowa miały protekcyjny wydźwięk, bo dla niej angielski jest drugim językiem po niderlandzkim, a do tego mówi też płynnie po niemiecku i włosku.

Zanim cokolwiek odpowiadam, autobus hamuje, opony skrzypią w śniegu. Rozglądam się. Zamiast domku, którego się spodziewałam, przed nami widzę ośnieżone wzgórze; stoi tam też znak z napisem „Le funiculaire de St. Antoine”. Wyciąg narciarski? Już?

Nie tylko ja jestem zaskoczona. Carl, przysadzisty prawnik, też wygląda na zaniepokojonego. Kierowca wysiada z przodu i zaczyna wyciągać walizki.

– Mamy stąd iść na piechotę czy co? – pyta Carl. – Cholera, nie spakowałem butów na śnieg!

– Zatrzymujemy się w St. Antoine 2000 – wyjaśnia asystent Tophera. Ma na imię, jak odkryłam w samolocie, Inigo. Jest Amerykaninem, blondynem, wyjątkowo przystojnym. Mówi do Carla, ale także do całej reszty. – To jest St. Antoine le Lac, ale wokół porozrzucanych jest wiele małych osad, niektóre liczą sobie zaledwie kilka chat. Nasza znajduje się na wysokości prawie siedmiu tysięcy stóp... to znaczy dwóch tysięcy metrów – wyjaśnia pospiesznie, kiedy Eva unosi brew. – Nie da się tam dojechać drogą, więc ostatni odcinek podróży musimy odbyć tą kolejką linową.

Wskazuje głową ciemną przestrzeń, a kiedy moje oczy się przyzwyczajają, dostrzegam tam kołowrotek oraz znudzonego mężczyznę w stroju służbowym grającego na komórce w małej budce.

– Mam wasze bilety – dodaje Inigo i podnosi plik kartek. Rozdaje je nam, gdy wysiadamy z autobusa na miękkim śniegu, i tak stajemy, trzymając je i patrząc w górę. Nerwowo

rozciągam palce schowane w kieszeniach i czuję, jak strzykają mi stawy, chociaż tego nie słyszę. Jest siedem minut po szesnastej, ale chmury są tak gęste od śniegu, że całe niebo pograżyło się w ciemności. Każde z nas bierze walizkę, kierowca wrzuca wsteczny, a my musimy w tych nieprzyjemnych warunkach poczekać na kolejkę. Jest niewidoczna, ukryta gdzieś daleko w tunelu, chociaż kiedy się zbliża, słyszymy brzęczenie grubej stalowej liny.

– Jak się masz, Liz? – pyta głos za mną. Odwracam się i widzę Rika Adeyemiego, głównego księgowego Snoopa. Pod pachą trzyma pustą butelkę po szampanie. Rik jest jedną z niewielu osób, które rozpoznaję, obok Ewy, Tophera i Elliota. Uśmiecha się, wypuszcza ustami biały obłoczek pary na zimnie i mocno klepie mnie w ramię. To boli. Powstrzymuję wzdrygnięcie. – Kopę lat!

– W porządku – odpowiadam. Mój ton jest surowy i wymuszony. Nie jestem z siebie zadowolona, ale nie potrafię tego powstrzymać. Zawsze tak brzmię, kiedy jestem zdenerwowana. A przy Riku zawsze się denerwuję. Po części chodzi o jego wzrost. Ogólnie nie dogaduję się z facetami, a zwłaszcza wysokimi mężczyznami, którzy nade mną górują. Ale nie chodzi tylko o to. Rik jest taki... wymuskany. Dużo bardziej od Tophera, mimo że obaj należą do tego samego świata. Dosłownie. On, Topher i Elliot poznali się w szkole z internatem. Podobno Elliot zawsze był genialny, nawet wtedy. To niebo a ziemia w porównaniu z Liceum Campsburne w Crawley, do którego sama chodziłam. Wiem, że dla nich jestem istotą z innej planety. Dziwną. Cudaczną. *Z klasy robotniczej.*

Zaciskam palce tak, że znów trzaskają mi stawy, na co Rik się krzywi, a potem niezręcznie się śmieje.

– Stara dobra Liz – komentuje. – Nadal tak robisz?

Nie odpowiadam. On przenosi ciężar ciała z jednej nogi na

drugą i nieświadomie poprawia przy tym swojego złotego rolexa oraz patrzy na szlak w stronę niewidzialnego wagonika, który się po nas gramoli.

– A w ogóle, jak się masz? – pyta, a ja mam ochotę wywrócić oczami. *Dopiero co o to pytałeś*, myślę sobie. Ale nic nie mówię. Uczę się, że czasem można tak zrobić. Właściwie nawet fajnie obserwuje się wtedy reakcje ludzi.

Rik zerka na mnie, oczekując społecznie akceptowalnego „w porządku”, a ponieważ nic takiego nie pada, chowa wolną rękę do kieszeni i wygląda na bardzo zmieszanego.

Dobrze. Niech poczeka.



**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz:

Snoopserwujący: 0

– Littlemy? – pyta Danny, zerkając mi przez ramię, kiedy wpisuję nazwę nowego użytkownika. Wymawia to jako dwa słowa: „litt lemy”. – Co to, do cholery, znaczy?

– Nie Lit Lemmy. Little My. Mała Mi, to postać z *Muminków*.

– Z czego?

– Z *Muminków*. To taka seria dziecięcych... Słuchaj, nieważne. – Przerывam, widząc jego skonsternowaną minę. – A ty jaki masz login?

– Nie powiem ci – odpowiada obrażony. – Jeszcze byś mnie snoopowała.

– Aha, czyli ty możesz znać mój, ale ja nie mogę znać twojego.

– Właśnie, kurwa, tak. Czego będziesz słuchać?

Klikam w przypadkowy profil. NEVERMINDTHEHORLIX. Aplikacja zaproponowała mi go na podstawie mojej listy kontaktów i nie jestem pewna, kto to taki, ale wydaje mi się, że może taka jedna dziewczyna, z którą chodziłam do szkoły. Pokój wypełnia *Come and Get Your Love* grane przez Redbone. Nigdy nie słyszałam o tym zespole, ale kojarzę piosenkę.

– Ktoś tu oglądał *Strażników Galaktyki* – mruczy odrobinę kpiąco Danny, ale rytmicznie kołysze biodrami, kiedy przechodzi na drugą stronę pokoju, by wyrzucić na śnieg za oknem. Staje na sekundę, a potem zawraca i po drodze chwyta butelkę szampana z wiaderka na stole, a korek strzela jak z pistoletu.

– Już są. Widzę nadjeżdżającą kolejkę.

Kiwam głową i chowam telefon do kieszeni. To nie pora na pogaduszki. Trzeba być w gotowości.

Dziesięć minut później stoję w otwartych drzwiach chatki Perce-Neige z tacą kieliszków w jednej ręce i przyglądam się, jak mała grupka zatacza się i ślizga w dół ścieżki z kolejki na werandę. Nikt nie ma odpowiednich butów i nie nauczyli się jeszcze chodzić w śniegu, małymi kroczkami, ze środkiem ciężkości przesuniętym do przodu, nie do tyłu. Jeden z nich, bardzo przystojny czarny facet, niesie coś, co wygląda na... tak, właśnie tak. To pusta butelka po krugu. Świetnie. Już są pijani.

Pierwszy podchodzi do mnie wysoki blondyn tuż po trzydziestce, widać, że zdaje sobie sprawę z tego, jaki jest przystojny.

– Cześć. Topher. Założyciel Snoopa – rzuca, uśmiechając się

w sposób, który ewidentnie ma mnie oczarować. Czuć od niego alkohol, a mówi tak, jak wszystkie znane mi chłopaki ze szkół z internatem. Wygląda odrobinę znajomo, chociaż nie potrafię go z niczym skojarzyć, ale może po prostu dlatego, że gdybym szukała kogoś do roli szefa hipsterskiego internetowego start-upu, wybrałabym właśnie jego.

– Miło cię poznać – odpowiadam. – Jestem Erin, przez najbliższy tydzień będę waszą gospodynią.

– No, skoro nalegasz... – Bierze kieliszek szampana z tacy i wypija go na raz. Odnotowuję sobie w pamięci, żeby następnym razem, gdy będę przygotowywać napoje dla tych gości, użyć prosecco. Nie ma szans, żeby wyczuli różnicę, skoro piją w ten sposób.

– Dzięki. – Odstawia pusty kieliszek na tacę i rozgląda się. – Swoją drogą, świetne miejsce.

– Dziękuję, lubimy je – odpowiadam. Potem podchodzi za nim reszta. Szokująco piękna kobieta, platynowa blondynka z karmelową opalenizną, przedziera się przez śnieg.

– Eva van den Berg – przedstawia ją Topher, kiedy do nas podchodzi. – Moja współpracowniczka w zbrodni.

– Cześć, Evo – zwracam się do niej. – Bardzo się cieszymy, że możemy gościć waszą grupę w domku Perce-Neige. Czy chcecie zostawić tu bagaże i wejść do środka się ogrzać?

– Dzięki, byłoby wspaniale – odpowiada Eva. Kiedy mówi, słyszę w jej modulacji ślad jakiegoś języka innego niż angielski. Za nią jeden z mężczyzn potyka się w śniegu i zaczyna pomrukiwać pod nosem przekleństwa, a ona beztrąsko rzuca przez ramię: – Carl, zamknij się, do cholery.

Mrugam, ale Carl najwyraźniej nie widzi w tym niczego nadzwyczajnego i po prostu przewraca oczami, podnosi się i wchodzi za swoimi współpracownikami do ciepłego wnętrza.

W holu, w dużym, emaliowanym żeliwnym piecu opalanym drewnem, huczy ogień. Goście strzepują śnieg z kurtek

i rozcierają dłonie przed kominkiem. Ustawiam tacę z kieliszkami w zasięgu ręki, po czym rozwijam listę gości oraz numerów pokoi. Rozglądam się po pomieszczeniu, próbując dopasować w głowie osoby do nazwisk.

Poznałam już Evę i Tophera. Carl Foster, ten gość, który pośliznął się na śniegu, jest krępy, białym mężczyzną po czterdziestce, z włosami na jeża i zadziorną miną, ale radośnie pije duszkiem szampana w taki sposób, jakby nie rozpamiętywał tamtej chwili na zewnątrz. Miranda Khan, jeśli sądzić po nazwisku, musi być tą bardzo elegancką Azjatką koło schodów. Ma buty na piętnastocentymetrowym obcasie i rozmawia z tamtym facetem od kruga, który wymienił po drodze pustą butelkę na pełny kieliszek.

– Och, Rik – słyszę jej słowa wypowiedziane trochę flirtującym tonem. – Jak *możesz* tak mówić.

Rik Adeyemi. Odhaczyłam w głowie kolejne nazwisko z listy. Okej, czyli pięcioro. Czworo pozostałych gości trudniej rozgryźć. Jest tam szczupła, dwudziestoparoletnia kobieta z jasnym ombré na krótkich włosach, która z jakiegoś powodu trzyma pod pachą zwiniętą matę do jogi. Oraz jakiś dwudziestoparoletni chłopak, który mocno przypomina Jude'a Law. Kiedy sięgnął po kieliszek szampana, po jego akcencie założyłam, że musi być Amerykaninem. Za nim stoi dziewczyna z puszystymi żółtymi włosami, które nie wyglądają na naturalne. Mają kolor jaskrów i fakturę dmuchawców. Do tego trzeba dorzucić ogromne okrągłe okulary, przez które rozgląda się w zamyśleniu po korytarzu, a te okulary w połączeniu z włosami czynią ją podobną do wyjątkowo uroczej kurczaczka. To musi być albo Ani, albo Tiger. W najmniejszym stopniu nie przypomina tygrysa, więc zakładam, że to prawdopodobnie Ani.

Dziwiątym, ostatnim gościem jest dziwaczny wysoki mężczyzna, który z rękoma w kieszeniach wygląda przez okno.

Jego wycofanie kontrastuje z zachowaniem pozostałych gości, którzy towarzysko gawędzą, swobodnie krążąc między sobą. Tak mogą się zachowywać tylko ludzie pracujący albo spędzający ze sobą czas od dawna.

Nie, chwileczkę. Jeszcze jedna osoba, która stoi sama. Kobieta przed trzydziestką, przygarbiona w niepozornym kącie przy kominku, jak gdyby miała nadzieję, że nikt się do niej nie odezwie. Ma na sobie ciemne ubrania i wtopiła się w cień, więc początkowo jej nie zauważyłam. Jest niemal... przyszło mi na myśl określenie „skulona”, i chociaż wydaje się przesadzone, naprawdę do niej pasuje. Wyraźnie widzę, że czuje się skrepowana, czym odcina się od reszty osób, które się śmieją i zdążyły już dolać sobie szampana, lekceważąc rady co do przyzwyczajenia się do wysokości. Jednak nie sam język ciała ją wyróżnia, tylko wszystko. Jako jedyna ma na sobie ubrania noszące raczej metki H&M niż D&G, i chociaż nie wyłącznie na jej nosie tkwią okulary, inni wyglądają raczej tak, jakby uzbroili się w rekwizyty dostarczone przez jakieś studio z Hollywood. Ona ma jakieś refundowane oprawki. Też przypomina mi jakiegoś ptaka, ale na pewno nie puszystego, malutkiego kurczaczka. Nie ma w niej niczego uroczonego. Ta kobieta wygląda raczej jak sowa – wytropiona, spanikowana sowa, na którą padły światła nadjeżdżającego samochodu.

Zamierzam do niej podejść, zaproponować jej kieliszek szampana, ale wtedy zauważam, że na tacy żaden już nie został. Czyżbym przygotowała ich za mało?

– Yyyy... przepraszam – zagajam cicho Tophera. – Czy ktoś z waszej ekipy zatrzymał się w innym miejscu?

Spojrzał na mnie bez zrozumienia.

– Na liście mam tylko dziewięcioro gości – wyjaśniam. – A was jest chyba dziesięcioro. To nie jest tak naprawdę problem, możemy przenocować do osiemnastu osób, ale mamy tylko dziewięć pokoi, więc zastanawiam się po prostu...

Urywam.

Topher plaska się ręką w czoło i odwraca do Ewy.

– Kurwa – mówi bardzo cicho, właściwie można mu bardziej czytać z ust, niż go usłyszeć. – Zapomnieliśmy o Liz.

– Co? – pyta dość poirytowana, odrzucając do tyłu swoje jedwabiste włosy. Odwija z szyi długi, lniany szalik. – Nie słyszałam, co powiedziałeś.

– Zapomnieliśmy o *Liz* – powtarza, tym razem dobitniej. Ewie opada szczeka; spogląda przez ramię na dziewczynę przy kominku, a potem powtarza nieme „kurwa” w kierunku swojego współnika.

Topher zaciąga nas obie w róg pokoju, z dala od innych gości, i przywołuje dłonią młodego sobowtóra Jude’a Law. Kiedy ten podchodzi bliżej, podobieństwo przygasa, ale za to wzmacnia się wrażenie zaskakująco przystojnych rysów. Oliwkowa cera, wyraziste, słowiańskie kości policzkowe oraz najbardziej niezwykle oczy w odcieniu topazowego błękitu, jakie kiedykolwiek widziałam.

– Inigo – szepcze Topher, gdy chłopak się zbliża. – Inigo, zapomnieliśmy o Liz.

Inigo przez chwilę patrzy na Tophera bez wyrazu, a potem do niego dociera i z jego policzków odpływa cały kolor.

– O mój Boże. – Ma amerykański akcent, chyba kalifornijski, chociaż nie rozpoznaję za dobrze Amerykanów. Z przerażeniem podnosi dłoń do ust. – Topher, jestem... Jestem takim debilem.

– To nie twoja wina – zauważa kwaśno Eva. – To Topher o niej zapomniał, kiedy przygotowywał początkową listę nazwisk. Ale żeby ze wszystkich osób...

– A ty to jesteś, cholera, taka dokładna – odwarkuje Topher przez zaciśnięte zęby. – Może Ani mogłaby coś czasem załatwić, zamiast zwałać najcięższą robotę na Iniga?

– Nie ma problemu – wtrącam się pospiesznie. Nie rozwija

się to tak, jak należy. Pierwszy dzień powinien upłynąć na odpoczynku i relaksie: odprężaniu się w jacuzzi, picciu grzanego wina i zachwytach nad kuchnią Danny'ego. Proza życia powinna się pojawić dopiero później, wraz z prezentacjami w PowerPointcie. – Naprawdę możemy ugościć więcej osób. Ale mamy tylko pięć pokoi dla gości, co oznacza, że dwie osoby będą musiały zamieszkać razem.

– Poproszę o tę listę – mówi Topher, marszcząc brwi.

– Nie, ja poproszę o tę listę – prycha Eva. – Ty już to raz spieprzyłeś, Topher.

– Dobra – odpowiada zirytowany, a Eva przejmuje kartkę i przebiega po niej palcem. Kiedy to robi, zauważam, że jej sweter ma coś jak wypalone dziury, jakby wykonywała w nim pracę spawacza, chociaż coś mi mówi, że pewnie zdjęła go tak z wieszaka, a do tego raczej mało nie kosztował.

– Liz może zamieszkać z Ani – zauważa pomocnie Inigo, ale Eva kręci głową.

– Nie, absolutnie nie. Liz nie może być osobą we wspólnym pokoju, bo od razu będzie wiadomo, co się wydarzyło.

– A Carl? – mruczy Topher. – Wszyscy go mają w dupie. Może z kimś zamieszkać.

– Z kim? – pyta Eva. – Rik przecież nigdy się nie zgodzi na dwuosobowy pokój, prawda? Podobnie Elliot. – Kiwa głową w stronę tego dziwnego gościa, który stoi plecami do wszystkich.

– No dobra – przytakuje pospiesznie Topher. – Już rozumiem, dlaczego to nie zadziała.

Spojrzenia ich obojga przenoszą się z namysłem na Iniga, który zatroskany wpatruje się w listę. Czuje na sobie ich wzrok i zerka na nich.

– Coś przeoczyłem?

– Tak – rzuca dziarsko Eva. – Zamieszkasz z Carlem. A teraz leć do niego i przekaż mu wieści.

Inigowi rzednie mina.

– Będę musiała pozamieniać pokoje – zaznaczam i przebiegam w myślach listę pomieszczeń, do których zmieści się drugie łóżko. – Liz może wziąć pokój Iniga, on jest najmniejszy, może tak być? Wtedy Miranda weźmie pokój Carla, a Carl i Inigo mogą zamieszkać w pokoju Mirandy, bo to jeden z niewielu, które pomieszczą drugie łóżko.

– A właściwie gdzie jest Miranda? – pyta Topher, rozglądając się. Zerkam w stronę schodów. Rik rozmawia teraz z pierzastym kurczaczkiem, zapewne Ani, jak wywnioskowałam, ale wysoka, elegancka Miranda zniknęła. Eva wzdycha.

– Cholera, pewnie już poszła do swojego pokoju. Cóż, nie będzie zadowolona ze zdegradowania, ale będzie musiała się z tym pogodzić. Chodźmy ją znaleźć, zanim się rozpakuje.

– Pójdę z tobą – mówię. – Ktoś będzie musiał przenieść walizki.

Z jakiegoś powodu czuję, że zaczyna mnie boleć zaraz za oczami. Nagle odnoszę wrażenie, że to dopiero początek bardzo długiego tygodnia.



**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 0

Po przyjeździe coś się wydarzyło. Nie wiem co, ale widziałam, jak Eva, Topher i Inigo naradzali się w rogu korytarza z dziewczyną z domku. I słyszałam swoje imię, tego jestem pewna. Rozmawiali o mnie. *Szeptali* o mnie.

Cały czas myślę o tym, co mogli mówić oraz dlaczego co chwilę zerkali przez ramię i coś knuli.

O Boże, tu jest koszmarne.

Nie, to nieprawda. *Nie wszystko* jest koszmarnie. Ten dom – ta niesamowita chatka z basenem, z widokami oraz z owczymi skórami i aksamitnymi kanapami – to jest miejsce z marzeń.

Nigdy dotąd nie byłam w tak luksusowym miejscu, a przynajmniej nie odkąd pożegnałam się ze Snoopem. Gdybym znalazła się tu sama, byłabym przeszczęśliwa, a nawet więcej. Musiałabym się uszczyplnąć, żeby sprawdzić, czy to prawda.

Oni są koszmarni.

Kiedy w końcu zostaję sama w swoim pokoju, opadam na ręcznie haftowaną narzutę, kładę głowę na poduszki wypchane pierzem i zamykam oczy.

Powinnam się przechadzać po pokoju, upajać wspaniałym widokiem na panoramę gór, wypróbować ustawienia spa w wannie, zachwycać się, jakie mam szczęście, że tu jestem. Ale nie robię tego. Leżę tylko z zamkniętymi oczyma i wciąż rozpamiętuję w głowie tę okropną, niezręczną chwilę, która rozegrała się na dole.

Powinnam być do tego przyzwyczajona. Do tego, że o mnie zapominają, nie doceniają mnie, ignorują. Spędziłam cały taki rok w Snoopie. Rok z ludźmi, którzy wychodzili po pracy na drinki i mnie nie zapraszali. Dwanaście miesięcy tekstów w stylu „Och, Liz, mogłabyś zarezerwować stolik dla czterech osób w Mirabelle”, podczas gdy wśród zaproszonych nie było mnie. Cały rok bycia niewidzialną. I nie miałam nic przeciwko, a nawet więcej. Było mi całkiem wygodnie.

Teraz, trzy lata po moim odejściu, wszystko się zmieniło. Jestem bardzo, *bardzo* widoczna. Ale jakimś cudem badawcze spojrzenia Tophera i Evy oraz ich wysiłki, by mnie oczarować, okazują się gorsze od bycia ignorowaną.

Jest siedemnasta dwadzieścia osiem czasu francuskiego. Mam jakieś dziewięćdziesiąt minut do kolacji. Półtorej godziny, żeby się umyć, przebrać i spróbować znaleźć w walizce *cokolwiek*, w czym nie będę wyglądała jak koczokodan przy nowej asystentce Evy i tej dziewczynie z marketingu, Tiger.

Nawet nie próbuję rywalizować z Evą i tą drugą kobietą na

obcasach... jak ona ma na imię? Miranda. To po prostu nie moja liga, one należą do innego przedziału płac. Eva była modelką i nawet jeszcze zanim wystartował Snoop, jej budżet przeznaczony na buty był wyższy od mojej całej pensji. Zawsze wiedziałam, że działamy na różnych poziomach. Ale byłoby miło, gdybym mogła zejść na kolację, wyglądając tak, jakbym pasowała do reszty. Rozpinam moją wygiętą walizkę na kółkach i szperam w warstwach rzeczy, które upchałam tam wcześniej rano. W końcu, jakoś w połowie, znajduję sukienkę, która może się nadać. Wciągam ją przez głowę i stoję przed lustrem, gładząc jej materiał i gapiąc się na siebie. Ta sukienka jest czarna i rozciągliwa, kupiłam ją, bo przeczytałam w jakimś artykule w „Elle”, że każda kobieta potrzebuje małej czarnej, a ta była najtańsza z proponowanych.

Jednak z jakiegoś powodu nie wygląda jak ta sukienka ze zdjęć. Pogniotła się w walizce i chociaż włożyłam ją dopiero dwa czy trzy razy, materiał skulł się pod pachami, przez co wygląda jak jakaś znoszona szmatka z lumpeksu. Na plecach ma pełno jakby kocich włosów, chociaż nie mam kota. Może to od szalika.

Wiem, że taka dziewczyna jak Tiger pewnie znalazłaby tę sukienkę w lumpeksie i włożyła do niej coś nedorzecznego w rodzaju kolczugi i butów motocyklowych, a potem wyszła, wyglądając jak milion dolarów.

Gdybym to ja przywdziała kolczugę, wpijałaby mi się w skórę pod pachami i brzęczała na każdym kroku, a obcy ludzie śmialiby się i pytali: „Kochana, zamierzasz się pojedynkować?”. Do tego zardzewiałaby tam, gdzie pot przeciekałby na kółka, i plamiłaby mi ubranie, a ja nienawidziłabym siebie jeszcze bardziej niż teraz.

Nadal tak stoję, gapiąc się tępo na siebie w lustrze, kiedy rozlega się pukanie do drzwi.

– Kto... kto tam? – wołam. Przy ostatniej sylabie głos mi się załamuje.

– Erin, jestem waszą gospodynią – słyszę niewyraźnie przez drewno. – Chciałam tylko sprawdzić, czy masz wszystko, czego ci trzeba.

Otwieram drzwi. Stoi tam dziewczyna, która wcześniej nas witała. Nie zdążyłam się jej porządnie przyjrzeć, kiedy przyjechaliśmy, ale robię to teraz. Jest ładna i opalona, ma lśniące kasztanowe włosy, ubrała się w schludną białą bluzkę i wetknęła ją w ciemnoniebieskie dżinsy. Wygląda na opanowaną, pewną siebie, całkowite przeciwieństwo mnie.

Tylko jedna rzecz nie pasuje – cienki, różowy ślad długiej blizny biegnący przez jej prawy policzek, znikający we włosach. Rozciąga się, kiedy ona się do mnie uśmiecha, a ja jestem... chyba zaskoczona. Wygląda na osobę, która zakryłaby taką rzecz makijażem. Ale... nie robi tego.

Chcę ją zapytać, skąd ją ma, ale nie jest to chyba pytanie, z którym należy się wrywać. Kiedyś po prostu bym spytała. Ale uczę się na błędach: taka bezpośredniość sprawia, że ludzie mają cię za dziwną.

– Cześć – odzywa się, wciąż z uśmiechem. – Jestem Erin. Chciałam tylko sprawdzić, czy z twoim pokojem wszystko w porządku, i dać ci znać, że dziś wieczorem przed kolacją, za piętnaście siódma, będą drinki w foyer, a po nich krótka prezentacja.

– Prezentacja? – Ciągnę za rąbek sukienki. – O kurorcie?

– Nie, chyba biznesowa. Nie masz jej w swoim harmonogramie?

Zaczęłam szperać w walizce i wyjęłam z niej pognieciony, złożony harmonogram, który Inigo przesłał mi parę dni temu mejlem. Ślęczałam nad nim niemal każdą wolną sekundę, próbując przewidzieć, jak ten tydzień będzie wyglądał, więc doskonale wiedziałam, że na pierwszy wieczór niczego nie

zaplanowano, ale i tak musiałam się upewnić, że nie zwariowałam.

– Nic tu nie ma – odpowiadam. Nie potrafię powstrzymać oskarżycielskiego tonu, który wkradł się do mojego głosu.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Może dodali coś w ostatniej chwili? Twoja współpracowniczka... Ma na imię Ani, prawda? Właśnie mnie poprosiła, żebyśmy ustawiła rzutnik w salonie.

Ledwo się powstrzymuję, żeby na nią nie naskoczyć, że Ani nie jest moją współpracowniczką. Nigdy z nią nie współpracowałam. Tak naprawdę nie znam tu prawie nikogo z wyjątkiem czwórki założycieli firmy: Rika, Elliota, Ewy i Tophera.

Jednak zbyt mocno zaprzęta mnie rozgryzanie, co też to wszystko może oznaczać.

Ani jest asystentką Ewy. Więc tę prezentację musiała przygotować Eva. A Eva jest najbardziej poukładaną osobą, jaką znam. Nie pominęłaby żadnego punktu programu przez przypadek. Czyli zrobiła to celowo. Realizuje jakiś plan.

Ale jaki?

– Wiesz może, o czym jest? – pytam. – Ta prezentacja?

– Przykro mi, nie. Znam tylko godziny. Drinki kwadrans przed dziewiętnastą, prezentacja o dziewiętnastej.

– A... w co powinnam się ubrać? – Nie chcę jej o to pytać, ale zaczynam odczuwać desperację.

Dziewczyna się uśmiecha, choć widać, że jest zaskoczona.

– Co masz na myśli? Tu, w Perce-Neige, nie zachowujemy się bardzo oficjalnie, nikt się nie przebiera na kolację. Włóż po prostu coś, w czym się będziesz dobrze czuła.

– Ale oni zawsze tak mówią! – ulewa mi się mimowolnie. – Mówią: ach, ubierz się, w co chcesz, a potem wszyscy przychodzą w takich strojach, jakby stosowali jakiś tajemniczy dress code, o którym tylko ja nie mam pojęcia. Albo jestem

zbyt elegancka, podczas gdy oni wszyscy są w dżinsach, i wyglądam, jakby mi za bardzo zależało; albo ubieram się w coś codziennego, gdy oni nagle wszyscy wyskakują w garniturach i sukienkach. Tak jakby każdy był w temacie, oprócz mnie!

Kiedy tylko kończę, mam ochotę cofnąć te słowa. Czuję się obnażona, nieznośnie zdemaskowana. Ale już za późno. Nie da się ich wymazać.

Dziewczyna znowu się uśmiecha. Ma miły wyraz twarzy, ale w jej wzroku dostrzegam politowanie. Czuję, jak krew nabiega mi do policzków, a twarz robi się gorąca i czerwona.

– Tu jest naprawdę swobodnie – odpowiada. – Jestem pewna, że większość nawet się nie przebierze. Będziesz świetnie wyglądać, cokolwiek włożysz.

– Dzięki – odpowiadam żałośnie. Ale nieszczerze. Ona kłamie i obie o tym wiemy.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: snoopuje XTOPHER

Snooperzy: 1

Snoopserwujący: 1

Kiedy kolejni członkowie grupy gromadzą się w holu, nie mam wcale w głowie tego chilijskiego R&B, którego słuchałam przed ich przyjazdem (tak, snoopowałam Tophera), ale *Rotterdam* zespołu Beautiful South. Okej, nie wszyscy są tutaj blondynami. Ale na pewno wszyscy są przepiękni. Aż absurdalnie piękni. Asystentka Evy, urocza mała Ani z twarzą o kształcie serca i włosami żółtymi jak jaskry. Asystent Tophera, Inigo, z kośćmi policzkowymi porośniętymi brązowym

popołudniowym zarostem, który nadaje mu wygląd gwiazdy wprost z planu filmowego. Nawet prawnik Carl, prawdopodobnie najmniej konwencjonalnie atrakcyjny z tego grona, z tą swoją upartą miną i krępą sylwetką, ma w sobie jakiś magnetyzm.

– *Niezły tyłek* – szepcze mi do ucha z uznaniem Danny, mijając mnie z tacą przekąsek. – Skusiłbym się, a ty?

– Carl? Fuj, nie – odpowiadam szeptem, a Danny śmieje się głębokim, gardłowym śmiechem, strasznie zara żliwym.

– No to kto? Ten gościu od kodów?

Kiwa głową na Elliota stojącego w tym samym miejscu, które wybrał sobie po przyjeździe, celowo unikającego kontaktu wzrokowego z kimkolwiek. Śmieję się i kręcę głową, ale nie dlatego, że Elliot jest moim zdaniem nieatrakcyjny. Dobra, wygląda trochę jak niezgrabny uczeń, ale mimo wszystko udaje mu się sprawiać seksowne wrażenie na ten swój geekowski sposób. Ma taką budowę, jakby jego szkielet był sporo za duży w stosunku do powierzchni skóry, z tymi wszystkimi odstającymi nadgarstkami, ostrymi kośćmi policzkowymi, gruzełkowatymi kostkami wystającymi spod przykrótkich spodni. Ale usta ma zaskakująco zmysłowe, a kiedy podeszła do niego jedna ze współpracowniczek, objęła go w talii w taki sposób, że... no, wyglądało to intymnie. A Elliot nie odskoczył, tak jak się po nim spodziewałam.

– No dobra. – Topher przekrzykuje szmer głosów. – Rozkręcamy tę imprezę. Carl, Inigo, na pewno któryś z was jest w stanie rozgryźć, jak działają te głośniki. Jezu, nikt by nie pomyślał, że jesteśmy firmą technologiczną.

Nagle ni stąd, ni zowąd rozbrzmiewa muzyka. *Golden Years* Davida Bowiego przefiltrowane przez głośniki podłączone przez Bluetooth. Nie jestem pewna, kto to włączył, ale bardzo pasuje, jest niemal ironiczne. Ci ludzie rzeczywiście sprawiają wrażenie połączonych. Nic ich nie ruszy.



– Hej. – Dziewczyna, która przeszła obok Elliota, podchodzi do mnie i Danny’ego. Buja się w rytm muzyki, ma na sobie bardzo krótką dzianinową sukienkę odsłaniającą szczupłe, opalone nogi, sprawiające wrażenie drobnych w zestawieniu z jej martensami. Przez chwilę nie mogę jej rozpoznać i przebiega mnie dreszcz paniki, ale potem dostrzegam włosy z ombré oraz kolczyk w nosie. To ta kobieta, która po przyjeździe stała z matą do jogi, dzięki temu jestem w stanie przypomnieć sobie jej imię. Joga. Tiger. Tiger-Blue Esposito. Królowa spokoju.

– Cześć, Tiger – witam ją. Wyciągam w jej stronę tacę z drinkami. – Napijesz się? To jest bramble gin martini, a po lewej marmalade old-fashioned.

– Właściwie to przyszedłam po coś do jedzenia. – Uśmiecha się do mnie urzekająco, odsłaniając bardzo białe, równe zęby oraz dołeczek w miękkim jak skórka brzoskwini policzku. Ma gardłowy głos, przypominający mruczenie kota, a jej dziwne imię wydaje mi się nagle odpowiednie. – Przepraszam, wiem, że nie wypada się rzucać na przekąski w samych drzwiach kuchni, ale poprzednia taca była taka pyszna, a ja umieram z głodu. W samolocie niczego nie podano, więc od śniadania miałam okazję tylko wypić kruga. – Przerywa na sekundę, po czym śmieje się zaskakująco rubasznie. – Ech, kogo ja chcę oszukać? Jestem po prostu patologicznie zachłanna.

– Nie przepraszaj – odpowiada Danny. Podsuwa jej tacę, na której starannie przyrządzone przystawki leżą w rzędach niczym żołnierze. – Lubię dziewczyny z apetytem. To są kulki ptysiowe nadziewane goudą. – Wskazuje na maleńkie, lekkie jak piórko obłoczki po lewej stronie tacy. – A te po prawej to przepiórcze jaja z wędzoną ricottą.

– Wszystkie są wege? – pyta Tiger, a Danny kiwa głową.

– Bezglutenowe?

– Tylko te przepiórcze jaja.

– Świetnie – rzuca. Znow pojawia się dołeczek, a ona sięga po przepiórcze jajo i wkłada je w całości do ust, a przeżuwając, przymyka z rozkoszą oczy. – O mój Boże – wzdycha po przełknięciu. – To był przekąskowy orgazm. Mogę jeszcze jedną?

– Pewnie – odpowiada z uśmiechem Danny. – Ale zostaw sobie miejsce na kolację.

Bierze kolejną, wpycha do ust, a potem mówi niewyraźnie:

– Dobra, uciekaj przede mną, zabierz tę tacę, zanim zmienię się w Homera Simpsona i ślina zacznie mi cieć na podłogę.

Danny kłania się żartobliwie i odchodzi w kierunku Elliota, a Tiger patrzy za nim z uznaniem. Nic dziwnego. Danny jest uprzejmy, świetnie gotuje, a do tego wygląda cholernie uroczo. Do tego jest wolny. Szkoda tylko, że woli chłopaków.

– Tiger – odzywa się za nami ktoś z akcentem z wyższych sfer. Obracam głowę i widzę tę kobietę od PR, Mirandę, która idzie w naszym kierunku. Czarne włosy ma rozpuszczone, spływają jej ciemną, satynową zasłoną na plecy, a do tego włożyła ciemnogranatowe, aksamitne szpilki oraz olśniewający czarny, jedwabny kombinezon, odcięty w pasie tak, że ukazuje godną pozazdroszczenia szczupłą talię. Krzywię się, bo zauważam, że ostre czubki obcasów pozostawiają maleńkie wgłębienia w wypastowanej drewnianej podłodze, ale właściwie nie mogę nic jej powiedzieć. Zamiast tego wyciągam do niej tacę z napojami. Miranda sięga po kieliszek, nie patrząc na mnie, a na puste miejsce na tacy odkłada na wpół zjedzony szaszłyk z wędzoną kaczka.

– Musimy porozmawiać – mówi do Tiger. Ma wysoki, ostry głos z akcentem, którym można by ciąć szkło, zaledwie kilka samogłosek dzieli ją od tego, by brzmiała jak księżna Małgorzata.

– Pewnie – odpowiada pogodnie Tiger. Przetyka i ociera usta.  
– Hej, próbowałaś już tych przepiórczych jaj? Dałabym się za

nie pokroić.

– Nie teraz, Tigs, słuchaj, musimy sobie zarezerwować trochę czasu na przedyskutowanie strategii komunikacyjnej do premiery Geosnoopa Elliota. Dzwoniła już do mnie ta bezczelna gówniara z „Unwired” z pytaniami na ten temat.

– Co takiego? – Tiger wygląda na zaskoczoną. – Jakim cudem to w ogóle wyciekło? To chyba nawet nie jest jeszcze w wersji beta?

– Nie mam pojęcia, ale przypuszczam, że Elliot się wygadał. Nigdy nie potrafił przestrzegać zakazów i każdemu, kto zechce go słuchać, opowiada, jakie to będzie *cool*. – Zaznacza w powietrzu znak cudzysłowu. – Wydaje mi się, że na razie spławiłam „Unwired”, ale prędzej czy później to wypłynie, a ja będę miała problem z tym, jak to przyjmie prasa. Nie muszę ci mówić, że bezpieczeństwo w socjalach to teraz wielki temat. Nie jestem pewna, czy ktoś już zauważył zmianę w zgodach po stronie użytkownika, ale to pozostaje tylko kwestią czasu. Chryste, czy ktoś mógłby wyłączyć tę koszmarną raketę?

Spogląda na mnie, przyciskając sobie palce do skroni, a ja się orientuję, że chodzi jej o muzykę.

– Włączył ją ktoś z gości – odpowiadam, starając się nie zabrzmieć defensywnie. – Ale zmniejsz głośność.

– Sądzę, że potrzebujemy dwóch ścieżek – ciągnie Miranda, kiedy odsuwam się w poszukiwaniu pilota do głośników. – Planu A, który zakłada przemyślaną datę premiery, czyli marketing, PR, szum w mediach i tak dalej. Właściwie wszystko to, co już sobie zarysowaliśmy. Ale też planu B na wypadek szybkiego wycieku, a wtedy musimy zdecydować, czy wykorzystujemy późniejsze elementy kampanii marketingowej, by podtrzymać narrację. To absolutnie *konieczne*, żebyśmy to my nadawali ton rozmowom w socjalach.

Zagłębiają się w kwestie techniczne, a ich rozmowa ginie w otaczających je szmerach. Wyjmuję pilota spod brudnej

serwety, ściszam dźwięk, a potem zerkam na zegar stojący na gzymsie kominka. Osiemnasta pięćdziesiąt pięć. Powinni zaraz przejść dalej, ale chyba kogoś brakuje.

– No kurwa, rychło w czas. – Słyszę męski głos ponad swoim ramieniem, odwracam się i widzę koło siebie Tophera. – Można tu umrzeć z pragnienia, czekając na obsługę. – Strząsa z oczu blond grzywkę, a potem słodzi swoją bezczelność odpowiednio czarującym wykrzywieniem warg.

– Bardzo przepraszam! – Wyciągam w jego stronę tacę, skrywając irytację pod grzecznym uśmiechem. – Może bramble martini? – Topher sięga po kieliszek i opróżnia go z zatrważającą prędkością. Powstrzymuję chęć, by upomnieć go, że drink zawiera około pięćdziesięciu procent ginu. – Carl? – Podtykam tacę jego współpracownikowi, który ciężko kiwa głową i bierze ostatnie old-fashioned.

– Na zdrowie. Chociaż, szczerze mówiąc, nie potrzeba mi już więcej alkoholu, szukałem czegoś do jedzenia. Krążą tu jeszcze jakieś serowe chrupki? Kurwa, padam z głodu.

– Serowe chrupki! – drwi Topher. – Carl to mój człowiek, tak właśnie dba o narciarską sylwetkę.

Poklepał Carla po obszernym brzuchu opiętym kraciastą koszulą.

– Pakuję węgle, stary – rzuca Carl i mruga do mnie. – Niezbędny składnik moich treningów.

– Danny roznosi przystawki, na pewno za moment tu podejdzie – odpowiadam, chociaż ponad ramieniem Carla widzę, że zablokował go Elliot, który metodycznie wybiera ptysiowe kuleczki z goudą i wrzuca je sobie do ust, jakby to były chipsy. Mam nadzieję, że w kuchni jeszcze jakieś zostały.

Topher też to widzi i pochyla się za mną, żeby chwycić Elliota za ramię.

– Elliot, stary. Przestań blokować kelnera. Carl potrzebuje węgla – mówi, a ja korzystam z okazji, żeby się wym knąć

i zajrzeć do reszty.

Według zegara nad kominkiem jest dziewiętnasta pięć, ale policzyłam ludzi i zauważyłam, że przyszło dopiero dziewięcioro. Ktoś się spóźnia i nie tylko ja zwróciłam na to uwagę. Eva przytupuje i nerwowo rozgląda się wokół.

– Kurwa, gdzie jest Liz? – słyszę, jak syczy na Iniga, który szepcze coś do niej przeprasząco. Potem jego twarz się rozjaśnia i mężczyzna dotyka ramienia Ewy.

Ona spogląda w górę na galerię. Podążam tam wzrokiem i widzę Liz stojącą na szczycie spiralnych schodów. Skrzyżowała ręce na piersi, a przy jej zakłopotaniu Elliot wygląda niemal na wyluzowanego.

– Liz! – woła serdecznie Eva. – Chodź, napij się z nami.

Powoli, prawie niechętnie, Liz schodzi po schodach. Ubrała się w skulcowaną, niekorzystną czarną sukienkę, którą widziałam, kiedy byłam wcześniej u niej w pokoju. Szkoda mi tej dziewczyny. Sukienka w ogóle nie jest skrojona na jej figurę, Liz wygląda w niej jak worek ziemniaków, a po jej postawie oraz po tym, jak obciąga sobie rąbek, widać, że ma tego świadomość. Na dole schodów przystaje i rozciąga palce, to chyba jakiś tik nerwowy. Stawy jej trzeszczą jak drewno rozpalone w kominku, zaskakująco nieprzyjemnie.

Chcę ruszyć do niej z drinkiem, ale ku mojemu zaskoczeniu uprzedza mnie Topher. Łapie bramble martni z mojej tacy i spieszy ku Liz, wyciągając do niej kieliszek z miną przejętego szczeniaczka.

To jest tak nie w jego stylu, że aż mrugam.

Kim *jest* ta kobieta? Dlaczego z takim zapalem próbują ją zatrzymać przy sobie? Tak jakby... W zamyśleniu marszczę brwi. Tak jakby się jej bali.

Ale to absurdalne.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 0

Kiedy dochodzę do foyer, wszyscy czekają, tłoczą się u stóp schodów – Eva, Topher, Inigo, Rik. Eva włożyła długą suknię z białej wełny, przypuszczam, że z kaszmiru, przez co czuję się jak koczkodan. Topher wbił się w dżinsy i koszulę rozpiętą pod szyją. Wymachuje mi przed nosem kieliszkiem martini.

– Napijesz się, Liz? – pyta z olśniewającym uśmiechem.

– Nie, dziękuję – odpowiadam.

– No dawaj – mówi Topher tym swoim najbardziej przytulnym tonem. – To wyjątkowa okazja, cała ekipa znowu w komplecie!

Powinnam się uśmiechnąć, ale nie mam ochoty. Moja sukienka jest za ciasna. Włożyłam pod spód modelujące spanxy, żeby lepiej pasowała, ale wpijają mi się i boli mnie brzuch. A muzyka jest za głośna.

– Dzięki, ale boli mnie głowa – odmawiam. Nie chcę mówić Topherowi prawdy, że nie piję już alkoholu. Mógłby być ciekaw dlaczego, co takiego się zmieniło, odkąd opuściłam Snoopa.

– Oj, biedna. Zaraz ci coś przyniosę, mam w pokoju jakiś ibuprofen. Inigo...

– Nie, dziękuję – powtarzam się. Serce bije mi w dziwaczny, trzepoczący sposób, przez co trochę mnie mdli. – Nie chcę niczego przeciwbólowego. Chyba potrzebuję szklanki wody.

– To pewnie przez wysokość – zauważa z troską Eva. – I suche powietrze. Tutaj bardzo łatwo się odwodnić. To rozsądne nie pić alkoholu.

Topher marszczy brwi na Iniga i wskazuje głową kuchnię. Inigo przytakuje i zrywa się w tamtą stronę. Pewnie idzie przynieść mi wodę. Źle mi z tym. To na mnie kiedyś warczał Topher. I szczerze mówiąc, tak wolałam. Wolałam być niewidzialna.

Inigo wraca, a Topher zabiera mu szklankę i mówi do pozostałych:

– Dajmy Liz odetchnąć.

Potem kieruje mnie na małą sofę i wskazuje gestem, żebym usiadła. Nie widzę żadnej drogi ucieczki, więc tak robię. Topher siada koło mnie, zbyt blisko, i ujmuje mnie za dłoń.

Czuję, jak narasta we mnie panika.

Wiem, co teraz powie.

– Liz, chciałem o czymś porozmawiać – zaczyna. Rozglądam się przerażona. Serce bije mi nierównomiernie. Zastanawiam się, czy nie mam jakiejś wady serca. Topher opowiada o tym, jaki jest dumny z tego, że otworzył mi furtkę, o tym, że wyróżniałam się na rozmowie, o tym, jak się przyczyniłam do

rozwoju Snoopa, o naszej „wspólnej drodze”. Jego słowa toną w głośnym brzęczeniu muzyki w tle oraz dziwnym syku w moich uszach. Jednak nie muszę go słuchać, żeby wiedzieć, co tak naprawdę mówi.

Wstawiłem się za tobą.

Dałem ci szansę.

Beze mnie by cię tutaj nie było.

*Jesteś mi coś winna.*

I ma rację. Wiem, że ma rację. To jest najgorsze, bo zamierzam go zdradzić.

Jest taki miły, że mam ochotę zwymiotować. Ale jednocześnie czuję alkohol w jego oddechu i ciepło jego ciała przysuniętego do mojego, a przez to potrafię myśleć tylko o nachylającym się nade mną ojcu.

Chcę nerwowo strzelić stawami w palcach, ale w mojej głowie pojawia się nieproszony głos. „Jeśli jeszcze raz wydasz ten obrzydliwy dźwięk...”

Mimowolnie się wzdrygam.

– ...i jestem z tego taki dumny – kończy Topher.

Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Nim cokolwiek przyjdzie mi do głowy, z odległego końca foyer rozlega się wysoki dźwięk dzwonka. To asystentka Evy, Ani. Ma na sobie jedwabną suknię, wyglądającą, jakby była zrobiona z dwóch związanych razem szali, stoi na palcach i stuka dwoma kieliszkami od szampana. Wydają dzwoniący dźwięk, który odbija się echem po całym pomieszczeniu.

Wszyscy milkną, z wyjątkiem Elliota, który się rozgląda. Urywa w pół zdania, ma zdziwioną minę.

Obok mnie Tophera całkiem zamurowało; wygląda na zaskoczonego. To musi być prezentacja Evy. Ale wygląda na to, że Topher nic o niej nie wiedział.

Nagle zdaję sobie sprawę, z czym mam do czynienia. Wiem, co się dzieje. To jest pułapka.



Nie, to niewłaściwe słowo.  
To jest zamach stanu.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snooperujący: 1

– Snooperzy! – woła Eva wysokim, sztucznie radosnym głosem. Stoi na dolnym stopniu krętych schodów, chociaż nie potrzebuje sobie dodawać wzrostu, i wygląda wspaniale w nieskazitelnej kaszmirowej, obcisłej sukni, przypomina w niej wysoki kieliszek do szampana. – Wiem, że tego nie było w planie, ale chciałyśmy z Ani powitać tu was wszystkich i zacząć ten tydzień przeglądem kilku najważniejszych wydarzeń z drogi, którą przebył Snoop, tylko po to, by wam przypomnieć, jacy jesteście wspaniali, jak daleko zaszliście oraz w jaki sposób wy sami, każdy z was, przyczyniliście się do tego fenomenu, jakim jest Snoop. Czy możecie na parę

minut wejść do jadalni? Weźcie ze sobą drinki.

Wtedy następuje ogólny rozgardiasz, a w powietrzu panuje dziwna energia, której nie umiem do końca określić.

Rozglądając się po pomieszczeniu, po reakcjach wszystkich zgromadzonych oraz ich minach, zauważam, że ta grupa dzieli się na trzy obozy.

Po pierwsze, klika Evy – w której skład najwyraźniej wchodzi Rik i Ani. Wiedzieli o tym, czekali na jej sygnał. Podeszli do niej, jeszcze zanim wygłosiła obwieszczenie, a zaraz potem wyglądali na spiętych, jakby gotowych do walki.

Po drugie, grupa osób, które były zaskoczone, ale pozytywnie, i czekały na to urozmaicenie z radosną nieświadomością. Do niej zaliczają się Tiger, Miranda oraz ten prawnik, Carl. Sięgnęli po swoje drinki, rozmawiając, najwyraźniej zupełnie nie dostrzegając otaczającego ich napięcia.

I w końcu mała grupka Tophera, która także była zaskoczona – ale nie na plus. Jego asystent, Inigo, wygląda jak dziecko, które wdepnęło nowymi butami w psią kupę i zaraz dostanie opiernicz od ojca. Nerd Elliot stoi w rogu z rękoma złożonymi na piersi i zaciętą miną. Tupie stopą i zerka przez okulary, jakby właśnie dał się nabrać na jakiś pokerowy bluff. Sam Topher podnosi się z kanapy, na której rozmawiał z Liz, i wygląda na naprawdę zaniepokojonego. Po raz pierwszy widzę wzburzenie w jego chłopięcym uroku i zdaję sobie sprawę, że pod całą jego charyzmą oraz emanującą pewnością siebie kryje się coś jeszcze. Nie jestem pewna, co takiego. Czyżby jego gładka fasada skrywała w środku przestraszonego chłopczyka? A może to było coś innego, może bardziej niebezpiecznego? Przez chwilę wydaje mi się, że dostrzegam, jak jego twarz przecina iskierka złości.

No i wreszcie jest Liz. Nie wiem, do którego obozu należy. Do żadnego nie pasuje – ale chyba wie, co się dzieje. Twarz ma bez wyrazu, w jej okularach odbija się górne światło, więc nie widzę ich wyrazu. Ale nie wydaje się szczęśliwa. W dodatku ma ręce założone na piersi, jakby broniła się przed jakimś ciosem.

– Chwileczkę, Evo – zaczyna Topher, próbując swojego zwyczajowego rozkazującego tonu, ale już za późno. Eva szybko kieruje resztę do jadalni, a on nie ma wyboru, musi iść za Elliotem albo zostać sam. – Eva, co do k...

I wtedy zatrzasną się za nimi drzwi.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 0

Kiedy Ani wprowadza nas do środka, czuję ukłucie paniki. Jadalnia jest mała i ciemna. Okna zasłonięto roletami. Jedyne światło wpada przez drzwi oraz z rzuconego na pustą ścianę logo Snoopa. Obraz jest jasnoróżowy i nadaje ludzkim twarzom dziwny kolor wędliny, jakby gotowanej szynki. Sadowię się na kanapie, a kiedy drzwi powoli się zamykają, mam wrażenie, że powietrze wokół mnie się zagęszcza.

Nie czułam takiej atmosfery od prawie trzech lat.

Pieniądzy. Przywilejów. *Ambicji*.

Ich zapach jest tak prawdziwy, jak droga, przygotowana na

zamówienie woda kolońska Tophera, tej samej marki, którą zamawiałam z małej paryskiej perfumerii przy rue des Capucines, dukając jego zamówienie moim kiepskim, szkolnym francuskim. Czuję ją teraz, chociaż on znajduje się po drugiej stronie pomieszczenia.

Nagle zalewa mnie fala niepokoju.

Wydaje mi się, że mogę wymiotować.

– Tiger – zaczyna Eva, kiedy każdy ma już gdzie siedzieć. – Czy mogłabyś nas przeprowadzić przez krótką medytację?

– Oczywiście – odpowiada Tiger. Ma trochę chrapliwy głos. Ona chyba zawsze brzmi w ten sposób, ale sprawia, że sama mam ochotę odchrząknąć. Powstrzymuję kaszel, a ona przygląda się grupie. – Znajdźcie sobie wygodne pozycje, cokolwiek to dla was oznacza. Możecie siedzieć, oprzeć się, stanąć, objąć.

Nie mogę powstrzymać wzdrygnięcia na dźwięk tego ostatniego słowa, ale moja reakcja i tak jest lepsza od drwiącego parsknięcia, które słyszę od Carla. Eva rzuca mu spojrzenie, którym mogłaby zabić, a on unika go, poprawiając swoją poduszkę do siedzenia. Jej wypełnienie zgrzyta i świszczy, układając się na nowo.

Tiger opuszcza powieki.

– Zamknijcie oczy – szepcze. – Poświęćcie chwilę na to, by przenieść się myślami do swojego wnętrza.

W pokoju zapada cisza. Zamykam oczy, ale to nie pomaga na moje poczucie bycia zamkniętą w pułapce, a może nawet je wzmacnia. Czuję ciepło ramienia Iniga po swojej lewej stronie oraz udo Rika przyciskające się do mojego po prawej. Nie mogą nic na to poradzić, że mnie dotykają, ta kanapa jest za mała dla trzech osób, ale nie sprawia to, że czuję mniejsze napięcie. Pocę się. Dłonie mi się lepiają. Moje całe ciało jest niewygodnie spięte. Nie chcę tam być. *Nie chcę tam być.*

– A teraz podziękujcie sobie – mówi Tiger cichym,

delikatnym tonem. – Podziękujcie swojemu ciału za to, że was tu przyniosło, swoim kościom za to, że was noszą, swoim mięśniom za to, że was wspierają, swojemu umysłowi za to, że was uwalnia.

Nie chcę nikomu za to dziękować. Chcę się wydostać *stąd*. Rozlega się kolejny szmer, kiedy Carl się wierci, i nagle nie jestem już w stanie dłużej zapanować nad moimi klaustrofobicznymi odczuciami. Rozchyłam trochę powieki, próbując rozwiać nieco niepokój. Już mam je zamknąć, kiedy zauważam, że nie tylko ja podglądam. Naprzeciwko mnie na chwilę otworzyły się oczy Tophera. Rozgląda się po pokoju, próbując zrozumieć, co się, do cholery, dzieje. Nasze spojrzenia się spotykają. *Widzę cię*. Unosi brew. Szybko zamykam oczy.

– Poświęćcie tę chwilę, aby podziękować wszechświatowi – ciągnie Tiger-Blue. – Za dar, którym jest wasze istnienie, za ten dar, którym jest wasza obecność tutaj, za ten dar, którym jest to miejsce, za ten majestat gór, którym dzielą się z nami tylko na kilka dni.

Obok siebie słyszę oddech Iniga. Szybki i krótki. Zerkam i widzę, że ma zaciśnięte zęby, a na policzku drga mu jakiś mięsień. Nie może znieść tej sytuacji tak samo jak ja i najwyraźniej nie wie, co się dzieje, podobnie jak Topher. W czasach, kiedy byłam jego asystentką, nauczyłam się, jak Topher reaguje, kiedy nie jest w coś wtajemniczony. Ktoś potem za to oberwie. Współczuję Inigowi, ale przede wszystkim odczuwam ulgę, że nie padnie na mnie.

– I podziękujcie Snoopowi – mówi monotonnym głosem Tiger. – Za to, czym jesteśmy, co jest większe od nas wszystkich. Za to, czym wszyscy jesteśmy, za to, co wszyscy mamy, za to, że tworzymy kontakty między ludźmi i wypełniamy nasze życie muzyką. Za te małe cuda, które dzieją się każdego dnia.

„Dzięki Bogu, że nie pracuję już w Snoopie” – to moja jedyna myśl.

Nie wiem, czy już skończyła, czy nie, ale zapada krótka cisza. Czuję swój puls w gardle. W momencie, kiedy staje się to już nieznośne, głos zabiera Eva.

– Dziękuję, Tiger-Blue, to było piękne. I naprowadza mnie na to, co chciałam powiedzieć, czyli podziękować *wam* wszystkim za to, że tu przyjechaliście, i za to, co zrobiliście dla mnie, dla Tophera, dla Snoopa i dla muzyki. Dziękuję wam za tę muzykę.

– Na zdrowie – odzywa się Topher. Ludzie otwierają oczy, a on podnosi kieliszek, więc wszyscy musimy się napić, niezależnie od tego, czy mamy ochotę. Popijam swoją wodę.

– A teraz przepraszam, że tak z zaskoczenia, ale nie mogłam pozwolić na to, by ten tydzień zaczął się bez małego uczczenia naszych triumfów, tego wszystkiego, co *sami* osiągnęliście przez ostatnie cztery lata – ciągnie Eva.

Mówiąc to, nie patrzy na mnie, ale nie sposób nie zauważyć, że ja tu nie pasuję. Jestem obecnie jedyną osobą niezatrudnioną w tej firmie.

– Ani? – podejmuje Eva.

Jej asystentka kiwa głową i wciska coś na laptopie, który trzyma na kolanach. Głośniki trzeszczą. Bucha z nich muzyka, nieprzyjemnie głośna. Ścianę naprzeciw rozświetlają ruchome obrazy.

Powinnam oglądać ten film – ale nie mogę się skupić. Muzyka gra zbyt głośno. Boli mnie od tego czaszka. Obrazy są za jasne. Za szybko przeskakują. Jest w tym jakaś desperacka, gorączkowa intensywność. Ból głowy, który zaczął już powoli przygasać, powrócił i pulsuje mi w skroniach. Czuję się, jakby na czole zaciskała mi się jakaś opaska.

Na ekranie przeskakują figury oraz wykresy – zyski i straty, profile użytkowników, wskaźniki tempa wzrostu. Przyciskam



sobie palce do oczodołów, zasłaniając te migoczące obrazy, ale nie jestem w stanie się odciąć od dudniącej muzyki, a ona niezauważenie przechodzi od jednej piosenki do drugiej, w szaleńczej próbie największych przebojów Snoopa.

Eva przekrzykuje muzykę. Opowiada o zasięgu mediów społecznościowych oraz kluczowych influencerach. Reszta grupy pogrąża się w ciszy. Nawet z zamkniętymi oczami czuję, jak w Topherze wzbiera niechęć.

I wtedy muzyka się urywa. Czuję, że z ramion spada mi ciężar, zupełnie jakby ktoś przestał mi krzyczeć do uszu. Otwieram oczy. Na rzutniku widać pojedynczy wykres zakrywający logo Snoopa. Jest pełen liczb. Eva przeprowadza nas przez kolejne zbiory, wyjaśniając ich znaczenie. Procenty, przewidywania, bieżące koszty. I wtedy je słyszę. To słowo, wokół którego krążymy już od prawie dwunastu godzin.

*Wykup.*

Czuję, że opaska wokół mojej głowy zaciska się nieznośnie ciasno. Nie jestem na to gotowa.

Eva opowiada o ofercie. Tłumaczy, co to może oznaczać dla rozwoju firmy, możliwości pracowników – ale ledwo dociera do połowy drugiej tabeli pełnej liczb, kiedy przerywa jej Topher.

– Nie, ja pierdolę, Eva, po prostu nie.

– Przepraszam?

Topher wstaje. Jego twarz częściowo zasłania obraz z rzutnika, tak że jego profil odcina się czarnym, wyraźnym cieniem na ścianie, a liczby układają mu się na twarzy niczym jakiś groteskowy tatuaż.

– To jest tylko połowa faktów i dobrze o tym wiesz. Gdzie byśmy teraz byli, gdybyśmy oddali nasze prawa Spotify, tak jak chcieli na początku? Nigdzie. Bylibyśmy kolejną streamingową apką, o której nikt nie słyszał, i...

– Topher, to jest coś zupełnie innego. – Eva stoi w cieniu, z dala od snopa światła projektora. Słysząc, że jest

wkurwiona, ale jednocześnie za wszelką cenę stara się brzmieć rozsądnie. – Sam wiesz.

– W jakim sensie innego? Nie zamierzam skończyć jak cholerny Friendster.

– Jeśli spróbujemy jeszcze jednej rundy finansowania, to w tym tempie skończymy raczej jak Boo.com – odwarkuje Eva. Potem bierze wdech. Widzę, że próbuje zapanować nad złością. – Słuchaj, Toph, poruszasz pewne istotne kwestie, ale nie wydaje mi się, żeby to były czas i miejsce...

– Nie czas i miejsce? – Z Tophera bucha wściekłość. Robi mi się niedobrze. Przed oczami mam nagle wspomnienie z dzieciństwa: mojego ojca stojącego nad moją matką, podniesiony głos. Zaciskam mocniej oczy. Czuję, że zaczynam się trząść. – To *ty* uznałaś za słuszne rozpocząć tydzień swoim propagandowym filmikiem...

– Słuchajcie. – Koło mnie szeleszczą poduszki i Rik wstaje. Otwieram oczy. Przechodzi pomiędzy siedziskami i szklankami, żeby znaleźć się fizycznie pomiędzy nimi. – Myślę, że Eva próbowała tylko...

– Doskonale wiem, co próbowała zrobić Eva! – krzyczy Topher. Powstrzymuję chęć, by znowu zakryć sobie uszy dłońmi. – Próbuje przede wszystkim postawić na swoim. Kurde, pieprzyć to.

– Topher. – Eva brzmi, jakby miała się zaraz rozpląkać, chociaż nie jestem pewna, czy tak naprawdę jest. Trudno orzec, czy jej smutek jest prawdziwy, czy to tylko strategiczna zmyłka. Jeśli gra, to bardzo przekonująco. – Toph, *proszę*. To miało być świętowanie...

– To miała być cholerna pułapka – odpowiada Topher.

– Nie, wcale nie, nigdy. – Jej słowa zawsze są przekonujące. Ale tym ostatnim zdaniem przesadziła. Wszyscy zgromadzeni wiedzą, że kłamie, rozlegają się szmery, kiedy ludzie niezręcznie się wiercą, nie chcąc patrzeć sobie w oczy.

– Hej! – woła zdesperowany Rik. – Hej, *proszę*, nie powinniśmy tak zaczynać tego tygodnia. Musimy ustalić jakieś rozwiązanie, z którego wszyscy będą zadowoleni.

– Zadowoleni? – atakuje go Topher. – Zadowoleni? W takim układzie będziemy się mogli cieszyć, jeżeli wyjdziemy stąd żywi.

Po tych słowach rzuca pustym kieliszkiem w stół kawowy i wybiega z jadalni.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: Loyle Carner / Damsefly

Snooperzy: 2

Snoopserwujący: 3

Mam słuchawki w uszach, kiedy Topher wypada z jadalni i porywa butelkę whiskey z samoobsługowego baru w lobby. Zaskakuje mnie zniecka, kiedy nakrywam do stołu i stukam stopami do rytmu. Nie spodziewałam się, żeby mieli skończyć w ciągu kolejnych dziesięciu minut, i kiedy pośpiesznie wyciągam słuchawki, wychwycam tylko końcówkę jego uwagi.

– ...możesz to dodać do rachunku tej holenderskiej suki.

Cholera jasna. Co tam się w środku wydarzyło? Przez chwilę stoję, patrząc, jak Topher się oddala, a potem ze środka wylewa się reszta grupy z przygnębionymi minami i muszę zacząć im wskazywać ich miejsca przy stole.

Duże, szklane drzwi w lobby nadal bujają się w przód i w tył po tym, jak Topher wybiegł na śnieg. Dokąd, u licha, on się wybrał? Miał na sobie džinsy i koszulkę, a na zewnątrz jest minus jedenaście stopni. W naszej malutkiej wiosce nie ma żadnych restauracji ani barów. St. Antoine 2000 to po prostu garstka domków. Jeśli ktoś chce wyjść gdzieś na kolację, musi zjechać do St. Antoine de Lac, gdzie są wszelkie sklepy, restauracje i kawiarnie, jakie można sobie zamarzyć. Łatwo zjechać tam na nartach – długi niebieski szlak prowadzi prosto do centrum miasteczka. Ale teraz jedyna droga powrotna to kolejka linowa, która działa do dwudziestej trzeciej.

Ktoś puszcza muzykę przez główny głośnik w jadalni, płytę The 1975, dźwięczną i pogodną, być może z zamiarem poprawienia wszystkim nastroju. Ale kiedy zaczynam podawać przystawki Danny'ego – miniaturowe grzybowe zapiekanki na maleńkich porcelanowych łyżeczkach – nieobecność Tophera zaczyna wszystkich drażnić jak mięsień drgający pod okiem. Zapiekanki cieszą się dużym zainteresowaniem – jak zawsze jedzenie Danny'ego – ale najwyraźniej nie jestem jedyną osobą stresującą się Topherem i atmosfera jest napięta. U szczytu stołu zostało wolne miejsce tam, gdzie powinien siedzieć Topher, pomiędzy Inigiem i Mirandą, którzy wymieniają zmartwione spojrzenia za każdym razem, kiedy wnosimy i wnosimy kolejne dania, a on nadal nie wraca.

Elliot siedzi oparty plecami o ścianę, ze spuszczoną głową, do nikogo się nie odzywa i ładuje jedzenie do ust, jakby to były jakieś wyścigi. Łyżką. Na pierwsze danie podano truflową zupę z pasternaku, więc ta łyżka ma jeszcze jakiś sens, ale kiedy

zaczynam zbierać sztuce, żeby zrobić miejsce na danie główne, Elliot wyrywa mi łyżkę i rzuca mi takie spojrzenie, jakby przyłapał mnie na próbie kradzieży jego zegarka. Kiedy przychodzi kolej na sarninę, atakuje ją łyżką od zupy, ignorując widelec i nóż do steków leżące po bokach jego talerza. Pomiedzy daniami siedzi z pochyloną głową, gapiąc się na sęki i zawijasy na drewnianym stole oraz ignorując Tiger po swojej lewej, która oddaje się pogaduszkom z Mirandą, jak gdyby wszystko było całkowicie normalne, oraz Carla po swojej prawej, który także go ignoruje, znacząco odwracając się od Elliota w stronę Ani i Ewy.

Eva, u szczytu stołu, dłubie w jedzeniu, zerkając na zegarek i wyglądając przez okno na padający śnieg, a na jej twarzy odbija się niepokój, który sama staram się ukryć. Gdy Carl rzuca w jej stronę jakąś niewinną uwagę, odwarkuje z taką wściekłością, że aż się wzdrygam, chociaż on chyba uznaje to za coś zwyczajnego.

Liz wygląda blado i naprawdę żałośnie, jak spłoszone zwierzę, i odmawia za każdym razem, gdy ktoś proponuje jej wino. W pewnym momencie Rik próbuje ją zagadać. Nie wiem, co mówi, nie słyszę początku, ale ona gwałtownie kręci głową, a kiedy znowu otwiera usta, wyrzuca z siebie: „Przepraszam, muszę do toalety”, i wysuwa swoje krzesło z takim impetem, że łomocze o drewniany parkiet.

Po jej wyjściu Eva zerka przez stół na Rika i bezgłośnie przekazuje mu coś, czego nie umiem do końca odczytać z jej ust, ale to chyba może być: „A nie mówiłam”.

Nawet crème brûlée Danny’ego nie daje rady ożywić wieczoru i po kolacji grupa się rozpierzcha, wymawiając się bólami głów, sennością oraz mejlami do wysłania. Kiedy przechodzę przez lobby, żeby donieść drewno do kominka w salonie, zauważam zniknięcie dwóch kolejnych butelek z baru samoobsługowego.

Sprawa przynajmniej jednej z nich wyjaśnia się, kiedy przechodzę do salonu, gdzie widzę Rika i Mirandę skulonych w rogu wielkiej, miękkiej kanapy, z brakującą butelką armagnaca na stoliku pomiędzy nimi oraz jakimś kubańskim jazzem płynącym z głośników, prawdopodobnie przez któryś z ich telefonów. Rik spostrzega, że zauważyłam butelkę, i uśmiecha się do mnie szeroko.

– Chyba nie masz nic przeciwko? Dodamy to do rachunku na koniec wieczoru.

– Nie ma sprawy – odpowiadam szczerze. – Na tym to polega. Przynieść wam coś jeszcze? Ser? Kawę? Jakiś deser? Danny robi niesamowicie pyszne suszone śliwki w czekoladzie, które naprawdę dobrze pasują do kieliszka brandy.

Rik spogląda na Mirandę i unosi jedną brew, a ta niema rozmowa mówi więcej o ich relacji niż jakikolwiek gest. Coś tu jest na rzeczy. Nie są tylko znajomymi z pracy, nawet jeśli sami nie zdają sobie z tego sprawy.

Rik udziela odpowiedzi za nich oboje.

– Nie, nie trzeba, dzięki.

– Nie ma za co. Dajcie znać, jeśli zmienicie zdanie.

Zaczynam układać w kominku polana drewna, a Rik nachyla się bardziej w stronę Mirandy i powraca do rozmowy tak, jakby mnie tam w ogóle nie było.

– Widziałas, jak Liz na mnie *popatrzyła*, kiedy zacząłem z nią temat udziałów? Musiałem sprawdzić, czy nie wypaliła mi wzrokiem dziury w koszuli.

– Widziałam. – Miranda opiera sobie głowę na dłoniach. – Ale serio, Rik, co ty sobie myślałeś? Eva przecież wyraźnie dała do zrozumienia...

– Wiem, wiem... – odpowiada Rik. Pociera dłonią swoje krótkie włosy i poirytowany kręci głową. – Ale wkurzyłem się, że Eva zachowuje się, jakby była jakąś pieprzoną zaklinaczką Liz. Ja ją znam tak samo długo. Dość dobrze się

dogadywaliśmy, zanim to wszystko się spierdzieliło.

– Co się wtedy właściwie stało? – pyta Miranda. – Mnie jeszcze wtedy nie było, nigdy tego nie rozumiałam.

– Musisz wiedzieć, że wtedy wszystko działało przy naprawdę niewielkim wkładzie. Te pierwsze sześć miesięcy to był jakiś żart. Nikt z nas nie dostawał wypłaty, nie żeby Elliot się tym przejmował, nie wydaje mi się, żeby w ogóle wydawał jakieś pieniądze, jeśli Topher go nie zmusi. On taki był już w szkole. Ale całej reszcie to przeszkadzało. Eva rozwalala swoje oszczędności z czasów modelingu, jakby jutra miało nie być. Topher w końcu tak wkurwił swoich rodziców, że zostawili go bez grosza, a on sypiał na kanapach po dawnych znajomych ze szkoły. Ja za dnia pracowałem w KPMG, nocami w Snoopie, i cały czas miałem maksymalny debet na koncie. A Liz była tylko sekretarką, która odpowiedziała na ogłoszenie w sieci, i cieszyła ją praca za gówniane pieniądze. To znaczy nawet wtedy ubierała się jak lesba, ale wydajnie pracowała i nie awanturowała się o to, że robi w badziwnym wynajętym biurze bez klimatyzacji na South Norwood.

– Nie o to mi chodziło, tylko jak to się stało, że to ostatecznie ona rzuciła...

– Do tego zmierzam. Jakies dwa tygodnie po uruchomieniu ostatecznie skończyły się nam pieniądze. Byliśmy spłukani, kompletnie spłukani, nie pozostały nam żadne źródła dochodu. Karty kredytowe, debety, przyjaciele i rodzina, wszystko wysuszyliśmy i brakowało nam z dziesięciu kawałków, żeby się nie zamykać. Topher sprzedał nawet swoje ferrari, ale to nie wystarczyło. Przez cztery dni wyglądało na to, że dochodzimy do ściany. Przychodziły rachunki i podpisane przez nas umowy, dostawaliśmy wezwania do zapłaty i zawiadomienia komornicze, gdzie kolwiek się obróciliśmy. I wtedy ni stąd, ni zowąd właśnie ta Liz wybąkała, że zmarła jej babcia i zostawiła jej dziesięć tysięcy funtów.



I zaproponowała, że zainwestuje je w naszą firmę. Chciała jedynie zabezpieczenia. Nie odsetek, tylko udziałów w firmie. I to nie były jakichś, ale akcji z prawem głosu. No, i ustalenie podziału zostawiliśmy prawnikom, ale stało na tym, że trzydzieści procent akcji przypadło Topherowi, trzydzieści Evie, dziewiętnaście Elliotowi, dziewiętnaście mnie i dwa procent dla Liz.

– Dwa procent? – pyta Miranda. – W firmie, która nie zebrała żadnego kapitału i właściwie nie była wypłacalna? To nie brzmi jak porządne zabezpieczenie dziesięciu kawałków.

– Można tak pomyśleć – rzuca cierpko Rik. – Ale to ona będzie się śmiała ostatnia. Jeśli wykup dojdzie do skutku, te dziesięć tysięcy będzie warte około dwunastu milionów.

Tak mnie to zaskakuje, że wypada mi z rąk polano. Toczy się do kominka, rozbijając po drodze małe gliniane naczynie, w którym leżą rozpałki. Naczynie pęka z absurdalnie głośnym hukiem, a ja wstrzymuję oddech, gotowa do przeprosin, jednak wygląda na to, że Rik i Miranda w ogóle tego nie zauważają, więc wracam do ostrożniejszego układania drewna, podczas gdy oni kontynuują rozmowę.

– O kurwa – mówi Miranda, śmiejąc się w lekkim szoku, jakby usłyszała te liczby po raz pierwszy. – To znaczy, wiedziałam, że ta oferta wykupu była dobra, ale... – Wygląda, jakby liczyła w głowie. – Więc jeśli Liz ma dostać dwanaście, to tobie przypadnie...

– Możesz sobie pomnożyć – odpowiada Rik i uśmiecha się od ucha do ucha. – Ale w tym rzecz. Jeśli wykup dojdzie do skutku. Inwestorzy zaczynają się niecierpliwić i nie wydaje mi się, żeby zamierzali zostać na kolejną rundę finansowania. Jeżeli Topher nie zmieni zdania i nas wszystkich wykończy...

– Jasne. Rozumiem – przerywa mu Miranda, z lekką goryczą w głosie. – Wróćcie do punktu wyjścia, do stanu niewypłacalności. Ale przecież na pewno Liz nie musi się nad

tym zastanawiać, prawda? Dobra, Elliot zagłosuje z Topherem, wszyscy o tym wiemy. Ale jeśli Liz postąpi rozsądnie i zagłosuje razem z tobą i Evą, to wtedy tadam. – Pociera palcami wyimaginowane pieniądze.

– Tak, tylko szkoda, że Eva jest taką pieprzoną suką – odpowiada szeptem Rik. – Czasem nie ułatwia podejmowania mądrych decyzji.

Staram się nie podsłuchiwać, ale trudno nie usłyszeć tego, co mówią, nawet przy muzyce, a nim skończę sprzątać odłamki naczyń, dowiaduję się więcej, niż się spodziewałam, o tym, jak Eva zastrasza młody zespół, jaki Topher jest niestabilny psychicznie, a finansowa sytuacja Snoopa zagrożona. Niemal z ulgą przyjmuję ich przejście na inne tematy – plany na narty kolejnego dnia, gówniane Wi-Fi, żonę Rika, która najwyraźniej przysparza mu utrapień. W pewnym momencie jedno z nich pogłasnia muzykę, więc nie słyszę już wyraźnie słów.

Ale kiedy wstaję, czując w krzyżu dyskomfort po całym dniu noszenia i schylania się, słyszę końcówkę odpowiedzi Mirandy na coś, co powiedział Rik.

– No, pewnie masz rację. Ale w takim wypadku chyba po prostu trzeba ją *zmusić*.

Te słowa zostają mi w głowie, kiedy cicho zamykam za sobą drzwi i wychodzę do lobby, żeby popatrzeć na ciągle sypiący śnieg.

Po prostu trzeba ją *zmusić*.

O kim mówili? O Liz? O Evie? A może kimś zupełnie innym, na przykład żonie Rika?

Na pierwszy rzut oka w tych słowach nie ma niczego wyjątkowego. Takie zdanie można usłyszeć zawsze i wszędzie. Ale dlaczego ta chłodna determinacja głosu Mirandy zostaje mi w głowie?

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: snoopuje XTOPHER

Snooperzy: 0

Snoopserwujący: 0

Jest dwudziesta trzecia dwie. Siedzę na górze w swoim pokoju. Położyłam się do łóżka w szlafroku, ale nie śpię. Snoopuję Tophera. Nie dlatego, że chcę posłuchać jego muzyki, czyli zawsze jakichś eksperymentalnych klubowych dziwactw, ale dlatego, że próbuję się dowiedzieć, czy nic mu się nie stało.

Na Snoopie nie ma możliwości zameldowania. Jeśli chodzi o lokalizację danej osoby, to można ją sprawdzić tylko wtedy,

kiedy ktoś zdecyduje się o niej powiadomić w krótkim akapicie opisu pod nazwą użytkownika. Mimo wszystko żywię nadzieję, że dobór muzyki da mi jakiś wgląd w jego emocje.

Nie wiem, co sobie wyobrażałam. Smętne gitarowe solówki. *All by Myself* zapętłone w nieskończoność. A w rzeczywistości puszcza niekończący się potok wściekłego hiszpańskiego punk rocka. A może to portugalski. Wygląda na to, że jest wkurzony, ale niczego więcej się nie dowiaduję. Z pozytywów, *czegoś* słucha, więc prawdo podobnie żyje. Chociaż po namyśle stwierdzam, że nie można być tego pewnym. Nie da się ustalić, czy jego telefon nie gra właśnie w jakimś zamarzniętym rowie. Po paru minutach wzdycham i minimalizuję aplikację.

Wspomnienie naszej rozmowy na dole na kanapie wciąż się mnie mocno trzyma, jak kac. Wiem, co Topher próbował zrobić. Chciał wzbudzić we mnie poczucie winy. Usiłował przypomnieć mi o wszystkim, co jestem mu winna.

Ta myśl powinna mnie złościć – i do pewnego stopnia tak działa. On jest aroganckim chłopakiem z prywatnej szkoły, który miał szczęście i świetny pomysł oraz, co istotniejsze, mamusię i tatusia gotowych go finansować – przynajmniej przez pierwsze kilka lat. Miał wszystko, czego mi brakuje. Bogactwo. Tytuły. Pewność siebie.

Ale pod moją złością kryją się różne niewygodne fakty. Ten, że dał szansę niezdarnej, nieudolnej dwudziestol atce, na którą nikt nie zwracał uwagi. Dziewczynie z Crawley, która śmierdziała lumpeksami, używanymi ciuchami i desperacją – pod tym wszystkim, w środku, dostrzegł człowieka, *prawdziwą* mnie, zawziętą, upartą, gotową dać z siebie sto dziesięć procent.

Co więcej, kiedy zaproponowałam, że zainwestuję pieniądze po babci w Snoopa, to *on* powiedział mi, żeby zażądać udziałów, a nie zwrotu z odsetkami. Zarówno Rik, jak i Eva próbowali mnie od tego odwieść. Mówili, że zwrot jest w takim

wypadku niepewny – istniało ryzyko, że Snoop padnie i nigdy nie przyniesie żadnego zysku. Ale Topher przekonywał mnie, że udział wyjdą mi na dobre. I miał rację.

To przez Tophera tu dziś jestem. Nadal nie wiem, czy powinnam być mu za to wdzięczna, czy go winić. Może jedno i drugie.

Ta dziewczyna – Erin – mówiła mi, że kolejka linowa przestaje jeździć o dwudziestej trzeciej. Więc jeśli ją złapał, powinien niedługo tu być. Ale w tym sęk. Czy ją złapał?

Wiercę się niespokojnie, żeby wyrzeć przez okno, płatki śniegu nadal wirują w dół. Według prognoz temperatura ma dziś w nocy spaść do minus dwudziestu. Ludzie umierają w takim zimnie.

Podskakuję na dźwięk stukania do drzwi. Zaciskam pasek szlafroka i podchodzę. Gdy obracam klucz w zamku, serce mi wali.

To Eva.

– Liz – odzywa się. – Mogę wejść? – Przebrała się z białej, wełnianej sukienki, którą miała na sobie przy kolacji. Teraz jest ubrana w elastyczne spodnie do jogi, które sprawiają, że jej nogi wydają się niesamowicie długie. Zapach perfum unosi się za nią jak chmura. Jest silny i trochę mdły. Może to Poison.

– Yyyy... okej – odpowiadam. Czuję się trochę osaczona i urażona. Naprawdę nie chcę jej wpuszczać do swojego pokoju, ale nie jestem pewna, jak to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało dziwnie.

Przeciska się obok mnie i podchodzi do okna, staje przy nim i patrzy na dolinę, plecami do mnie. Zauważam, że drzwi mojej szafy są otwarte, widać w niej drążek pełen nieatrakcyjnych i wygniecionych ubrań oraz moje dwie walizki. Większa trochę wystaje, przez co drzwi się nie domykają. Popycham ją stopą i domykam szafę.

Eva się odwraca, kiedy rozlega się stuknięcie.

– Wszystko w porządku? – pyta nagle.

Jestem zaskoczona tym pytaniem i nie wiem, co odpowiedzieć. To prawdopodobnie tylko taki utarty zwrot, ale mimo wszystko nie jestem przyzwyczajona, żeby ludzie, a już najmniej Eva, troszczyli się o to, co myślę. Czuję się przez to dziwnie obnażona. Nie potrafię wymyślić odpowiedzi, ale to nieważne, Eva mówi dalej.

– Chciałam przeprosić za to, że tak zaskoczyłam wszystkich tą prezentacją, ale bałam się, że jeśli umieszczę ją w harmonogramie, to Topher znajdzie jakiś sposób, żeby najpierw przedstawić własne zdanie...

Och. Znowu przyszła mnie przekonywać.

– Evo, proszę. – Ból głowy, który ucichł po kolacji, znowu się zaczyna. Tętni równo z biciem mojego serca. – Proszę, nie chcę teraz o tym rozmawiać.

– Nie przejmuj się. – Bierze moje dłonie i obejmuje je swoimi. Są zimne i silne. – W pełni to rozumiem, na twoim miejscu też byłabym rozdarta. Czujesz się lojalna wobec Tophera, rozumiem to, naprawdę. Wszyscy się tak czujemy. Ale obie wiemy...

Urywa. Nie musi kończyć tego zdania.

I szczerze mówiąc, naprawdę nie musi mnie przekonywać. Fakty mówią same za siebie.

Jest dwanaście milionów powodów, by głosować tak jak Eva. Nie musi mi podawać dwanaście milionów pierwszego.

– Wiem – odpowiadam. Szepczę. – Evo, wiem, tylko po prostu Topher...

Topher, który dał mi pierwszą w życiu szansę, który przede wszystkim sam mi powiedział, że bym wzięła udział. Jak mam mu powiedzieć, że go zdradzam? Co on wtedy *zrobi*? Po raz pierwszy zdaję sobie z tego sprawę: boję się.

– Liz, sama *wiesz*, co chcesz zrobić, co *musisz* zrobić... –

mówi Eva, przymilnie, jakby przemawiała do wystraszonego dziecka. – Proszę cię, przecież zawsze stałam po twojej stronie. Zawsze się opiekowałyśmy sobą nawzajem, prawda?

Przypomniało mi się pytanie Rika przy kolacji, pytanie, po którym odsunęłam krzesło i wyszłam z pomieszczenia. „No, Liz, to jak zamierzasz wydać swoje akcje?” To było takie bezczelne, takie śmiałe, tak pełne założeń.

Eva jest bardziej subtelna. Wie, że te pieniądze budzą we mnie pewien strach. Ponieważ dla kogoś takiego jak ja, kto dorastał, musząc ciuć każdy grosz, którego ojciec nie przepuścił w kasynie, jest to niewyobrażalna kwota. Niedorzeczna. Przełomowa. Zmieniająca życie.

Eva wie, że nie przekona mnie pieniędzmi – ale czymś innym. Czymś dużo bardziej osobistym, pozostającym między nią a mną; odwołaniem do naszej wspólnej przeszłości. Kiedyś byłam również jej asystentką, jeszcze w czasach, kiedy Snoop mógł sobie pozwolić tylko na jedną. Mam wobec Ewy dług, tak samo jak wobec Tophera. Większy.

Ale tak naprawdę ona wie także coś, co wie Rik, co wie Carl, co najwyraźniej przyjmują do wiadomości wszyscy prócz Tophera i Elliota: że tak naprawdę nie ma żadnego wyboru.

Na leżące przede mną pytanie jest tylko jedna racjonalna odpowiedź. Moja lojalność wobec Tophera nie waży się tylko przeciwko dwunastu milionom funtów, ale czemuś zupełnie innemu – perspektywie życia zupełnie innego od tego, do jakiego przywykłam. Ostateczną stawką jest moja wolność. Wolność od pracy, od trosk, od ostrożności na każdym kroku – wolność od tego wszystkiego.

– Wiem, Evo – odpowiadam. Mówię bardzo cicho. – Wiem. To po prostu jest... trudne.

– Rozumiem – odpowiada. Znowu ściska moją dłoń. Czuję, że ma zimne palce i że poprzez ten uścisk przekazuje mi stanowczą wiadomość. – I wiem, że to trudne. Oczywiście ja

też czuję, że powinnam być lojalna wobec Tophera. Ale na ciebie mogę liczyć, prawda?

– Tak – odpowiadam. Mój głos jest ledwie słyszalny, nawet dla mnie samej. – Tak, możesz na mnie liczyć.

– Dobrze. – Uśmiecha się szerokim, pięknym uśmiechem. Ten uśmiech lśnił kiedyś na tysiącach billboardów i wybiegach w całej Europie. – Dziękuję ci, Liz, wiem, co to znaczy. I ty też możesz na mnie polegać. Będziemy się sobą nawzajem opiekować, prawda?

Kiwam głową, a ona przytula mnie przelotnie i wychodzi.

Po jej wyjściu otwieram okno, żeby pozbyć się zapachu perfum. Wychylam się i pozwalam niepokoju zaciśniętemu w mojej piersi eksplodować w coś ogromnego i niemal przytłaczającego. Wyobrażam sobie to spotkanie, to głosowanie, jak podnoszę rękę za wykupem, oraz wyraz twarzy Tophera, który zauważa moją zdradę. I wtedy wyobrażam sobie, co się stanie, jeśli tego nie zrobię, i naprawdę robi mi się niedobrze.

Bo Eva ma rację. *Jest* tylko jeden wybór. Wiem, co muszę zrobić. Muszę tylko znaleźć w sobie odwagę.

A kiedy już podjęłam decyzję, nagle spływa na mnie dziwny spokój.

Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Zamykam okno. Kładę się do łóżka i wyłączam Snoopa. Potem leżę, dość nieruchomo, słuchając tym razem szeptu śniegu opadającego na mój balkon na zewnątrz. Ten śnieg wszystko przykrywa.



## **ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: Snoopuje ITSSIOUXSIE

Snooperzy: 5

Snoopserwujący: 7

Dzwoni budzik i wyrywa mnie z głębokiego, nieprzyjemnego snu – koszmaru, w którym kopałam, kopałam, kopałam w ubitym śniegu, moje dłonie zeszywniały z zimna, mięśnie mi drżały, a po szyi płynęła gorąca krew. Wiedziałam, co znajdę – jednocześnie pragnęłam tego i byłam przerażona. Ale obudziłam się, nim dotarłam do celu.

Otwarcie oczu przyniosło mi ulgę; jestem w swoim pokoiku, budzik w telefonie przenikliwie przecina ciszę, aż w końcu odnajduję palcem przycisk drzemki i go wyłączam. Zegar wskazuje minutę po szóstej i leżę tak jeszcze przez chwilę, mrugając, wciąż na wpół śpiąca, usiłując zrzucić z siebie nieprzyjemne uczucie, które pozostawił tamten sen.

Jest weekend, ale to nie znaczy, że nie muszę wcześnie się zrywać. Zmieniamy się z Dannym, bo któreś z nas musi wstać o szóstej, żeby odpalić ekspres, zacząć przygotowywać śniadanie i posprzątać po poprzednim wieczorze, by to drugie

mogło dłużej poleżeć. Tego dnia przypada moja kolej wczesnej zmiany i nie mogę przestać ziewać, kiedy wytaczam się z łóżka i ubieram. Niektórzy ludzie na takich wysokościach cierpią na bezsenność. Ja nie. Raczej wręcz przeciwnie.

Kiedy przechodzę koło drzwi Tophera, zatrzymuję się, próbując usłyszeć, czy jest w środku. Czy wrócił bezpiecznie? Nie słyszałam, jak wchodził, ale zostawiłam otwarte drzwi od frontu, a kiedy zesłam tam zajrzeć o północy, w foyer zobaczyłam mokre ślady.

Stoję tak, wstrzymując oddech, aż nagle ciszę przerywa potężne chrapnięcie; trzęsę się ze śmiechu. *Ktoś tam na pewno jest, nawet jeśli to nie Topher.*

Na dole jest cicho, drewno z poprzedniego dnia żarzy się jeszcze za szklanymi drzwiczkami kominka. Otwieram kratkę i kładę dodatkowe polano na kupce popiołu, a potem zaczynam sprzątać pozostałości po wieczorze.

Snoop nie jest wcale gorszy od większości innych grup, które tu przyjeżdżają, ale – nie wiem dlaczego – tego dnia czuję się wyjątkowo wyczerpana, gdy wylewam trzydziestoletnią brandy do zlewu i zeszkrobuję stopiony camembert z chodnika w jadalni. Ktoś też palił w budynku, wbrew zasadom – w naczyniu pełnym pieczołowicie przygotowanych przez Danny’ego słodyczy znajduję zgaszonego papierosa. Myślę, że takie rzeczy mnie wkurzają. Przypominam sobie, jak robił te miniaturowe florentynki: mieszał składniki, piekł je, każdą maczał ostrożnie w dokładnie temperowanej czekoladzie, układał je do podania. Traktował je niczym maleńkie dzieła sztuki, którymi były. A ktoś użył ich jako prowizorycznej popielniczki.

Chwilę zajmuje, nim złość ze mnie opada, ale koło siódmej rano trochę poprawia mi się humor. Pokoje są czyste, ogień trzaska w kominku, piekarnik rozgrzewa się do pieczenia kiełbasek, a musli Birchera stoi w wielkiej, kryształowej misce

z boku, razem z potężnymi dzbankami świeżo wyciskanych soków oraz mleka i śmietanki. Z góry nadal nie dochodzą żadne hałasy, co oznacza, że mogę sobie pozwolić na dziesięć minut siedzenia z kawą i telefonem. Zwykle sprawdziłabym pogodę albo przejrzała Twittera – ale tym razem otwieram Snoopa i popijając kawę, zaczynam bezmyślnie przeglądać listy swoich ulubionych artystów, sprawdzać, kto jest online, kto czego słucha. Jest tam wielu niezwykłych ludzi, prawdziwi celebryci pomiędzy ludźmi, którzy mają po prostu fascynujące osobowości, i Danny miał rację, jest coś uzależniającego w tym, że możesz wcisnąć przycisk *play*, by odtworzyć piosenkę, której rzeczywiście słuchają właśnie w tej chwili; ze świadomością, że jesteście wtedy zsynchronizowani co do nuty. W Nowym Jorku jest północ i wielu ludzi, których snoopuję, gra późnowieczorną, wyciszającą muzykę – a o tej porze dnia tego nie szukam – ale wtedy odnajduję fajną grupkę brytyjskich celebrytów, którzy najwyraźniej już wstali i słuchają. Dlaczego nie śpią o szóstej rano brytyjskiego czasu? Nie mogą? Może zawsze wstają o takiej porze.

Myję miski, które są za duże do zmywarki, i stukam stopą do *Rockaway Beach* Ramones, kiedy dźwięk zaczyna przerywać. Wyciągam z kieszeni telefon, żeby sprawdzić podłączenie słuchawek, a piosenka całkiem cichnie. Cholera. Patrzę na ekran. Wskazuje nadal silny sygnał Wi-Fi, ale kiedy klikam w zakładkę Snoopa, wyskakuje małe okienko. „We can't get no satisfaction. (Prosimy, sprawdź swoje połączenie internetowe)”.

Wzdycham, wyłączam aplikację i wracam do zmywania, tym razem w ciszy, ale nim zdążę umyć parę talerzy, po mojej prawej rozlega się stukanie. Spoglądam w tamtym kierunku i widzę Jacquesa z piekarni w dolinie, trzymającego stos bagietek i wielką torbę croissantów. Ściągam gumowe rękawice i otwieram drzwi, wydmuchując parę na chłodne

poranne powietrze.

– *Salut, ma belle* – mówi z papierosem w ustach, podając mi pieczywo, a potem długo zaciąga się swoim gitanem i wydmuchuje dym przez ramię.

– Cześć, Jacques – odpowiadam po francusku. Mój francuski nie jest idealny, ale potrafię podtrzymać rozmowę. – Dzięki za pieczywo. Jak ci się podobają prognozy?

– Ech, no cóż, nie jest dobrze – odpowiada, nadal po francusku, znów zaciągając się długo i z namysłem i patrząc w niebo. Jacques jest jedną z niewielu osób, które rzeczywiście się tu wychowały. Prawie wszyscy są przyjezdni, to albo turyści, albo pracownicy sezonowi. Jacques mieszka tu przez całe życie, jego ojciec ma piekarnię w St. Antoine le Lac, a Jacques przejmie ją na dobre za parę lat, kiedy ojciec odejdzie na emeryturę.

– Myślisz, że da się dziś pojeździć na nartach? – pytam.

Jacques wzrusza ramionami.

– Może rano. Ale po południu... – Wyciąga rękę przed siebie i wykonuje gest kołysania dłonią, którego Francuzi używają, by podkreślić, że coś może się udać lub nie. – Idzie śnieżycą. Widziałaś kolor tych chmur nad La Dame?

La Dame oznacza La Dame Blanche – ten wysoki szczyt górujący nad całą doliną, rzucający niemal wieczny cień na nasz domek. Kiedy spoglądam na szczyt, od razu rozumiem, o co mu chodziło. Zbierające się tam w górze chmury są brzydkie i ciemne.

– Ale to nie wszystko – dodaje. – Jest też wiatr. Utrudnia pracę ludziom z zespołów przeprowadzających kontrolowane wyzwolenia lawiny. Wiesz, nie mogą wyjść, żeby ruszyć małe osunięcia.

Kiwam głową. Widziałam, jak robią to w pogodne dni po dużych opadach – powodują małe lawiny, by bezpiecznie uwolnić nadmiar śniegu na wyższych szczytach, nim zacznie

gromadzić masę krytyczną. Nie jestem pewna, jak to dokładnie robią – czasem chyba wykorzystują helikoptery, czasem jakiś rodzaj broni. W każdym razie jestem w stanie zrozumieć, że przy silnym wietrze staje się to zbyt ryzykowne i nieprzewidywalne.

– Myślisz, że istnieje zagrożenie lawinowe? – pytam, próbując ukryć swój niepokój.

Jacques znowu wzrusza ramionami.

– Poważne? Raczej nie. Ale dziś po południu na pewno zamkną stoki i nie planowałbym żadnych jazd na dziko.

– Nie jeżdżę na dziko – odpowiadam krótko. Już nie.

Jacques tego nie komentuje, zapatrza się tylko z namysłem na szczyty, a potem wypuszcza kółko dymu.

– No, to ja lecę. Do zobaczenia, Erin.

I odchodzi w stronę kolejki linowej, pod stopami skrzypi mu świeży śnieg. Gdy patrzę, jak się oddala, czuję, że ściska mi się żołądek, i ogarnia mnie dojmujące zimno z mojego snu, potem wracam do ciepłej kuchni.

– Monsieur Bułka, syn piekarza?

To Danny; opiera się o blat, mrużąc oczy w jasnym, porannym świetle.

– Jezu. – Przykładam sobie dłoń do piersi. – Wystraszyłeś mnie. Tak, to był Jacques. Powiedział, że napada więcej śniegu.

– Pierdolisz. – Danny pociera swój kilkudniowy zarost. – To nic się już nie da zrobić. Uda się pojeździć na nartach?

– Tak myślę. Powiedział, że pewnie rano. Jego zdaniem stoki zamkną po południu, zagrożenie lawinowe.

– Już jest pomarańczowe – odpowiada Danny, odnosząc się do skali kolorów publikowanej przez Météo-France.

Pomarańczowy oznacza trzeci poziom: „znaczne prawdopodobieństwo” wystąpienia lawiny, kiedy nie zaleca się jazdy na nartach poza stokami, a niektóre z bardziej stromych są

zamknięte. Czwarty poziom jest czerwony i to wtedy całe miasteczko zaczyna się zamykać. Piąty poziom, czarny, oznacza zagrożenie dla zabudowań mieszkalnych oraz dróg. Czarny znaczy, że najlepiej zadbać o swój ostatni posiłek, ale zespoły przeciwlawinowe nie dopuszczają do tego poziomu, o ile są w stanie.

Ustawiam na tacy filiżanki do kawy, kiedy Danny znowu się odzywa swobodnym tonem:

– Kto to jest Will?

To pytanie mnie zaskakuje – na tyle, że się potykam, a dwie filiżanki zsuwają się z tacy i roztrzaskują na podłodze. Nim uda nam się z Dannym posprzątać odłamki, zbieram się na tyle, żeby odpowiedzieć.

– O co ci chodzi? Tu nie ma nikogo o imieniu Will.

– Coś ci się śniło w nocy, krzyczałaś coś o jakimś Willu. Słyszałem cię przez ścianę. To mnie obudziło.

*Kurwa.*

– Ha, dziwne. – Staram się zabrzmieć lekko i tylko na trochę zaskoczona. – Przepraszam. To chyba jakiś koszmar.

I nim padnie kolejne niewygodne pytanie, wychodzę z pomieszczenia. Zanoszę tacę do jadalni w tylko trochę drżących rękach i zaczynam rozstawiać zastawę śniadaniową na dużym, drewnianym stole. Wystawiam właśnie ostatnie słoiki z dżemami, kiedy słyszę stukot obcasów na schodach, a gdy podnoszę głowę, widzę wchodzącą do lobby Evę. Wygląda na wkurzoną.

– Cześć – witam ją.

– Cześć, co się stało z internetem? – pyta bez zbędnych wstępów. Serce mi zamiera. Kurwa. Miałam nadzieję, że to chwilowe.

– O mój Boże, bardzo przepraszam. Nadal go nie ma?

– Tak, a zasięg komórkowy jest koszmarny.

– Bardzo przepraszam, to chyba ma jakiś związek ze

śniegiem. Tak się czasem zdarza. Wydaje mi się, że w takim wypadku pękł przewód pod śniegiem albo zepsuł się wzmacniacz sygnału, albo coś w tym stylu. Nierzadko dzieje się tak po dużych opadach, a takich nam ostatnio nie brakuje.

Macham ręką w stronę okna, na którym śnieg miejscami piętrzy się aż do połowy szyby.

– Nie potrzebuję tego naukowego wyjaśnienia, chcę tylko wiedzieć, kiedy wróci.

Mówi bez skrupułów, ostrym, rozdrażnionym tonem. Jej głos należy do kogoś, kto przyzwyczał się, że jeśli każe komuś skakać, to padnie tylko pytanie o to, jak wysoko. Co nie oznacza, że mi to przeszkadza – do pewnego stopnia wolę ludzi, którzy jasno przedstawiają swoje oczekiwania, zamiast uśmiechać się do ciebie przez cały tydzień, a potem dać ci głównianą recenzję. Jednak w tym wypadku nie mogę nic poradzić i coś mi mówi, że Evie się to nie spodoba.

– Nie wiem – odpowiadam. Zakładam ręce na piersi. – Przepraszam, zwykle udaje im się go naprawić w ciągu kilku dni, ale nic więcej nie mogę na tę chwilę obiecać.

– Kurwa. – Jest rozdrażniona i nie próbuje tego ukrywać, ale wyraz jej twarzy zdradza więcej, malują się na niej nieproporcjonalne do tej sytuacji żal i zdenerwowanie.

– Przepraszam – powtarzam. – Chciałabym mieć bardziej konkretne informacje. Czy chodzi o jakiś problem z pracą?

– Pracą? – Podnosi na mnie wzrok, a potem kręci głową i śmieje się gorzko. – Boże, nie. Wszystkie moje służbowe problemy można zamknąć w jednym słowie: Topher. Nie, chodzi o sprawy domowe. To... – Wzdycha, a potem przesuwając dłoń po zasłonie swoich jedwabistych, bardzo jasnych blond włosów. – To pewnie nie zabrzmiało jak coś ważnego, ale kiedy mnie nie ma, zawsze, codziennie rano rozmawiam na Skypie z moją córką Radisson. Wiesz, to taki nasz mały rytuał.

Muszę bardzo dużo podróżować i nie zawsze mogę być na miejscu tyle, ile bym chciała. Ale codziennie witam się z nią przy śniadaniu. Strasznie gównianie się z tym czuję, że nie mogę tego dzisiaj zrobić. Udało mi się dodzwonić na telefon partnera, ale wiesz, małe dzieci nie rozumieją telefonów. Ona ma tylko półtora roku. Musi zobaczyć twarz.

– Rozumiem – odpowiadam cicho. – To musi być bardzo trudne tak się z nią rozstawać.

– Dzięki – rzuca krótko Eva. Mruga, a potem się odwraca pod pretekstem nalania sobie filiżanki wrzątku z bankietowego termosu. Pewnie wkurza się na siebie za zdradzenie, że ma jakieś słabości, ale dzięki temu trochę ją polubiłam. Najwidoczniej pod tą lodowatą fasadą skrywa się prawdziwy człowiek.

Potem sięga po herbatę w torebce, wkłada ją do kubka pełnego wrzątku i bez słowa wraca do swojego pokoju.

Kolejnymi gośćmi na dole, jakieś pół godziny później, są Topher, Rik i Carl, i moje serce trochę drży z ulgi na widok tej trójki. No, precyzyjniej rzecz ujmując – na widok Tophera. Ma zaczerwienione oczy i kaca, ale jest, a do tego sprowadza się moja odpowiedzialność za tę grupę.

– Nie ty jeden zabalowałeś – mówi Carl do Tophera, gdy wchodzi do pomieszczenia. – Inigo doczołgał się do naszego pokoju o piątej rano.

– O Chryste – wzdycha Topher. Przewraca oczami. – Tylko nie to. Eva powinna być mądrzejsza.

Eva? Na dźwięk jej imienia podskakuję, chociaż nie jestem do końca pewna dlaczego. Być może dlatego, że ta informacja dociera do mnie tuż po jej wyraźnym niepokojem o brak możliwości kontaktu z rodziną. Czy Topher ma rację, czy po prostu mać wodę?



– Hasztag dzika lwica – kwituje z uśmiechem Carl. Podchodzi do bufetu śniadaniowego, który przygotowałam, wybiera sobie ciepłego croissanta, po czym zanurza go prosto w szerokim słoju z domową złotą konfiturą morelową Danny’ego. Odgryza wielki kęs i uśmiecha się z okruszkami wokół ust.

– Hasztag? – pyta wzgardliwie Rik. Ma na sobie golf z czarnej wełny merino i wygląda jak wyjęty wprost z ekskluzywnego katalogu z męskimi dzianinami. – Dzika lwica? Czy ja się właśnie obudziłem w męskim internacie w dwa tysiące piątym? – Po czym odwraca się do mnie ze specjalnie czarującym uśmiechem, który marszczy mu skórę w kącikach ust. – Chciałbym prosić o espresso, Erin. Jeśli mogę.

Carl tak go mrozi wzrokiem, że czuję to po drugiej stronie pomieszczenia.

To mogłaby być po prostu chamska zagrywka – młodszy, bardziej wysportowany, przystojniejszy mężczyzna nabija się ze swojego mniej modnego kolegi z pracy. Ale odnoszę wrażenie, że Rik zwrócił uwagę nie tyle na dobór słów Carla, ile raczej na wybór tematu rozmowy. Zabawne. Zaczynam coraz bardziej lubić Rika. Jest coś w tym, jak odnosi się do Evy – i w sumie też Mirandy – co bardzo odróżnia go od Carla i Tophera, śmieszkujących kumpli z jednej ławki. Łatwiej go polubić.

– To co, dzisiaj narty? – pyta głos z góry klatki schodowej, a kiedy podnoszę wzrok, widzę Mirandę schodzącą po spiralnych schodach.

Jej ciemne włosy są związane w kok i wygląda na gotową do pracy. Zagaduje mnie, kiedy podaję espresso Rikowi.

– Dzień dobry, Erin, ja proszę cortado z mlekiem migdałowym. Jaka jest prognoza?

– Więcej opadów śniegu po południu – odpowiadam. –

Niektórzy mówią nawet, że należy się spodziewać wzrostu zagrożenia lawinowego, co oznacza więcej zamkniętych stoków. Jeśli chcecie pojeździć na nartach, to polecam dziś rano.

– Evie się to nie spodoba – zauważa Carl. – Ten poranek ma wypełniony prezentacjami.

– Eva będzie musiała je przesunąć – rzuca gorzko Topher. Bierze do ust dwie białe tabletki i popija łykiem ze swojej butelki ze stali nierdzewnej, po czym masuje sobie nasadę nosa. – Nie po to jechałem taki kawał, żeby cały tydzień siedzieć teraz w sali, słuchając, jak zanudza nas oczekiwaniami inwestorów. Może przesunąć te swoje karteluszkę na popołudnie.

– Jestem pewna, że nie będzie miała nic przeciwko zmianie harmonogramu – zauważa łagodnie Miranda. – Wszystkim się przyda trochę relaksu. Sama nie mogę się doczekać, aż przypnę narty.

Wygląda na narciarkę. Szczupła, ale silna. Topher sprawia wrażenie takiego, który preferuje deskę, i nie dziwię się, kiedy pyta:

– Jak tu jest poza stokiem, Irene? Jakież szanse na dobry *powder*?

Chwilę mi to zajmuje, nim się spostrzegam, że mówi do mnie, a w tym samym momencie Miranda posykuje w stronę Tophera:

– Ona ma na imię *Erin*.

Uśmiecham się, próbując przekazać, że mi to nie przeszkadza. Irene, Eileen, Emma – to wszystko to samo. Człowiek z obsługi nigdy nie jest prawdziwym człowiekiem. Topher prawdopodobnie z taką samą dozą uprzejmego braku zainteresowania potraktowałby robota z wysokiej jakości sztuczną inteligencją.

– Teraz musi być świetny śnieg – zauważa Rik. – Mogła byś

nam pokazać jakieś trasy na dziko, Erin?

Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy, i próbuję wymyślić, co odpowiedzieć, ale ratuje mnie Danny, który w tym momencie wychodzi z wielkim półmiskiem bekonowych bułeczek.

– Erin jest cykorem, nie jeździ na dziko – oznajmia z uśmiechem. – Ale ja mogę wam pokazać parę fajnych tras, jeśli zechcecie. Tylko nie dzisiaj.

– Dlaczego nie dzisiaj? – pyta Topher, marszcząc brwi.

– Jest za duże zagrożenie lawinowe – odpowiadam, próbując odzyskać spokój. – Za to pod koniec tygodnia powinno się poprawić, jeśli będą mogli przeprowadzić kilka kontrolowanych osunięć.

Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, kiedy się poprawi, ale nikt nie lubi rozmawiać z pesymistą, a *kiedyś* będą w końcu musieli wyjść i pozbyć się tego śniegu.

– No, to jest jakiś plan – rzuca oschle Topher. Sięga po bekonową bułeczkę i odgryza kawałek.

– Jaki plan?

Ten głos dobiega od strony salonu, obracamy się wszyscy i widzimy stojącą tam Evę. Niesie ogromny stos teczek oraz laptop, wygląda na gotową do działania.

– Erin mówi, że jedyna szansa na narty dzisiaj jest rano – wyjaśnia szybko Rik. – Więc pomyśleliśmy, że moglibyśmy szybko załatwić teraz prezentację finansową, a resztę przenieść na popołudnie. – Mówi prędko i odnosi wrażenie, że próbuje uprzedzić Tophera, nim ten powie to samo, ale mniej dyplomatycznie.

Eva staje w drzwiach. Wygląda, jakby próbowała zdecydować, jakie ma w tej kwestii zdanie, czy opłaca jej się robić aferę. Potem zerka na zegarek i wzrusza ramionami.

– Dobra. Jest prawie wpół do dziewiątej. To zaczynamy prezentację? Nie powinna zająć więcej niż pół godziny, więc jeśli wyjdziemy zaraz po niej, zdążymy na pierwszą kolejkę.

– Jeśli o mnie chodzi, to im szybciej, tym lepiej – oznajmia Topher. – Możemy zabrać śniadanie do salonu. Gdzie jest reszta, do cholery?

– Jestem tutaj – rozlega się głos od drzwi i widzimy wchodzącą do pomieszczenia Tiger. – Przepraszam, czekaliście na mnie? – Wygląda blado i jest wymięta, jej krótkie włosy farbowane na ombrę sterczą na wszystkie strony, jakby rano ich jeszcze nie uczesała.

– Tak – odpowiada Topher, a w tym samym czasie Miranda mówi:

– Nie, nie tylko ciebie brakuje.

– Gotowa na mały freestyle? – pyta Topher. Słyszę jakiś hałas od strony kuchni, gdzie Danny tłumi szydercze parsknięcie, a ja zajmuję się ekspresem do kawy, żeby ukryć własną minę.

– Przepraszam? – mówi Tiger. Przeciera oczy, jakby poranne światło ją raziło. – Nie zrozumiałam.

– Jesteś gotowa pojechać na desce?

– Och, pewnie.

– Wyglądasz gorzej od Tophera – zauważa bez ogródek Eva, a Tiger się śmieje i niepewnie spogląda na niego.

– Nie spałam dobrze. Dokucza mi straszna bezsenność.

– To przez tę wysokość – wyjaśnia Eva. – Robi takie rzeczy z człowiekiem. Ja zawsze przez kilka pierwszych nocy biorę tabletki nasenne.

Nie słyszę odpowiedzi Tiger, bo Topher odciąga mnie na bok.

– Wszystkie wypożyczone narty są tutaj?

– Wszystkie czekają w szatni – odpowiadam. Wypożyczalnia jest na dole, w wiosce, więc to my odbieramy sprzęt dla narciarzy. Chociaż większość ludzi przywiozła swoje. Tylko Liz, Ani i Carl wypożyczyli sprzęt. – Zanim wyjdziecie, pokażę wam najlepszą drogę powrotną do chatki. To naprawdę świetna trasa, ale trochę nieintuicyjna, jak się patrzy na mapę. Trzeba

trochę zboczyć pomiędzy dwiema trasami.

– Czy to bezpieczne? – pyta zaniepokojony Carl. – Przed chwilą mówiłaś, że nie zaleca się wychodzenia poza stoki.

– Och, jasne – spieszę z zapewnieniami. – To całkowicie bezpieczna, dobrze wydeptana ścieżka. Nie jest tak bardzo na uboczu. Ale nie została zaznaczona jako trasa do wyciągu, więc jeśli się nie wie, że trzeba przejechać między drzewami, zjeżdża się z Blanche-Neige do St. Antoine le Lac, a stamtąd trzeba wracać kolejką.

– Czy to bezpieczne dla początkujących? – pyta Carl, wciąż zaniepokojony.

– Ten skrót? Oczywiście. Odpowiada zielonemu szlakowi. Jeździłeś już kiedyś na nartach?

– Tak, ale lata temu. – Zerka przez ramię. Topher i inni poszli do salonu, żeby zacząć spotkanie, zostaliśmy sami. – Tak między nami – dodaje gorzko, ścisząc głos. – Wolałbym dać sobie wydlubać oczy parasolkami z drinka niż iść na narty. Ale tak to jest, jak człowiek pracuje dla firmy w stylu Snoopa. Topher ma świra na punkcie deski, Eva jest praktycznie profesjonalną narciarką, a czego oni sobie zażyczą, tak ma być. Reszta musi to przełknąć.

Kiwam głową, jak gdyby to był *small talk*, ale szczerze mówiąc, jego pogląd na wewnętrzne działanie Snoopa jest dziwnie fascynujący. Może i jest tam pięciu właścicieli akcji, ale wygląda na to, że na co dzień Topher i Eva sprawują dość autokratyczne rządy.

Tym bardziej interesujące, że tym razem równowaga władzy zostanie im wytrącona. Jedno z nich *nie* zdoła postawić na swoim w związku z wykupem. Pytanie tylko kto?

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 0

– Okej – mówi Rik. Zamyka slajd prezentacji w Power Poincie i włącza światło. – To tyle. Myślę, że wszyscy mogą teraz iść po swój sprzęt narciarski.

Pocieram oczy, bo czuję, jak nagła jasność wypala mi czaszkę na wylot. Znowu boli mnie głowa. Wstaję i podciągam sobie rajstopy. Wokół mnie szeleszczą worki sako i hałasują sprężyny kanapy, kiedy wszyscy inni wstają.

– Jeszcze chwileczkę – wtrąca Topher. Mówi łagodnym tonem. – Czy wszyscy akcjonariusze mogliby na sekundę zostać?

Poczułam, że coś mi ściska żołądek. Rozlega się potakujący szmer. Ani, Inigo, Carl, Miranda oraz Tiger wstają i zaczynają wychodzić.

W ciągu kilku sekund zostajemy tylko Topher, Eva, Rik, Elliot... i ja.

O Boże. Czuję, że oddech mi przyspiesza. O Boże, o Boże, o Boże... zapytają mnie teraz, a ja będę musiała... będę musiała...

– Słuchajcie – odzywa się Eva. – Wydaje mi się, że suche dane pokazane przez Rika dotarły do nas wszystkich. To bardzo poważna sytuacja. Nasze koszty ogólne...

– Nie chcę znowu w to wchodzić – przerywa jej lekceważąco Topher, jak gdyby tabele zysków i strat Rika nie prowadziły do żadnych istotnych wniosków. – Wszyscy potrafimy odczytać tabelkę i Rik bardzo zręcznie przedstawił swoje argumenty. Myślę, że zanim wyjdziemy, powinniśmy przeprowadzić orientacyjne głosowanie, żebyśmy wiedzieli, na czym stoimy.

Mój oddech przyspiesza. Ból głowy za oczami nasilił się tak, że aż mnie zamroczyło.

– Ale Topher – mówi Eva. – Doskonale wiesz, że nie mamy jeszcze wszystkich danych, taki jest cel tego tygodnia, żebyśmy rozważyli wszystkie...

– I właśnie dlatego powiedziałem „orientacyjne” – ucina Topher, do jego tonu zakrada się cień agresji. – To nie jest wiążące, Eva. Chodzi tylko o głosowanie, żebyśmy sprawdzili, na czym stoimy. Możliwe, że jesteśmy już blisko porozumienia.

Eva milczy. Zerka na mnie i wiem, co sobie myśli, i wiem też, że nie potrafi wpaść na pomysł, jak odwieść od tego Tophera. Kiedy sobie coś postanowi, jest uparty jak osioł. Naciska, naciska i naciska...

Elliot oczywiście też niczego nie mówi, ale wszyscy wiemy, co oznacza jego milczenie – poparcie dla Tophera. Zawsze tak było. Elliot nie przejmuje się niczym poza kodem. We

wszystkich innych kwestiach zdaje się na Tophera.

– Rik? – pyta Eva. Mówi szorstkim tonem.

– Czemu nie? – rzuca Rik. Jego uległość mnie zaskakuje.

– No więc – odzywa się Topher nieco pojednawczym tonem. – Tak jak mówiłem, to *niewiążące* głosowanie, niech podniosą ręce wszyscy, którzy są za wykupem.

– Ja – oświadcza Rik.

– I ja – dodaje Eva. Zapada długa cisza i czuję napięcie ich oczekiwania. Kiedy Topher znów się odzywa, w jego głosie pobrzmiewa satysfakcja zadowolonego kota, który spija śmietankę.

– Świetnie, to kto jest przeciw?

– Ja. – Nijaki ton Elliota sprawia, że to słowo wybrzmiewa niczym kropka na końcu zdania.

– I oczywiście ja – mówi Topher. Następuje kolejna przerwa, a potem znów się odzywa, jakby próbując zabrzmieć bardziej swobodnie niż w rzeczywistości: – I... yyy, jak głosujesz, Liz?

Przełykam ślinę. Coś twardego ugrzęzło mi w gardle i zdaję sobie sprawę, że nie odzywałam się jeszcze tego ranka, odkąd wstałam. Nikt ze mną nie rozmawiał przy śniadaniu. Nikt nie spytał o zdanie podczas spotkania. Nie wiem, czy głos mnie nie zawiedzie, kiedy się odezwę.

– Ja... – Głos mi się załamuje, jest ochryply od nieużywania. Znowu przełykam ślinę, na próżno próbując usunąć tę przeszkodę, która zdaje się mnie dławić. – Nie wiem.

– No dawaj, Liz – zachęca Rik i chociaż próbuje brzmieć radośnie oraz wspierająco, w jego głosie też pobrzmiewa zniecierpliwienie. – Chyba wiesz przecież, jak się z tym czujesz. Chcesz dwanaście milionów, tak albo nie? To nie jest trudne pytanie.

– *Albo* – wtrąca Topher tak ostrym tonem, że aż się wzdrygam. – Czy chcesz mieć akcje, które potencjalnie będą



warte dużo więcej, jeśli zachowamy kontrolę i wejdziemy na giełdę?

– Jeśli zachowamy kontrolę i utrzymamy *wyptalność* – poprawia Rik.

– Do jasnej cholery, Rik – warczy Topher, a ja czuję, że w mojej klatce piersiowej zaraz wybuchnie panika, jakby powolna, lecz nieunikniona reakcja chemiczna. Nim znajduje ujście, Eva wstaje, wyciąga ręce i wchodzi pomiędzy nich.

– Chłopaki, chłopaki, przestańcie. Mamy mnóstwo czasu na to, żeby przedyskutować naszą ofertę publiczną, teraz nie pora na to. Liz, czy mam rozumieć, że w tej chwili nie możesz nam dać żadnej wskazówki?

Nie daję rady wykrztusić słowa, udaje mi się pokręcić głową w sposób, który może oznaczać zarówno tak, jak i nie. Eva się uśmiecha, podchodzi do mnie i bierze mnie za rękę. Ścisną ją pokrzepiająco, a zapach jej perfum jest jak narkotyk, ciężko przytłacza małe pomieszczenie.

– Nic się nie stało. Okej, w związku z tym proponuję, żebyśmy wszyscy poszli do naszych pokojów i się przygotowali, a o kwestiach poruszonych przez Rika porozmawiamy bardziej szczegółowo po lunchu. Zgoda?

Wstaję, nogi mi drżą i już mam za nimi wyjść, kiedy Eva mnie zatrzymuje.

– Liz, zaczekaj chwilę. Wszystko w porządku?

Przez chwilę nie jestem w stanie się odezwać, a potem się przełamuję.

– Ja... Przepraszam cię, Evo, wiem, że rozmawialiśmy o tym wczoraj wieczorem i przyrzekam, że ja... ja to zrobię... tylko to...

– Oczywiście – odpowiada mi Eva i kładzie dłoń na moim ramieniu. Myślę, że to ma być pocieszające, ale jednocześnie nie pozwala mi się wycofać w stronę wyjścia. – Doskonale to rozumiem.

– Tylko to... – Zerkam za drzwi, by sprawdzić, czy Topher nie może tego usłyszeć. Ale dzięki Bogu, już go nie ma. – Tylko to... To trudne, tak wyjść i powiedzieć to na głos, wiesz?

– Rozumiem. To kwestia lojalności. I rozumiem cię, on będzie to postrzegał jako zdradę, niezależnie od tego, jak rozsądna będzie twoja decyzja.

– Ja... – Przełykam ślinę. Prawda jest taka, że się boję, ale nie chcę tego powiedzieć Evie. To brzmi absurdalnie dramatycznie. – Ja po prostu...

Eva przygląda mi się z troską i wiem dlaczego. Zastanawia się, czy dotrzymam naszej umowy. Ale ja już podjęłam decyzję. Szukam tego fatalistycznego spokoju, który spłynął na mnie wczorajszego wieczoru. Próbuję sobie przypomnieć, jakie to było uczucie – ta pewność, to spokojne rozwiązanie. Moje serce trochę zwalnia. Kiedy coś postanowię, potrafię być równie uparta co Topher.

– Nie musisz się martwić – mówię i mój głos jest silniejszy. – Nie zawiodę cię. Po prostu... muszę chwycić byka za rogi.

Twarz Ewy się rozpuściła, a ona klepie mnie przyjaźnie po ramieniu i lekko przytula, żeby pokazać, że jesteśmy w tym razem.

– Słuchaj, on będzie wkurwiony – mówi. – Nie mogę udawać, że tak nie będzie. I też nie twierdzę, że sprawia mi to przyjemność. Ale przejdzie mu. W końcu zrozumie.

Właśnie chodzi o to, że nie. Zdaję sobie z tego sprawę w momencie, kiedy wychodzimy z tego pokoju, żeby przebrać się w stroje narciarskie i zabrać swój sprzęt. Na pewno nie zrozumie. Nie da się postrzegać tego, co zrobię, inaczej niż jako wielką zdradę. Ale nie mam wyboru. To właśnie muszę sobie powtarzać. Nie mam wyboru. Muszę to doprowadzić do końca.

## **ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

– Dobra! – wołam do małej grupki stojącej przed chatką i majstrującej przy wiązaniach. – Pozwólcie, że wyjaśnię wam nieco, jak wygląda układ okolicy. Tamten szlak przed nami, skręcający w lewo, to ten, którym przyszlście z kolejki linowej. Możecie wrócić swoimi śladami na wzgórze, a to zaprowadzi was z powrotem do kolejki i długiego, niebieskiego zjazdu do St. Antoine.

– To jest Blanche-Neige, tak? – wtrąca Topher, a ja przytakuję.

– Właśnie tak. To naprawdę ładny stok. *Ale* powrót tam wymaga długiego wchodzenia pod górę, więc jeśli chcecie stąd zjechać, jedyną trasą jest ta ścieżka pomiędzy drzewami. – Wskazuję małą ścieżynę wijącą się obok domku i znikającą między sosnami za nami. – Ona prowadzi do zielonego szlaku, Atchoum, a stamtąd do gondoli w Reine.

– Gondoli? – pyta Inigo, a ja przypominam sobie, że Amerykanie używają innych określeń.

– Oj, przepraszam, jak wy to nazywacie? Do kolejki wyciągu z wagonikami. Czy są tu jacyś zupełni początkujący?

– J-ja! – woła nerwowo Liz. – Ja tylko raz jeździłam na nartach. Po sztucznym stoku. Nie było za fajnie.

– Okej, dobra, nie szkodzi, ta ścieżka jest trochę stroma przez kilka pierwszych metrów, ale potem się wyrównuje i naprawdę przez całą drogę trzeba tylko kierować narty czubkami do przodu i jechać. Ten pierwszy odcinek możesz jechać pługiem, ale nie polecam, bo potrzebujesz trochę tej prędkości na dalszą płaską część. Proponuję, żeby doświadczeni narciarze pojechali jako pierwsi, potem ci na snowboardzie, bo będziecie mieli trochę problemu na płaskim odcinku, a ja zamknę tyły razem ze wszystkimi, którzy czują się mniej pewnie. Po płaskim odcinku szlak łączy się z zielonym i tam jest bardzo łagodne zejście do kolejki.

– Weź nas na hol – rzuca Topher do Evy, szczerząc zęby, a ona przewraca oczami i wysuwa za siebie kijek. Wskazuję im odpowiedni kierunek i patrzę, jak szusują w dół wąską ścieżyną między drzewami. Kiedy docierają do płaskiego odcinka, Eva sunie pięknie na nartach, ciągnąc za sobą Tophera, i obserwuję, jak jedzie, jej purpurowy kombinezon narciarski tylko migocze pomiędzy drzewami. Ktokolwiek opisał jej umiejętności jako praktycznie olimpijskie, miał rację, jest bardzo dobrą narciarką. Lepszą ode mnie, a ja nie jestem taka zła. Topher, jeśli oceniać po tym, jak poradził sobie z krótkim stromym spadkiem na początku, nie szczczędząc deski, ewidentnie jest w swoim żywiole.

Kolejny jest Rik, wyraźnie doświadczony narciarz, nawet jeśli brakuje mu talentu Evy. Potem Miranda, która jedzie pługiem pierwszy stromy odcinek wbrew mojej radzie, zatrzymuje się na wypłaszczeniu i musi kawałek przejść; wygląda na zawstydzoną. Przypuszczam, że jest raczej przeciętna niż świetna, pewnie zna podstawy, ale zachowuje się trochę zbyt ostrożnie, by zasłużyć na miano naprawdę dobrej. Dalej jedzie Inigo w trawiasto zielonej kurtce, w której

jakimś cudem jego lazururowe oczy wyglądają na jeszcze bardziej niebieskie. Pomyka w dół z elegancką ekonomią ruchów, mija Mirandę i uprzejmie obejmuje ją w pasie, żeby pomóc jej odzyskać rozpęd. Z pewnością jeździ na nartach od dziecka, nie sposób nie zauważyć tego wyluzowanego wdzięku. Potem Tiger, która okazuje się bardzo dobra na desce. Nie ma tej przewagi, z którą zaczął Topher dzięki holowaniu przez Evę, ale wygląda, jakby ta jazda przychodziła jej z łatwością.

Carl rusza z ponurą determinacją wypisaną na zarumienionej twarzy, która wyraża „pierdolę, jak już spadać, to z wysokiego konia”. Niemal natychmiast udaje mu się utknąć jedną nartą w puszystej zaspie i przewraca się z boleśnie brzmiącym chrupnięciem, ale dźwiga się bez narzekania, ustawia się znów do jazdy i tym razem udaje mu się bez wypadków. Następna jest Ani. Ma na sobie błękitną kurtkę i białe spodnie narciarskie, które wyglądają na świeżo kupione, a jej żółte włosy wystają dookoła kaptura. Wygląda trochę jak urocze dziecko, a trochę jak prezenterka telewizji dziecięcej. Uśmiecha się do mnie cierpko.

– Nie martw się – pocieszam ją zachęcająco. – Na tym kawałku dosłownie nic nie może pójść źle, a jeśli się przewrócisz, to wykorzystaj zaspę śniegu, są przynajmniej miękkie.

Wyszczerza do mnie zęby i odpycha się kijkami, piszczy zaniepokojona, kiedy ścieżka opada, i niemal leci do tyłu zaskoczona, wymachując kijkami. Jakoś jednak odzyskuje równowagę i ze śmiechem wjeżdża między drzewa, gdzie poza zasięgiem mojego wzroku czeka reszta grupy.

W końcu zostaliśmy już tylko ja i Liz. Nie ma w niej ani odrobiny radosnego entuzjazmu Ani, wygląda na zestresowaną i za grubo ubraną – na pewno włożyła zbyt wiele warstw na taki słoneczny dzień i już widać, że się poci. Irytuję się na siebie, że nie sprawdziłam sprzętu niedoświadczonych

narciarzy, ale pewnie dla niej lepiej mieć na sobie za dużo niż za mało, a tak czy inaczej już za późno, by jej mówić, żeby coś zdjęła. Mam właśnie zagrzewać ją do boju, kiedy coś zauważam.

– Chwileczkę, a gdzie jest Elliot?

– Och. – Liz wygląda na zawstydzoną. – Topher ci nie mówił? On za bardzo nie... uczestniczy.

Jestem jakoś zaskoczona. Wyrobiłam sobie pogląd, że Snoop należy do tych firm, w których uczestnictwo w wydarzeniach nie jest tak do końca opcjonalne. Z pewnością takie wrażenie wywarł na mnie Carl. Liz musi rozumieć moje zdziwienie.

– Wiem... On nie jest jedyną osobą, która wolałaby zostać w pokoju, ale z jakiegoś powodu jedyną, której uchodzi to na sucho. Takie są chyba korzyści z przyjaźni z Topherem.

– Od dawna się znają?

– Chodzili razem do szkoły z internatem – odpowiada Liz. Zauważyłam, że rozmowa jej pomaga. Nie jest już w stanie napiętego wyczekiwania. – Także z Rikiem.

– Chryste, to jest dopiero kolesiostwo – mówię, zamiast ugryźć się w język, a potem się rumienię. Na zewnątrz, w spodniach narciarskich, trudniej mi pamiętać, że jestem Erin, gospodynią w domku, a nie tylko narciarką Erin. Ale Liz nie wygląda na urażoną. Uśmiecha się do mnie lekko.

– No nie? – odpowiada. Czerwieni się przy tym, jakby zrobiła coś niewymownie bezczelnego.

Zachęcona jej lekkim rozluźnieniem, postanawiam, że pora ruszać.

– Dobrze, lepiej ich dokończymy. Jesteś gotowa? Pojadę przodem, więc nie martw się, cały czas będziesz pod moją opieką, a gdybyś straciła równowagę, to po prostu polecisz delikatnie na mnie.

– Ja nadal... – Minę znowu ma spiętą, patrzy na wąską

ścieżkę właściwie z przerażeniem. – To po prostu wygląda tak *stromo*.

Boże, rzeczywiście nie jest urodzoną narciarką. Podejmuję decyzję.

– Wiesz co, daj mi swoje kijki.

Podaje mi je posłusznie, jak dziecko, a ja wsuwam je pod pachy, za to swoje wyciągam za siebie.

– A teraz złap się tych, dobra? Trzymasz? Obiema rękami.

Kiwa głową, a ja nas odpycham, bardzo delikatnie, używając mięśni ud, by spowolnić zjazd.

Z ciężarem Liz za sobą napierającym na moje kijki ten prosty zjazd robi się dużo trudniejszy niż zwykle, ale udaje nam się dojechać do płaskiego odcinka i za przykładem Ewy jedziemy razem, ja ciągnę Liz i słucham jej sapiącego oddechu.

W końcu wyjeżdżamy spomiędzy drzew i zjeżdżamy zboczem do gondoli, gdzie reszta już na nas czeka, stojąc tuż przed kołowrotem, pod wymalowanym na drewnie napisem „LA REINE TC”.

– Ta kolejka nie stwarza problemów – szepczę pocieszająco do Liz. – Nie trzeba się tu martwić o wjeżdżanie ani zjeżdżanie na nartach, więc możesz je zdjąć i pójść pieszo.

– Och... Uff. – Twarz jej się trochę wypogadza, a potem dziewczyna spogląda na szczyt, gdzie zbierają się chmury. – Jak wygląda zjazd?

– Są dwie stacje. Jeśli wysiądziesz na pierwszej, jest prosto. Jesteś w połowie góry i możesz albo wybrać zielony szlak, Atchoum, który sprowadzi cię do podnóża kolejki, albo niebieski, który ciągnie się w dół aż do St. Antoine le Lac. Jeśli zostaniesz w kolejce, wjedziesz prosto na szczyt góry. Stamtąd w słoneczny dzień są wspaniałe widoki, ale... – Macham dłonią na chmury, które przesłaniają już wszystko. – W każdym razie, z górnej stacji masz dwa szlaki, La Sorcière,

czarny, prowadzi w lewo wzdłuż trasy kolejki, albo górną część Blanche- Neige. Też jest niebieski, ale w kiepskich warunkach może się wydawać bardziej jak czerwony. Jeśli nie jesteś bardzo doświadczona, zalecałabym ograniczenie się do pierwszej stacji, w każdym razie dopóki nie poczujesz się pewnie na nartach. Zawsze możesz podjechać na drugą stację po lunchu.

– Okej – odpowiada Liz i spogląda w górę, ale z daleka czuję jej zwątpienie. – Będziesz z nami cały dzień?

– Tylko na kilka zjazdów. Pokażę wam drogę powrotną do domku, a potem obawiam się, że muszę wrócić i pomóc Danny’emu z lunchem.

Liz nic na to nie odpowiada, ale śmiertelnie ponuro ściska swoje kijki narciarskie.

– Będzie dobrze – zapewniam ją z większą gorliwością, niż tak naprawdę czuję. – Nie jesteś jedyną początkującą. Ani nie jest za dobra, Carl też. I nawet Miranda nie wygląda zbyt pewnie.

Liz nic nie mówi. Wypina się tylko z zapięć i zdejmuje narty. Ale nie ma wesołej miny.



**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snooserwujący: 0

Jest prawie południe. Cały ranek jeździliśmy na nartach. Wiatr się wzmaga. Erin dawno wróciła do domku, zostawiając mnie samą z Topherem, Evą i resztą miłośników adrenaliny. Dwa razy zaliczyliśmy zielony szlak, Atchoum, do podnóża kolejki, oraz długi niebieski do St. Antoine i z powrotem do kolejki. Nogi trzęsą mi się jak galareta, bez przerwy jestem w napięciu. Twarz mnie szczypie od zimna, a pachy mam wilgotne, pot przecieka przez kolejne warstwy odzieży. Oddech mi przyspieszył, jego mgła zawilgociła mi szalik, a mnie jest jednocześnie strasznie zimno i za gorąco.

Zebraliśmy się, dysząc, na dole wyciągu Reine i słyszę ulgę w głosie Ani, kiedy szepcze:

– Jeeej, lunch!

I wtedy Topher mówi, tak jak się *spodziewałam*:

– Dawajcie, jeszcze raz, zanim zaczniemy popołudnie. Wjedźmy na szczyt La Dame. Drugi przystanek na kolejce gondolowej. To kto ze mną, tchórze?

Serce zaczyna mi walić w piersi.

– Nie lepiej byłoby przerwać, zanim wszyscy będziemy wykończeni? – pyta Miranda. Widzę, że nie chce tego robić, ale nie zamierza też psuć zabawy. – To znaczy, jest dopiero pierwszy dzień, a my mamy jeszcze cały tydzień, żeby pojeździć.

– To prawda – dodaje Ani. Podnosi swoje gogle narciarskie. Pod nimi jej twarz jest czerwona i opuchnięta od zimna oraz wysiłku. Wygląda na zmęczoną. – Poza tym to chyba za duży zjazd jak dla mnie?

– Kurde, to jest niebieski szlak – rzuca lekceważąco Topher.  
– No chodźcie! Będzie fajnie. Tam jest czarny szlak, który zaczyna się na szczycie, La Sorcière, i ten niebieski, górna część tego, którym jechaliśmy wcześniej, Blanche-Neige. Możemy się podzielić na dwie grupy i wybierzecie, który wam bardziej pasuje. Niebieski dla dzieciaków, czarny dla dużych dziewczynek i chłopców.

– Topher – mówi Eva, grożąc mu palcem, ale jej irytacja jest udawana.

Wygląda, jakby była w swoim żywiole, wysoka i szczupła na swoich niemożliwie długich nartach. Ma na sobie jaskrawoczerwoną kurtkę narciarską – z purpurowego jedwabiu, który wygląda jak plama krwi na tle białego śniegu. Na jej widok czuję dziwne ukłucie, bo pamiętam, jak kupowałam jej tę kurtkę, jeszcze kiedy pracowałam jako jej asystentka. Zostałam wysłana do Harrodsa z jej kartą kredytową oraz instrukcją, jak odebrać zamówienie. Pamiętam to tak wyraźnie, jakby to było wczoraj.

Nagle pomyślałam o bajce, której nazwę nosi niebieski szlak – Blanche-Neige, czyli Królowna Śnieżka. Skóra biała jak śnieg, usta czerwone jak krew, a włosy czarne jak heban. Włosy się nie zgadzają, bo te Evy też są niemal białe jak śnieg. Ale tego dnia schowała je pod czarną czapkę, przez co to

porównanie wydaje się upiornie właściwe.

– No, dawajcie... – namawia Topher. – I tak nie możemy stąd wrócić do domku, jest na górze, więc jeśli nie chcecie przez godzinę dreptać bokiem, to równie dobrze możemy pojechać na środkową stację. Kawałeczek dalej nie robi takiej różnicy... prawda? – Podnosi gogle i kieruje cały swój urok w stronę Ani.  
– Ani? Spełnisz ostatnie życzenie staruszka?

Ani wzdycha cicho. A potem ustępuje mu, niczym mokry śnieg pod naciskiem.

– Och... Okej. Podobno żyje się tylko raz. Dopilnujesz, żebym zjechała tam w jednym kawałku, Inigo?

On uśmiecha się i kiwa głową.

– Miranda? – pyta Topher, szczerząc się do niej z całą swoją perswazyjną mocą. Kiedy ją uruchamia, nietrudno zrozumieć, jak zaszedł tam, gdzie się teraz znajduje. Jest w nim coś takiego, czemu bardzo trudno odmówić. – Miraaaaaanda...?

– Dobra – odpowiada dość opryskliwie. – Skoro i tak musimy jechać w górę, to przypuszczam, że nie robi to wielkiej różnicy.

A potem Topher zwraca się do mnie.

– Liz?

No i proszę. Dlaczego najwyraźniej zawsze muszę być tą osobą – tą, od której zależy zabawa reszty grupy, która musi podjąć decyzję? Czuję, jak kurczę się pod jego wzrokiem – ale nie mam wyboru.

– Dobra – odpowiadam, ale nawet dla mnie mój ton brzmi na wymuszony i spięty.

– Okej! – woła dziarsko Eva. – To przegrupujemy się na szczycie, a gdyby ktoś się zgubił, spotykamy się przy tym skrócie prowadzącym do naszego domku. Pamiętajcie wszyscy, gdzie ta ścieżka się rozwidła? Erin pokazała nam tę wysoką sosnę z fluorescencyjnym oznaczeniem.

Następuje kiwanie głowami i słychać pomruki zgody.

A potem to się dzieje. Ludzie odpinają wiązania i ruszają w sztywnych, ciężkich butach narciarskich, ściskając kijki i narty, przechodzą przez barierkę do gondoli. Nie ma tam tłumów. Pogoda jest na to zbyt kiepska. Wszyscy rozsądni Francuzi pochowali się w kawiarniach, racząc się vin chaud i raclette, a my jesteśmy jedynymi ludźmi zmierzającymi na szczyt góry, przynajmniej tą kolejką. Czuję, jak moje serce bije tym nierównym rytmem, od którego robi mi się niedobrze, kiedy zbliża się wagonik, a ja ruszam do przodu i wyprzedzam Ani z wyjątkową asertywnością, zupełnie nie w moim stylu. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby zostać w tyle.

Wagonik sunie w dół przez ostatni odcinek trasy, dramatycznie zwalnia, gdy wjeżdża pod osłonę przystanku i nasza mała grupka podchodzi do niego i zaczyna wsiadać, a potem drzwi z pleksy się zasuwiają. W każdym wagoniku są cztery miejsca i obserwuję, odliczając pod nosem, jak wsiadają Topher, Rik i Miranda – to moja szansa. Wagonik znajduje się już prawie przy barierce, gdzie drzwi zaczną się zamykać, ale ruszam, przeciskam się przez nie, moje buty stukają na gumowych płytkach. Niechlujnie wrzucam swoje narty do przegródki na zewnątrz, ich zapięcia płaczą się z tymi przy desce Tophera – drzwi zaczynają się przesuwac.

– Chodź, Liz – woła zachęcająco Miranda, a ja przeciskam się przez szczelinę i siadam, dysząc, podczas gdy drzwi się zamykają i wagonik rusza w stronę góry. Tak, udało mi się. Pierwsza przeszkoda za mną.

Wciskam się koło Mirandy, moja obszerna kurtka wpycha się w wąskie miejsce, a ona się śmieje.

– Liz, ile ty masz na sobie warstw? Wyglądasz jak ludzik Michelin.

– Nie czepiaj się, Miranda. Możliwe, że Liz będzie się śmiała ostatnia, kiedy wjedziemy na szczyt.

Wskazuje głową okno i zauważam, że ma rację. Kolejka pnie

się w górę i dosłownie czuć, że robi się zimniej. W środku wagonika para zaczyna się skraplać, a potem zamarzać, układając się w piękne mroźne kwiaty, podczas gdy wagonik się pnie, pnie, mija środkową stację, gdzie drzwi otwierają się zachęcająco, ale nikt się nie porusza.

Potem znowu wyjeżdża i rusza w górę, ponad drzewa i wyżej, wyżej, prosto w chmury. Czuję, jak ten mały wagonik zмага się z wiatrem, czuję, jak buja się na linie, i nagle dopada mnie strach przed tym, co nas czeka na szczycie. O mój Boże, czy *naprawdę* zamierzam to zrobić? Czy *naprawdę* zdołam? Nagle nie jestem już taka pewna, czy dam radę. Mam ściśnięty żołądek, robi mi się niedobrze z nerwów. Nigdy w życiu tak się nie bałam tego, co miałam zrobić. Ale muszę to dokończyć. *Muszę*.

I wtedy drzwi się otwierają, wysiadamy na tak przejmujące zimno, że natychmiast przenika wszystkie warstwy ubrania, nawet na relatywnie osłoniętym przystanku kolejki.

Przypinamy sobie narty i wyjeżdżamy – w białą dzikość.

Pada śnieg – mocno. Wiatr jest silny i napastliwy, zawiewa nam śnieg w oczy i nosy, wszyscy zaczynają opuszczać swoje gogle i podciągać szaliki. Do tego szczyt spowiła chmura i widoczność nie wynosi kilka kilo metrów, jak obiecywała ulotka, tylko kilka metrów.

Wiem, że tu powinny się zaczynać dwa szlaki. Na lewo jest czarny, którym chce pojechać Topher, La Sorcière. Po prawej jest górna część niebieskiego, Blanche-Neige. Spotykają się przy drugiej stacji kolejki gondolowej, ale Blanche-Neige jest niespieszny, wije się wokół góry łagodnymi pętlami. Tymczasem La Sorcière opada bardziej bezpośrednią trasą, prowadzi w dół zygzakami pod trasą kolejki. Powiedzieć, że jest stromy, to za mało. Minęliśmy go parę minut temu gondolą i wyglądał jak pionowa ściana lodu, niczym zbocze wzgórza, nawet z odległości kilkunastu metrów z góry.

Odpycham się, chwiejąc się i wycierając rękawicami lód z gogli. Przede mną stoi zasypywany śniegiem znak, który kiedyś może miał dwie strzałki, ale teraz jest tylko niewyraźną białą grudką. Po lewej znajduje się rodzaj tenisowej siatki, odcinającej dostęp. Nim zdołam ją zauważyć, sunę już prosto na nią.

– Pomocy! – krzyczę. Nikt nic nie może zrobić, i wpadam w sieć, czuję, jak sprężyste łapie mnie w pól. Przez chwilę się szarpie, kręcę wiatraki kijkami, aż w końcu niezdarnie upadam na ziemię przy wtórze stukania nart.

Rik podjeżdża do mnie ze śmiechem i mi pomaga.

– Miałaś szczęście – krzyczy mi do ucha przez wyjący wiatr, wskazując na przysypywany śniegiem znak *piste fermée* przypięty do siatki. – To jest La Sorcière. Gdyby nie zamknęli stoku, przejechałabyś swój pierwszy czarny szlak. Albo gorzej.

Ma rację. Za siatką jest stromy zjazd, opadający niemal pionowo w dół. Zakręca wokół góry, a za tym zakrętem jest... nic nie ma. Gdybym wyjechała tam z dużą prędkością, nikt nie mógłby mi pomóc. Możliwość upadku sprawia, że żołądek mi się ściska na myśl o tym, co zamierzam zrobić.

Brakuje mi tchu, żeby odpowiedzieć, ale pozwalam mu się postawić na nogi, a potem poprowadzić z powrotem do innych, którzy stoją w małej grupce na szczycie niebieskiej trasy.

– Zamknęli La Sorcière! – woła Rik do Tophera, który kiwa głową z goryczą.

– Widziałem. Cholerne tchórze.

– Powinniśmy zaczekać? – dociera do mnie krzyk Mirandy. Ledwo ją słyszę w wyjącej burzy. – Jest cholernie zimno!

– Chyba musimy – odparł Rik. – Nie możemy ruszyć bez Ani i Carla, oni nie mają wiele doświadczenia.

– Inni mogą ich niańczyć – burczy Topher, ale Rik kręci głową.

– Co, jeśli wjadą osobno i będą próbowali jechać za nami?

Zobacz. – Wskazuje w dół góry, gdzie spomiędzy chmur wyłania się wagonik kolejki, w środku siedzi jedna osoba, a może dwie blisko siebie. Z tej odległości nie sposób rozpoznać. To może nawet nie być nikt z naszej grupy. Jest tak daleko, że postać wydaje się absurdalnie mała.

Trzęsę się. Serce mi wali. Nie mogę tego zrobić. Ale muszę. To może być moja ostatnia szansa – muszę coś powiedzieć. Teraz. Teraz.

– Nie dam rady – wyduszam z siebie. Topher patrzy na mnie, jakby się zdziwił, że się odezwałam.

– Co mówiłaś?

– Nie dam rady – powtarzam głośniej. Oddycham bardzo szybko, a mój głos jest wysoki i piszczący, nie skrywa dobrze mojego strachu. Mój puls galopuje. – Nie mogę. Po prostu nie mogę. Ja nie zjadę. *Nie mogę*, Topher.

– No to jak zamierzasz się dostać na dół? – pyta sarkastycznie Topher. – Toboganem?

– Hej, hej? – Rik próbował sprawdzić coś w telefonie, ale teraz podnosi wzrok. – Co tu się dzieje?

– Nie dam rady – mówię desperacko, jak gdyby powtarzanie tej jednej frazy miało sprawić, że wszystko się ułoży. Może jeszcze tak się stanie. Może wszystko będzie dobrze. – Nie mogę. Nie mogę tu zjechać. Umrę, wiem, że umrę. Nie możecie mnie do tego zmusić.

– Liz, wszystko będzie w porządku. – Rik kładzie mi dłoń na ramieniu. – Zatrzymam się o ciebie, obiecuję. Zobacz, możesz cały czas jechać pługiem, jeśli chcesz, ja cię poprowadzę, możesz się trzymać moich kijków.

– Nie. Dam. Rady – mówię uparcie. Może jeśli będę powtarzać tę mantrę, wszystko będzie dobrze. Nie mogą mnie *zmusić* do jazdy z nimi. Znam Tophera. To nie jest cierpliwy facet. Bardzo szybko się wkurzy, że nie może mnie przekonać, i się podda.

– Kurwa – rzuca poirytowany Topher. Wyciera sobie śnieg z gogli i patrzy na Rika. – To co teraz?

– Liz – zaczyna Rik, a ja czuję, że to coś twardego przesuwam mi się w gardle wyżej, dusi mnie, tak jak na spotkaniu. Wagonik z pojedynczą sylwetką dojeżdża do przystanku. Wydaje mi się, że zwymiotuję. Teraz albo nigdy.

– Nie dam rady – krzyczę i nagle, ni stąd, ni zowąd, zaczynam płakać. Ten dźwięk mnie zaskakuje, rozdzierający, głośny, brzydki szloch. Podnoszę gogle i przecieram oczy zamarzniętymi rękawicami, a wiatr jest tak silny, że czuję, jak łyzy spływające mi po nosie zamarzają na jego końcu. Przecieram zamarzniete krople, czuję, jak drapią mi skórę. – Kurwa, nie dam rady!

– Okej, okej! – mówi pospiesznie Rik. – Liz, nie panikuj, będzie dobrze. Słuchaj, rozwiążemy to jakoś.

Koło nas słychać dźwięk szusowania po śniegu, odwracamy się i widzimy jakąś postać zjeżdżającą w naszym kierunku. To Inigo, w tej zielonej kurtce nie sposób go nie rozpoznać, nawet jeśli ma gogle i podciągnięty na twarz szalik. Za nim Tiger opada na zaspę tuż przed kolejką. Siedzi w śniegu, mocuje się z zapięciami.

– Wracam – mówię, przełykając łyzy. Wskazuję w dół góry, gdzie oddala się pusty wagonik, z którego wysiadł Inigo, powracający do doliny. – Porozmawiam z obsługą kolejki, przekonam faceta, żeby mnie wpuścił. Wyjaśnię, że nie dam rady, to wszystko był wielki błąd.

– Liz, to jest, kurwa, idiotyczne – wybucha Topher.

– O co chodzi? – Głos Iniga jest stłumiony przez szalik, trudno go rozpoznać.

– To Liz – wyjaśnia wściekły Topher. – Ma jakiś kryzys egzystencjalny.

Ale to nieprawda. Teraz jestem spokojna. Na górę wjeżdża następny wagonik z kolejną postacią w środku. Dam radę.



Wiem, co muszę zrobić, i nikt mnie nie powstrzyma.  
Zaczynam iść pod górkę.

– Liz! – woła Rik. – Jesteś pewna?

– Tak – odkrzykuję, chociaż nie wiem, czy słyszą mnie teraz przez ten wiatr. – Jestem pewna. Spotkamy się w domku.

I kiedy wchodzę do budynku terminala, kiedy otwierają się drzwi wagonika, otula mnie poczucie spokoju. Wiem, co muszę zrobić, będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 0

Jest prawie wpół do drugiej. Mówili, że wrócą najpóźniej o pierwszej, a Danny wykrzykuje z kuchni przekleństwa, podczas gdy mijają kolejne minuty, a jego risotto zaczyna się sklejać.

Kwadrans przed drugą ze wzburzoną miną wystawia głowę przez drzwi, a ja kręcę głową.

– Tylko takich skurwysynów nienawidzę bardziej niż pieprzonych skrytych wegan – warczy i znika, klekoczą za nim tylko drzwi wahadłowe.

I wtedy nagle rozlega się stukot butów narciarskich na płytkach, więc pędzę do lobby nasłuchiwać dźwięków od

strony wejścia dla narciarzy; tego dźwięku tupania po twardej podłodze i dźwięcznego otwierania szafek na narty stojących rzędem w korytarzu nie sposób pomylić z czymś innym.

– Eva? – woła ktoś poirytowanym tonem. – Eva, gdzie ty, kurwa, jesteś?

Bez odpowiedzi.

Wtedy uszczelnione drzwi do lobby otwierają się i wchodzi Topher w kombinezonie narciarskim oraz grubych skarpetach, wygląda na wściekłego.

– Och, to ty – rzuca krótko na mój widok. – Gdzie, do kurwy nędzy, jest Eva?

– Eva? – Mam na końcu języka ripostę na jego chamską odzywkę, ale się powstrzymuję. – Przepraszam, Topher, nie mam pojęcia.

Zatrzymuje się w połowie drogi w stronę schodów.

– Czyli jej tu nie ma?

– Nie, jesteście pierwsi.

Staje nieruchomo, jego wyraz twarzy waha się gdzieś pomiędzy irytacją a zmartwieniem. Woła przez ramię:

– Mirando, tu jej nie ma.

– Żartujesz sobie. – Miranda też wchodzi przez drzwi. Ma jasnoróżową twarz z bolesnym rumieńcem, który zwykle pokazuje się po ekstremalnym zimnie. – Ha... No cóż... To przynajmniej nie odmroziliśmy sobie tyłków bez powodu. Ale co twoim zdaniem mogło się stać?

– Może wyciąg zamknął się, nim zdążyła wsiąść, i zjechała z powrotem do St. Antoine, żeby złapać kolejkę? – sugeruje Topher, ale wtedy wchodzi Carl i kręci głową.

– Ona wsiadła przede mną, stary. Była na tym wyciągu, mógłbym przysiąc.

– A ja ją widziałam – dodaje Ani. Zebrali się w lobby, spoceni i skonsternowani, topniejący śnieg kapał im z kurtek.

– Mówiłam ci, kiedy jechaliśmy z Carlem wyciągiem,

widziałam ją, jak zjeżdżała.

– Co się stało? – pyta Rik, który wszedł, strzepując sobie śnieg z czarnych spodni na szelkach. Miranda się do niego odwraca, wygląda już na naprawdę zmartwioną.

– Evy tu nie ma.

– Nie ma jej tu? – pyta Rik, twarz ma pozbawioną wyrazu. – Ale... ale to niemożliwe. Nie może być nigdzie indziej.

Zaczynają mówić wszyscy naraz, wymyślając różne teorie, z których wiele było zupełnie nieprawdopodobnych ze względu na położenie miejscowości.

– Chwileczkę, chwileczkę – mówię i o dziwo wszyscy milkną. Widocznie potrzebowali jakiegoś lidera, a ja jestem jego namiastką. – Zaczynajcie od początku. Kiedy ostatni raz byliście wszyscy razem?

– Pod wyciągiem Reine – odpowiada szybko Ani. – Rozmawialiśmy o tym, czy zrobić już przerwę na lunch, czy zjechać jeszcze po raz ostatni. Topher zauważył, że od wyciągu do domku i tak trzeba zjechać, więc musieliśmy zrobić jakąś trasę, a zatem zgodziliśmy się pojechać na ostatnią stację i zjechać albo La Sorcière, albo Blanche-Neige, w zależności od umiejętności.

Zachowuję dla siebie odpowiedź na te słowa. La Sorcière to koszmarna trasa, jeżdżę na nartach całe życie i nie ma szans, żebym pojechała nią w taką pogodę. Nawet Blanche-Neige przy takiej widoczności to nie żarty dla niedoświadczonych narciarzy. Nie pierwszy raz uderza mnie, że Topher jest trochę dupkiem.

– Ale kiedy tam wjechaliśmy, Liz miała jakieś załamanie nerwowe – dodaje z goryczą Topher.

– Toph – upomina go krótko Rik i wskazuje głową na drzwi, a ja zerkam Topherowi przez ramię i widzę, jak Liz kroczy ostrożnie przez szatnię. Cała jest w śniegu i wygląda na strasznie wykończoną, jeszcze bardziej niż reszta.

– Kiedy wjechaliśmy na górę, pogoda była dość ekstremalna, więc Liz postanowiła zjechać na dół kolejką – wyjaśnia ugodowo Miranda, ale patrząc na buntowniczą minę Tophera, potrafię sobie wyobrazić, jaka dyskusja musiała poprzedzać tę decyzję. Po części jestem pod wrażeniem silnej woli Liz, która nie dała się wmanewrować w ten zjazd. Strach potrafi jednak dać człowiekowi niezwykłą moc.

– Reszta czekała na górze na resztę – mówi Topher. – Ale Eva nie przyjechała.

– Ale *przyjechała* – wtrąciła Ani. – Widzieliśmy ją, Carl i ja. Prawda? – Szturcza Carla, a on kiwa głową.

– Tak, co do tego nie ma wątpliwości, stary. Widzieliśmy, jak wsiadała kilka wagoników przed nami.

– Kilka? – spytał Topher. – Jak to? Przecież nie było tłumów do wyciągu.

Carl się rumieni.

– No, słuchaj, nie ma co owijać w bawełnę. Ja... no... jeśli musisz wiedzieć, to wywaliłem się, wsiadając do wagonika. Ani i ja mieliśmy wsiąść po Evie, ale potknąłem się o swoje wiązania. Przewróciłem się, drzwi się zamknęły, a Eva pojechała z moimi nartami w przegródce. Zajęło mi kilka minut, żeby się pozbierać, a wtedy złapaliśmy z Ani kolejny wagonik.

– Może się pomyliła i wysiadła na pierwszym przystanku? – mówi Miranda, marszcząc brwi, ale Ani kręci głową.

– Nie, to właśnie próbowałam ci powiedzieć. Widziałam ją, kiedy jechaliśmy naszą gondolą. Ona jechała dokładnie nad tym czarnym szlakiem, tym bardzo stromym, którym chciał jechać Topher.

– La Sorcière – wtrącam, a Ani kiwa głową.

– Właśnie tym. I widziałam, jak jedzie nim jakiś narciarz. Na sekundę przystanęła przy grani i tak jakby podniosła rękę, machając do mnie. I wtedy zdałam sobie sprawę, że to Eva.

– Jak mogłaś ją poznać z takiej odległości? – pyta sceptycznie Rik. – To mógł być ktokolwiek.

– Poznałam jej czerwoną kurtkę. Ona jest bardzo charakterystyczna. Nikt z nas nie ma podobnej, a byliśmy jedyni na tym wyciągu.

Rozglądam się po grupce, ma rację. Topher w kolorach musztardowym i khaki, Rik i Carl obaj w czerni. Miranda w jakby fioletowym kombinezonie. Inigo ma zieloną kurtkę i czarne spodnie na szelkach. Tiger nosi jakiś surferski strój w stylu *shabby chic*, który wygląda jak dżinsowa bomberka z lat osiemdziesiątych i spodnie bojówki, ale przypuszczam, że tak naprawdę to jakiś drogi strój na snowboard. A Ani włożyła kurtkę w jasnym odcieniu oraz białe spodnie na szelkach, na które już wcześniej zwróciłam uwagę. Nikogo nie da się pomylić z Evą.

– Kiedy wysiedliśmy na górze, moje narty tam na mnie czekały – dodaje Carl. – Musiała je zdjąć z wyciągu, a potem zjechała.

– Nie zauważyliście, że nie było jej na szczycie? – pytam, a Rik kręci głową ze smutną miną.

– Nie, widoczność była naprawdę kiepska i... no, jeśli chcesz wiedzieć, to mieliśmy... małą aferkę na szczycie.

Aferkę? Co to, do cholery, znaczy? Już mam spytać, kiedy wtrąca się Miranda.

– Możesz to równie dobrze jasno wytłumaczyć, Rik. Operator wyciągu wyszedł powiedzieć nam, że ogłoszono czerwony poziom zagrożenia lawinowego i że zamykają całą górę, ale połowa grupy zignorowała to ostrzeżenie i specjalnie zjechali, zanim tamci zdążyli zagrozić zjazd siatkami.

– Bardzo mi przykro. – Inigo przynajmniej stara się wyglądać na zawstydzonego. – To było kompletne nieporozumienie. Wydawało mi się, że on mówi „teraz albo nigdy”, więc, ech, pojechałem.

– Chwileczkę, czyli część z was zjechała na nartach – mówię powoli. – A część wróciła na dół gondolą?

Zaczynają kiwać głowami.

– Oczywiście zatrzymaliśmy się na trochę przy tej wielkiej sośnie przy skrócie do domku, żeby sprawdzić, czy ktoś do nas nie dołączy, ale kiedy zobaczyliśmy ludzi zjeżdżających wagonikiem, też zjechaliśmy na dół do ostatniej stacji. Czekaliśmy tam kolejne dwadzieścia minut, tylko że wtedy te dupki z miasteczka *tamten* wyciąg też zamknęły. Wtedy uznaliśmy, że Eva musiała spierdzielić do domku, ale ponieważ byliśmy już poniżej, a wyciąg nie działał, nie mieliśmy innego wyboru jak zjechać jeszcze na nartach do St. Antoine, a potem wrócić na górę kolejką linową.

– Okej... okej... – mówię, próbując to jakoś zrozumieć. – Czyli ostatnim razem, kiedy ktokolwiek jest absolutnie pewny, że ją widział, zjeżdżała La Sorcière?

Ani kiwa głową i odwraca się do Carla, oczekując potwierdzenia, a on mówi:

– Na to wygląda.

– Ale La Sorcière był zamknięty – wybucha Topher. – I to jest, kurwa, problem.

Problemem, kurwa, jest to, że twoja koleżanka z pracy i współzałożycielka twojej firmy zaginęła w fatalnych warunkach pogodowych, myślę, ale nie mówię tego na głos. I myślę sobie o La Sorcière, o jego zdradliwości, oblodzonych zboczach oraz o tym, jak luźny śnieg pokrywa lodową pokrywą, sprawiając, że każdy ruch niesie ryzyko groźnego poślizgu lub małej lawiny. Myślę o brutalnych muldach, ukrytym pomiędzy nimi ruchomym śniegu, oraz o tym, że nawet nie da się dostrzec tych lodowych górek pod białym okryciem, a co dopiero przewidzieć tych wstrząsających kolanami zakrętów przy złej widoczności.

Przede wszystkim myślę o tamtym stromym uskoku przy

szlaku. Urwisko rozciąga się miejscami zaledwie kilka metrów od trasy; w takich warunkach można po prostu spaść z jego krawędzi w nicość. Dlatego La Sorcière zamknęli jako pierwszy, przed pozostałymi stokami w okolicy. Nie dlatego, że nie lubią ryzyka albo mają fioła na punkcie BHP, czy też po prostu nie ufają, że doświadczeni narciarze są w stanie tam przejechać. Tylko dlatego, że tamte zakręty przy niewielkiej widoczności mogą być śmiertelną pułapką. Ale wtedy przypominam sobie o najgorszym odcinku tuż na początku trasy i że Ani widziała ją jadącą niżej. To niewielkie pocieszenie, ale w tym momencie pocieszam się, czym mogę.

– Czy ktoś próbował się do niej dodzwonić? – pytam. Inigo kiwa głową.

– Wiele razy. Nie ma zasięgu.

Danny wychodzi z kuchni i w tym momencie wygląda już na poważnie wkurzonego. „A co z moim pieprzonym risotto?” – pyta mnie bezgłośnie ponad głowami gości, a ja podbiegam do niego.

– Eva zaginęła – mówię cicho, a on natychmiast zmienia wyraz twarzy z poirytowanego na zatroskany.

– Co, naprawdę zaginęła? Nie poszła sobie gdzieś po prostu?

– Nie wiem, trudno powiedzieć. Wszyscy zachowali się jak kompletne pojeby. Rozdzielili się, nikt nie pilnował, kto idzie z kim, a Eva najwyraźniej sama wybrała się na zjazd La Sorcière.

– Sama? – Danny’emu opada szczęka. – Ale teraz jest czerwone ostrzeżenie lawinowe. Dlaczego, do cholery, obsługa nie zamknęła trasy?

– Podobno zamknęli. Musiała się precyzyjnie przecisnąć pod siatką czy coś albo jakoś się zgubiła i przejechała na zły szlak. – Chociaż nie potrafię sobie wyobrazić, jak to by miało wyglądać. Między Blanche-Neige a La Sorcière nie ma żadnego oczywistego połączenia. To część problemu z czarnym szlakiem. Jest



oddzielony z jednej strony stromym urwiskiem, a z drugiej stromym osuwiskiem. Kiedy już się nim ruszy, nie da się wydostać, pozostają tylko kolejne pętle i zakręty. – Nie wiem. Ale Ani jest prawie pewna, że widzieli z Carlem, jak Eva tam zjeżdża. To znaczy, ja wiem, że ona jest dobra, ale przy takiej pogodzie to po prostu brawura.

Danny ma teraz naprawdę poważną minę.

– I nikt jej od tamtej pory nie widział?

Kręcę głową.

– Myślisz, że powinniśmy powiadomić PGHM? – pytam. To specjalny oddział górskiej policji działający w wyższych łańcuchach górskich, takie połączenie żandarmerii i ratownictwa górskiego.

– Nie wiem – odpowiada Danny. Podciąga sobie bandanę nad czoło i niespokojnie pociera bruzdę między brwiami, próbując się zastanowić. – To nie jest niemożliwe, że po prostu się zgubiła i trafiła na złą drogę. Przy zamkniętych wyciągach trochę jej zajmie, żeby wrócić. Pewnie powiedzą nam, żebyśmy poczekali parę godzin, zanim zaczniemy panikować. Może powinniśmy najpierw zadzwonić do biura wyciągu? Może jej ski pass był używany na jakichś wyciągach?

Mam ochotę go ucałować. To nie był dobry pomysł, tylko rewelacyjny. Ale kiedy idę do telefonu w lobby i wybieram numer widniejący na odwrocie mojej karty na wyciągi, słyszę tylko natarczywe „piiip-piiip” sygnału zajętej linii.

Wracam do grupki osób stłoczonych w lobby, które grzeją się w swoich narciarskich strojach i wyglądają na coraz bardziej zmartwione.

– Myślmy, że najlepiej się skontaktować z biurem wyciągu i sprawdzić, czy Eva użyła gdzieś swojej karty. Próbowałam zadzwonić, ale linia jest zajęta, więc zamiast tu siedzieć, chyba lepiej zjadę kolejką i osobiście zapytam w biurze.

– Ja pójdę – natychmiast proponuje Topher.

– Mówisz po francusku?

Znałam odpowiedź, nim zadałam pytanie; na jego twarzy pojawia się zawód, a on kręci głową.

– Rozumiem, że chcesz pomóc – odpowiadam, starając się zabrzmieć łagodnie. – Ale moim zdaniem lepiej, żeby pojechał ktoś, kto mówi po francusku. Jeśli nie użyła swojej karty, to prawdopodobnie trzeba będzie zgłosić jej zaginięcie na policję, a do tego na pewno przyda się osoba płynnie władająca francuskim. Powinniście wszyscy przebrać się w suche ubrania i coś zjeść, a ja niedługo wrócę. W międzyczasie próbujcie do niej dzwonić.

Wszyscy poważnie kiwają głowami.

– Lepiej powiem Elliotowi – mruczy Topher, a ja przypominam sobie z zaskoczeniem, że Elliot jest jedyną osobą z grupy, która nie poszła na narty. Siedzi zaszyty w swoim pokoju, prawdopodobnie pracuje nad aktualizacją systemu albo czym tam mógł się sam zajmować.

Wszyscy znikają, rozmawiając ze sobą szeptem, a ja biorę kurtkę z szafki i idę szybko do Danny'ego opowiedzieć mu o swoim planie.

– Będziesz musiał sam podać obiad, może tak być?

Przytakuje.

– Tak, oczywiście.

Znika w kuchni i zaczyna nakładać jedzenie.

Ja wkładam kurtkę i otwieram drzwi wejściowe.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 0

Jestem na górze w swoim pokoju, przebieram się ze stroju narciarskiego, kiedy to się dzieje. Najpierw po prostu hałas, a potem czuję, że ziemia zaczyna drżeć, jak przy trzęsieniu ziemi.

Odwracam się, żeby wyrzecz przez okno. Widzę coś, co wygląda jak ściana śniegu idąca doliną prosto na nas. Nie ściana – to byłoby jakieś ciało stałe. To coś innego. Kotłująca się masa powietrza, lodu i ziemi, wszystkiego razem.

Krzyczę. Nic więcej nie mogę zrobić, chociaż to głupie. Upadam na kolana i zakrywam głowę rękoma, jakby ten

żałosny gest był w stanie mnie ocalić.

Zostaję tak, trzęsąc się przez długi czas, nim odważam się wreszcie wstać, nogi mi drżą. Czy nas to ominęło? Czy to już koniec?

Z oddali słyszę inne głosy, krzyki, wrzaski, płacz.

Jakoś zmuszam nogi do działania i wytaczam się na korytarz.

– Jezu Chryste! – krzyczy Topher. Biegnie w stronę schodów.

– Co, do diabła, tu się właśnie dzieje?

– Erin! – słyszę z dołu. To ryk przerażenia; nie rozpoznaję głosu, a potem orientuję się, że to kucharz, Danny, woła swoją koleżankę. – Erin!

Korytarz jest pełen przerażonych ludzi. Włącza się alarm przeciwpożarowy, rozlegają się paniczne krzyki.

Na dole, w lobby, kucharz siłuje się z drzwiami, które pękają i uginają się pod masą przyciśniętego do nich zbitego śniegu.

– Nie otwieraj tych cholernych drzwi! – woła Topher. – Wpuścisz cały ten śnieg do środka!

Danny się do niego odwraca. Na jego twarzy maluje się wściekłość.

– Kurwa, tam jest moja przyjaciółka! – woła, przekrzykując alarm. – Więc jeśli chcesz mnie zatrzymać, stary, to będziesz musiał to zrobić siłą.

Znowu je pcha. Drzwi ustępują, skrzypiąc protestująco, a do lobby wsypuje się masa śniegu i lodu. Wejście nadal jest zablokowane na wysokość prawie półtora metra, ale Danny wdrapuje się przez zaspę na górę i znika w rumowisku. Kiedy odchodzi w burzę, ostatnim, co widzę, są jego stopy.

– O mój Boże – mówi Miranda. Trzyma się Rika, jakby tonęła. – O mój Boże. Co, jeśli Eva nadal gdzieś tam jest?

Nie pada żadna odpowiedź. Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek zdołał powiedzieć to, co myśli – czyli że jeśli Eva nadal gdzieś tam jest, to nie żyje. Nie ma innej możliwości.

I może Erin też.

– Czy ten budynek jest bezpieczny? – pyta nagle zaskakująco rozsądnie Rik. – Nie chcemy tu zostawać, jeśli ma się zaraz zawalić.

– Pójdę wyłączyć ten alarm – odzywa się Tiger i znika w kuchni. Słyszę, jak ciągnie krzesło po płytkach i po tym alarm milknie. Zapada nagła, wstrząsająca cisza.

– Okej – mówi Topher. Głos mu drży, ale przejmowanie dowodzenia jest dla niego tak naturalne, że łatwo wchodzi w tę rolę. – Yyyy, powinniśmy... powinniśmy sprawdzić. Powinniśmy sprawdzić budynek.

– Od strony kuchni nie jest tak źle – mówi Tiger po powrocie do lobby. – Wyjrzałam przez okno. W konferencyjnej kilka okien jest wybitych, ale śnieg nie jest za wysoki. Ucierpiała część po stronie pokoju konferencyjnego i dobudówka z basenem.

– Powinniśmy wejść na górę – oznajmia Topher. – Rozejrzeć się z góry.

Tiger kiwa głową, a my wszyscy ruszamy na schody, żeby wyrzeć przez jedno z wyżej położonych okien. Kolana się pod mną uginają, kiedy to widzę. Mieliśmy *wyjatkowe* szczęście.

Długi, parterowy budynek na tyłach domku, ten, w którym znajdował się basen, został zniszczony i zrównany z ziemią. Dach załamał się jak skorupka pustego jajka. Z ogromnej zasy, która pochłonęła dobudówkę, wystają belki i deski. Ale sam budynek nadal stoi. Wszędzie leży mnóstwo śniegu, po północnej stronie widać stos patyków i gruzu, ale konstrukcja trzyma się stabilnie. Wystarczyłoby kilka metrów więcej, a Perce-Neige skończyłby jak domek z zapalek, podobnie jak budynek z basenem. Nie widzę żadnych innych domków.

Ścieżkę do kolejki zakrywają przewrócone drzewa i porozwalany śnieg. Sama kolejka w zacinającym śniegu nie jest widoczna. Nigdzie nie widać też Erin.

I wtedy zauważam jakiś ruch z boku budynku. To właś nie Erin. Trzyma się Danny'ego, kucharza, i kuśtykają po nierównej, zasypanej gruzem powierzchni, potykając się o twarde grudy śniegu rozrzucone po tym, co kiedyś było ścieżką do wyciągu.

W cieniu budynku znikają nam z oczu. Z dołu słyszę skrzypienie wypaczonych drzwi szurających po płytkach i pełen bólu szloch Erin, kiedy przeciska się przez zaspę w dół do środka domu.

– Jest złamana? – słyszę, jak Danny pyta zdyszczanym głosem. Jak gdyby ktoś nas pokierował, schodzimy wszyscy po spiralnych schodach i stajemy wokół Erin.

– Wszystko z nią w porządku? – pyta Miranda, marszcząc brwi.

– A jak ci się wydaje? – odwarkuje Danny. Wygląda na to, że Erin nie jest w stanie mówić, ale wyciąga rękę w górę. Nie byłam pewna, co chce przez to przekazać, ale ten znak najwyraźniej znaczy coś dla Danny'ego, który ze złością kręci głową i wściekle rusza do kuchni.

– Przyniosę ci jakiś lód! – woła przez ramię. – Zobaczymy, czy damy radę zmniejszyć opuchliznę.

– Mam w torbie arnikę! – woła za nim Tiger. Nie dociera do mnie odpowiedź Danny'ego, ale raczej to nic pochlebnego.

– Nie wydaje mi się, żeby arnika tu pomogła, Tig – mówi cicho Rik.

Erin siedzi skulona na podłodze lobby. Twarz ma szarą. Wygląda, jakby była w szoku.

– Co się stało? – Tiger kuca obok niej, kładzie jej dłoń na ramieniu. Erin podnosi na nią wzrok. Mruga oszołomiona. Wygląda, jakby nie była pewna, dlaczego tam się znajduje.

– Erin? Wszystko w porządku?

– Nie wiem – wykrztusza z siebie. Głos jej drży. – Szłam w stronę k-kolejki i usłyszałam ten h-hałas, i wtedy jakby... tak jakby ta góra po prostu przyszła i *połknęła* wyciąg.

– Czyli... nie ma kolejki?

W głosie Tiger słyhać przerażenie, a jej ton odzwierciedla szok, który rozchodzi się po wszystkich zgromadzonych.

– To nie tak, że jej nie ma – zauważa Danny, wracając z paczką mrożonego groszku. Przygląda się grupie z niezadowoloną miną. – Ale... tak, jest zakopana. Wielki kawał szkła został wchłonięty. *Cholera*. W środku mogli być ludzie.

– Może powinniśmy, nie wiem, zadzwonić na dziewięć-dziewięć-dziewięć? – pyta Ani, a Topher wspierająco kiwa głową.

– Siedemnaście – poprawia zmęczona Erin.

– Co?

– Siedemnaście – powtarza Danny. – To jest francuski numer na policję. Ale może powinniście spróbować sto dwanaście. To międzynarodowy numer, będą mieli kogoś anglojęzycznego.

Ani wyjmuje telefon, po czym marszczy brwi.

– Nie mam zasięgu.

– Pewnie padł nadajnik – stwierdza krótko Danny. Bardzo delikatnie przyciska groszek do kostki Erin. Jej twarz nabiera dziwnego, żółtawego odcienia bieli, a oczy ma zamknięte. – Spróbuj z telefonu na biurku.

Ani kiwa głową i podchodzi do telefonu stacjonarnego na biurku koło schodów, ale kiedy podnosi słuchawkę, mina jej rzednie.

– Nie ma sygnału.

– Kurwa. – Carl odzywa się jako pierwszy. Jego szeroka twarz jest czerwona. Wygląda na wkurzonego. – Ja pierdołę,

tego nam jeszcze było trzeba. Lawina musiała chyba zniszczyć linię. Czy *ktokolwiek* ma zasięg? Jakikolwiek?

Przez chwilę słycać tylko szuranie. Szukają telefonów. Ja swój też wyjmuję. Paski zasięgu są szare.

– Nic – mówi Topher.

Wszyscy kręcą głowami.

– Nie, czekajcie. – To Inigo, głos mu się łamie z przejęcia. – Właśnie pokazała mi się kreska. Mam jedną kreskę!

Wybiera numer, a potem czeka, z ręką w górze proszącą o ciszę. Wszyscy stoimy nieruchomo, nasłuchując.

– Halo? – mówi. A potem: – Halo? Halo? Cholera, oni mnie nie słyszą.

– Idź na górę – rzuca ostro Miranda. – Może wyżej będziesz miał lepszy zasięg.

Inigo posłusznie wspina się po spiralnych schodach i staje na końcu korytarza, przy wysokim oknie wychodzącym na dolinę, tak jakby widoczność mogła się jakoś przekładać na lepszy zasięg.

– Halo? – Słyszemy, jak mówi, a potem: – Tak. – I: – Okej. – I jeszcze: – Domek Blanche-Neige. – A potem kilka informacji o naszej sytuacji. Zapadają dłuższe chwile ciszy i wiele razy pada: – Mogę prosić o powtórzenie? Przepraszam, zasięg jest naprawdę kiepski, urywa mi się. Halo? Halo?

Aż w końcu schodzi na dół z poważną miną.

– Na końcu straciłem zasięg, ale rozmawiałem z policjantem i chyba udało mi się podać im wszystkie szczegóły, zanim mnie rozłączyło.

– Powiedziałeś im o Evie? – wtrąca Topher, a Inigo kiwa głową.

– Taak, powiedziałem im, że zgubiliśmy naszą znajomą tuż przed lawiną i nie wiemy, czy nadal nie jest na górze.

– Czy ktoś przyjdzie nas uratować?

– Nie wiem – odpowiada Inigo i przez chwilę wygląda jak



asystent, który nie zdołał osiągnąć wyników oczekiwanych przez szefa. – Powiedzieli, że pracują pod ogromną presją, ludzie zostali uwięzieni w wyciągach i tak dalej. Nie jestem pewien.... – Głos mu się trochę łamie pod spojrzeniem Tophera. – Nie jestem pewien, czy ludzie z jedzeniem i dachem nad głową będą teraz dla nich sprawą priorytetową. Zapisali sobie mój numer. Powiedzieli, że skontaktują się z nami najszybciej, jak to możliwe, i powiadomią o nowych informacjach.

– Czyli mówisz, że jesteśmy zdani tylko, kurwa, na siebie? – wybucha Topher. – Ta pierdolona kolejka nie jeździ, Eva zaginęła, a my siedzimy uwięzieni w jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi chatce z ranną kobietą. – Wskazuje na Erin. – Powinniśmy być potraktowani priorytetowo!

Inigo nic na to nie odpowiada, bezradnie wzrusza ramionami.

– Czy ktoś z nas mógłby zjechać na dół na nartach? – pyta Rik, ale Inigo kręci głową.

– Nie, co do tego wypowiedzieli się jasno. Powinniśmy zostać tam, gdzie jesteśmy. Mogą zejść kolejne lawiny

– No nie możemy przecież tu zostać – oznajmia wściekły Topher.

– Nie zjedziesz po tym stoku, stary – mówi Danny, podnosząc wzrok z miejsca, w którym opiekował się Erin.

– Zakład? – upiera się Topher. – Jeżdżę na desce, i to cholernie dobrze.

– Stary, mógłbyś być nawet Shaunem White'em, i tak byś tamtędy nie zjechał. Nie widziałeś tego, ale okolica wygląda jak rumowisko. Stoku praktycznie nie ma.

– Czyli utknęliśmy? – pyta Topher z wściekłym niedowierzaniem w głosie. – A oni nic nie robią, podczas gdy Eva może tam leżeć przygnieciona tysiącami ton śniegu?

Nikt nie odpowiada. Nikt nie chce wypowiedzieć na głos

tego, co dla wszystkich oczywiste – że jeśli tak jest w istocie, to ani on, ani nikt z nas nie jest w stanie nic na to poradzić.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 0

Siedzę w kuchni i się trzęsę. Danny idzie po apteczkę i szczerze mówiąc, cieszy mnie to, że mogę pobyć przez kilka minut sama. To daje mi czas, żeby się pozbierać.

Ten hałas – ten przerażający, ogłuszający, głęboki ryk, który nawiedzał mnie w snach przez trzy lata – przez chwilę myślałam, że to jakaś retrospekcja, jak zespół stresu pourazowego. I wtedy zerknęłam przez ramię, i to była prawda. Ściana bieli pochłaniająca dolinę.

Co dziwne, nie czułam nic prócz spokoju, kiedy szła w moją stronę. Tak jakby to była sprawiedliwość. Jakaś kara boska. Wydawała się w pełni na miejscu.

Przez chwilę pomyślałam, żeby rozłożyć ramiona na boki i dać się jej połknąć. Ale ona tego nie zrobiła. Nie połknęła mnie. Wypluła mnie. Tutaj.

– Kurwa, pozabijam ich wszystkich. – Stukają wahadłowe drzwi, to Danny wbiega z apteczką w dłoni. – Pierdolone skurwysyny, co do jednego. Mogłaś zginąć, a on się martwi, kiedy po niego przyleci śmigłowiec. Wiesz, że on tam teraz próbuje się połączyć z firmą od prywatnych helikopterów?

– Nic nie zrobią, nawet gdyby się do nich dodzwonił – odpowiadam. Zmieniam pozycję na prowizorycznym podnóżku, który Danny przygotował w rogu kuchni. Próbuję zignorować ból przeszywający mi nogę w górę i w dół podczas poruszania. – Nie mogą, nie przy tej pogodzie. Sam zobacz.

Macham ręką na okno, za którym wiatr się wzmógł i rozpełtał prawdziwą śnieżycę.

– Zdejmij ten groszek z kostki – rzuca szorstko Danny. – I tak się rozmroził. – Posłusznie podnoszę nogę, a on ściąga mokrą paczkę groszku i przykłada mi do pulsującej kostki zimny kompres. To bolesne, ale w jakiś dziwny sposób ten ból mi pomaga. Zakotwicza mnie, przypomina, że jestem tu, że żyję.

Danny znalazł jakieś stare radio i gotuje, a ja siedzę w milczeniu i słucham sprawozdań z akcji ratunkowych. Ciarki przechodzą mnie na myśl o tym, jakie mieliśmy szczęście – my wszyscy. Kilka budynków zostało kompletnie zniszczonych przez tę lawinę. Cztery z nich to stacje wyciągów – potwierdzono, iż w środku nikogo nie było, ponieważ wcześniej tego dnia wyciągi zamknięto. Dwa to kawiarnie, które, jak zakładano, zostały zamknięte przed zejściem lawiny. Pozostałe trzy to domki. Jeden, położony dużo niżej, koło St. Antoine le Lac, został ewakuowany. Pomniejsze obrażenia, żadnych ofiar śmiertelnych. Nikt nic nie wiedział o pozostałych dwóch. Wśród pytań o odpowiedzialność oraz o to, czy władze

miasteczka powinny były zadziałać wcześniej, sprawozdawca wciąż powtarza, jakie to szczęście, że tyle stoków i wyciągów było zamkniętych. Nawet na kolejce linowej znajdowały się tylko cztery osoby i zostały bezpiecznie ewakuowane z potrzaskanego oszklonego tunelu, ale dziennikarz zdążył już złowrogo zapowiedzieć, że minie wiele dni, nim zdołają oszacować czas jego naprawy. Nie zakończyć prace, oszacować termin.

W związku z tym zmiażdżony basen oznacza, iż wyszliśmy z tego obronną ręką. Gdyby nie Eva, moglibyśmy być przepełnieni wdzięcznością. Ale świadomość, że jej nadal nie ma, przypomina ciemną, rozlewającą się truciznę, dręczącą na każdym kroku. Kiedy zamykam oczy, widzę ją – zakopaną w ciemności, z każdą mijającą chwilą tracącą ciepło, zastanawiającą się, czy ktoś nadejdzie. Jeśli będzie miała szczęście, mocno ubity śnieg szybko ją udusi. Jeśli nie...

Ta myśl sprawia, że nagle robi mi się słabo ze strachu.

– Ile mamy jedzenia? – pytam Danny'ego, próbując odciągnąć swoje myśli, a on lekceważąco kręci głową.

– Mnóstwo. Nie przejmuj się tym. Tony Stark z dołu wytrzyma kilka dni bez świeżego mleka, a w spiżarni jest tyle, że wystarczyłoby na oblężenie.

Zawsze istnieje możliwość, że Evę znudziło czekanie na wszystkich, wiele godzin temu zjechała na nartach do St. Antoine i nic jej nie jest, tylko nie może się z nami skontaktować. Ale z każdą mijającą godziną ten scenariusz zaczyna się wydawać coraz bardziej nieprawdopodobny. Telefon i internet nadal nie działają, a zasięg komórkowy tylko się pogorszył od lawiny. Pozostałe maszty pewnie się ugięły pod setkami kilogramów śniegu, ale telefon Inigo nadal od czasu do czasu łapie jakieś niepewne kreski. Dostał SMS z domu – tylko jeden – i udało mu się odpowiedzieć, że nic mu nie jest. Czy Eva nie napisałaby do nas, że ma się dobrze,

kiedy to wszystko się wydarzyło? Czy nie znalazłaby drogi,  
żeby *w jakiś sposób* się z nami skontaktować?

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 0

O piętnastej jedenaście pada prąd. Siedzę w swoim pokoju, próbując się odciąć od hałasów na dole, kiedy w moim pokoju zapada ciemność. Zaczynam szukać telefonu, zastanawiając się, czy przepaliła się żarówka. Wtedy słyszę poirytowane dźwięki dochodzące z góry i dołu korytarza. Czyli to nie tylko u mnie.

– Czy właśnie odcięło nam prąd?

To głos Tophera, tuż pod moją sypialnią. Przez chwilę wydaje mi się, że mówi do mnie, ale potem słyszę niskie burczenie w odpowiedzi: to Elliot.

– Kurwa – odpowiada Topher. – Tego nam jeszcze było trzeba.

Otwieram drzwi i widzę, że reszta grupy zebrała się na półpiętrze przy świetle latarek z telefonów komórkowych, dyskutując o tym, co zrobić. Ostatecznie wlecemy się na dół, żeby skonsultować się z Erin i Dannym. Trzymam się z tyłu, kiedy Topher puka wściekły do drzwi kuchennych. Burczy coś pod nosem o tym pieprzonym zadupiu.

– Co? – pyta Danny. Ma zadziorną minę.

– Cześć – wita się Topher, nagle zmieniając ton. Włącza swój czar. Nie jest głupi. Wie, że musi mieć tych ludzi po swojej stronie. Efekt jest imponujący. Tak jakby ktoś przełączył przycisk. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale prąd nie działa.

– U mnie tak samo, stary – odpowiada krótko Danny.

– Czy może dałoby się coś z tym zrobić? – pyta Topher. Jest zdenerwowany, poznaję to po jego akcencie, który zrobił się dziwnie dystygowany.

– Nie bardzo. Zapasowy generator był w budynku z basenem.

Danny macha ręką w stronę szczątków widocznych przez okno kuchenne. Topher przeklina. Jego czar zaczyna znikać.

– Czyli będziemy wszyscy czekać, aż zamarzniemy na śmierć?

– Nie zamarzniemy – odpowiada Danny. – Mamy dużo drewna. Możecie zacząć od dorzucenia polana do kominka w salonie.

Topher otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć. Potem chyba się powstrzymuje i znowu je zamyka. Odwraca się i powoli idzie z powrotem przez ciemny salon. Reszta nas rusza za nim.

W pokoju wypoczynkowym Topher opada na sofę, a Miranda



zapala świece. Rik otwiera piec, miesza w roz żarzonych węglach i kładzie na wierzch kolejne dwa polana.

– Świetnie – mówi Carl. – Kurwa, doskonale. Tego włąs nie wszyscy potrzebowaliśmy. Zanim nas znajdą, będziemy pierdolonymi kostkami lodu.

– Nam nic nie będzie – gasi go krótko Miranda; mówi urywanym, rozdrażnionym tonem. – Powinniśmy się martwić o Evę.

Eva. W całym tym zamieszaniu prawie udało mi się o niej zapomnieć. Żołądek mi się ściska pod wpływem mieszaniny poczucia winy i niepokoju.

Zapada długa, przerażająca cisza, nikt nie chce zadawać pytań, które chodzą wszystkim po głowach. Co się z nią stało? Czy dopadła ją ta lawina? Czy nie żyje?

– Czy nie powinna, nie wiem, zadzwonić, gdyby nic jej nie było? – mówi w końcu Ani, przerywając ciszę. Jej zwyczajna nieśmiałość wybrzmiewa jeszcze bardziej. – Wiem, że nie ma za bardzo zasięgu, ale chociaż... jakiś... może SMS?

– Może nie miała możliwości się połączyć – zauważa Miranda, ale widzę, że tą uwagą bardziej próbuje przekonać samą siebie niż kogokolwiek innego.

Elliot stoi w rogu pokoju, a potem mówi coś do Tophera tym swoim niskim, obcesowym tonem i wychodzi. Topher wstaje z kanapy i idzie za nim bez słowa.

Marszczę brwi, patrząc, jak wychodzą, obserwując ich cienie skaczące i migoczące w świetle rzucanym przez chwiejne płomienie świec. Dokąd poszli? W wyrazie twarzy Tophera jest coś, co mi się nie spodobało. Jakieś nagłe poczucie celu. A to mnie niepokoi.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

– Jest źle, Erin. – Danny szpera w puszkach na tyłach ciemnej kuchni. Patrę na niego, a on się prostuje i przesuwa dłonią po swoich krótko ściętych włosach. – Jest bardzo, bardzo źle.

– Będzie dobrze – odpowiadam, ale szczerze mówiąc, kłamię i dobrze o tym wiem.

Moja kostka spuchła tak, że jest dwa razy większa niż zazwyczaj, i nadal nie może dobrze utrzymać mojego ciężaru. Nie mamy światła, a jedynym źródłem ciepła są kominki opalane drewnem. Danny nie jest w stanie nawet podgrzać w mikrofalce mrożonego curry. A Eva... Ale nie mogę o tym

teraz myśleć. Odsuwam od siebie obraz jej białej, zimnej twarzy, zamykam ją za tymi drzwiczkami swojego umysłu, za którymi trzymam tamte obrazy zamarznęte w lodzie. Muszę trzymać się myśli, że nic jej nie jest, że udało jej się dotrzeć do miasteczka i po prostu nie była w stanie skontaktować się telefonicznie. Boże, zasięg jest teraz fatalny.

– Twoja noga może być równie dobrze złamana – mówi Danny, ale kręcę głową z pewnością, której wcale nie mam.

– Nie sądzę, żeby była złamana. Chyba jest po prostu poważnie skręcona.

– Skąd to, do cholery, możesz wiedzieć? – pyta Danny, a potem podnosi dłoń. – Nieważne, zapomniałem, że jesteś pieprzoną lekarką. Możesz mi jeszcze raz wyjaśnić, co tu robisz, sprzątając po bogatych skurwysynach za minimalną pensję?

Mogę mu na to udzielić ośmiu różnych odpowiedzi. Mogę mu przypomnieć, że nie jestem lekarką, tylko przez chwilę studiowałam medycynę. Mogę mu zdradzić prawdę na temat tego, co mnie przywiodło do St. Antoine. Mogę mu zrobić wykład na temat złamań typu zielonej gałązki. Ale nie muszę mówić żadnej z tych rzeczy, bo on wraca do przeglądania puszek.

– Odgrzeję zupę, czy coś, na kominku – oznajmia i marszczy brwi, próbując odczytać etykietę za pomocą swojej komórki. – Jezu, co za katastrofa.

Oboje podskakujemy na dźwięk pukania i spoglądamy po sobie, a potem Danny podchodzi do drzwi. To Topher, ale tym razem ma inną minę niż tamta przymilna, z którą pytał nas, czy możemy jakoś magicznie naprawić światło. Wygląda... nie jestem pewna. Nie znam go na tyle dobrze, by to ocenić. Może być wkurzony albo poważnie zmartwiony.

– Tak? – rzuca szorstko Danny, ale ja się dźwigam i kuśtykam do niego. Nie bez powodu Danny nie zajmuje się

zbyt wiele domem. Brakuje mu taktu i cierpliwości. A sprawy mają się tak, że niezależnie od tego, w jak złej znaleźliśmy się sytuacji, Topher i Snoop nadal są naszymi gośćmi i powinniśmy się zachowywać tak, jakbyśmy reprezentowali firmę.

– Topher – mówię, a potem dostrzegam kręcącego się za nim Elliota. – Elliot, jak mogę wam pomóc?

– Elliot myśli, że znalazł Evę – oznajmia bez wstępów Topher.

– Co? – To ostatnie, czego bym się spodziewała. W głowie tłoczą mi się pytania. Gdzie? *Jak?* – Czy wszystko z nią w porządku?

– Nie wiemy. – Topher przeciska się koło mnie i Danny'ego, otwiera laptop i stawia go na blacie roboczym ze stali nierdzewnej. Oświetla on krąg naszych twarzy nieziemskim blaskiem, a Topher wstuka hasło. Na ekranie pojawia się ciąg pokręconego kodu. Nic to dla mnie nie znaczy.

– Mówiąc precyzyjniej – mówi niski, bezbarwny głos Elliota – znamy położenie jej telefonu.

– Jej telefonu?

– Jeden z powodów, dla których nie chciałem się zgodzić na wykup – zaczyna Topher – był taki, że Elliot pracuje nad dużą aktualizacją, która pomogłaby spieniężyć Snoopa. W wersji beta nazywamy to Geosnoopem, ale to pewnie nie będzie ostateczna nazwa. Jak może wicie, w tej chwili snooper może być anonimowy, jeśli się chce; nie można sprawdzić, gdzie dana osoba się znajduje, jedyne informacje to te, które poda się w profilu.

– Tak – odpowiadam powoli.

– Ale Elliot pracuje nad ulepszeniem, które pozwoli użytkownikom zobaczyć innych snooperów w promieniu pięćdziesięciu metrów. Nie będziesz wiedzieć, gdzie są dokładnie, ale możesz zobaczyć, że są blisko.

– Okej, rozumiem.

– Jeszcze tego nie uruchomiliśmy. Ale w ramach przygotowań do jego wprowadzenia zmieniamy zgody, których Snoop wymaga, żeby aplikacja miała dostęp do lokalizacji. W skrócie, Snoop ma tę informację, niezależnie od tego, czy zdecydujesz się ją wyświetlić. To są właśnie dane profili, które pozyskaliśmy razem z akcjonariuszami, żeby wygenerować dochód.

– Tak... – powtarzam, żeby w końcu przeszedł do sedna. Nie obchodzi mnie wewnętrzne działanie Snoopa i czuję, że wiem, do czego to zmierza. – Czyli mówisz, że wykorzystaliście tę informację, by sprawdzić lokalizację Evy?

– Tak, Elliot dał radę się do tego dostać i pobrał współrzędne GPS telefonu Evy.

– Jest tutaj – oznajmia Elliot i otwiera mapę GPS, na której czerwona flaga wskazuje przecięcie współrzędnych wpisanych przez niego do wyszukiwarki.

Kiedy tylko widzę tę pinezkę, serce mi zamiera i robi mi się zimno ze strachu.

– Gdzie to dokładnie jest? – pyta Topher, ale jego głos brzmi jakby gdzieś z oddali. Danny nagle przykłada sobie dłoń do ust i wiem, że zrozumiał właśnie to, o czym ja już pomyślałam wcześniej.

Na mapie Elliota są zaznaczone trasy, ale nie przewyższenia, a bez uproszczonej, trójwymiarowej, renderowanej oficjalnej mapy stoków w okolicy trudno zrozumieć położenie szczytów i dolin. Mała kropka oznaczająca Evę leży bardzo blisko zjazdu La Sorcière. Właściwie tak blisko, że mogłaby być prawie *na* trasie.

Ale nie jest. Jeśli ktoś zjeżdżał tym stokiem, tak jak ja, wielokrotnie, będzie wiedział, że z boku La Sorcière jest pionowy spadek. Spadek, który ciągnie się kilkadziesiąt lub nawet kilkaset metrów w dół głębokiej, niedostępnej doliny.

W oślepiającym śniegu Eva musiała jakoś zrobić to, czego obawiałam się od samego początku – zjechała z krawędzi.

– Gdybyśmy mogli podać te współrzędne zespołowi ratowniczemu... – mówił Topher z taką niefrasobliwą pewnością, na jaką może sobie pozwolić tylko prezes wielkiej, międzynarodowej korporacji, ale przerywam mu.

– Przykro mi, Topher, tak mi przykro...

– O co ci chodzi?

– Ta... – Przetykam ślinę. Staram się przekazać tę informację w jak najmniej brutalny sposób. – Ta kropka znajduje się za stokiem.

– Eva jest doskonałą narciarką – odpowiada pewnie Topher.  
– Poza trasą, nawet przy tej pogodzie...

– Nie, nie rozumiesz. Nie mówię tu o kupce nieubitego śniegu. Chodzi mi o to, że zjechała za szlak. Za krawędź. La Sorcière ciągnie się wzdłuż stromego urwiska. Bardzo stromego.

Topher patrzy na mnie bez wyrazu, nie potrafiąc lub nie chcąc zrozumieć tego, co staram się mu powiedzieć.

– Co masz na myśli? – pyta w końcu.

– Topher, jeśli Eva naprawdę znajduje się tam, gdzie wskazuje ta kropka, to nie żyje.

Żałuję, że powiedziałam to tak ostro, kiedy tylko kończę zdanie, ale trudno, nie mogę go już cofnąć.

Twarz Tophera bieleje. Potem odwraca się do Elliota.

– Jak dokładne jest to wskazanie?

– GPS zwykle pokazuje z dokładnością do około pięciu metrów – wyjaśnia Elliot. Wygląda... Boże, nie wiem. Prawie na niewzruszonego? Czy to możliwe? Na pewno nie. Nikt nie potrafi być taki bezduszny. A nawet jeśli, to czy nie próbowałby udawać jakiegoś rodzaju zatroskania? – Ale mogą się zdarzyć zakłócenia, odbity sygnał i tak dalej. Nie mam pojęcia, jak mogą na niego wpływać góry. Ale to nie jest

niemożliwe, że myli się o kilka metrów.

– Czyli ile, z dziesięć metrów? Mogłaby być na stoku – stwierdza desperacko Topher, ale wszyscy widzimy, że biorąc pod uwagę skalę mapy, to niemożliwe. Nawet pięćdziesiąt metrów nie sprawiłoby, że znalazłaby się na stoku. – Albo... albo mogła upuścić telefon podczas zjazdu.

– Myślę, że gdyby go upuściła, leżałby na stoku – zauważam bardzo cicho.

– Do kurwy nędzy, mogła go zrzucić z krawędzi! – wykrzykuje Topher.

Nikt na to nie odpowiada. Oczywiście to może być prawda, ale oczywiste pytanie brzmi „dlaczego” i nikt się nie odważy, by wypowiedzieć je na głos, nawet Elliot, który po prostu kiwa potwierdzająco głową, że uwaga Tophera z grubsza była słuszna. Wszystko, co znaleźliśmy, to telefon Ewy. Bardzo trudno wymyślić, jak mógł się znaleźć tam, gdzie teraz leży, bez Ewy.

– Kurwa – mówi Topher. Podchodzi powoli do podnóżka, którego używałam do podtrzymania mojej rannej stopy, i siada, jakby nie mógł ustać na nogach. – *Kurwa*.

– Jeśli ona nie żyje – odzywa się beznamiętnie Elliot – to co to oznacza dla Snoopa? Czy mąż Ewy jest teraz akcjonariuszem? Będzie głosował w sprawie wykupu?

– Kurwa! – Topher rozgląda się z szeroko otwartymi oczami, jakby nie wierzył w to, co się dzieje. – Arnaud? Nie... Nie wiem! Jezu, Elliot, jak możesz...

Urywa. Widzę, że mózg mu pracuje. Nawet teraz, mimo całego tego żalu, jest w równym, a może nawet większym stopniu założycielem Snoopa, co przyjacielem Ewy.

– Przypuszczam... Przypomniało mi się, jak to ustalaliśmy. Tam coś było na ten temat. Miało zapobiec przekazaniu firmy poza kontrolę pierwotnych akcjonariuszy bez ich zgody. Jestem prawie pewien, że akcjonariusze nie mogą sprzedać

ani przekazać swoich akcji... mogą zaproponować ich sprzedaż tylko Evie i mnie. To znaczy...

Urywa. Przetyka ślinę.

– Mnie.



**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 0

Eva nie żyje.

Nie wiem, jak to się wydostało, ale kiedy pojawiają się te szepty, zaczynają się rozchodzić jak mróz wspinający się po oknie. Wkrótce wszyscy już wiedzą. W salonie Miranda i Tiger szepczą nerwowo.

– Wiem. – Słyszę syk Mirandy. – Ale musimy przygotować *jakieś* oświadczenie na ten moment, kiedy wrócimy online, Tiger. Nie da się utrzymać w tajemnicy takiej dużej informacji, a jeśli wycieknie, to na dłuższą metę będzie jeszcze gorzej.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Ani przychodzi usiąść koło mnie

na kanapie. Twarz ma spuchniętą i zaczerwienioną, widzę to nawet w słabym świetle kominka i świeczek. – Słyszałaś?

Kiwam głową. Nie ufam swojemu głosowi. Mimo wszystko, mimo tego, co wydarzyło się przez te wszystkie lata, odkąd odeszłam ze Snoopa, moje uczucia są zbyt świeże.

– Nie mogę w to uwierzyć! – powtarza zrozpaczona Ani. – O Boże, to jest okropne. Biedna, biedna Eva. Rik mówi, że może nawet nie będą w stanie odnaleźć ciała. O Boże, biedny *Arnaud*. A on nawet jeszcze nie wie. Jak on to powie Radisson? Jak wyjaśnić dziecku w takim wieku, że mamusia nie wróci już do domu?

Radisson. To imię dźga mnie jak nóż. Prawie zapomniałam, że od czasów, kiedy pracowałyśmy razem, Eva zdążyła urodzić dziecko.

– Nie wiem – odpowiadam ochryple.

– Cholera wie, co to oznacza dla wykupu – mówi ponuro Carl z drugiego końca pokoju i Ani odwraca się do niego.

– Carl! Jak w ogóle możesz o tym *myśleć*?

– Wiem. – Carl unosi ręce w obronnym geście. – Słuchaj, to nie jest z mojej strony egoistyczne, *ja* nie dostanę żadnej wypłaty w milionach dolarów, prawda? Nie mówię tu o pieniądzach, mówię o bezpieczeństwie naszej firmy. Nadal jestem głównym prawnikiem Snoopa i muszę myśleć o takich rzeczach. Snoop nie przestanie istnieć dlatego, że Eva miała wypadek. A nasi wszyscy pracownicy nie znikną. Mam wobec nich zobowiązania, tak jak i wobec firmy. To samo bym powiedział, gdybym sam zjechał z urwiska. No, to znaczy gdybym był w stanie mówić.

– Carl ma rację. – Zza nas niespodziewanie wychodzi Rik, wyłania się z cienia i kładzie dłoń na ramieniu kolegi. Jego twarz w świetle świec wygląda na zaniepokojoną. – Chociaż chamsko to ujął. Śmierć Evy to tragedia, co do tego nie ma wątpliwości, ale tak całkiem na zimno, ma bardzo mało

związku ze Snoopem. Ta firma jest osobnym bytem, niezależnym od każdego z nas, nawet Ewy i Tophera. Propozycja wykupu wciąż jest w grze. Zegar tyka. Nadal musimy na nią odpowiedzieć. Śmierć Ewy tego nie zmienia.

– No... chyba zmienia jedną rzecz, co, stary? – spytał Carl. W jego głosie jest coś, co mi się nie podoba. Coś ponurego. Rik patrzy na niego zaskoczony.

– Przepraszam, nie jestem pewien, do czego zmierzasz. Chodzi ci o akcje Ewy? Pewnie przejdą na jej męża.

– Tylko że właśnie tak nie będzie – odpowiada beznamiętnie Carl.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Nawet jeżeli Eva nie pozostawiła testamentu, to Arnaud i tak będzie wszystko dziedziczył, a on raczej na pewno będzie chciał zaakceptować wykup.

– Umowa wspólników – mówi Carl. Rik nadal patrzy na niego bez zrozumienia, więc prawnik wyjaśnia: – Kiedy zakładano firmę, w dokumentacji zawarto zapis mówiący, że nikt nie może przekazać swoich akcji nikomu z zewnątrz. Sam jesteś akcjonariuszem, stary, nie wiedziałeś?

– Co? – pyta z większą mocą Rik. – Nie, nie wiedziałem tego! Dlaczego, do cholery, ktoś mógłby uznać to za dobry pomysł?

– To dość powszechne – odpowiada Carl, wzruszając ramionami. – Powiedziałbym nawet, że to dobra praktyka. Powstrzymuje firmę przed przejściem w ręce kutasów i piździelców. Oznacza, że pierwotni założyciele nie mogą zostać zmuszeni do odejścia bez ich zgody, takie tam. Topher i Eva zorganizowali to w ten sposób, żeby takie rzeczy się nie działy, wiesz, na przykład jak ktoś się rozwodzi i musi oddać połowę swoich akcji, a niekoniecznie chcesz, żeby twój stuknięty eks mógł głosować w sprawie twojej firmy.

– Kurwa, czyli co to znaczy? – pyta Rik. Wygląda na przerażonego. – Akcje Ewy znikają wraz z jej śmiercią?

– No nie, nadal istnieją. Ale Arnaud musi je sprzedać Topherowi.

– *Topherowi?* Dlaczego nie reszcie z nas?

– Ponieważ ten zapis powstał, zanim dołączyliście ty i Elliot – wyjaśnia krótko Carl. – Tak to postanowili, kiedy chodziło tylko o ich dwoje. Nie zaktualizowano tego zapisu, kiedy wypuścili więcej akcji.

– Czyli... Topher będzie musiał wykupić Arnauda? – pyta Miranda. Przyszła usiąść obok Rika, marszczy brwi. – Tylko że, cóż... – Przerywa znacząco i wymienia się spojrzeniami z Rikiem.

– Tylko że nie może – zauważa bez ogródek Rik. – Nie ma płynności finansowej. Nie sądzę, żeby to była jakaś wielka tajemnica. Więc co to znaczy?

– Jest jakaś polisa ubezpieczeniowa, która ma pokryć taki koszt. A przynajmniej powinna być, o ile regularnie ją opłacali. Akcje będą musiały być niezależnie wycenione, a Arnaud otrzyma to, co orzekną rzeczoznawcy, tak przypuszczam. Nie mam pojęcia, czy wezmą pod uwagę wykup. To jest chyba do decyzji ubezpieczycieli.

– Chwileczkę, a to znaczy... – Rik wygląda, jakby go raził grom. – Mówisz, że...

– Że udział akcji Tophera wzrósł właśnie do sześćdziesięciu procent. No, tak to właśnie wygląda – przyznaje Carl.

Miranda wygląda na wstrząśniętą.

Rik odwraca się na pięcie i wychodzi z pokoju.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Wiadomość o śmierci Evy rezonuje jak kamyk wrzucony do sadzawki. Nie, nie kamyk – jak skała. Najpierw to paskudne, wstrząsające uderzenie, a potem kolejne fale reakcji, promieniujące od tej początkowej katastrofy, a następnie łączące się na nowo, wchodzące w interakcje, powiększające się i zaprzeczające sobie nawzajem.

Kiedy podajemy gościom z Dannym zupę w cichej, oświetlonej świecami jadalni, nie mogę się powstrzymać od przyglądania się im, temu, jak każdy na swój sposób próbuje zrozumieć zniknięcie Evy.

Niektórzy są w fazie głębokiego zaprzeczenia, na przykład Inigo nie chce wierzyć w dowody z GPS-a.

– I tak może być po prostu na dole, w St. Antoine – powtarza. – GPS-y ciągle się mylą, a poza tym, nawet jeśli jej telefon gdzieś jest, to czego to dowodzi?

Niektórzy wydają się oniemiać pod wpływem tej tragedii. Tiger prawie nic nie je. Po prostu siedzi z głową pochyloną nad nietkniętą zupą, a dźwięki rozmów grupy spływają po niej, jakby nikogo innego tam nie było.

Niektórzy wyglądają na wstrząśniętych. Ani wydaje się tylko na wpół świadoma tego, co się dzieje, kruszy chleb i rzuca bezsensowne uwagi do nikogo konkretnego. Liz jest blada i w szoku, prawie się nie odzywa.

Ale niektórzy w ogóle nie wyglądają na poruszonych. Na przykład Elliot je zupę z pokerową miną i ze smakiem, jak gdyby nic strasznego się nie wydarzyło. Jego brak reakcji jest wręcz niepokojący, chociaż kiedy Ani wybucha: „Elliot, czy cię to nie *obchodzi?*”, wygląda na szczerze zaskoczonego.

– Oczywiście, że mnie obchodzi – odpowiada. – Ale przecież muszę zjeść obiad.

Mój wzrok wraca ciągle do Tophera. Tophera, który stracił współpracowniczkę i zyskał firmę.

Wydaje się dość oczywiste, że Topher ma teraz pełną kontrolę nad Snoopem, a mimo jego wcześniejszego szaleńczego żalu nie wydaje się taki wstrząśnięty informacją, iż został głównym akcjonariuszem w firmie wartej miliardy dolarów. Wygląda wręcz, jakby go to nie poruszało; nawet mu to służy, jak gdyby jego osobowość rozszerzyła się tak, by wypełnić pustkę pozostawioną przez Evę. Kiedy sprzątam naczynia po zupie i uzupełniam kieliszki wina – wino przynajmniej nie potrzebuje gotowania ani chłodzenia – podnosi swój kieliszek i opróżnia go do dna, śmiejąc się przy tym dziko. Dużo pije, wychyla jeden kieliszek po drugim,

racząc milcząca Tiger jakąś opowieścią o tym, jak wyzyskiwali z Evą ludzi, gdy założyli firmę. I właściwie to rozumiem – rozumiem powód, dla którego ten człowiek został prezesem. Widzę pewność siebie, która pozwoliła mu wierzyć, że może wprowadzić szalony, nieprawdopodobny pomysł na zatłoczony rynek – i zrobić z niego miliardową ofertę. Coś, czego wcześniej tak do końca nie rozumiałam – *jak* ktoś może mieć w sobie tyle hucpy, żeby tego dokonać, i to jeszcze przed trzydziestymi urodzinami – teraz wydaje się nagle proste.

Z drugiej strony Rik zdaje się kurczyć. Wygląda na oszołomionego, pobitego, jak człowiek, który stracił wszystko, a jak przypuszczam, w pewnym sensie to prawda. Z Topherem na czele ten miliardowy wykup się oddała, pozostawiając go z... czym? Z udziałami w firmie, którą próbował sprzedać wbrew woli jej założyciela? Pracą dla szefa, któremu nie ufa? Nie sądzę, żeby przetrwał długo na swoim stanowisku, kiedy wróca do kraju, niezależnie od tego, czy są najlepszymi przyjaciółmi, czy nie. Topher nie robi na mnie wrażenia człowieka, który potrafiłby przejść do porządku dziennego nad takim przewrotem, jakiego próbowali dokonać Rik i Eva.

Jeszcze większe wrażenie robi fakt, że Carl i Miranda, którzy mogli z łatwością przekierować swoją lojalność, kiedy zobaczyli, z której strony wieje wiatr, zamiast tego zgromadzili się wokół Rika. Czy naprawdę wierzyli, że Snoop jest z góry przegrany bez Ewy u sterów? Tak czy inaczej, nie stanęli po stronie Tophera, to jest oczywiste. Siedzą obok Rika jak figury szachowe strzegące swojego króla.

Ale wydaje się, że turniej dobiega końca. Stracili swoją królową. Kolejny raz przy stole jest miejsce, puste miejsce. Tym razem nie Tophera, ale Ewy, jej puste krzesło pozostaje stałym, bolesnym przypomnieniem tego, co się wydarzyło; nie pozwala nikomu zapomnieć choćby na sekundę, co zaszło.

Domek jest nadal dość ciepły, mimo braku prądu i spadku

temperatury na zewnątrz. Izolacja cieplna oraz okna trzyszybowe sprawiają, że ciepło zgromadzone za dnia nadal wystarcza, by dało się wytrzymać w sypialniach, a dwa kominki na dole utrzymują salon i jadalnię w przyjemnym cieple.

Mimo wszystko przed położeniem się spać roznoszę dodatkowe koce i kołdry, kuśtykając od drzwi do drzwi, przytrzymując łokciem latarkę i ściskając naręczą dodatkowej pościeli, które trzymamy na wszelki wypadek, oraz termosy z gorącą czekoladą.

Mam właśnie zastukać do przedostatnich drzwi, kiedy odzywa się Danny, sunący za mną ze stosem kocy:

– Erin, czekaj – rzuca ostrzegawczym tonem.

Zatrzymuję się. To drzwi Ewy.

I z jakiegoś powodu ta prosta rzecz mnie uderza, przypomina o tym, co się tu naprawdę stało. Lawina. Śmierć. Czy Perce-Neige kiedykolwiek się podniesie po tej podwójnej katastrofie? Trudno sobie wyobrazić ludzi czytających takie wiadomości w niedzielnym wydaniu gazety, a potem rezerwujących wakacje w tym miejscu, ale z drugiej strony St. Antoine nie jest pierwszym alpejskim kurortem, który doświadcza tragedii w postaci lawiny. To zdarza się prawie co roku, nawet w tym sezonie nieopodal doszło do czegoś podobnego.

– Erin? – pyta Danny, a ja zauważam, że zatrzymałam się w pół kroku, zatopiona w myślach.

– Przepraszam – odpowiadam głupio. – Za... zagapiłam się...

– Wszystko w porządku? – pyta zaniepokojony. – Powinnaś siedzieć. Nie podoba mi się, że chodzisz z tą kostką.

– Nic mi nie jest – rzucam krótko.

Szczerze mówiąc, boli mnie ta kostka. Bardzo. Danny pewnie ma rację i nie powinnam jej obciążać. Ale nie mogę znieść siedzenia w samotności i ciszy, w ciemnościach kwater



dla personelu, czując, jak noga mi pulsuje, i myśląc o tym, co się stało i co będzie dalej. Lepiej się czuję, pracując; niekończące się zadania jakoś pozwalają mi utrzymać dystans. Poza tym, spójrzmy na to praktycznie: interakcje z gośćmi nie są mocną stroną Danny'ego. Wybaczyli mu brak taktu w obliczu lawiny, a przynajmniej taką mam nadzieję, ale teraz zdecydowanie powróciliśmy do swoich ról. Mamy być tu uprzejmymi, dobrymi gospodarzami, nawet w tych okolicznościach. A może *zwłaszcza* w tych okolicznościach. Wydaje się, że wszystko się wali – a nasze przypisane odgórnie role to jedyne, czego możemy się trzymać. *Musimy* z Danny'm pozostać na stanowiskach. Jeśli nie utrzymamy swojego autorytetu, jeśli pozwolimy Topherowi na przejęcie sterów – cóż, nie chcę myśleć, jak to mogłoby się skończyć.

Zostały już tylko drzwi. Tophera. Podnoszę swoje naręcze koców trochę wyżej, nim zapukam.

Jest pijany, poznaję to, gdy tylko otwiera drzwi. Ma na sobie szlafrok, rozchylony do pasa mimo zimna, i trzyma w ręku butelkę. Do tego nie jest sam. Bez górnego światła nie widzę, kto jest w środku, ale mam straszne przeczucie, że to może być mała Ani, która nie otworzyła drzwi, gdy pukałam do niej parę minut wcześniej. Chcę jej powiedzieć, że odpowiedź na rozpacz po Evie nie znajduje się w łóżku Tophera – ale nie mogę. To nie moja sprawa. Jest w tym samym wieku co ja, jest gościem, a nie moją przyjaciółką, i nie mam prawa jej mówić, co powinna robić, nawet jeśli uważam, że popełnia ogromny błąd.

– Ellen – mamrocze Topher. – No cześć. Co cię sprowadza do mojego pokoju o takiej wieczornej porze? Trochę już za późno na poprawianie kołderek.

– Dodatkowe koce – odpowiadam ze swoim najbardziej pogodnym uśmiechem. – Na wypadek gdyby w nocy spadła temperatura. Nie mogę pozwolić, żebyście wszyscy zamarli na

śmierć na mojej warcie.

– Powiem ci coś w sekrecie... – Topher nachyla się poufnie, jego szlafrok mocniej rozchodzi się na piersi i ukazuje kępkę ciemnych blond włosów. – Najlepszy zestaw ratunkowy w takim wypadku to naga kobieta.

Oż kurde.

Czuję, jak mój uśmiech zamiera.

– Cóż, obawiam się, że nasze usługi tego nie obejmują.

– Tę część już sobie zorganizowałem – odpowiada, ale chwając się lekko, sięga po trzymane przeze mnie koce.

Mam już się odwrócić i wyjść, kiedy ni stąd, ni zowąd zadaje mi pytanie:

– Czy my się znamy?

– Nie wydaje mi się – odpowiadam pewnie.

– Ależ tak... Już cię gdzieś widziałem. Może byłaś kelnerką w Londynie, zanim tu przyjechałaś?

– Niestety nie.

– Ależ tak – upiera się. – *Znam* cię. Myślałem o tym, odkąd przyjechałem.

– Stary, powiedziała, że cię nie zna, a ty jesteś najebany – wtrąca Danny i przeciska się koło mojego ramienia, żeby stanąć przede mną. Topher też robi krok naprzód, a jego wyraz twarzy zmienia się strasznie, zanim w ogóle zdążę pomyśleć „o szlag”.

Danny zaciska pięści, ścięgną na szyi napinają mu się jak liny i przez minutę tych dwóch mężczyzn po prostu stoi przed sobą, pierś w pierś. Czuję, jak serce mi wali. Danny *nie może* uderzyć Tophera. Zwolnią go.

Ale Topher wie, kiedy stąpa po cienkim lodzie, i to on się odsuwa z odpowiednio pochlebczym śmiechem.

– Mój błąd. *Stary*.

Kiedy zamyka drzwi, stoimy za nimi z Dannym, patrzymy na siebie i zastanawiamy się, ile to może jeszcze potrwać, nim

ten lód się załamie.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Kiedy się budzę, jest *zimno*. To pierwsze, co zauważam. To ostry kontrast z wczorajszym porankiem, kiedy to obudziłam się z suchymi ustami i uczuciem, że całą noc spałam w pokoju kilka stopni cieplejszym niż moja sypialnia w domu.

Wyciągam rękę i biorę łyk wody stojącej na nocnym stoliku. Jest schłodzona, jakby stała w lodówce.

Pod dodatkowymi kołdrami, które zostawiła Erin, nadal jest mi dość przyjemnie, ale niespecjalnie mam ochotę się ubierać. Ostatecznie sięgam po tutejszy gruby szlafrok, leżący w nogach łóżka, i wciągam go pod przykrycie, żeby go ogrzać,

zanim go włożę. Pamiętam, że tak samo robiłam w swojej dziecięcej sypialni, kiedy dorastałam: wciągałam swój szkolny mundurek pod kołdrę, żeby się ubrać. Tamten pokój znajdował się na źle zaadaptowanym poddaszu i zimą było tam prawie tak, jakbym spała na zewnątrz. Kiedy budziłam się rano i wydychałam powietrze, wydmuchiwałam biały obłoczek. Nocami wilgoć zbierała się na skośnym dachu, a potem zamarzała w formie drobnych lodowych runów na ścianie nade mną. Tu nie jest tak źle. Przede wszystkim jestem w luksusowym górskim domku, nie w wiktoriańskim szeregowcu w Crawley. Ale jeśli chodzi o temperaturę, to mimo wszystko jest dotkliwie zimno.

Podnoszę telefon i zerkam na ekran. Jest dziewiętnaście po siódmej. Bateria ma już tylko piętnaście procent, ale nie bardzo mam czas się tym przejmować, bo coś mnie rozprasza.

Mam jakieś powiadomienie.

W pewnym momencie w nocy mój telefon zdołał się połączyć z internetem. Teraz nie ma zasięgu, kreski poszarzały, ale powiadomienie nadal tam jest, dowodząc, że chociaż przez sekundę musiała być jakaś iskierka połączenia.

Drugim zaskoczeniem jest fakt, że przyszło ze Snoopa. Nigdy nie dostaję żadnych powiadomień od Snoopa. Powiadomienia przychodzą tylko wtedy, gdy ktoś cię zaobserwuje, a u mnie to się nigdy nie dzieje.

Tylko... teraz tak się stało. W którymś momencie w nocy ktoś mnie zasnoopował. Nie jestem pewna jak, bo niczego nie słuchałam. Nie miałam pojęcia, że to możliwe. Chociaż może kiedy Wi-Fi się połączyło, jakoś zrestartowało mój streaming tam, gdzie się urwał, tylko na minutę?

Ta myśl sprawia, że czuję się dziwnie. Nie ma szans, żebym zobaczyła, kto to – można zobaczyć, kto cię snoopuje, tylko w czasie rzeczywistym; kiedy się wylogowują, połączenie się urywa, pozostaje tylko numer. Potem przestaję się tym

przejmować. Najprawdopodobniej to jakiś bot albo błąd serwera, albo ktoś źle wpisał ID osoby, którą rzeczywiście chciał zaobserwować.

Pokoje na dole są ciche, ale znacznie cieplejsze, leży tam też stosik czegoś, co – jak przypuszczam – musi być wczorajszymi croissantami, ciepłymi przy ogniu w lobby, a na gzymsie kominka stoją dwa termosy.

Sięgam po croissanta i przechodzę do salonu, by ogrzać ręce przy ogniu, a po drodze jem. Zakładam, że jestem sama. Ale wtedy dostrzegam coś kątem oka i widzę Elliota siedzącego w fotelu, pochylonego nad swoim laptopem. Ten widok mnie zaskakuje z dwóch powodów – po pierwsze, jego laptop działa i wygląda na to, że jest podłączony do prądu. A po drugie, Elliot prawie nigdy nie wychodzi ze swojego pokoju, chyba że na posiłki. Właściwie, kiedy pracowałam w Snoopie, nie wychodził z biura nawet na jedzenie. Zawsze zlecał jakiemuś stażyscie, żeby dostarczył mu coś na wynos – codziennie to samo, czarną kawę i trzy croissanty z serem i bekonem z Pret. To musiało być dla niego bardzo niewygodne, kiedy przestali podawać przez cały dzień croissanty i przesunęli je do menu śniadaniowego. Z tego wszystkiego zaczynam się zastanawiać, co wtedy zrobił. Zmienił jadłospis na lunch? Jakoś nie umiem sobie tego wyobrazić. Może zaczął wysyłać po niego stażystę o dziesiątej rano.

Zwykle nie rozmawiam z Elliotem. Bardzo trudno się z nim gada, chociaż nie jest to pewnie moja wina. Eva kiedyś mi powiedziała, że on dzieli kobiety na te, z którymi chciałby się przespać, i te, które go nie interesują. Ja na pewno jestem w tej drugiej kategorii. Ale teraz zbieram się na odwagę.

– Cześć, Elliot.

– Cześć, Liz – odpowiada beznamiętnie, ale znam go na tyle

dobrze, by wiedzieć, że to nie jest żadna miara jego entuzjazmu. Wita tak wszystkich, nawet Tophera, który pewnie jest jego najulubieńszym człowiekiem.

– Jakim cudem twój laptop działa?

– Zawsze wożę ze sobą powerbank. – Podnosi go, masywny klocek wielkości cegły, przypięty do wejścia zasilania w jego komputerze. Oczywiście. To w stylu Elliota, nie pozostawiać niczego losowi.

– Ale nie masz dostępu do internetu, prawda?

– Nie – przyznaje. – Ale nie potrzebuję go do programowania.

– A nad czym pracujesz?

– Nad aktualizacją Geosnoopa. – Jego zwykle blada twarz rumieni się nieco z przejęcia i chłopak zaczyna obszerny wykład, którego zupełnie nie rozumiem, na temat geolokalizacji, partnerów reklamowych, przechowywania informacji, ogólnego rozporządzenia o ochronie danych oraz technicznych wyzwań związanych z tym, jak sprawić, by wszystkie te elementy działały zgodnie z prawem oraz obecnym interfejsem Snoopa.

Kiwam głową, udając większe zainteresowanie, niż rzeczywiście czuję. Tak naprawdę interesuje mnie wyłącznie fakt, że wykorzystał tę technologię do odnalezienia Ewy. Wydaje mi się to nieznośnie przejmujące – że to jej własna aplikacja może zaprowadzić zespół ratowniczy do jej ciała.

– Rozumiem – mówię w końcu, kiedy Elliot urywa. – To brzmi bardzo... ekscytująco. – Staram się brzmieć przekonująco, ale on tak naprawdę nie zdaje się tym przejmować. Nie żeby kiedykolwiek bardzo się obnosił ze swoimi emocjami.

– A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, muszę wracać do pracy – rzuca opryskliwie i tak bezpośrednio, że wprawia mnie to w zakłopotanie.

– Przepraszam – odpowiadam. – Myślałam, że może zszedłeś na dół, żeby pogadać.

– Zszedłem na dół, bo w moim pokoju jest za zimno, żeby pisać na klawiaturze – odpowiada, a potem wkłada na głowę słuchawki i jego palce zaczynają znowu stukać w klawisze.

Powinnam czuć się obrażona. Wydaje mi się, że to by było właściwe. Ale nie jestem. Może i jest bezpośredni do tego stopnia, że graniczy to z brakiem uprzejmości, ale w tej chwili jest w tym coś krzepiącego. Jeśli chodzi o Elliota, to nie trzeba przy nim rozgryzać żadnych tajnych kodów, ukrytych znaczeń, nie ma żadnego ciężaru oczekiwań. Jeśli chce ci coś powiedzieć, to to powie. Jeśli chce, żeby coś się stało, to ci powie. W tym momencie jest to pocieszające w opozycji do całego tego picu na wodę Evy i Tophera, przy których nigdy nie było wiadomo, na czym się stoi. Czasami, jeszcze w początkach Snoopa, przypominali mi moich rodziców – przed gośćmi kochani i radośni, a po wyjściu towarzystwa krzyczący i rzucający groźby. Przynajmniej kiedy Elliot pyta: „Masz z tym jakiś problem?”, wiesz, że naprawdę oczekuje odpowiedzi.

Kiedy mówił to mój ojciec, jedyna dozwolona odpowiedź brzmiała: „Nie, tatusiu”. A następnie należało jak najszybciej zejść mu z drogi, nim padł pierwszy cios.

Skubię brzeg croissanta, gapiąc się na płomienie w kominku, kiedy jakiś hałas za mną sprawia, że podskakuję ze strachu. Mój croissant upada na podłogę, posyłając na boki okruchy. Podnoszę go. Potem się odwracam i widzę Rika oraz Mirandę wchodzących do pokoju. Rik wygląda, jakby nie spał.

– Jak się masz? – pyta niespodziewanie, a potem siada koło mnie. Jestem zaskoczona, nie wiem, co odpowiedzieć. To idealne zobrazowanie różnic między Rikiem i Elliotem. Gdyby to Elliot mnie spytał, wiedziałabym, o co mu chodzi, tylko że Elliot pewnie nigdy by mnie o to nie spytał, bo rozumiałby, że



odpowiedź na takie pytanie jest niemożliwa. Ale kiedy zadaje je Rik, to staje się ono zagadką. O co mu chodzi? Czy chce wiedzieć, jak się czuję w związku ze śmiercią Ewy? Jak mam to podsumować w prostej odpowiedzi? Czy raczej pyta w ten pozbawiony znaczenia sposób, jak robią to ludzie, oczekując jedynie odpowiedzi: „w porządku”?

– Wszy... Wszystko w porządku – odpowiadam ostrożnie. – Biorąc pod uwagę okoliczności.

– Naprawdę? – Rik patrzy na mnie zaskoczony. – W takim razie jesteś lepszym człowiekiem ode mnie. – Zerka na Elliota, a potem ścisza głos, chociaż Elliot nadal ma na głowie swoje wielkie słuchawki wygłuszające i wątpię, by słyszał cokolwiek. – Mieć takie pieniądze tuż przed nosem, a potem je stracić...

Nagle rozumiem prawdziwe znaczenie jego pytania. Chciał porozmawiać o Topherze. O tym, co zmiana układu sił oznacza dla wykupu.

– Och... Tak naprawdę o tym nie myślałam – odpowiadam i taka jest prawda... do pewnego stopnia.

Skłamałabym, twierdząc, że nie zastanawiałam się nad tym, co się teraz stanie, gdy Topher przejmie firmę. Ale te pieniądze jakoś nigdy nie wydawały mi się prawdziwe. Nigdy nie czułam, że na nie zasłużyłam. Nie mam wrażenia, że coś mi zabrano – raczej jakbym miała dziwny sen, a potem się obudziła w rzeczywistości. Tylko to wszystko – lawina, śmierć Ewy – wcale nie wygląda realnie. Bardziej jakbym się obudziła i znalazła w równie surrealistycznym koszmarze.

– Ale nie robiłaś sobie żadnych planów? W związku z tymi pieniędzmi?

– Nie bardzo – odpowiadam powoli. – Szczerze mówiąc, nawet nie zdążyłam się oswoić z myślą, że miałabym je dostać.

– Jezu – odpowiada Rik. Wygląda na zniecierpliwionego. Wydaje mi się, że udzieliłam złej odpowiedzi, ale nie wiem dlaczego. Zaczyna mnie ogarniać uczucie paniki. Takie samo,

jakie zawsze pojawiała się przy moim ojcu. Że zrobię lub powiem coś nie tak. Że on się odegra na mojej matce. – Czy mogłabyś przestać odgrywać Matkę Teresę, Liz? Wszystko straciliśmy. Nie rozumiesz tego?

– Ale na pewno n-nie straciliśmy wszystkiego? To znaczy nadal mamy akcje.

– Akcje! – Rik śmieje się krótko i szcześliwie. – Liz, czy ty słuchałaś mojego wczorajszego wykazu zysków i strat? Będziemy mieli szczęście, jeśli pod sterami Tophera Snoop dotrwa do końca roku, a bez Evy pozyskującej inwestorów będzie tylko gorzej.

– Ale ta aktualizacja – odpowiadam, chociaż wiem, że sama teraz szukam czegoś, co by mnie utwierdziło. – Ta geolokalizacja Elliota, czy w niej nie chodzi właśnie o to, żeby Snoop przynosił więcej zysków?

– Z punktu widzenia przychodów mieliśmy już tę informację, i to od ubiegłego roku, kiedy zmieniła się ta zgoda. To, jak Elliot wplecie ją do aplikacji, może zmienić doświadczenie użytkownika, ale zadowolenie użytkowników nigdy nie stanowiło dla nas problemu, chodziło raczej o to, jak czerpać z niego zyski. Z perspektywy inwestora wprowadzenie Geosnoopa niczego nie zmieni, ta wartość dodana już tam jest. A zresztą. – Zerka przez ramię na Elliota, który wciąż stuka w klawiaturę. – Mam wątpliwości co do tego rozszerzenia. Nie wydaje mi się, żeby ludzie zdawali sobie sprawę, jak dużo informacji na ich temat zbiera Snoop. Myślę, że kiedy ta aktualizacja sprawi, że poziom śledzenia stanie się widoczny, możemy się spotkać z ostrą krytyką.

– Jedną z unikalnych cech naszego produktu zawsze było lekkie podejście – dodaje Miranda, wychodząca z lobby z kubkiem kawy w ręku. Bierze łyk i się krzywi. To chyba reakcja na smak kawy. Chociaż może chodzić też o perspektywę rozszerzenia. – Ludzie lubią, kiedy mogą być

tak anonimowi, jak im się podoba, to dzięki temu pozyskujemy celebrytów. Nie jestem pewna, ile osób zauważyło zmianę w zgodach i naprawdę zrozumiało, co ona oznacza, bo po stronie użytkownika nic się nie zmieniło. Ale po tej aktualizacji wszystko stanie się oczywiste. Użytkownicy będą dokładnie widzieli, jak dużo Snoop wie o ich krokach. Powiedziałam kiedyś Topherowi i Elliotowi, że z tym wszystkim jest związane duże ryzyko wizerunkowe, ale obaj są tak bardzo skupieni na fajnej, technicznej stronie tego przedsięwzięcia...

Urywa i zerka na Elliota. Nadal siedzi ze spuszczoną głową, stukając w klawiaturę, ze słuchawkami na uszach.

– W każdym razie, nieważne. To prawdopodobnie nie jest czas ani miejsce na tę rozmowę. Jest za... wcześniej. – Siada koło mnie i Rika, bierze kolejny łyk kawy, a potem odstawia kubek. – Jak się *masz*? – pyta mnie. Ledwo się powstrzymuję od wywrócenia oczami. Wygląda na to, że wszyscy zadają to pytanie, kiedy tak naprawdę chcą się dowiedzieć: „O czym myślisz?”.

Od odpowiedzi wybawia mnie Elliot, który niespodziewanie wstaje, zamyka swój laptop i ściąga słuchawki. Wygląda na... spiętego. Co jest nietypowe. On nie okazuje uczuć z łatwością.

– Wszystko okej, Elliot? – pyta pogodnie Miranda. Widzę, że zastanawia się, ile Elliot usłyszał z naszej rozmowy. – Erin wystawiła w lobby kawę, jeśli masz ochotę – dodaje, ale on ignoruje tę uwagę.

– Wiecie, gdzie jest Toph? Muszę z nim porozmawiać.

– Chyba jeszcze siedzi w swoim pokoju – odpowiada Rik. Marszczy brwi. Wyobrażam sobie, jak odtwarza w głowie naszą rozmowę, próbując wymyślić, czy powiedział coś obciążającego i co Elliot może chcieć przekazać Topherowi. – Wiesz co, czekaj – dodaje, kiedy Elliot zdecydowanie rusza w stronę schodów. – Nie wchodziłbym tam, zdaje się, że ma... towarzystwo...

Ale jest już za późno. Elliot albo nie usłyszał, albo go to nie obchodzi. Nie odpowiada na ostrzeżenie Rika. Ostatnie, co słyszymy, to jego ciężkie kroki stawiane na spiralnych schodach wiodących w stronę sypialni.

## **ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

– Och, cześć, Erin.

Wystawiam kolejny termos kawy, kiedy do jadalni zagląda uśmiechnięta Ani. Wygląda, jakby nie spała za dużo. „Mam nadzieję, że wiesz, co robisz”, chcę jej powiedzieć, ale nie robię tego.

– Dzień dobry, Ani. Masz ochotę na kawę? Ekspres nie działa, ale Danny’emu udało się zamontować czajnik na kominku, więc mamy gorącą kawę z zaparzacza. French press.

– Ooooh, tak, poproszę – odpowiada Ani. – Czy mogłabyś też zanieść filiżankę Tophrowi?

– Pewnie.

– To... to znaczy, chyba że... co z twoją kostką? – dodaje, speszona, że tak łatwo wskoczyła w tryb gościa i obsługi. – Ja mogę zanieść, jeśli ty...

Przerywa. Wszyscy czują się wytrąceni dziwnością tutejszego układu. Czy wszyscy jesteśmy ocalańcami, czy nadal wczasowiczami i obsługą? Sama nie wiem, ale przeczuwam, że będzie łatwiej, jeśli zostaniemy przy

normalnym protokole. Ktoś musi dowodzić i szczerze mówiąc, wolę, żebym to była ja niż Topher.

– Już dużo lepiej, dzięki – kłamię. – Bez problemu poradzę sobie ze schodami.

– Ale nie powinnaś – odpowiada Ani i podejmuje decyzję. – Ja zaniosę.

– Na pewno?

– Tak, jasne. Wezmę też jedną dla Elliota. Musi tam zamarzać.

Napełnia trzy filiżanki i ostrożnie zanosí je po spiralnych schodach do sypialni.

Do dziesiątej wszyscy zdążyli się obudzić i postanowiliśmy z Dannym zebrać gości w lobby na spotkanie. Nie ma żadnych nowych informacji, a pogoda nadal jest zbyt nieprzewidywalna, by helikopter wylądował na naszej wąskiej półce u zbrocza góry, ale lokalna stacja radiowa informuje, że trwają poszukiwania i akcje ratunkowe oraz że energetyka pracuje nad przywróceniem dostaw prądu do peryferyjnych miejscowości. Wygląda na to, że nie jesteśmy jedynymi ludźmi uwięzionymi bez prądu.

Znajdujemy się wręcz w znacznie lepszej sytuacji niż niektórzy. Ale wydaje się dobrym pomysłem, by upewnić wszystkich, że poczyniono postępy, i podkreślić, iż mamy dość jedzenia i wody, by przetrwać do czasu, aż ponownie zostanie uruchomiona kolejka linowa albo zabierze nas stąd helikopter.

Musimy także porozmawiać o tym, o czym nikt nie chce mówić, czyli o śmierci Ewy. Mimo że plotka rozeszła się już po grupie i najwyraźniej wszyscy wiedzą o wnioskach Elliota, ani Danny, ani ja nie potwierdziliśmy oficjalnie tej kwestii. Odkładałam to, bo nie jestem w stanie zmierzyć z tym, do czego doszło, jednak nadchodzi taki czas, że naprawdę

*musimy* to ogłosić, podkreślić, że staramy się skontaktować z władzami i poinformować je o tym wydarzeniu, ale też jednocześnie ugasić wszelkie płonne nadzieje, rozwiać wyobrażenia o tym, że Eva w końcu się pojawi, kulejąca gdzieś na horyzoncie.

Danny uderza w gong w lobby, który rozbrzmiewa ogłuszającym, narastającym brzdękiem, odbijającym się od krokwi, a kiedy w końcu wszyscy się gromadzą, stukam łyżeczką w filiżankę do kawy i czekam na ciszę.

– Cześć, yyy, cześć wszystkim. Przepraszam, że wyciągamy was w taki sposób z pokojów, ale chcieliśmy z Dannym po prostu poinformować was o naszej bieżącej sytuacji. Danny spędził poranek na wędrowce do dwóch położonych najbliżej nas chat, które niestety, albo może na szczęście, wyglądały na zamieszkane. Jedna z nich jest bardzo poważnie zniszczona, ale wygląda, jakby nikogo w niej nie było podczas lawiny. Druga leży poza ścieżką, więc nie ucierpiała tak bardzo, ale, jak mówiłam, nikogo tam nie ma. Łudziliśmy się, że znajdziemy kogoś z radiotelefonem albo telefonem satelitarnym, na razie jednak nie wygląda to za dobrze. Wyżej stoi jeszcze jeden domek, ale to około pięciu kilometrów stąd, więc Danny chce poczekać, aż się trochę roz pogodzi, zanim pójdzie tam sprawdzić.

– A udało wam się skontaktować z ratownikami? – pyta Rik.

– Tak i nie – odpowiadam. – Jak wiecie, Inigo dodzwonił się do nich wczoraj i powiedział o naszej sytuacji, ale od tamtej pory nie byliśmy w stanie się połączyć i sądzę, że bez dostępu do telefonu satelitarnego uda nam się dopiero wtedy, kiedy przywróca prąd. Wygląda na to, że brak prądu zabrał nam cały pozostały dotąd zasięg komórkowy. Ale najważniejsze, że oni *wiedzą*, że my tu jesteśmy. Z tego, co mówił Inigo, wynika, że znaleźliśmy się na ich liście, musimy tylko być cierpliwi, aż poradzą sobie z akcjami ratunkowymi dla bardziej

potrzebujących.

– Ale czy oni wiedzą o Evie? – To pytanie pada od Tiger, głos ma jeszcze bardziej ochryply niż zwykle, a gdy zaczynam próbę odpowiedzi, w całym pokoju zapada cisza.

– Tak, przecież Inigo im powiedział, że zaginęła. Ale nie są na bieżąco. W każdym razie...

Urywam i przetykam ślinę. Wiedziałam, że to będzie trudne, ale okazuje się wręcz absurdalnie trudne. Widzę oczy Liz, błyszczące i pełne niepokoju, odbijam się w nich z drugiej strony pomieszczenia. Widzę udręczoną minę Tophera, widzę, jak Ani zakrywa oczy dłonią, by nie pokazać łez wywołanych nagle pytaniem Tiger. Nabieram powietrza, opieram się o podłokietnik fotela, starając się zdjąć ciężar z kostki, daję sobie przestrzeń na znalezienie odpowiednich słów. Chcę spróbować im powiedzieć, że nawet jeśli *możemy* przekazać informacje Elliota zespołowi ratownicznemu, to w niczym to nie pomoże. Eva już nie żyje, a teraz znajduje się też pewnie pod tysiącami ton śniegu. Nie ma szans, by ktokolwiek ją uratował, szczerze mówiąc, to nie ma nawet pewności, czy zdołają wydobyć jej ciało. W niektórych wyższych odcinkach śnieg nigdy nie topnieje, nawet latem. Jeśli Eva została zasypana na dnie jednego z tych stromych wąwozów, to koniec. Nie ma takich możliwości ani pieniędzy, żeby ją wydostać.

– Miejsce, w którym się znalazła... – Przerrywam, znowu przetykam ślinę, ale nim jestem w stanie znaleźć odpowiednie słowa, przerywa mi Carl.

– Ale skąd wiemy, że na pewno tam jest? – pyta zaczepnie. – Chodzi mi o to, że tu wszędzie jest gówniany zasięg komórkowy. Skąd Elliot wie, że te współrzędne są właściwe?

Rozglądam się w poszukiwaniu Elliota. Gdzie on jest?

– Jak rozumiem, sygnał GPS nie zależy od zasięgu komórkowego – mamrocę, nadal rozpaczliwie rozglądając się



po pokoju w poszukiwaniu jego twarzy, z nadzieją, że się odezwie i wyjaśni zawiłości techniczne tego, jak Snoop pobiera informacje o lokalizacji. Nie czuję się kompetentna w tym temacie. – To znaczy, oczywiście, trzeba jakoś przekazać informacje o lokalizacji, nie da się tego zrobić bez jakiejś wymiany danych, ale dokładność samych współrzędnych GPS nie polega na masztach telefonii komórkowych, tylko na... chyba na satelicie? Mam rację, Elliot? – Ale go nie widzę. – Gdzie jest Elliot?

Inni też zaczynają się teraz rozglądać, zadają sobie to samo pytanie.

– Kiedy go ostatnio widziałam, był w swoim pokoju – mówi Ani, marszcząc brwi. – Pracował nad czymś. Pewnie ma słuchawki na uszach, nie słyszał gongu. Pójdę po niego.

Odwraca się i lekko wbiega po spiralnych schodach, a my słyszymy jej kroki oddalające się korytarzem w stronę pokoju Elliota oraz puk-puk do jego drzwi.

Żadnej odpowiedzi. Znowu puka, tym razem głośniejsze, a potem woła „Elliot?”.

Chwila ciszy. Wyobrażam sobie, jak ostrożnie otwiera drzwi, wchodzi do środka, żeby dotknąć ramienia Elliota... Ale moje wyobrażenie zostaje rozdarte na strzępy przez krzyk. I nie jest to żaden cichy pisk zaskoczenia. To przenikliwy krzyk paniki.

Z powodu rannej kostki nie jestem pierwsza na schodach. Wyprzedzają mnie Topher, Rik, Danny i Miranda, a Liz i Carl razem mijają mnie w połowie drogi. Kiedy docieram do pierwszego piętra, słyszę szloch i krzyki Ani:

– O Boże, on nie żyje, on nie żyje!

Oraz szorstki, niecierpliwy ton Tophera:

– Przestań histeryzować!

Kiedy w końcu docieram do końca korytarza i przepycham się do pokoju Elliota, wszystko wygląda zupełnie normalnie, z wyjątkiem dwóch rzeczy.

Elliot osunął się na małe biurko przy oknie. Leży twarzą w kałuży czarnej kawy, wylanej z filiżanki przewróconej na bok.

Koło jego biurka, na ręczniku na podłodze, leży jego komputer, roztrzaskany w drobny mak.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Elliot nie żyje. Nie trzeba go nawet dotykać, żeby się upewnić. Osunął się w jakiś taki nienaturalny sposób, jedno ramię zwisa mu bezwładnie, rozlana kawa tworzy kałużę wokół jego twarzy i oczu.

Ale to nie wszystko. To, co się stało z jego sprzętem, wszystko tłumaczy. Elliot dałby się zabić, nim pozwoliłby komukolwiek dotknąć tego komputera.

Został on... „zniszczony” nie wydaje się właściwym słowem. Jest *unicestwiony*. Klawiatura została oderwana i odkryła wewnętrzne mechanizmy urządzenia. Ekran jest rozbity, a na

LCD rozpościera się ciemna plama. I wreszcie, twardego dysk został wyciągnięty, otwarty siłą, powyginany i powykręcany tak, że nie da się go rozpoznać.

– Co... – Twarz Tophera jest biała i pusta. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam go tak przerażonego. – Co się stało? O mój Boże, o Boże, o Jezu... On chciał mi coś powiedzieć, a ja nie... ja go nie... o Boże...

Wytacza się z pokoju. Wygląda, jakby miał zaraz wymiotować.

Ani wygląda na dogłębnie wstrząśniętą tym odkryciem. Stoi tam po prostu, gapiąc się, łzy płyną jej cicho po twarzy, aż w końcu Tiger chwyta ją za ramię i wyprowadza.

Dopiero Erin się odzywa.

– Wszyscy na zewnątrz.

– Co? – pyta głupio Carl. Wygląda jak bokser, który zbyt wiele razy oberwał w głowę.

– Na zewnątrz. Wyjdźcie z pokoju. To jest miejsce zbrodni.

Podchodzi do Elliota, przykłada mu dwa palce do szyi, podnosi mu powieki, a potem lekko kręci głową w stronę Danny'ego.

– No, to na co czekacie? – odzywa się Danny do reszty. Wydaje się niemal wściekły. – Nie słyszeliście, co powiedziała? Wyjdźcie.

Wychodzimy z pokoju. Erin wyciąga z kieszeni służbowy klucz i zamyka za nami drzwi. Twarz ma pozornie spokojną, ale myślę, że pod spodem ukrywa panikę.

– Inigo – zaczyna. – Wiem, że nie muszę ci tego mówić, ale proszę, sprawdź zasięg swojego telefonu. To absolutnie konieczne, żebyśmy teraz skontaktowali się z policją.

– Yyy, tak, oczywiście. – Inigo wygląda na równie zszokowanego co Carl. – Zejdę teraz i sprawdzę. Zostawiłem go na dole.

– Co możemy zrobić? – pyta Erin osłupiała Miranda. – Co

możemy zrobić?

– Nic – odpowiada Erin. Ma ponurą minę. – Nie możemy nic zrobić. Postarajcie się wytrzymać do momentu przybycia zespołu ratowniczego.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 0

W kuchni Danny stoi plecami do drzwi, tak jakby mógł swoim ciężarem odciąć nas od rzeczywistości, którą za sobą zostawiliśmy, i patrzy na mnie z przerażeniem w oczach.

– Kurwa – mówi. A ja nie potrafię wymyślić na to żadnej odpowiedzi. Ale co innego jest do powiedzenia? To jest... jest źle. Gorzej niż źle. A ja nic z tego nie rozumiem.

– Danny, co tu się, do cholery, dzieje?

– Kurwa, nie mam zielonego pojęcia, mała. Czy on popełnił samobójstwo?

– Może. – Dociera do mnie, jak mało wiemy o tych ludziach, o każdym z nich. W końcu Elliot mógł być pod jakąś presją,

a my z Dannym nigdy byśmy się tego nie domyślili. I o to właśnie chodzi: *nie* wiemy. Nie mamy pojęcia, co się tutaj dzieje.

Przykładam sobie dłonie do głowy, jakbym mogła ją siłą utrzymać w jednym kawałku, za pomocą mięśni i kości. O Boże, czuję, że wszystko się wali.

– Nie był ranny – mówię, jednocześnie się nad tym zastanawiając. – To jest nie widziałam żadnych obrażeń fizycznych, nie wyglądał, jakby go ktoś zaatakował. A to znaczy... chyba musiał coś wziąć. Jak myślisz?

– Narkotyki? Coś sobie wstrzyknął? Połknął pigułki?

– Nie wiem. Nie *wiem*. Cholera jasna. Danny, co my teraz zrobimy?

Docierają do mnie realia – jeśli można to tak nazwać – naszego położenia. Utknęliśmy tutaj, w moim wypadku utknęliśmy całkiem, biorąc pod uwagę moją skreconą kostkę, w domku z grupą ludzi, których prawie nie znamy, a dwoje z nich zmarło w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Eva – śmierć Ewy była tragicznym wypadkiem. Jednym z tych strasznych, okropnych ciosów, które padają nawet w najspokojniejszych miejscach. Ale Elliot – nie da się zaprzeczyć, że jego śmierć może być wynikiem jedynie morderstwa albo samobójstwa. Tętniak mózgu, gwałtowny udar, zawał serca – te rzeczy mogą zabić człowieka niemal natychmiast. Ale nie wyjaśniają roztrzaskanego komputera.

– Czy on *na pewno* nie żył? – pyta Danny.

– Na pewno. – Na tę myśl przechodzi mnie niemożliwy do powstrzymania dreszcz.

– Jesteś pewna? – Danny chwyta się wszystkiego i chyba o tym wie, ale nie potrafi się powstrzymać przed tymi pytaniami. – Jesteś stuprocentowo pewna, stara?

– Danny, może i rzuciłam studia medyczne, ale widziałam dość martwych ciał, żeby umieć je rozpoznać. Przysięgam ci,

on nie żyje. Rozszerzone źrenice, brak pulsu, odruchów. – Nie wspomniałam o kałuży moczu pod krzesłem. Danny nie musi o tym wiedzieć.

– Ale jak? – pyta Danny. Wygląda, jakby miał z wymiotować.  
– Jak, kurwa, ktoś mógł mu coś zrobić, jeśli tak było? Miał coś w kawie?

– Może, nie wiem.

– Może powinniśmy pójść i, no wiesz... sprawdzić?

– Nie *wiem* – powtarzam, tym razem gwałtowniej. W głowie mi wiruje, próbuję zdecydować, jak należy postąpić. – Policja będzie chciała... to znaczy, nie powinniśmy naruszać miejsca zbrodni. Ale może gdybyśmy wiedzieli, co to było...

Zerkam na klucz w mojej dłoni i podejmuję decyzję.

– Pójdziemy sprawdzić. Niczego nie będziemy dotykać, po prostu popatrzymy.

Danny przytakuje i razem wchodzimy po cichu schodami ewakuacyjnymi na pierwsze piętro, starając się nie zdradzić przed resztą, dokąd zmierzamy.

Nie rozmawiamy o naszej decyzji, by trzymać się razem, ale wiem, że oboje myślimy o tym samym. Jeśli Elliot nie popełnił samobójstwa, to ktoś z tej grupy jest mordercą. A to naprawdę przerażająca myśl. Czy któryś z tych eleganckich, majątnych hipsterów z dołu *naprawdę* kogoś zamordował? Staram się wyobrazić sobie delikatną Tiger i jej szczupłe dłonie wokół szyi Elliota – albo Tophera nawalającego go po głowie pustą butelką whiskey... i nagle czuję mdłości.

Zapasowy klucz zgrzyta w zamkniętych drzwiach pokoju Elliota, potem się obraca i razem z Dannym wchodzimy na palcach do pokoju. Jest bardzo zimno, pachnie rozlaną kawą i czymś jeszcze, bardziej drażniącym: to odór moczu, który rozpoznaję ze swoich szpitalnych czasów.

Danny trzyma się z tyłu, przy drzwiach, jak gdyby nie mógł się zebrać na to, żeby podejść bliżej do ciała Elliota. A więc to



należy do mnie. Przełykam ślinę. Bardzo, bardzo ostrożnie, starając się niczego nie naruszyć, idę w stronę biurka. Elliot nadal leży w tej samej, pochylonej, nienaturalnej pozycji, twarzą w kałużę zimnej, czarnej kawy. Zdażyłam go już lekko przesunąć, sprawdzając, czy żyje, ale chcę uniknąć dalszych ingerencji w tym miejscu. Więc nie dotykam ani jego, ani niczego innego, tylko nachylam się i próbuję zajrzeć do pustej, przewróconej filiżanki. Trudno to zrobić i jej nie przesunąć, kąt jest zupełnie niesprzyjający. Obchodzę biurko z drugiej strony – i nagle jest, widzę to.

*Kurwa.* Danny miał rację.

– W tej filiżance coś jest – mówię do Danny’ego, który ani do mnie nie podchodzi, ani mi nie pomaga. – Coś białego.

– Cukier?

– Nie, na pewno nie. To jest... kredowe.

– Kurwa.

Prostuję się i zerkamy na siebie z Dannym, próbując wymyślić, co to może znaczyć. Jego czarne oczy są bardzo, bardzo zmartwione.

– Myślę, że to wyklucza samobójstwo – zauważam z ogromną niechęcią. Mówię cicho. Nie chcę, by ktokolwiek poza Dannym wiedział, że tu jestem.

– Tak uważasz? – Danny wygląda, jakby chciał rozpaczliwie szukać jakiejś alternatywy. Nie dziwię mu się. – A co, jeśli naprawdę nie lubił brać tabletek... może mógł je sobie pokruszyć?

Kręcę głową.

– Nie widziałeś, jak on jadł, Danny. – Myślę o Elliocie przy obiedzie, o tym, jak skupiony i zaciekły szufłował swoje danie łyżką, przełykając wielkie kęsy prawie bez gryzienia. – Ale tu nie chodzi tylko o tabletki. Spójrz na ten komputer.

– Co masz na myśli? Mógł go przecież rozbić sam.

Kręcę głową, wskazując na resztki rozciągnięte na jednym

z grubych, puszystych, białych kąpielowych ręczników z naszego domku.

– Ktoś go zawiązał w ręcznik, zanim go zniszczył. Czyli nie chciał, żeby go usłyszano. Gdyby to Elliot rozbijał swój laptop w przypiływie wściekłości, nie zawracałby sobie głowy tym, żeby być cicho. A gdyby chciał coś potajemnie ukryć, to po prostu sformatowałby twardego dysk... Po co ryzykować niszczeniem, jeśli można po prostu zapisać dane od nowa? Nie, to zrobił ktoś, kto nie mógł się zalogować. Ktoś, kto nie mógł sobie pozwolić na to, by go usłyszano.

Stoimy tak oboje, rozmyślając nad rozbitym ekranem i połamanymi kawałkami dysku twardego. Danny nic nie mówi. Nie wiem, co mógłby powiedzieć.

Wtedy coś mi przychodzi do głowy.

– Myślisz, że to były *jego* tabletki? Brał jakieś leki?

– Musielibyśmy o to spytać resztę. – Danny wygląda, jakby ta perspektywa sprawiała mu taką przyjemność jak lewatywa.  
– Jezu. Jak my mamy o tym porozmawiać?

Jak mamy porozmawiać o czymkolwiek? „Hej, słuchajcie, jest spora szansa, że ktoś od was z pracy jest mordercą”.

Ale dlaczego? Dlaczego ktoś miałby chcieć zabić Elliota? Dla jego akcji? Przez jego poparcie dla Tophera? Czy to możliwe, że po śmierci Evy ktoś próbuje zmniejszyć poparcie dla Tophera?

Jednak żadna z tych rzeczy nie wyjaśniałaby zniszczenia komputera Elliota. Ciągle wracam do tego myślami. Do tego wściekłego, skutecznego, potajemnego aktu zniszczenia. To nie był wypadek. I ani przez sekundę nie wierzyłam, że to zrobił Elliot.

Jest tylko jedno wiarygodne wyjaśnienie tego czynu – ukrycie czegoś, co było na tym komputerze. Czegoś, co wiedział Elliot. Czegoś, przez co został zabity.

Myślę o zbolałym wyciu Tophera, kiedy znaleźliśmy ciało Elliota: „O Boże, o Jezu... on chciał mi coś powiedzieć...”.

Przełykam ślinę.

– Danny, a co, jeśli śmierć Ewy to nie był wypadek?

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Siedzimy wszyscy skuleni wokół kominka w salonie. Tylko że *nie* wszyscy, w tym problem.

*Teraz jest nas dziesięcioro.*

*Teraz jest nas dziewięcioro.*

*Teraz jest nas ośmioro.*

Te słowa dźwięczą w mojej głowie niczym jakieś ponure odliczanie, zbliżające się coraz bardziej do zera, jeden po drugim.

Nagle wydaje mi się, że zaraz zwymiotuję.

– Czy to było... – odzywa się Tiger. Głos jej się rwie i jest

ochrypiły, jakby płakała. – Czy to było... samobójstwo?

– Nie! – Topher wystrzela z odpowiedzią jak z pistoletu. Wstaje. Zaczyna chodzić w tę i we w tę. – Kurwa, nie. Elliot? Nigdy.

– Czyli co? – Rik też wstaje i zbliża się do Tophera, jakby miał zamiar go uderzyć. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Topher na niego patrzy. Chyba naprawdę nie rozumie pytania Rika.

– Rusz głową, Toph. Jeśli to nie samobójstwo... – Głos Rika zrobił się nieprzyjemny w taki sposób, jakiego wcześniej nie słyszałam. Brzmi... niebezpiecznie. – To w takim razie *morderstwo*. To chcesz przez to powiedzieć, Topher? Nie myślę się?

Topherowi opada szczeka. Nagle siada. Wygląda, jakby zabrakło mu tchu, prawie jakby Rik naprawdę go uderzył.

– Boże. Masz rację. O mój Boże. – Jego twarz nabiera ziemistego koloru. – Elliot – mówi łamiącym się głosem. A potem zaczyna płakać.

Ten widok jest okropny. Nikt z nas nie wie, co zrobić. Rik zerka na Mirandę, która osłupiała. Carl podnosi ręce w geście rezygnacji mówiąc „na mnie nie patrz, stary”. Na twarzy Iniga widać czystą panikę.

To Tiger podejmuje działanie. Podchodzi i siada obok Tophera. Kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Topher – mówi. Ma łagodny głos. – Wszyscy odczuwamy jego stratę, ale dla ciebie to musi być niewyobrażalne bardziej niż dla kogokolwiek z nas. Jeszcze po śmierci Ewy...

Urywa. Nawet Tiger nie jest w stanie podsumować tego czymś w stylu „co ma być, to będzie”.

– Dlaczego? – Usta Tophera układają się w brzydki, kanciasty kształt, łzy płyną mu po policzkach. Nie wygląda w ogóle jak porządny, wyrafinowany facet z miasta, którego poznałam, i nie jestem pewna, czy potrafię to znieść. –

Dlaczego ktoś miałby mu to zrobić? Dlaczego ktoś miałby skrzywdzić Elliota?

Oczywiście jest to pytanie warte grube miliony dolarów.

Patrzemy wszyscy na siebie. Nikt nie jest pewien, co powiedzieć.

– Chodź. – Tiger delikatnie bierze Tophera za rękę. Wyprowadza go z pokoju. – Chodź, obmyjemy ci twarz wodą.

Kiedy wychodzą, po pomieszczeniu przebiegają westchnienia uwolnionego napięcia.

– Jezu – rzuca szorstko Carl.

– Ale on ma rację – mówi Rik. – Dlaczego ktokolwiek *miałby* skrzywdzić Elliota? To znaczy Evę... okej. Ale Elliota? To nie ma żadnego sensu. Wiem, że Topher nie chce o tym słyszeć, ale może on *rzeczywiście* popełnił samo bójstwo, nawet jeśli dla nas wszystkich to jest nieprzyjemna myśl? Chodzi mi o to, że najpierw zniknięcie Ewy, a do tego jeszcze szok spowodowany zejściem lawiny... On był dość... – Urywa. Chyba próbuje obmyślić, jak to sformułować, by nie zabrzmiało obrzydliwie. – Miał dość dziwaczną osobowość.

– Wydaje mi się, że to dość obraźliwy wniosek, Rik – zauważa ciężko Miranda. – Tak, miał swoje ekscentryczne cechy, wszyscy je mamy. Ale żeby przejść od tego do...

– Nie – zaprzecza Rik, broniąc się. – Nie o to mi chodziło. Jezu, ja go *lubiłem*. Chodziliśmy razem do szkoły, na Boga. Mówię po prostu... Słuchaj, jego było bardzo trudno zrozumieć. Cicha woda brzegi rwie, być może tam pod powierzchnią dużo się działo.

– I co masz na myśli, mówiąc, że ktoś mógłby chcieć skrzywdzić Evę? – pyta nagle Carl. Rik się wzdryga. Wie, że popełnił gafę, i to nie jedną, ale dwie.

– Tego też nie chciałem powiedzieć. A, do diabła, paplam głupoty na prawo i lewo.

– To co *chciałeś* powiedzieć? – pyta Inigo. Mówi gorzkim,

niemal oskarżycielskim tonem. To jego wtrącanie się jest tak nietypowe, że aż wszyscy się odwracamy i gapimy na niego.

Rik się rumieni.

– Chodziło mi tylko o to... – zaczyna ostrożnie; widzę, że starannie dobiera teraz słowa. – Chodzi mi o to, że śmierć Evy... zmieniła różne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

Rik nie chce powiedzieć tego na głos. Widzę, że nie chce.

Carl go wyręcza.

– Śmierć Evy oddała kontrolę nad Snoopem Topherowi, czy o to ci chodzi, stary?

Rik nie może się zebrać do odpowiedzi, ale lekko kiwa głową.

Następuje długa chwila przepętnionej szokiem ciszy, kiedy jego słowa docierają do wszystkich zgromadzonych.

Rik połączył fakty, ale nikt nie chce iść dalej tym tropem. Widzą już, do czego to prowadzi.

Kilka osób stąd miało potężną finansową motywację dla śmierci Evy. Zwłaszcza Topher i Elliot. A do tego każdy, kto sprzeciwiał się wykupowi z jakichś prywatnych powodów.

A to znaczy...

To znaczy...

Czuję, jak krew napływa mi do twarzy. Nagle nie jestem w stanie tego dłużej ciągnąć, nie mogę tu siedzieć i myśleć o rzeczach, które mnie przytłaczają. Muszę się wydostać, uciec.

Wstaję i wybiegam z pokoju.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Nadal stoimy z Dannym przed drzwiami pokoju Elliota, kiedy słyszę tupot stóp, odwracam się i widzę biegnącą korytarzem Liz. Przez chwilę wydaje mi się, że biegnie do nas, więc spinam się i przygotowuję na to, co może się stać, ale ona zatrzymuje się w połowie korytarza, otwiera drzwi swojej sypialni i zatraskuje je za sobą. Słyszę, jak klucz chrobocze w zamku od środka, a potem ciszę.

– Raaany – mówi Danny. Wygląda na wstrząśniętego. – A tę co ugryzło?

– Musisz jeszcze pytać? – szepczę. Drzwi tutaj są grube, ale jeśli w pokoju jest cicho, to można przez nie coś wychwycić.



– Myślisz, że słyszała? – Danny też ściszył głos. – No wiesz. To, co mówiliśmy wcześniej. – Nie powtórzył, ale te słowa, które wypowiedziałam tuż przed tym, jak wytoczyła się na nas Liz, nadal wisiały w powietrzu między nami. „Może śmierć Ewy to nie był wypadek”.

– Nie wiem – odmrukuję. – Chodźmy stąd. Nie możemy tu rozmawiać, a ja muszę to przemyśleć.

Szliśmy korytarzem do części budynku przeznaczonej dla obsługi, gdzie ja i Danny mieliśmy nasze prywatne pokoje, a moje myśli galopowały, przeskakując przez różne możliwości. Ale dopiero kiedy znaleźliśmy się bezpiecznie w mojej małej sypialni, a drzwi się za nami zamknęły, poczułam, że jestem w stanie wypowiedzieć je na głos.

– To, co przed chwilą powiedziałam...

– Śmierć Ewy? – Danny wygląda na zmartwionego, ale sceptycznego. – No właśnie, jak to wymyśliłaś? Elliot, pewnie. Tu były jakieś machloje. Ale Eva? Ona zjechała czarnym szlakiem w pieprzonej śnieżycy i spadła z urwiska. To tragedia, ale nie rozumiem, jak to mogłaby być czyjaś wina.

– Słuchaj – odpowiadam. Mówię bardzo cicho, mimo że znajdujemy się za dwiema parami drzwi. Z jakiegoś powodu mam poczucie, że muszę opowiedzieć o swoich podejrzeniach na głos, jakby niebezpieczeństwo groziło mi tylko dlatego, że zachowam je teraz dla siebie. Bo jeśli mam rację, to właśnie milczenie Elliota go zabiło. – Słuchaj, zapominamy tu o ważnej rzeczy. Ktokolwiek zabił Elliota...

– *Jeśli* Elliot został zabity – przerywa mi Danny.

– *Jeśli* został zabity – powtarzam niecierpliwie, odganiając jego słowa jak irytujące muchy. – Ale sęk w tym, że *jeśli* został zabity, to ktokolwiek go zabił, nie pozbył się tylko jego, ale też jego komputera. Dlaczego tak zrobił? Naprawdę trudno jest zniszczyć twardy dysk, a do tego ta osoba ryzykowała, że ktoś zauważy jej nieobecność albo usłyszy, jak to robi.

– Czyli... Mówisz... że został zabity z powodu czegoś, co miał w swoim komputerze?

– Tak, zginął przez coś, co wiedział, ale to musiało być coś, czego się dowiedział na podstawie danych ze swojego komputera.

– Coś na temat Snoopa?

– Może. Tak jakby. Zwróć uwagę na czas. Elliot koduje tę swoją aktualizację geolokacji, czy jak oni to tam nazywają. Potem zdaje sobie sprawę, że ta informacja może go zaprowadzić do Evy. Tyle wiemy. Ale co, jeśli zaczął śledzić ją wstecz? Co, jeśli sprawdzał jej położenie przed śmiercią? Co, jeśli było tam coś podejrzanego, może na przykład nie zjechała z urwiska, tylko przystanęła z kimś pogadać i została zepchnięta?

– Oż kurwa. – Danny jest wstrząśnięty. – Mówisz, że... ktoś z tej grupy pozbył się Evy, a potem zabił Elliota, żeby zgubić trop?

– Nie chcę w to wierzyć, ale... Nie wiem, co innego miałoby sens. – Robi mi się niedobrze od samego wypowiedzenia tego na głos. – Jest jeszcze jedna możliwość, ale nie wiem, czy dużo lepsza.

– Jaka?

– No cóż, Elliot jest jedyną osobą bez alibi w tym dniu, kiedy zginęła Eva. Miał być tutaj, pracować nad swoim kodem, ale nie ma na to żadnego dowodu. Nie jest niemożliwe, że miał jakiś związek z jej śmiercią. Może... może nie mógł już dłużej żyć z tą myślą.

– Mówisz, że skończył ze sobą z poczucia winy?

– Mówię, że jest taka możliwość.

– Okej, dobra, ale nawet zakładając, że zabił Evę, by pomóc Topherowi, a potem dopadły go wyrzuty sumienia... dlaczego zniszczył swój komputer? Skoro nie żyje, to dlaczego się martwił o dowody?

Przełykam ślinę. Dlatego właśnie ta możliwość nie jest wcale bardziej pocieszająca od innych.

– Ponieważ cokolwiek tam było, wskazuje na kogoś innego. Kogoś, kogo próbuje chronić.

– Do jasnej anielki! – Te słowa powinny zabrzmieć zabawnie, wypowiedziane niskim, rzeczowym tonem Danny’ego. Ale wcale tak nie jest. Szczerze mówiąc, czuję, że robi mi się niedobrze.

– To myślisz, że mam rację?

– Myślę... – Widzę, że mózg Danny’ego wściekle pracuje, próbując odnaleźć luki i błędy w moim rozumowaniu. Nerwowo ściąga bandanę, drapie się nią po twarzy. – Cholera jasna. Nie wiem. Wydaje mi się, że możesz, a to wystarczy, żebym dostał gęziej skórki. Co my zrobimy? Musimy komuś powiedzieć, prawda?

– Komu mamy powiedzieć? I co ten ktoś miałby zrobić, nawet jeśli powiemy? – Macham ręką na okno, gdzie za szybą wiatr zamiata wściekle śniegiem z impetem burzy piaskowej. Nikt nie może wyjść w taką pogodę, a co dopiero polecieć helikopterem. Tylko szaleniec by próbował.

– KURWA! – ryczy Danny, wstaje i przeczesuje sobie dłońmi krótkie włosy, jakby łamał sobie nad czymś głowę.

– Ciii! – uciszam go rozpaczliwie. – Cicho bądź! Usłyszają cię!

– Ale my musimy im powiedzieć! – mówi. – Prawda? Jaki mamy wybór? Powinniśmy siedzieć cicho i pozwolić, żeby jakiś skurwiol morderca wybierał ich sobie jedno po drugim?

– Nie możemy im powiedzieć! – Teraz już krzyczę szeptem. – Zwariowałeś? Powiedzieć komuś, kto jest za to odpowiedzialny, że być może jesteśmy na jego tropie?

– Nie możemy im *nie* powiedzieć!

Danny łapie mnie za ręce i przez chwilę myślę, że mną potrząśnie, jak jakiś aktor ze starego filmu, który próbuje opanować histeryzującą kobietę, i czuję rozpaczliwą ochotę, by

się zaśmiać mimo okoliczności, w jakich się znaleźliśmy, ale on tego nie robi, patrzy tylko na mnie, jego ciemne oczy są otwarte bardzo szeroko i przerażone w równym stopniu co moje. Ale z jakiegoś powodu, gdy widzę odbicie własnego strachu, zdaję sobie sprawę, iż Danny boi się w równym stopniu co ja. Uświadamiam sobie, że jesteśmy w tym razem, a to sprowadza mnie na ziemię. Biorę głęboki, drżący wdech, a Danny mówi cicho:

– Erin, sram ze strachu tak samo jak ty. Ale nie wydaje mi się, żebym był w stanie zejść tam na dół i zachowywać się normalnie, kiedy wiem, że któryś z tych hipsterskich skurwieli może być, słowo daję, mordercą. Spójrz na mnie. – Wyciąga w moją stronę drżącą dłoń. – Trzęsę się jak cholerny liść na wietrze. Ktokolwiek to zrobił, domyśli się, że coś *wiemy*, a jeśli nikomu nie wyjawimy, co takiego wiemy, skończymy tak samo jak Elliot. Najlepszym sposobem, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo, jest *nietrzymanie* tego w tajemnicy.

Po tych słowach milknę z wrażenia. Jest w nich jakaś przerażająca logika.

– A poza tym – dodaje – zakładam, że jesteśmy winni pozostałym szansę, by mogli się chronić. Co, jeśli wiedzą coś, z czego nie zdają sobie sprawy? Co, jeśli będą kolejnymi, którzy napiją się kawy z dodatkami?

Przełykam ślinę. Ale za jego słowami stoi niezaprzeczalna prawda. Jeśli tak na to spojrzeć, trudno usprawiedliwić nieostrzeżenie siedmiorga niewinnych osób w domku, nawet jeśli byłby to też jakiś sygnał dla mordercy.

Mordercy. To słowo, niewypowiedziane przeze mnie na głos, wydaje się nierzeczywiste. Czy to się naprawdę dzieje? Naprawdę to zrobimy?

– Okej – odpowiadam w końcu. Wyglądam przez okno na burzę, na myśl o tym nadchodzącym spotkaniu zaczynam się czuć trochę tak, jakbym tonęła. – Okej... może masz rację.

Czyli... co? Jak im powiemy? Co im powiemy?

– Powiemy im prawdę – odpowiada Danny. Ma teraz ponurą minę. – Powiemy, że naszym zdaniem śmierć Evy nie musiała wcale być wypadkiem i że Elliot mógł zostać zabity przez to, co zamierzał powiedzieć Topherowi. Powiemy im, żeby cały czas trzymali się w parach, sami przygotowawali sobie napoje, nie jedli niczego poza tym, co my im podamy. Jesteśmy jedynymi osobami, których nie można o nic podejrzewać. Nie znaliśmy żadnego z nich, zanim tu przyjechali. Nie byliśmy na tej górze. Nie mamy żadnych powiązań z nikim z tej grupy.

Kiwam głową. Tylko że... i nie mogę się zebrać na to, żeby wyznać to Danny'emu, jeszcze nie teraz... Problem w tym, że w moim wypadku nie jest to do końca prawda.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Jestem na górze w swoim pokoju, trzymam głowę dłońmi, staram się nie dopuścić do siebie tego wszystkiego, co się dzieje, kiedy słyszę dźwięk uderzenia w gong w foyer.

Podrywam głowę.

Otwieram drzwi, ostrożnie. Głos Erin płynie w górę klatką schodową.

– ...mogli przyjść i zebrać się na moment w lobby. To nie potrwa długo, a potem podamy lunch.

Nie jestem jeszcze gotowa na spotkanie z innymi. Ale cokolwiek się dzieje tam na dole, muszę o tym wiedzieć. Może

był jakiś kontakt z policją. Może nas stąd zabiorą drogą powietrzną.

Biorę głęboki wdech. Rozciągam sobie palce. Otwieram drzwi swojego pokoju i schodzę na dół.

Reszta czeka już w foyer, stłoczona wokół kominka. Zrobiło się zauważalnie chłodniej. Wczorajsze ciepło z centralnego ogrzewania zdążyło się ulotnić i teraz tylko dwa kominki na parterze powstrzymują dom przed powolnym zamarznięciem.

Erin stoi na którymś z dolnych stopni spiralnych schodów. Twarz ma bardzo bladą, a jej blizna wygląda bardziej szokująco niż dotąd, sine cięcie na tle jasnej skóry. Danny zajmuje miejsce u jej boku niczym porucznik. Muszę się precyzyjnie przycisnąć obok nich, żeby zejść na dół. W foyer na drewnianej podłodze zebrały się kałuże, tam gdzie zaspasy śniegu przedostają się przez wygięte drzwi wejściowe, i niszczą wypolerowany parkiet.

Gromadzimy się wszyscy przed nimi, patrzymy wyczekująco, a Erin odchrząkuje.

– Okej, czy wszyscy przyszli?

Liczy osoby i wzdrygam się, bo musi myśleć o naszym przerwaniu spotkania z rana, które zakończyło się odkryciem, że brakuje Elliota. Czuję smak krwi i spostrzegam, że znowu obgryzam sobie skórę. „Obrzydliwa mała dziewczynka”. Krzywię się. Wciskam ręce do kieszeni.

– Jeśli nie macie nic przeciwko, podamy lunch w salonie, w jadalni zaczyna się robić dość chłodno. To będzie sałatka, wiem, że to może nie jest najodpowiedniejszy posiłek, ale bez prądu Danny ma bardzo ograniczone możliwości gotowania, a do tego musimy zużyć resztę świeżych warzyw, skoro nie działa lodówka.

Topher coś pomrukuje, ale Miranda na niego zerka i pozostali kiwają głowami. Wiemy, że w swoim położeniu nie mogą narzekać.

– Ale... prawdziwy powód, dla którego was wszystkich zwołaliśmy... – Erin przerywa. Wygląda, jakby było jej trochę niedobrze. Przygotowuje się, żeby powiedzieć coś, na co wcale nie ma ochoty. Nagle nie chce wcale słyszeć tego, co zamierza nam oznajmić. – Danny i ja, my...

Spogląda przez ramię na Danny'ego. On odwzajemnia jej spojrzenie. Nie wiem, czy to zachęta, czy zniecierpliwienie, ale najwyraźniej ponagła Erin.

– Mamy pewne wątpliwości – kończy pośpiesznie. – Dotyczące tego, jak umarł Elliot. Jesteśmy prawie pewni, że... że został otruty.

W pokoju słysząc ciche okrzyki. Wszyscy myśleli już o tym wcześniej, ale było w tym coś przerażającego, usłyszeć to wypowiedziane na głos.

– W jego kawie widać ślady pokruszonych tabletek – opowiada Erin. – I chociaż mógł je świadomie przedawkować, uszkodzony komputer czyni to przynajmniej możliwym, że...

Danny coś mamrocze. Mówi zbyt cicho, żebym go usłyszała, ale Erin wzdycha. Zaciska pięści po bokach ciała.

– A nawet *prawdopodobnym*, że Elliot został zamordowany. A to cofa nas do takiej możliwości, że Eva również została zabita, a Elliot zginął z powodu tego, czego się dowiedział.

Rozlega się kolejna fala szmerów w pomieszczeniu, ale nie zaskoczonych. Erin wypowiada tylko na głos to, co ludzie i tak już zaczęli podejrzewać. Bardziej brzmi to jak przerażenie: nie chodzi już o paranoiczne lęki, ale potencjalną rzeczywistość.

– Długo zastanawialiśmy się z Dannym, czy wam o tym mówić, i dobrze to przemyśleliśmy – kontynuuje. – Ponieważ ostatecznie są to tylko spekulacje, nie mamy na to żadnych dowodów. Nadal pozostaje prawdopodobne, że śmierć Ewy była wypadkiem, a Elliota samobójstwem lub przypadkowym przedawkowaniem. Jednak fakty są takie, że oboje nie żyją i... cóż, nasze wątpliwości nie wyczerpują tego tematu. Więc



nawet jeśli mamy nadzieję, że to z naszej strony śmier...

Urywa. Zdaję sobie sprawę, że chciała użyć określenia „śmiertelna przesada”, ale zmieniła zdanie.

– Nawet jeśli mamy nadzieję, że to zbyt śmiało wnioski... – poprawia się – mimo wszystko zachęcamy was do ostrożności. Jeśli wiecie o czymś, co mogłoby wam zagrażać, jak najszybciej przyjdźcie powiedzieć o tym Danny’emu i mnie. Cały czas trzymajcie się w parach lub w grupach. To dotyczy także spania. Sami przygotowujcie sobie napoje i nie pozostawiajcie ich nigdzie na widoku. Przyjmujcie jedzenie tylko ode mnie i Danny’ego. Nie ma powodu do popadania w paranoję, ale...

Carl jej przerywa. Jego krótki śmiech brzmi jak szczekanie psa.

– Nie ma powodu do popadania w paranoję? Jaja sobie robisz?

– Zdaję sobie sprawę, że to wszystko jest... – zaczyna Erin, ale on znowu się wtrąca.

– Mówisz nam, że po domu biega jakiś pierdolony, stuknięty zabójca, a odpowiedzią na to jest parzenie sobie samemu kawy?

– Nie mówię wam nic takiego – odpowiada Erin. Ma bardzo stonowany głos. – Po prostu stwierdzam fakty na temat tego, co się wydarzyło. To, czy zgodzicie się z moimi wnioskami i zastosujecie się do moich rad, zależy od was.

– To jest, kurwa, jakiś cyrk – rzuca wściekle Carl. – A ja powinienem was, kurwa, pozwać. Tysiące funtów za mieszkanie w marnej dziurze z jakimś świrusem na pokładzie...

– Ej – przerywa mu Danny. Robi krok naprzód i zbliża się do twarzy Carla. – Już wystarczy, stary. Ani Erin, ani ja nie jesteśmy odpowiedzialni za to, że przywieźliście ze sobą z lotniska jakiegoś psychotycznego skurwiela.

– Więc oskarżasz o to pracowników Snoopa? – Carl praktycznie wrzeszczy. Przymierza się do walki z Dannym. – Bo to już, *stary*, jest pomówienie i spotkamy się w sądzie.

– Nie oskarżam o nic pracowników Snoopa – prycha Danny.  
– Mówię tylko, że organizowaliśmy ze sto takich pieprzonych wyjazdów i dopiero wtedy, kiedy wasi ludzie tu przyjechali...

– Hej. – Erin robi krok naprzód. Mówi do nich obu, ale złapała za ramię tylko Danny'ego. Delikatnie nim potrząsa. – *Hej*. To w niczym nie pomaga.

– Carl. – Tiger kładzie dłoń na ramieniu Carla. – Daj spokój, Erin ma rację. To jak najbardziej zrozumiałe, że jesteś wściekły, ale musisz pokierować tę energię w jakimś bardziej pozytywnym kierunku. Erin i Danny są tu bez winy. Próbują pomóc. No weź. Oddychaj głęboko.

Carl dalej coś mruczy, kiedy odchodzi na drugą stronę pokoju. Osuwa się na sofę z rękoma założonymi na piersi, ale wie, że Tiger ma rację.

– Inigo – odzywa się teraz Erin. – Udało ci się może coś zdziałać w kwestii zasięgu komórkowego?

Inigo kręci głową.

– Nic, przepraszam. A teraz mam tylko dwanaście procent baterii, więc staram się włączać telefon tylko od czasu do czasu, żeby sprawdzić.

– Ktoś jeszcze? – pyta Erin. W jej głosie słychać, że jest na granicy rozpacz.

Wszyscy kręcą głowami. Większość osób i tak ma już wyczerpane baterie. Sama wyłączyłam swój telefon, kiedy doszedł do czterech procent.

– A co dokładnie powiedzieli, kiedy z nimi rozmawiałeś? – pyta znów Erin, odwracając się do Iniga. On marszczy brwi.

– Co masz na myśli?

– Czy podali ci jakiegokolwiek ramy czasowe? Jakieś wskazówki, jak planują się do nas dostać? Wiem, że wtedy nie

znali jeszcze skali problemu, ale wiedzieli, że ktoś od nas zaginął, tak? Wydawało mi się, że powinniśmy być dość wysoko na liście osób wymagających pilnej interwencji.

– Ja... – Inigo marszczy brwi, jakby próbował sobie przypomnieć. – Tak, to znaczy powiedziałem im, że Eva zaginęła i że jesteśmy uwięzieni w domku nad kolejką. I powiedziałem... Powiedziałem im o twojej kostce. A oni zadali mi tylko kilka pytań o nasze zapasy, a potem zapewnili, że przyjadą najszybciej, jak to możliwe.

– I tyle? Żadnych ram czasowych?

– N-nie... – Inigo wydaje się niepewny. – Połączenie było naprawdę kiepskie. Próbuję sobie przypomnieć, ale wydaje mi się, że nic takiego nie padło.

– Okej – odpowiada Erin. Ton jej głosu graniczy z frustracją, którą nie do końca ukrywa jej spokojna uprzejmość. – To zrozumiałe. No to chyba po prostu musimy się trzymać. Okej, słuchajcie, to tyle. Jeśli przejdziecie do salonu, wkrótce podamy wam z Dannym lunch.

Wszyscy zaczęli się rozchodzić. Carl nadal wściekle coś mamrocze. Tiger przemawia do niego uspokajająco. Miranda i Rik wyszli jako ostatni. Jestem tuż naprzeciwko nich. Słyszę ich cichą rozmowę, gdy wchodzimy powoli do salonu.

– A może Inigo wcale nie dzwonił na policję? – mówi Rik. Jego głos jest ledwo słyszalny.

– Jak to? – Miranda wygląda na zaskoczoną.

– No... słuchaj... Erin wydawała się dość zmartwiona, że niczego się nie dowiedzieliśmy. I rozumiem ją. Można pomyśleć, że powinni tu *kogoś* przysłać, prawda? Nawet gdyby to miałyby być jakiś zwiadowca.

– Ale my go słyszeliśmy, Rik, słyszeliśmy, jak do nich dzwonił.

– Tak, słyszeliśmy końcówkę tamtej rozmowy. Ale czy wiemy, czy naprawdę zadzwonił? To trochę podejrzanе, że on miał

zasięg, kiedy my nie mieliśmy, i tyle. Jak to się stało?

Miranda nie odpowiada. Ale gdy zbieramy się wszyscy w salonie, zauważam, że zajmuje miejsce jak najdalej od Iniga i nie patrzy mu w oczy.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

– Chujowo. – Stoję w kuchni, patrzę, jak Danny kończy przygotowywać wielkie miski sałatki. Niesamowicie sobie poradził z puszkami i słoikami, ale nie da się ukryć faktu, że chleb jest czerstwy, a sałata najlepsze chwile ma już za sobą. Dwadzieścia cztery godziny bez prądu zaczynają zbierać żniwo na polu świeżości chłodzonego jedzenia.

– Co jest chujowo? – Danny nie podnosi wzroku. Posypuje duży talerz plastrów dojrzałych gruszek oraz lekko przejrzałego sera Bleu d’Auvergne pokruszonymi orzechami włoskimi.

– Ja po prostu... wydaje mi się, że nie wyszło za dobrze?

Danny próbuje sosu, a potem wzrusza ramionami.

– Bo ja wiem. Mówiłaś im coś, czego nie chcieli słyszeć. Czego się spodziewałaś z ich strony? Oklasków?

Wzruszam ramionami. Nie jestem pewna, co odpowiedzieć.

Danny jest w końcu gotowy i każde z nas bierze po dwie miski, wynosimy je. Kuśtykam za nim pustym korytarzem i widzę okruchy croissanta z rana rozsypane po grubym dywanie z owczej skóry. Niewiele mogę zdziałać bez prądu do odkurzacza, ale w moim obecnym nastroju czuję, że jest to znak tego, jak wszystko wystrzępia się na brzegach, rozpada, podczas gdy ja i Danny desperacko staramy się działać dalej.

W salonie panuje ogłuszająca cisza. W tle nie leci już żadna przyjazna muzyka, która ukryłaby napięcia w grupie, słysząc tylko cichy szum kominka oraz uderzanie śniegu o okno. Rik i Miranda siedzą razem, stykają się ramionami. Najwyraźniej zrezygnowali już z udawania, że nie są parą, a kiedy się zbliżam, widzę, że ich ręce są splecione na kolanie Mirandy.

Tiger nadal cicho mówi do Carla, jak gdyby była w stanie go uspokoić.

Liz siedzi niezdarnie na brzegu swojego krzesła. Palce trzyma w ustach, gryzie paznokcie, a kiedy wchodzę do pokoju, wyciąga je i nerwowo prostuje rękę, strzelając knykciami. Jej salwa klikania jest niezwykle głośna w cichym pomieszczeniu, aż Ani, siedząca między Liz a Topherem, mimowolnie krzywi się na ten dźwięk.

Tylko Inigo siedzi sam, a kiedy podaję mu ostatnią miskę sałatki, macha na nią ręką.

– Dzięki, ale nie jestem głodny.

– Musisz jeść, Inigo – odpowiadam, ale jego wyraz twarzy martwi mnie bardziej niż brak apetytu. Ostatnie, czego potrzebujemy, to to, żeby ktoś zapadł na depresję.

– Nie jestem głodny – powtarza z większą siłą, a ja podnoszę

ręce do góry.

– Okej, okej. Nie będę się z tobą siłować. Zostawię ją tutaj, dobrze? Nie ma problemu, jeśli jej nie chcesz.

Odwracam się, żeby wrócić do kuchni, kiedy słyszę jego głos, bardzo cichy.

– Czuję, że wszyscy mnie winią.

– Winia? – odpowiadam zaskoczona. – Dlaczego, do diabła, mieliby cię winić?

– Przez to, co sama wcześniej powiedziałaś, o tym, że nie byłem w stanie się połączyć z policją. Słyszałem ich. – Ścisza głos do szeptu, a ja muszę się nachylić, żeby wyłowić jego słowa. – Słyszałem Rika i Mirandę, mówili... – Urywa, bohatercko przetyka ślinę, a ja dostrzegam łzy w jego oczach. – Chyba uważają, że ja to zmyśliłem. Że nie rozmawiałem z policją albo niewystarczająco podkreśliłem powagę naszej sytuacji. Ale dlaczego? – Podnosi wzrok, jego niezwykle niebieskie oczy zachodzą łzami. – Dlaczego miałbym to zrobić? Chyba że ja... chyba że ja ją z... z....

Ale nie jest w stanie tego powiedzieć. „Chyba że ja ją zabiłem”.

– Kochałem ją – mówi, na ostatniej sylabie łamie mu się głos. – Tego nikt nie rozumie. Ja ją *kochałem*.

– O cholera.

Przypominam sobie plotki z pierwszego poranka, jak Inigo późno przyszedł do łóżka, a Topher wycedził: „Tylko nie to. Eva powinna być mądrzejsza”.

– Kochałem ją! – powtarza Inigo, a ja bardzo, bardzo chcę mu powiedzieć, żeby się zamknął. Ponieważ on zdaje się wierzyć, że to wyznanie oczyści go z podejrzeń.

Ale robi raczej na odwrót. Ponieważ do zabicia kogoś trzeba mieć naprawdę potężną motywację – i jednym z takich motywów są pieniądze, które – jak przypuszczaliśmy – leżą u źródła tego wszystkiego. A Inigo nie miał żadnej finansowej

motywacji, żeby zabić Evę. O ile wiemy, do tego obozu należeli tylko Topher i Elliot. Ale innym powodem, który prowokuje ludzi do zabijania, jest miłość. A Inigo właśnie przedstawił siebie jako jedyne kandydata w tej kategorii.

– Wierzę ci – odpowiadam cicho, a potem patrzę, jak się podnosi i wychodzi z pokoju, nie jest w stanie już dłużej trzymać się przed resztą współpracowników.

W kuchni opadam na krzesło, opieram bolącą stopę na prowizorycznym podnóżku od Danny’ego i czekam, aż wejdzie przez drzwi dla obsługi.

– O co chodziło z Inigiem? – pyta, a ja wyjaśniam.

– Do jasnej cholery. – Przeczesuje dłonią włosy. – Co za głupi chujek. A ta Eva pieprząca się z Inigiem i Topher obracający Ani, czy oni nie słyszeli o akcji „Me Too”? Nie wolno już ruchać na prawo i lewo swoich pracowników. To nie w porządku.

– Ale to mu chyba daje motyw? – odpowiadam niechętnie, a Danny wzrusza ramionami.

– Bo ja wiem. Gdybyśmy chcieli, to pewnie każdemu znaleźlibyśmy jakiś motyw. Miranda mogłaby być do szaleństwa zakochana w Inigu. Rik mógłby być wściekłym impotentem, który nienawidzi kobiety na stanowisku szefowej. Kto ich tam, kurwa, wie. Moim zdaniem powinniśmy raczej przyglądać się ich alibi. Niektórych chyba da się wykreślić z grona podejrzanych.

– Nie jeśli chodzi o śmierć Elliota. To mógł być ktokolwiek. Wszyscy byliśmy na miejscu, każdy wchodził do salonu i z niego wychodził.

– Ani wzięła dla niego tę kawę. A wszystko, co o niej wiemy, to to, że jest napalona na Tophera.

– Zniosła mu *jakąś* kawę, ale nie wiemy, czy to była ta sama filiżanka, która go zabiła. To by było bardzo głupie, obwieszczać światu, że niesie się kawę komuś, kogo chce się



otruć.

– To mógł być podwójny blef – stwierdził trochę nieprzekonująco Danny, ale widzę, że tylko gra tutaj adwokata diabła. – No okej, przejrzenie alibi w przypadku Elliota będzie trudne, już rozumiem. Ale co z Evą? Gdybyśmy założyli, że Elliot zginął, bo wiedział coś o tym, co się stało z Evą...

– Cóż... – Próbuję wrócić myślami, przypomnieć sobie to, co wszyscy mówili o tym, gdzie byli, gdy dyskutowaliśmy o zniknięciu Ewy. – Ani i Carl widzieli Ewę całą i zdrową w połowie zjazdu La Sorcière. Więc jeśli ktoś ją zabił, musiał być na górze przed Ani i Carlem. I musiał być na tyle dobrym narciarzem, żeby przeszkodzić Evie w połowie zjazdu. No nie?

– Noooo – powtarza Danny, z pewnym powątpiewaniem. – Chociaż... jeśli do tego się to sprowadza, Carl tak naprawdę nie powiedział, że ją widział. Tylko Ani to potwierdziła.

– Okej, ale *widziała* ją, musiała. To było, jeszcze zanim pojawiły się informacje z GPS od Elliota. W przeciwnym wypadku Ani przecież nie mogłaby wiedzieć, że Eva zjechała La Sorcière? Gdyby kłamała, powiedziałyby, że Eva zjechała Blanche-Neige, tak jak byśmy założyli; tak powiedziałyby każdy, kto próbowałby zmylić trop.

– No dobra, kupuję to. Więc Ani i Carl są czysti, o to ci chodzi.

– Tak, i Liz, bo ona wcześniej zjechała gondolą. Zanim Eva zdążyła w ogóle pojawić się na szczycie. Przyglądamy się osobom, które były na górze przed Evą, czyli Topherowi, Rikowi, Tiger, Inigowi i Mirandzie.

– Nie Mirandzie – mówi nieoczekiwanie Danny, a ja marszczę brwi.

– Dlaczego nie?

– No, jeśli przyjmujemy to, co widziała Ani, Eva została zabita jakoś w połowie La Sorcière. A to znaczy, że szukamy kogoś na tyle dobrego, by dał radę zjechać tą trasą.

Powoli kiwam głową. Ma rację. A to oznacza... no, w takim przypadku to jest dość mała grupa. Tiger, Inigo. *Może* Rik, chociaż tego nie jestem pewna. Jest dobry, ale nie wystarczy być tylko dobrym, trzeba być naprawdę dobrym. I Topher.

Ciągle wracamy do Tophera. Co nie jest zaskakujące, bo Topher ma najsilniejszą motywację ze wszystkich tutaj. A teraz okazuje się, że miał także okazję.

– Rozdzielili się na szczycie, prawda? – mówię, myśląc na głos. – Kiedy patrol narciarski zamknął Blanche-Neige. Niektórzy zjechali gondolą, ale inni i tak pojechali na nartach. Ci, którzy zjechali kolejką, nie mogli mieć z tym nic wspólnego. Kto to był?

– Nie wydaje mi się, żeby o tym mówili. – Teraz Danny marszczy brwi. – Wiem, że Topher oraz Inigo zjechali, ale nie jestem pewien co do reszty. Chcesz, żebym spytał?

Kiwam głową z lekkim oporem. Naprawdę powinnam tam pójść sama. Danny robi się coraz bardziej oschły dla gości. Wcześniej był bliski bójki z Carlem, a to... cóż, to niewyobrażalne. Ostatnie, czego potrzebujemy, to kłótnia, która dołożyłaby się do tej wybuchowej mieszanki żalu i napięcia. Ale boli mnie kostka. Bardzo. I w tej chwili nie mogę się zdobyć na to, żeby na niej stanąć.

Kiedy wahadłowe drzwi zamykają się za Dannym, macam się po kieszeni w poszukiwaniu blistra ibuprofenu i odliczam godziny od ostatniej dawki. Trzy. Naprawdę powinnam poczekać kolejną godzinę. Ale szybko, nim wróci Danny, przerywam folię i połykam kolejne dwie tabletki.

Kiedy popijam je łykiem zimnej herbaty, drzwi się otwierają.

– Topher, Inigo, Tiger i Rik zjechali Blanche-Neige – mówi Danny. – Reszta kolejką i spotkali się z Liz, która czekała już na dole.

– Okej. Cóż... Jeśli ktoś został z tyłu, mógł się pewnie cofnąć na górę szlaku i zjechać zamiast tego La Sorcière. Ale

musieliby być szybcy. Bardzo szybcy. Eva była świetną narciarką i znajdowała się już w połowie szlaku, kiedy widziała ją Ani. To nie daje dużo czasu, żeby jej przeszkodzić, nim zjechała na dół.

– Chyba że... chyba że... – odzywa się Danny. Powoli; niemal widzę, jak analizuje możliwe rozwiązania. – A co, jeśli się przewróciła? Jeśli ją dogonił, a ona była ranna czy coś, udawał, że jej pomoże z wiązaniami, a tymczasem...

Kiwam głową. Z pewnością istnieje taka możliwość. Gdyby to było bardziej przypadkowe niż zaplanowane... Ale wtedy uderza mnie pewna przeszkoda, i to duża.

– W dolnej części zjazdu nie ma uskoku – mówię. – Nie ma możliwości, żeby ktoś ją zepchnął w urwisko.

– Nie, ale jeśli była z jakiegoś powodu bezsilna, to mógł ją zabić i zostawić jej ciało między drzewami. Elliot sam powiedział, że nie jest pewien, jak góry mogą wpływać na sygnał GPS. Może to właśnie odkrył, że nie była wcale w tej dolinie. Ktoś zabił ją na stoku.

– Może... – Ale uwaga Danny'ego coś mi uświadamia. – Ale chwileczkę, tu mamy kolejny problem.

– Jaki? Wydawało mi się, że nieźle nam idzie.

– To się trzyma kupy, z wyjątkiem jednej kwestii. Skąd ktokolwiek *wiedział*, że Eva zjeżdżała La Sorcière? Rozmawiamy, jak gdyby ktoś świadomie pojechał za nią z nadzieją, że ją dogodni. Ale nikt nie widział, jak ruszała. Nikt nie wiedział, że zjeżdżała tym szlakiem.

– Kurwa, masz rację. – Danny znowu się marszczy, jego ciemne brwi się spotykają. – Skąd, do cholery, wiedział, żeby za nią jechać?

– Jediną osobą... – Myślę, łącząc fakty. – Jediną osobą, która *wiedziała*, że zjeżdżała tym szlakiem, była Ani. Może komuś powiedziała, że ją zobaczyła?

– Jeśli komuś powiedziała... – zaczyna powoli Danny, ale

kiedy kończy zdanie, nie brzmi ono wcale tak, jak się spodziewam. – Jeśli komuś powiedziała, to może być w zajebistym niebezpieczeństwie. Musimy się dowiedzieć, komu powiedziała. I to szybko.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snooserwujący: 1

– Kurwa mać.

Topher jest w moim pokoju. *Topher* jest w moim pokoju. Chodzi w tę i we w tę, tam i z powrotem, tam i z powrotem, pomiędzy mną a drzwiami. Wygląda, jakby wpadł w obłąd. Nie wiem, co zrobić. Mój pokój dotąd był moim schronieniem, jedynym miejscem, w którym mogłam zamknąć drzwi i odciąć się od wszystkich – od zapachu piwa, szlochów matki, ryczącego głosu mojego ojca. „Do swojego pokoju, Elizabeth”. To miała być kara. Ale to był azyl.

Teraz mój pokój jest okupowany, a mnie została odcięta droga ucieczki.

– Do cholery, Liz, to jakiś koszmar. Oni wszyscy na mnie patrzą. Oni wszyscy myślą, że to ja!

– Topher...

Próbuję wymyślić, co w tej sytuacji zrobiłaby Tiger. Czy położyłaby mu dłoń na ramieniu? Przytuliła go? To druga myśl sprawia, że robi mi się trochę niedobrze, ale mogłabym

spróbować z tym ramieniem.

Niezręcznie wyciągam rękę, ale Toper wciąż się snuje. Przechodzi obok, tak jakbym wzywała taksówkę, a on był kierowcą, który wiezie pasażera. Nie jestem pewna, czy w ogóle to widzi. Zaczynam obgryzać skórki, a potem wpycham rękę do kieszeni, żeby się powstrzymać.

– Boże, chyba zaczynam świrować. Och, Jezus, Eva. Eva!

Topher się zatrzymuje i opada na moje łóżko. Chowa twarz w dłoniach, a potem, ku mojemu przerażeniu, zaczyna szlochać.

Przynajmniej się teraz nie rusza. Wyciągam rękę, próbując sobie przypomnieć, jak Tiger uspokajała Carla. Opuszczam ją na jego ramię.

Ale wtedy zaczyna strasznie, rozdzierająco szlochać, prawie tak, jakby miał zaraz zwymiotować, a ja zabieram rękę.

– Topher – szepczę. – Pozwól, że... – Rozglądam się po pokoju, szukając inspiracji. Mój wzrok pada pustą szklanekę po wodzie przy moim łóżku. – Pozwól, że przyniosę ci szklanekę wody.

Nie jestem pewna, czy mnie słyszy, gdy na palcach wymykam się na korytarz. Zamykam drzwi, opieram się o nie, ciężko oddycham.

O Boże, nie jestem dobra w te klocki.

Jestem dobra w katalogowaniu i robieniu notatek oraz upewnianiu się, czy wszystko się zgadza. Jestem dobra w dopinaniu wszystkiego na ostatni guzik oraz utrzymywaniu porządku. Jestem zadaniowa, punktualna i skupiona na szczegółach. I bardzo, bardzo dobra w byciu niewidzialną.

W skrócie, idealna asystentka. Ale nie nadaję się do tego tutaj.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Powinniśmy z Dannym zmywać naczynia po lunchu – to nie żarty, zmywarka nie działa. Jedyna gorąca woda pochodzi z czajników, które trzymamy na kominku, i teraz utrzymanie dostatecznego zapasu zastawy do podawania posiłków staje się pełnoetatową pracą. Tłuste talerze po lunchu piętrzą się na suszarce, a sztucce moczą się w letniej wodzie, która szybko wytraca temperaturę. Ale choć karmienie gości jest ważne, to utrzymanie ich przy życiu pozostaje bardziej kluczowe, żadne z nas nie chce zostawić drugiego samego, więc kiedy proponuję rozmowę z Ani, nie dyskutujemy o tym, kto pójdzie, a kto zostanie. Nie ulega wątpliwości, że zagadniemy ją oboje.

Musimy tylko ustalić, gdzie to zrobimy i jak.

– Teraz – stwierdza stanowczo Danny. – Jeżeli rozmawiała z mordercą, powiedziała mu, gdzie była Eva, to tylko kwestia czasu, kiedy się zorientują. A wtedy...

Urywa. Ja przełykam ślinę. Wiem, że ma rację.

– Ale co, jeśli jest z kimś innym? – pytam. – Jaki znajdziemy pretekst, żeby porozmawiać z nią na osobności?

Danny kręci głową.

– Nie, porozmawiamy z nią przy wszystkich. Lepiej postawić sprawę jasno. Jeżeli wszyscy poznają prawdę, to świetnie. Nie możemy zginąć *wszyscy*.

Mówi to bez zająknięcia, a ja trochę mam ochotę zacząć się histerycznie śmiać. Jak do tego doszło, że rozmawiamy o morderstwie jak o jakiejś grze towarzyskiej? Ale on ma rację. Nie ma sensu ukrywać tego, co ma do powiedzenia Ani. Im więcej osób pozna prawdę, tym lepiej.

Nie musimy iść daleko, by ją znaleźć. Wychodzimy z kuchni, przechodzimy przez chłodną jadalnię i już ją widzimy – siedzi w lobby naprzeciw kominka, gra w karty z Carlem, Rikiem i Mirandą, wielkie okulary odsunęła na czoło i patrzy w swoje karty.

– Trójka – oznajmia z zadowoleniem Carl, kładąc na stole trzy króle.

– Cześć – rzuca Danny odrobinę szorstko, zajmując miejsce na wprost grupy. – Możemy chwilę porozmawiać?

– Pewnie – odpowiada z westchnieniem Miranda i układa swoje karty w stosik. – Carl i tak zaraz nas orżnie, więc proszę, chodźcie i ocalcie nas przed kolejną porażką. – Przesuwa dłonią po długich, ciemnych włosach, a potem się krzywi. Wiem, co czuje. Brak ciepłej wody oznacza brak prysznicza, więc wszyscy wyglądają trochę oklapłe i niechlujnie, włącznie ze mną oraz Dannym. – Macie jakieś wieści?



Nadzieja wypisana na jej twarzy sprawia, że przez sekundę kłuje mnie poczucie winy, bo zdaję sobie sprawę, jak musiało wyglądać nasze zdecydowane wejście. Kręcę głową.

– Nie, przykro mi. Nadal nic.

– Do jasnej cholery – rzuca Rik. – Nadal? Czy to się nie robi nieco... niepokojące?

– Cóż, muszę przyznać, że liczyłam, iż do tej pory ktoś tu dotrze.

Wyglądam przez wysokie okna, które rozciągają się wzdłuż dwukondygnacyjnego lobby. Dopiero popołudnie, ale powietrze jest tak ciemne od wirującego śniegu, że wygląda jak zmierzch. Nie widzę świateł St. Antoine le Lac poniżej, a co dopiero odległych łańcuchów górskich. Ale wtedy przychodzi mi do głowy nieprzyjemna myśl: może oni tam na dole w le Lac też nie mają prądu. Baterie w radiu Danny'ego się wyczerpały i nie mamy pojęcia, co się tam dzieje. Może być dużo gorzej, niż sobie wyobrażamy.

– Minęły ponad dwadzieścia cztery godziny od lawiny – ciśnie Rik. – Czy *ktoś* nie powinien się z nami do tej pory skontaktować?

– Nie wiem – odpowiadam. Jego niepokój sprawia, że coraz bardziej się denerwuję. Może ma rację. Może *stało się* coś złego. – Przypuszczam, że są przeciążeni.

– Do czego zmierzasz, stary? – pyta ostro Carl, patrząc z ukosa na współpracownika. – Jeśli chcesz coś powiedzieć, wyduś to z siebie.

Rik wymienia spojrzenia z Mirandą, a potem odpowiada z niejaką niechęcią:

– Słuchaj, to nie jest żadne oskarżenie, nie myśl tak, proszę. Mówię tylko, że to jest... cóż, to *pech*, że nikt inny, poza Inigiem, nie zdołał porozmawiać z policją.

– O co ci chodzi? – pyta zaskoczony Carl.

– Chcę tylko powiedzieć, że... miło byłoby mieć jakies

potwierdzenie tego, co się stało. Słyszeliśmy tylko jego stronę rozmowy. A do tego to trochę... dziwne, że on jako jedyny miał jakiś zasięg.

– Chcesz powiedzieć, że do nich nie zadzwonił? – Brwi Carla podskakują aż do linii jego ogolonych włosów.

Rik nie odpowiada słowami, tylko jakimś wzruszeniem ramion, które może oznaczać jednocześnie „tak” i „nie”, ale sprawdza się jako potwierdzenie takiej możliwości.

– Kurwa – rzuca Carl. Intonuje to słowo niczym jakąś modlitwę. – Kuuuurwa.

Danny rzuca mi zaskoczone, zmartwione spojrzenie i zdaje sobie sprawę, że nie powiedziałam mu o mojej rozmowie z Inigiem ani podejrzeniach Rika. Może dlatego, że nie do końca wierzyłam, by miał rację. Teraz czuję się strasznie naiwna. A jeśli Rik trafnie zgaduje? Co, jeśli *nikt* nie przyjdzie?

– O czym chcieliście z nami porozmawiać? – pyta Miranda, zwracając nas do naszej pierwotnej misji, a ja z wysiłkiem skupiam myśli na swoim zadaniu.

– Ach tak. Więc właściwie to chcieliśmy porozmawiać z Ani, mamy szybkie pytanie.

– Och? – Ani podnosi wzrok znad kart. – Tak! To znaczy pewnie, mogę w czymś pomóc?

– Potrzebujecie prywatności? – pyta Carl i w połowie się podnosi, ale Danny kręci głową.

– Zostańcie. Lepiej wyłożyć wszystkie karty na stół, sam rozumiesz.

Carl chwilę się zastanawia, a potem dostrzega sens w słowach Danny’ego, kiwa głową i z powrotem siada.

– Ani – mówię, zastanawiając się, jak to ująć, by nie wywołać niepotrzebnej paniki, ale jednocześnie jak najjaśniej wyrazić to, o co mi chodzi. – Kiedy wjeżdżałaś kolejką, widziałas Evę zjeżdżającą La Sorcière, dobrze pamiętam?

– Tak – odpowiada Ani. – Na pewno. Ale chyba już o tym

wspominałam?

– Tak, ale chciałam spytać o co innego. Czy wtedy komuś o tym *mówiłaś*?

– Och... – Marszczy brwi i zaczyna myśleć. – Nie pamiętam. Może powiedziałam coś do Carla? Coś w stylu „o, hej, tam jest Eva”. Pamiętasz, Carl?

– Tak szczerze mówiąc, to nie – odpowiada beznamiętnie Carl. – Nie wydaje mi się, żebyś coś powiedziała, ale z ręką na sercu nie jestem w stanie potwierdzić ani zaprzeczyć.

– Och – mówi nagle Ani. Oblewa się różowym rumieńcem i wygląda jak dziecko zadowolone, że udzieliło odpowiedzi, której od niego oczekiwano. Zdaję sobie sprawę, przez tę niepokojącą zmianę, że Ani myśli, iż *ją* sprawdzamy, rozliczamy ją z jej opowieści, a ona się cieszy, że może nam dać potwierdzenie. – Czekaście, rzeczywiście komuś *powiedziałam*. Na szczycie wysiedliśmy z kolejki, Topher mówił o tym, żeby ruszać, a Inigo: „ale przecież nie możemy, bo czekamy na Evę”. A ja na to: „rany, nie, nie powiedziała wam? Ona już pojechała. Widziałam, jak zjeżdża czarnym szlakiem”. Nie wiem, czy Topher mnie słyszał, ale Inigo *na pewno*. On może potwierdzić.

„On może potwierdzić”.

Patrzy na mnie szeroko otwartymi, lśniącoymi oczami, a jej zaufanie sprawia, że mam gulę w gardle.

Ale Carl... Carl patrzy na nią z przerażeniem i wiem, że zdążył połączyć kropki, które już rozgryźliśmy z Dannym.

– Pierdzielić jego potwierdzenie – mówi opryskliwie. – Nie łapiesz tego?

– Czego nie łapię? – pyta Ani. Wygląda na zaskoczoną, jak gdybyśmy zabrali jej odznakę wzorowej uczennicy. Nie może zrozumieć, dlaczego Carl nie jest z niej zadowolony, dlaczego się nie cieszy, że jej opowieść się sprawdziła.

– Inigo *wiedział* – odpowiada Carl. – Wiedział, którądy

pojechała Eva. Powiedziałaś mu, jak ją znaleźć.

– O mój Boże – wzdycha Ani i z jej twarzy odpływają kolory, zostaje tylko przejrzysta skóra, biała jak kość słoniowa, z niebieskimi żyłkami prześwitującymi na skroniach. – O mój Boże, chcesz powiedzieć... Chcesz powiedzieć...

– Chcę powiedzieć, że ktoś zjechał tym szlakiem i zabił Evę. Więc pytanie brzmi, kto wiedział, że tamtędy jechała?

– Nie Inigo! – odpowiada Ani, a jej głos brzmi jak krzyk rozpacz. – Nie Inigo, on był... on i Eva...

Przerywa, zasłania sobie dłonią usta, jakby powiedziała za dużo.

– Eva go ruchała – zauważa brutalnie Carl. – No słuchaj, mała, wszyscy o tym wiemy. Nie trzeba być, kurwa, Sherlockiem Holmesem, żeby do tego dojść. Ale ruchanie kogoś nie daje nikomu alibi, wiesz o tym.

– Nie! – Ani wstaje. Na jej twarz wracają kolory, robi się różowa i wściekła. – *Nie*. Nie zniosę tego! Śmierć Ewy... to był wypadek. A Elliot... Ja po prostu... nie! Ja nie... Ja *nie mogę* myśleć w ten sposób. Nie mogę.

Wypuszcza z dłoni karty i wypada z pokoju.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snooszerwujący: 1

Stoję przed drzwiami swojej sypialni, przyciskam plecy do drewna, kiedy ktoś wchodzi po schodach. Na początku nie widzę, kto to taki. Bez świateł korytarz jest zbyt ciemny, ale kiedy ten ktoś podchodzi bliżej, dostrzegam, że to Ani. Wygląda, jakby płakała.

W pierwszym odruchu chcę się schować z powrotem w pokoju – ale nie mogę. Tam siedzi Topher. Jestem w pułapce. Ona idzie w moją stronę. Będę musiała z nią porozmawiać.

– Nic ci nie jest? – pytam.

– Oni... oni mówią takie okropne rzeczy. – Przetyka łyż. – O Inigu. Ja w to nie wierzę, Liz, nie uwierzę!

– Jakie rzeczy? – Zaczynam czuć zimno w żołądku.

– Że on... – Znowu przetyka i zmusza się, by mówić dalej. – Że on *zabił* Evę. Że nie zadzwonił na policję.

– Nie zadzwonił na *policję*? Czyli nikt do nas nie przyjedzie?

– Ale on zadzwonił! – wyje Ani. – Widzieliśmy go! To strasznie nie w porządku, że mówią o nim takie rzeczy i nie dają mu szansy się obronić. Pracowałam z nim przez dwa lata,

na Boga. Ja go znam! – Przechodzi koło mnie i wali do jego drzwi.

Carl pobiegł za Ani po schodach. Reszta rusza za nim. Widzę Rika, Danny'ego z latarką, Mirandę, a na końcu Erin, wciąż kulejącą.

– Ani, czekaj – mówi Carl. W tym momencie drzwi mojej sypialni otwierają się tak gwałtownie, że prawie przewracam się na plecy, bo nadal opierałam się całym ciężarem o drewno. Topher wybiega koło mnie na korytarz. Twarz ma opuchniętą z wcześniej, ale już nie płacze.

– Co się dzieje? – pyta gwałtownie.

– Inigo! – Ani nadal wali do jego drzwi. Nikt nie odpowiada.  
– Gdzie on jest?

– O Boże – mówi Rik. Patrzy na Mirandę, a potem na Erin. – Nie myślicie, że...

– O nie, nie – odpowiada szybko Danny. – Żadnego kolejnego ciała. Nie na mojej warcie. – Odpycha łokciem Ani, wyciąga z kieszeni służbowy klucz i otwiera drzwi. Potem świeci latarką do pokoju.

W środku nikogo nie ma.

Ponad jego ramieniem widzę rzeczy Carla porozrzucane w nieładzie po pokoju i wojskowe łóżko Iniga, gładko pościelone, z kołdrą zatknietą pod materac.

Na środku poduszki leży złożona kartka.

Najwyraźniej nikt nie wie, co zrobić, ale wtedy Erin, kuśtykając, przechodzi koło Danny'ego do pokoju i podnosi ją.

– To wiadomość – mówi, rzucając na nią okiem w świetle latarki. Potem blednie. – Oż... kurwa.

To pierwszy raz, kiedy słyszę, jak przy nas przeklina. Danny'emu wyrwało się już kilka razy, ale Erin dotąd zawsze zachowywała się w pełni profesjonalnie. Teraz ma białą twarz. Podnosi wzrok na Danny'ego i mówi do niego bezgłośnie coś, czego nie potrafię odszyfrować.

– Co tam jest napisanie? – pyta władczo Topher. Jest lekko zachrypnięty, ale poza tym nie dałoby się poznać, że jeszcze przed kilkoma minutami wypłakiwał sobie oczy w moim pokoju. – Mam prawo wiedzieć, nadal jestem dyrektorem tej firmy.

Wyciąga kartkę z palców Erin. Ona nie protestuje. On odczytuje ją na głos.

– „Droddy wszyscy, popełniłem straszny błąd. Poszedłem spróbować to naprawić. Proszę, nie szukajcie mnie. Inigo”.

– Oż kurwa – powtarza po Erin Miranda. – Co za kretyn. – Stoi w drzwiach. Teraz się odwraca i wygląda przez wysokie okno na końcu korytarza, to, przy którym Inigo próbował złapać sygnał. Jest już prawie całkiem ciemno. Śnieg łomocze o szybę, jakby chciał się dostać do środka. Na ten widok nie potrafię powstrzymać mimowolnego drżenia. – To znaczy... wyjrzyjcie tam. On się zabije.

– Ale co to właściwie znaczy? – pyta Erin. Wygląda na oszołomioną. – Ta wiadomość. Czy to znaczy, że *nie* zadzwonił na policję, ale teraz poszedł ich sprowadzić? Czy że pojechał po Evę?

– Chuj wie – odpowiada opryskliwie Carl. – Durny kutas. Czy on w ogóle zdążył wyjść?

– Dobre pytanie – odpowiada Danny. – Sprawdzę. – Odwraca się i wychodzi szybko z pokoju, zabierając ze sobą latarkę. Kiedy znika, ogarnia nas ciemność. Słyszemy, jak tupie po spiralnych schodach, a potem wali do drzwi w przejściu do części budynku dla obsługi, gdzie znajduje się szatnia narciarska. Kiedy wraca, idzie wolniej, twarz ma ponurą. – Nie ma jego nart. Ani kurtki.

– *Kurwa* – rzuca w złości Carl. – Przeklęty tępak. Dokąd on poszedł? Kto go ostatni widział?

Wszyscy zaczynają wzruszać ramionami.

– Ja go widziałam na lunchu – podpowiada Miranda, a kilka

innych osób przytakuje.

– Ja też go widziałam na lunchu – mówi ciężko Erin. – Był... nie jadł. Nie wyglądał dobrze. Poszedł sobie, założyłam, że do swojego pokoju, ale równie dobrze mógł iść do szatni narciarskiej. Czy ktoś go widział po lunchu?

Wszyscy kręcą głowami. Wtedy Erin marszczy brwi.

– A Tiger?

Rozglądamy się wszyscy po sobie i widzę, jak na wszystkich twarzach pojawia się przerażenie. Gdzie *jest* Tiger?

Nic nie mówiąc, Danny idzie w kierunku jej pokoju. Wszyscy podążamy za nim, jak stadko zaniepokojonych owiec.

Puka do jej drzwi. Nic. Czuję rosnące napięcie.

– Pierdolę to – mówi szorstko Danny i wsuwa do zamka swój służbowy klucz. Drzwi się otwierają i wszyscy przepychają się do środka, żeby zajrzeć. Ja jestem z tyłu, widok zasłaniają mi szerokie plecy Tophera. Słyszę zaniepokojony głos Ani:

– Tiger?

I wtedy słyszę, jak zaspany głos odpowiada:

– Hej, co się stało?

Słysząc głośne westchnienie, przepełnione jednocześnie ulgą i gniewem.

– Jezu, Tiger! – To Miranda. Zwykle mówi z akcentem z wyższych sfer. Teraz brzmi ostro, jest rozdrażniona. – Nie rób nam takich rzeczy. Nie słyszałaś przemowy Erin!? Mieliśmy się trzymać razem!

– Zamknęłam się na klucz – odpowiada Tiger. Jej zwykle niewzruszony głos brzmi trochę mniej spokojnie niż zazwyczaj.

– Co się stało?

– Nie ma Iniga – odpowiada Miranda. I wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, jej porządna fasada nagle pęka i dziewczyna zaczyna płakać.



**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopservujący: 10

Wszyscy kładziemy się wcześniej do łóżek, wykończeni paskudnym, paskudnym dniem. Niektórzy dobierają się w pary, upewniają się, że wszyscy wiedzą, kto jest z kim. Miranda i Rik już nie udają. Po wcześniejszym załamaniu Mirandy przed pokojem Tiger zaczęli być nierozłączni. Teraz Rik oznajmia wprost: „Dziś będę spał w pokoju Mirandy” i nikt nie jest tym zaskoczony.

Może bardziej zaskakujące jest to, że Tiger i Ani trzymają się razem, pozostawiając Carla i Tophera jako dwóch pozostałych wolnych mężczyzn. Pomyślałabym, że Ani i Topher też poszliby we dwoje... ale coś się między nimi zmieniło po

śmierci Elliota. Nie potrafię rozgryźć, kto zainicjował tę powściągliwość. Elliot zmarł, gdy próbował powiedzieć coś Topherowi, coś, czego Topher nie dał mu szansy powiedzieć. Nie trzeba być geniuszem, żeby pomyśleć, że może istniał jakiś powód, dla którego Topher nie chciał, żeby mówił o tych podejrzeniach na głos.

Ale z drugiej strony faktem jest, że Topher był w łóżku z Ani, przez co Elliot nie mógł z nim porozmawiać. Nie byłoby zaskakujące, gdyby Topher, na jakimś poziomie, choćby irracjonalnym, miał jej to za złe. A Ani bez wątpienia była tą osobą, która zaniósła tamtą kawę. Albo przynajmniej *jakąś* kawę, przypominam sobie. Chociaż to Topher ją o to poprosił, jak wynikało z tego, co mi powiedziała w kuchni. Jeśli mówiła prawdę. Jezu. Sama się gubię.

To Miranda zadaje pytanie, o którym nie pomyśleliśmy.

– A co z Liz?

Zapada niezręczna cisza, gdy wszyscy zdajemy sobie sprawę, że znowu zapomnieliśmy o Liz. Wszystkie spojrzenia przenoszą się na nią, a ona zdaje się kurczyć w sobie, obejmuje się ramionami, jakby chciała się obronić przed naszym wzrokiem.

– Może chcesz być ze mną i Tiger? – pyta pogodnie Ani, ale Liz kręci głową.

– Nie, dzięki, nic mi nie będzie samej.

– Liz, nie – mówi z pewnym niepokojem Miranda. – Naprawdę *nie* uważam, żeby to był dobry pomysł. Erin ma rację, powinniśmy się trzymać razem.

– Naprawdę – odpowiada Liz. Ma jakąś taką zawziętą, wręcz upartą minę. – Nie lubię być z nikim w pokoju. Zamknę się na klucz.

– Będę szczery – mówi otwarcie Danny. – Erin i ja mamy służbowe klucze. Możemy wejść wszędzie. Nie mówię teraz, że przyjdziemy i napadniemy cię w nocy, ale te drzwi to nie jest

Fort Knox, chyba mnie rozumiesz.

– Postawię krzesło pod klamką – odpowiada Liz. Zakłada ręce na piersi, a ja wymieniam z Dannym spojrzenia i delikatnie wzruszamy ramionami. Nie możemy jej *zmusić*, żeby zastosowała się do naszej rady.

– No dobra – odpowiada w końcu Danny. – Nie mój cyrk.

Dopiero po wypowiedzeniu tych słów na głos zdaje sobie sprawę, jakie to niestosowne.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Wiem, co sobie myślą, kiedy powoli odchodzimy do swoich osobnych pokoi. Że jestem szalona. Może mają rację. Kiedy zamykam za sobą drzwi, zaczynam się zastanawiać, czy to nie jest fatalny, niebezpieczny pomysł, odcinać się od nich w ten sposób. Co, jeśli ktoś sobie coś pomyśli?

Ale nie mogę im powiedzieć, jakim przerażeniem napawa mnie myśl, że miałabym dzielić pokój z Tiger i Ani. Wystarczająco źle było za dnia, kiedy krążyłam między tymi twarzami z przeszłości, wtłoczona w koszmar z ludźmi, których prawie nie znam.

Potrzebuję swojego schronienia. Potrzebuję moc zamknąć za sobą drzwi. Na myśl o tym, że miałabym spędzić noc na materacu na podłodze w pokoju Tiger, słuchając jej cichego oddechu i Ani kręcącej się przez sen, przechodzi mnie dreszcz.

Wsuwam krzesło pod klamkę w drzwiach, a potem kładę się do łóżka w ubraniu. Jest za zimno, żeby się przebierać. Leżę tam z zamkniętymi oczami, staram się rozluźnić zeszywniałe mięśnie, próbuję sobie powiedzieć, że to bezpieczne, odpłynąć w nieświadomość, gdy pod drzwiami słyszę jakiś hałas. Podnoszę głowę. Moje serce natychmiast zaczyna walić z prędkością stu pięćdziesięciu uderzeń na minutę.

– K-kto to? – Głos mi drży od adrenaliny.

Przez grube drewno słyszę ledwo słyszalny szept.

– To ja, Ani.

– Poczekaj. – Zestawiam nogi z łóżka i podchodzę do drzwi, odsuwając po drodze krzesło. Potem ostrożnie je otwieram.

Na zewnątrz stoi Ani. Jest ubrana w gruby, różowy sweter, który sięga jej prawie do kolan. W ciemności widać jej wielkie oczy.

– Ani, co ty tutaj robisz? Prawie dostałam zawału.

– Przepraszam – szepcze. – Wiesz co, nie mogłam spać. Martwiłam się o ciebie i wydaje mi się, że Erin ma rację. Powinniśmy chyba, nie wiem, trzymać się razem? Proszę, chodź do mnie i do Tiger.

– Nie, naprawdę jest mi dobrze – odpowiadam. Ani stoi w ciemnym korytarzu, zaplatając palce. Patrzy na mnie w taki sposób, który mi się nie podoba. Ma szeroko otwarte i zmartwione oczy. – Jest mi *dobrze* – odpowiadam bardziej zdecydowanie. – Idź, Tiger będzie się zastanawiać, gdzie się podziałaś.

– Tiger już śpi – odpowiada z drżącym, cichym śmiechem. – Od razu zasnęła i chrapie. Nie wiem, jak ona to robi, to jest chodzący zen. A ja po prostu cały czas myślałam o tym

wszystkim, analizuję w głowie.

– Myślę, że wzięła tabletkę – mówię. – Wspominała o tym przy śniadaniu. Ale... co masz na myśli, co analizujesz?

– Och... Nic. – Znowu śmieje się tym cichym, drżącym śmiechem, ale widzę coś w jej oczach. Coś błagalnego i zatroskanego. Czuję nagłe ukłucie niepokoju.

– Ani, czy ty wiesz coś, o czym nikomu nie powiedziałaś?

Kręci głową, ale nie jest to zdecydowane zaprzeczenie, bardziej coś w stylu zatroskanego „nie wiem”.

– Posłuchaj mnie – mówię nagłym szeptem. To nie w moim stylu, przemawiać z takim naciskiem, ale bardzo się martwię. – Słyszałaś, co powiedziała Erin, jeśli coś wiesz, *powiedz* komuś. Skrywanie sekretów jest najbardziej niebezpieczną rzeczą, jaką możesz zrobić. Widziałaś coś? Wtedy, kiedy Elliot przyszedł do pokoju Tophera? Czy to miało jakiś związek z Inigiem?

– Nie, ja nie... – odpowiada z wahaniem. – Ja po prostu... czuję, że coś jest nie tak... Coś, co widziałam... Po prostu... Tak jakby nie potrafię tego określić.

O Boże. Z niepokoju zaczęło mi się przewracać w żołądku. Mam koszarne wrażenie, że to, czego nie może sobie przypomnieć Ani, może być bardzo, bardzo ważne. Jak wskazówka prowadząca do tożsamości mordercy. Jedyna rzecz, która go wyda.

– Ani, *powiedz* mi – błagam. – Nie trzymaj tego dla siebie.

Nasze oczy się spotykają i dostrzegam coś w jej spojrzeniu. Coś, co ona *wie*. I nagle zaczynam się bardzo, bardzo bać.

– Ani, *proszę* – mówię. Błagam, wiem, że błagam, ale już mnie to nie obchodzi. Ona jednak kręci głową, oczy ma tak szeroko otwarte i tak przerażone, jak ja się czuję.

– Nie mogę – szepcze. – Muszę... muszę *pomyśleć*...

I wtedy znika w ciemnościach, pozostawiając mnie stojącą na korytarzu, obserwującą ją, pełną złych przeczuc, kiedy

drzwi do pokoju Tiger cicho się za nią zamykają. Czekam, tak na wszelki wypadek, a potem słyszę stuknięcie, gdy przekreca klucz w zamku, i wracam do swojego pokoju. Nic więcej nie mogę zrobić.

## **ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

– Kurwa. – Danny leży na materacu, który sobie przytargał do mojego pokoju, zakrywa dłonią twarz. – Dlaczego powiedziałem o tym pieprzonym cyrku? Jestem tak cholernie pozbawiony taktu! Ich koledzy właśnie *umarli* i pewnie pomyśleli, że ja sobie robię z tego jaja.

– Serio, Danny, naprawdę wydaje mi się, że to ostatnia rzecz, o jaką się teraz wszyscy martwią.

Jestem taka zmęczona, aż oczy mnie szczypią, i Danny musi czuć się tak samo, ale jednocześnie wiem, że nie ma szans, abym zdołała zasnąć. Za bardzo wszystko się zepsuło. Obecność Danny’ego, chociaż pocieszająca, też jest zbyt dziwna. W pokoju jest zbyt zimno. Sytuacja jest zbyt tragiczna. A ja się martwię, że jeśli już zasnę, to będę miała powracający sen o przekopywaniu się przez śnieg, że obudzę Danny’ego, a on zacznie zadawać pytania, na które nie mogę odpowiedzieć.

Przede wszystkim czuję niewyobrażalny strach.

Nie pomaga, że moja stopa znowu boli. *Bardzo*. Zaczynam się martwić, że może jednak coś sobie złamałam.



– Ktoś już powinien do tej pory przyjechać – mówi w ciszę Danny, a ja wiem, o co mu chodzi.

– Nie *wiemy*, czy Inigo nie zadzwonił.

– W takim razie o co mu chodziło z tym popełnianiem wielkiego błędu?

– Nie wiem, ale to nie ma sensu, Danny. Dlaczego, u licha, miałby nie dzwonić? Jedynym powodem mogłoby być to, że zabił Evę, ale w takim wypadku chyba będziemy bezpieczniejsi bez niego?

– Może zabił. Może chce wyprzedzić policję. Przecież tego nie wiemy.

Uwaga Danny'ego mnie zaskakuje i naprawdę nie umiem wymyślić, jak odpowiedzieć. Prawda jest taka, że po prostu nie sądzę, by Inigo był zabójcą. Wydawał się delikatny, zrozpaczony i szczerze smutny z powodu tego, co się stało z Evą. Ale z drugiej strony pamiętam te wszystkie prasowe artykuły o „dobrych chłopakach”, którzy zabili swoje dzieci, partnerów albo zupełnie obcych ludzi. I jestem zmuszona przypomnieć sobie to, do czego zmierzał Danny – ci ludzie są nam obcy. Nawet jeśli obecna sytuacja wytworzyła między nami dziwną bliskość, jest ona złudna. Znaliśmy Iniga, podobnie jak całą resztę, krócej niż trzy dni.

Znowu zapada długa cisza i przez chwilę wydaje mi się, że może Danny odpłynął, ale potem głośno wzdycha.

– Kurwa, co my teraz zrobimy, Erin?

– Sama nie *wiem*. – W tych trzech słowach mieści się cała moja rozpacz zgromadzona od momentu zniknięcia Ewy. To jest niewiarygodnie okropne. Najpierw Eva, potem Elliot, teraz Inigo. Nasi goście znikają jedno po drugim, jak w jakimś kiepskim horrorze. – Jeżeli Inigo naprawdę poszedł wezwać pomoc...

– Ja w to nie wierzę – oznajmia ostatecznie Danny. – Jeżeli dzwonił na policję, jak twierdził, to nie ma potrzeby, żeby teraz

ich sprowadzał. A jeżeli *nie* zadzwonił, to dlaczego nagle miałby się zmieniać w księcia na białym koniu i ich przyprowadzić? To nie ma sensu. Nie poszedł po policję. Zwiął, a w ten sposób chce to ukryć.

Po jego słowach przewraca mi się w żołądku, ale nie można im odmówić logiki. Szczerze mówiąc, to, czy Inigo zniknął, czy nie, nie zmienia naszego położenia. Jesteśmy tu uwięzieni i nie ma szans, byśmy się dowiedzieli, czy Inigo zdoła sprowadzić pomoc – ani czy w ogóle spróbuje. Nie zmienia tego najbardziej skomplikowane analizy świata. Wszystko, co możemy zrobić, to siedzieć i czekać. Nagle przychodzi mi do głowy pomysł.

– Czekał, jest przecież coś, co moglibyśmy zrobić.

– Co?

– Ty mógłbyś pójść. Mógłbyś pójść do Haut Montagne. Wszcząć alarm.

Zapada długa cisza. W końcu Danny odpowiada kategorycznie:

– Nie.

– Wiem, że to niebezpieczne, ale ja nie mogę iść z moją ko...

– Pierdolić niebezpieczeństwo – przerywa mi Danny. – Nie chodzi mi o pieprzone niebezpieczeństwo. Ale masz rację, ty nie możesz pójść, a ja nie zostawię cię tu z grupą psychopatów.

– Nie wiemy, czy ktokolwiek tu jest psychopata... Jeśli to prawda, że Inigo...

– Nie zostawię cię – odpowiedział Danny, a coś w jego tonie daje mi jasno do zrozumienia, że to są jego ostatnie słowa w tym temacie. Słyszę szelest kołdry, kiedy gwałtownie obraca się na materacu. – I tyle. A teraz idź spać.

Ale mija bardzo dużo czasu, nim zasypiam.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Kładę się z powrotem do łóżka. Jestem taka spięta, że nie mam pewności, czy uda mi się zasnąć, ale kiedy w końcu odpływam, zapadam w ten głęboki sen pozbawiony snów, który przychodzi po kompletnym wykończeniu. Gdy się budzę, jest strasznie zimno i chociaż czuję na sobie pogniecione i przepocone ubrania, cieszę się, że ich nie zdejmowałam. Wstawanie byłoby wtedy zbyt nieprzyjemne. Nawet w ubraniu jest mi zbyt zimno, by zmierzyć się ze wstaniem z łóżka, więc zamykam oczy i po prostu leżę. Mój telefon całkiem padł, więc nie mam pojęcia, która godzina.

I wtedy właśnie ciszę przeszywa krzyk. Długi, głośny krzyk, który trwa i trwa.

Zrywam się i siadam prosto, serce mi wali, a potem zsuwam nogi z łóżka i wstaję. To zbyt szybki ruch. Czuję, jak krew odpływa mi z głowy, a potem wraca z falą dreszczy. Serce nadal mi wali od adrenaliny.

Z korytarza słyszę łomotanie drzwi. Rozlegają się spanikowane okrzyki.

– To z pokoju Tiger! – woła ktoś.

Ręce mi się trzęsą, kiedy szukam dłonią okularów i wsuwam je sobie na nos. Jest tak zimno, że wydycham białą parę, gdy otwieram drzwi kluczem.

Na korytarzu Rik, Miranda, Topher i Carl tłoczą się przy pokoju Tiger. Miranda ma na sobie wełnianą czapkę i rękawiczki.

– Otwierajcie! – krzyczy Topher. – Co się stało? Ani? Tiger? Otwórzcie drzwi!

Krzyk przechodzi w cichy szloch. Nie sposób określić, kto wydaje te dźwięki.

Słyszę, jak ktoś biegnie; to kucharz Danny pędzi, ślizgając się na zakręcie korytarza, ubrany w dresy i wygniecioną bluzę.

– Co tu się, do cholery, dzieje? Co to za wrzaski?

– Słyszeliśmy krzyk – wyjaśnia krótko Rik. – Z pokoju Tiger i Ani. Nie możemy ich nakłonić, żeby otworzyły drzwi.

– Odsuńcie się – mówi Danny i sięga do kieszeni po zapasowy klucz. Niczego nie wyciąga. – Cholera, musiałem je zostawić w drugich spodniach. Hej! – Wali do drzwi. – Otwierajcie! Nie możemy wam pomóc, dopóki nie otworzycie drzwi.

Słysząc kliknięcie. Drzwi otwierają się na oścież.

Przede mną stoi tyle osób, że nie widzę, kto to. Ale wtedy

słyszę zaskoczony głos Mirandy:

– Tiger! Co tu się, u licha, dzieje?!

Tiger tak szlocha, że ledwo jest w stanie coś z siebie wykrztusić.

– Ani, o Boże, p-proszę, pomóżcie. To Ani. Ona chyba n-nie żyje.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Moje kuśtykanie korytarzem trwa boleśnie długo. Kostka spuchła w nocy i boli mnie, kiedy na niej stoję. Gdy wychodzę z za rogu, głosy zmieniają się w spanikowany gwar.

– Co się dzieje? – pytam, ale nikt mnie nie słucha, wszyscy tłoczą się przy drzwiach Tiger i Ani. Tiger kuca w korytarzu, rękoma obejmuje sobie głowę, histerycznie szlocha. Liz stoi nad nią z przerażoną miną i od czasu do czasu ostrożnie kładzie dłoń na włosach dziewczyny, jakby miały zaraz wybuchnąć ogniem.

– Co się dzieje? – pytam znowu, a tym razem z pokoju Tiger wychodzi Danny z poszarzałą twarzą.

– Ja pierdolę – mówi. – Dopadli Ani.

– *Dopadli ją? Kto ją dopadł? O czym ty mówisz?* – Czuję, jak narasta we mnie strach.

O Boże. Aż mnie skręca z przerażenia, kiedy przeciskam się między ludźmi do pokoju.

Ani leży na materacu na podłodze. Twarzą w dół, ale kiedy ciągnę ją za ramię, żeby ją obrócić, przewraca się cała, jak manekin, jej stawy zeszywniały w stężeniu pośmiertnym. Nie muszę dotykać jej zimnej, woskowej twarzy, żeby wiedzieć, iż jest całkiem, całkiem martwa.

Nagle nogi nie są w stanie mnie utrzymać i zataczam się na łóżko Tiger, wciąż ciepłe i wymięte. Pokój zaczyna mi wirować przed oczami i opieram głowę między kolanami, starając się to zatrzymać.

– To nie mógł być Inigo – mówi ochryple Danny. Potwierdzająco kiwam głową. To jest jasne. O Boże, jak trafiliśmy do tego koszmaru na jawie?

– Teraz jest nas sześćoro – mówi ktoś cicho w progu, a ja podnoszę wzrok i widzę Liz, która wpatruje się w leżącą Ani, a na twarzy ma białą maskę przerażenia.

– Co? – pyta Danny. Wygląda na oszołomionego, jakby jej dobrze nie usłyszał.

– Nic – odpowiada Liz. Śmieje się drżącym, roztrzęsionym śmiechem. Brzmi, jakby była na skraju hysterii. Wiem, jak się czuje. A potem się odwraca i znika. Słyszę, jak trzaska swoimi drzwiami, jak w zamku zgrzyta klucz. Nie mam jej tego za złe. Duża część mnie pragnie zrobić to samo. Ale nie mogę. Muszę...

Wstaję, podchodzę do ciała i znowu bardzo powoli je obracam, tym razem zmuszam się, by spojrzeć na martwą twarz Ani.

Wygląda, jakby zmarła we śnie. *Prawie*. Nie do końca. Na ustach ma maleńką plamkę krwi, musiała sobie przygryźć

język. A na twarzy kilka drobnych czerwonych kropek. Wiem, czym są, a raczej wiem, co oznaczają, ale potrzebuję kilku minut szukania w pamięci, nim mój mózg przypomni sobie medyczny termin. *Wybroczyny*. Studenci pierwszego roku medycyny nie spotykają się zbyt często z zabójstwami – ale widziałam dość zdjęć w podręcznikach, by je rozpoznać.

Nie ma żadnych śladów na szyi, nie widzę też innych ran, poza tą maleńką plamką krwi na ustach. Kiedy się schylam, żeby odłożyć ją delikatnie w pozycji, w jakiej ją znalazłam, twarzą w dół, widzę, że poplamiała też poduszkę. Do głowy przychodzi mi cytat: „Usta czerwone jak krew, skóra biała jak śnieg”.

– Myślę, że została uduszona – mówię cicho do Danny’ego. – Ktokolwiek to zrobił, albo przycisnął jej twarz do tej poduszki, albo przytrzymał jej coś przy twarzy i potem ją obrócił. Nie widzę żadnych siniaków ani śladów walki, to się stało pewnie, kiedy spała.

– O mój Boże. – Twarz Danny’ego wykrzywia przerażenie. Wygląda na kilka dekad starszego, nie na swoje dwadzieścia pięć lat. – Ale nie mówisz chyba, że to... Tiger?

Kręcę głową, ale nie przecząco – po prostu nie mam pojęcia, co powiedzieć. Nie mogę uwierzyć, że ta delikatna, zawsze w stanie zen Tiger mogłaby to zrobić. A z drugiej strony – drzwi były zamknięte na klucz. I czy ktoś naprawdę mógłby się zakraść i udusić Ani we śnie, nie budząc Tiger? Myślę o jej wyrzeźbionym przez jogę ciele, o tych szczupłych, silnych dłoniach. Świat zdaje się przechylać i drżeć w posadach.

Wszyscy czekają na korytarzu, bladzi i zmartwieni. Tiger przestała szlochać i nadal kuca przy ścianie, Miranda obejmuje ją opiekuńczo ramieniem. Liz wciąż jest zamknięta w swoim pokoju.



Carl i Rik stoją z posępными minami po obu stronach drzwi, niczym strażnicy. Topher spaceruje w tę i we w tę i wygląda, jakby go opętały demony. Jego twarz wyraża coś, czego się boję.

– Co. Do. Kurwy. Nędzy – wyrzuca z siebie, kiedy wychodzimy z Danny z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Ej, stary. – Danny podnosi rękę, ale uciszam go. Pięcioro z tych ludzi jest przerażonych i w żałobie. Jedna osoba... Ale nie mogę o tym myśleć. To zbyt surrealistyczne, zbyt przerażające.

– Chodźcie do salonu – mówię. – Chyba wszyscy musimy się napić.

Jest ledwo dziewiąta rano, ale na dole nalewam nam czystej whiskey i wszyscy piją ją bez szemrania, z wyjątkiem Tiger, która leży na kanapie, trzęsąc się, i jest w stanie, który potrafię nazwać tylko prawie katatonicznym szokiem.

– No więc – zaczyna Rik, odstawiając szklankę. – Co się stało?

– Sekunda – odzywa się Miranda. – Gdzie jest Liz?

Czuję, że zalewa mnie panika, a po niej przychodzi fala racjonalnego myślenia. Nikt nie mógł zabić Liz, skoro stoimy wszyscy razem na korytarzu.

– Chyba jest w swoim pokoju – mówię. – Pójdę po nią.

– Sama nigdzie nie idziesz – warczy Danny i idzie za mną na górę jak cerber, podczas gdy ja z bólem kuśtykam korytarzem, żeby zapukać do drzwi Liz.

– K-kto tam? – słyszę przez drewno. Jest taka przerażona jak ja.

– To ja, Erin – odpowiadam. – I Danny. Mu... musimy o tym porozmawiać, Liz. O tym, co się stało. Musimy pomyśleć, co zrobić dalej. Mogłabyś wyjść?

Rozlega się chrobot, a potem drzwi się otwierają, bardzo powoli, aż w końcu pokazuje się Liz, blada jak ściana,

z oczami bez wyrazu. Wygląda na przerażoną, tak jakby nie było nic straszniejszego od zejścia na dół i spotkania z resztą gości – nie dziwię jej się. Też się tak czuję. Ale musimy to zrobić.

Nim zeszedliśmy na dół, Miranda zdążyła rozpaść ogień, a Rik bardzo hojnie rozlał wszystkim drugą kolejkę whiskey. Chciałam powiedzieć coś o tym, że to może niewskazane dodawać jeszcze do tego wszystkiego więcej alkoholu, ale ponieważ sama najpierw zaproponowałam, żeby się napić, nie wydaje mi się, żebym miała prawo protestować.

– No więc co się stało? – pyta znowu Rik, podając Liz szklankę. Ton jego głosu jest na pograniczu czegoś, co nazwałabym agresją, ale wydaje mi się, że to raczej strach. – Nie powiesz mi chyba, że po prostu umarła we śnie.

– Nie – odpowiadam bardzo cicho, ale wszyscy natychmiast milkną. – Miała wybroczyny. Wiecie, co to oznacza?

Wszyscy wkoło kręcą głowami, z wyjątkiem Carla, który przytakuje.

– Takie czerwone kropeczki, tak? Oglądam CSI. No raczej.

– Właśnie. Czerwone kropeczki w miejscach, gdzie w skórze popękały naczynia krwionośne. Zwykle oznacza to, że ktoś się udusił: udławił albo powiesił. W tym wypadku, ponieważ nie ma żadnych śladów na szyi, zakładam, że Ani została prawdopodobnie uduszona we śnie.

– O mój Boże – jęknęła przeciągle Miranda. Schowała twarz w dłoniach.

– Ona... Ona coś wiedziała. – To Liz. Muszę uciszyć resztę, żeby ją usłyszeć. – Wczoraj wieczorem przyszła do mojego pokoju i próbowała mnie przekonać, żebym nie spała sama. Kiedy spytałam, dlaczego jeszcze nie śpi, powiedziała, że o czymś myśli, o czymś, co widziała... Błagałam ją, żeby mi powiedziała... – Urywa, głos jej się załamuje.

To praktycznie najdłuższa wypowiedź, jaką dotąd słyszałam

w jej wykonaniu, a do tego wygląda, jakby się kurczyła pod zwróconymi na nią spojrzeniami wszystkich.

– Och, do jasnej cholery. – Danny ma wściekły głos, wstaje, jakby nie potrafił utrzymać w sobie emocji. – Kurczę, co mówiła Erin? Jeżeli o czymś wiecie, *powiedzcie komuś*.

– No wiem! – odpowiada Liz, jej głos brzmi jak szloch. – Błagałam ją, żeby mi powiedziała, naprawdę... ale twierdziła, że nie jest pewna...

– Tiger... – Miranda potrząsa teraz delikatnie Tiger. – Tiger, czy Ani powiedziała ci *cokolwiek* wczoraj wieczorem, zanim zasnęła?

– Ja spałam. – Tiger rwie się głos, jest bardzo zachrypnięty. Słowa są tak pourywane, że trudno ją zrozumieć.

Wyciągam z tego tylko: „Bardzo przepraszam... spałam... wzięłam pigułkę nasenną”.

– Czekaj, ty bierzesz pigułki nasenne? – pytam. Zerkam na Danny’ego, który unosi jedną brew, i wiem, że podobnie jak ja myśli o pokruszonych tabletkach w kawie Elliota. Tiger głośno szlocha.

– Zwykle nie, ale nie mogłam spać. Nie byłam w stanie, odkąd tu przyjechałam. Zaczęło się p- pierwszego dnia. Eva mówiła mi, że to wina wysokości. Dała mi trochę swoich tabletek.

– To prawda – zauważa Miranda. Rozgląda się po kręgu, szukając wsparcia. – To było tamtego poranka po śniadaniu. Pamiętam tamtą rozmowę. Rik, słyszałeś ją, prawda?

– Przepraszam – odpowiada Rik, wzruszając ramionami. Mówi takim tonem, jakby się bronił. – Na pewno masz rację, ale nie pamiętam.

– Wszyscy tam byli – nie ustępuje Miranda. – To było tuż przed tym, jak poszliśmy na prezentację. Eva powiedziała do Tiger: „wyglądasz, jakbyś nie spała”, a Tiger odpowiedziała: „rzeczywiście nie”. Na co Eva stwierdziła, że to ta wysokość.

„Przypomnij mi, żebym ci dała moje pigułki nasenne”. Carl też tam był, i Liz. I Topher.

– Ja też nie pamiętam. Przypuszczam, że byłem zbyt zajęty myśleniem o prezentacji – powiedział dość szorstko Topher. – Do czego zmierzasz?

Wygląda na wzburzonego, jakby myślał, że Miranda próbuje mu coś przypisać. Ale ja wiem, dlaczego Miranda się przy tym upiera. Wie, że Tiger jest główną podejrzaną, jeśli chodzi o śmierć Ani. Była w tym samym pokoju, kiedy Ani została uduszona, i przespała to. A to dość nieprawdopodobne – chyba że brała pigułki nasenne. Miranda próbuje wykazać, że wszyscy o tym wiedzieli. Że ktoś mógł wykorzystać fakt, iż Tiger była odurzona, żeby się zakraść i zabić Ani w czasie snu Tiger. Trochę ją za to podziwiam – staje po stronie koleżanki w obliczu naprawdę przerażających dowodów.

Jednak nadal pozostaje kwestia drzwi zamkniętych na klucz.

– Kto pierwszy dotarł do pokoju Ani?

– Ja – odezwał się Topher. Stoi oparty o kominek. Teraz skrzyżował ręce na piersi. – Ale były zamknięte na klucz. Sam widziałeś.

Kiwa głową na Danny’ego, który w potwierdzeniu wzrusza ramionami.

– Tak, próbowałem otworzyć drzwi. Były zamknięte na klucz.

– Więc jak ktoś się dostał do środka? – pyta Topher. – Kluczem obsługi? Ile macie takich kompletów?

– Tylko dwa – odpowiadam. Wyciągam swoje i pokazuję. – Miałam je przy sobie całą noc. Jestem tego pewna. Danny?

Ale Danny marszczy brwi, poklepując się po kieszeniach.

– Myślałem, że miałem je tutaj. To jest ubranie, które nosiłem wczoraj. Myślałem... Moment.

I nie czekając, aż ktoś pójdzie mu towarzyszyć, zrywa się

i wychodzi z pokoju.

– Danny! – wołam za nim, ale on odkrzykuje:

– Za sekundę wracam.

Zapada długa cisza. Serce bije mi nieprzyjemnie szybko, chociaż wiem, że to nieracjonalne. Wszyscy są tutaj. Właśnie na nich patrzę. Ale zaczynam się czuć jak we *Władcy much*.

Kiedy Danny wraca, ma bardzo poważną minę i rzuca mi takie spojrzenie, po którym poznaję, że nie cieszy go to, co musi powiedzieć.

– No dobra, nie ma sensu owijać w bawełnę – oznajmia. – Moje klucze zniknęły. Ktoś je zwinął.

– Kurwa. – To Rik, wypowiedziane przez niego słowo brzmi jak strzał z pistoletu, po którym zapada cisza. – *Kurwa*. Chcesz powiedzieć, że ktoś ma teraz dostęp do wszystkich pomieszczeń w tym domu? Nikt z nas nie może się bezpiecznie zamknąć na klucz?

– Na to wygląda – odpowiada ponuro Danny.

– Ej – wykrztusza Topher. – Jesteś nieodpowiedzialnym *palantem*, miałeś obowiązek się nami opiekować i...

Danny wstaje, żeby mieć oczy na tym samym poziomie co Topher, prawie wyskakuje do niego z pięściami.

– Nie do mnie takim tonem, stary.

– To jest dla ciebie cholernie wygodne, co? Wcześniej, jeśli ktoś zdołał się dostać do któregoś z pokoi, byliście z Erin głównymi podejrzanymi, a skoro zakombinowałeś...

– Niczego nie zakombinowałem – odwarkuje Danny. – I nie mieszaj do tego mnie ani Erin. Niczego nie zrobiliśmy i nigdy nie mieliśmy żadnych kłopotów, dopóki wy się nie pojawiliście i nie zaczęliście się nawzajem wykańczać. Nikogo z was nie znaleźliśmy wcześniej. Więc fakt, że któryś z twoich pracowników podwędził mi klucz...

– No, to jest kolejna rzecz – zauważa ze złością Topher. – Kim właściwie jest Erin? Bo moim zdaniem ma trochę zbyt

wysokie kwalifikacje jak na pokojówkę. Jakieś, kurwa, śmiertelne plamki czy co to było... To wchodzi w zakres szkolenia pracowników domków w górach?

Cholera. Wiedziałam, że ten moment nadejdzie. Wzdycham i też wstaję, opierając się na zdrowej nodze.

– Nie, nie wchodzi. Prawda jest taka... – Zerkam na Danny'ego, zastanawiając się, ile mi się upiecze. – Prawda jest taka, że zanim tu przyjechałam, studiowałam medycynę. Wyleciałam, ale tak się dowiedziałam o wybroczeniach.

– Ale to nie wszystko, prawda? – ponagla mnie Topher. – Męczysz mnie to, odkąd tu przyjechałem. *Znam* cię. Wiem, że cię znam.

Kurwa. *Kurwa*.

Nie ma już sensu tego ukrywać.

– Tak, prawdopodobnie mnie kojarzysz. Noszę nazwisko FitzClarence. Wszyscy znajomi nazywają mnie Erin, ale to moje drugie imię.

– Kurwa, wiedziałem! – wykrzykuje triumfalnie Topher. – *Wiedziałem*, że cię znam. Dorothea FitzClarence. Chodziłem do szkoły z twoim bratem, Alexem, tym, który...

Urywa, a ja niechętnie kiwam głową, bo nic innego zrobić nie mogę.

– Co? – pyta Danny. Wygląda na wstrząśniętego. – Erin, co to za bzdury? Dorothea... że co?

– Pozwól, że ci przedstawię – mówi złośliwie Topher. – Oto lady Dorothea de Plessis FitzClarence, najmłodsza córka markiza Cardale.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snooserwujący: 1

Rozglądam się wokół po zatroskanych twarzach, to oczywiste, że nie jestem w tej chwili jedyną tak zagubioną osobą. Erin wygląda na spanikowaną. Topher jest zachwycony. Ale cała reszta wygląda na równie zdumionych co ja. Co się właśnie stało? Czy to ma jakiś związek ze śmiercią Ani?

Nie ma czasu na to, żeby się dowiedzieć. Danny wstaje tak gwałtownie, że przewraca krzesło. Opada ono z łoskotem, rozbijając szklanę po whiskey.

– Danny – mówi żałośnie Erin.

– Ja pierdolę, okłamałaś mnie – rzuca on przez ramię. A potem wychodzi z pokoju.

Erin rzuca Topherowi wściekłe spojrzenie.

– Wielkie dzięki – odzywa się, a potem wychodzi, kulejąc, za Dannym.

– Ha – kwituje Topher i sadowi się w fotelu. Na twarzy ma wypisane ponure zadowolenie.

– Topher – zaczyna zaskoczona Miranda. – O co, do licha,

w tym wszystkim chodzi? Na Boga, Ani nie żyje. Zapomniałeś o tym?

– Nie – broni się Topher, chociaż moim zdaniem tak naprawdę zapomniał na minutę lub dwie. – Nie, bynajmniej. To bardzo raniące, co sugerujesz, Mirando. Ale miałem już dość tego nadwrażliwego kucharza, który wszystkich oskarża. Nie jesteśmy jedynymi osobami, które coś ukrywają.

– Mów za siebie, koleś! – parska Carl. – Ja niczego nie ukrywam! I co, u diabła, to ma wspólnego z czymkolwiek, że Erin jest trochę bardziej dystygowana, niż twierdziła?

– Ona też jest w to uwikłana – cedzi wściekle Topher. – Mam już dość tego, że oboje cały czas traktują nas z góry.

– Pamiętam Alexa FitzClarence’a – mówi powoli Rik. – Był parę roczników niżej. Czy on... Czy on czasem nie zmarł kilka lat temu?

– Tak, to on – odpowiada Topher. – To był naprawdę dobry chłopak. Ale nie o to mi chodziło... Po prostu Erin jest trochę bardziej uwikłana w to wszystko, niż twierdzi. A co się stało z Alexem... – Urywa. Nagle jego wyraz twarzy się zmienia i Topher chwyta Rika za ramię tak mocno, że ten się trochę krzywi. Wygląda, jakby właśnie dostał bardzo okazały prezent świąteczny. – *Sekunda*. Alex zginął w lawinie. Ze swoim najlepszym przyjacielem.

– Co takiego? – pyta z niepokojem Rik.

– Pamiętam, że czytałem o tym w newsletterze absolwentów. Alex FitzClarence zginął w lawinie w Alpach ze swoim najlepszym przyjacielem, Willem Hamiltonem. Przeżyła tylko dziewczyna Willa, Erin FitzClarence.

– Topher. – Miranda wygląda teraz na równie zaniepokojoną co Rik. – Topher, do czego ty zmierzasz?

– Mówię, że to nie jest pierwszy raz, kiedy nasza mała Erin miała do czynienia ze śmiertelnym wypadkiem narciarskim.



**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

– Danny! – Nie pada żadna odpowiedź, ale wiem, że on tam jest. – Danny, proszę, strasznie przepraszam. Proszę, pozwól mi wyjaśnić. – Walę w jego drzwi po raz dwudziesty albo trzydziesty, ale nie mam już wielkiej nadziei. To jasne, że nie chce mi otworzyć.

Ale wtedy ustępuje.

– No, słucham – odzywa się, a minę ma tak wściekłą, że aż się boję.

– Danny, strasznie cię przepraszam – powtarzam żałośnie.

– Powiedziałaś, że mi to wyjaśnisz. – Krzyżuje ramiona na piersi, ledwo chowa w sobie gniew. – No więc proszę. Wyjaśnij.

Wyjaśnij, dlaczego mnie okłamałaś.

– Nie okłamałam cię...

Zaczyna zamykać mi drzwi przed nosem.

– Hej! – wołam i odruchowo wciskam stopę w szczelinę, zapominając, że to moja chora kostka. Drzwi ją miażdżą, a ja wydaję z siebie okrzyk agonii. Danny przyciska sobie dłoń do ust.

– Cholera jasna, Erin, przepraszam... Strasznie, strasznie przepraszam... Nic się nie stało! – woła, wiedząc, że reszta prawdopodobnie podskoczyła spanikowana, spodziewając się najczarniejszego scenariusza. – Erin nic się nie stało, uderzyła się tylko w kostkę.

– Nic mi nie jest! – wołam ochryple, mrugając, by pozbyć się łez bólu, które zaczęły mi się cisnąć do oczu. Albo nam uwierzyli, albo nic nie słyszeli zza drzwi pomieszczeń obsługi, w każdym razie nikt nie przybiegł.

Jakimś sposobem impas między nami musiał się przełamać, bo Danny otwiera szerzej drzwi i wskazuje głową swoje łóżko.

– Lepiej wejdz. Odciąż trochę nogę.

Posłusznie kuśtykam do środka i siadam.

Zapada długa cisza.

– No? – odzywa się w końcu Danny. Jest wrogo nastawiony każdym mięśniem ciała, ale przynajmniej daje mi szansę to wyjaśnić.

– Masz rację – odpowiadam. – Nawet jeśli cię nie okłamałam, to nie do końca powiedziałam ci prawdę.

– Myślałem, że się przyjaźnimy – mówi Danny, ale chociaż złość zesła już z jego miłej, pogniecionej twarzy, zostało na niej coś dużo gorszego: oszołomienie i ból. – Myślałem... myślałem, że byliśmy po tej samej stronie.

– Byliśmy... *jesteśmy* – odpowiadam z desperacją. – To niczego nie zmienia. Wszystko, co ci powiedziałam o mnie,

o tym, jak wyleciałam ze studiów, to wszystko prawda. Nie powiedziałam ci tylko dlaczego.

– No to dlaczego? – pyta Danny. Krzyżuje ramiona i opiera się o swoją małą komodę, dając mi do zrozumienia poprzez język ciała, że to nie będzie łatwe. Muszę się z tego jakoś wykaraskać.

Przełykam ślinę. Z nikim o tym nie rozmawiałam – od czasu tamtych koszmarnych dni i tygodni po tamtym wypadku. Ale jestem winna prawdę Danny’emu.

– To prawda, że mój tata jest markizem – mówię. – Ale serio, Danny, to tylko tak wspaniale brzmi. Nie mieszka w zamku. Moja rodzina nie jest szczególnie zamożna. Alex chodził do szkoły z internatem, ale ja poszłam do lokalnego ogólniaka, bo moi rodzice nie mogli sobie pozwolić na płacenie podwójnego czesnego. Nie jestem inna od ciebie.

Rzuca mi takie spojrzenie, jakby mówił „no kurwa, na pewno”, a ja się wzdrygam, bo wiem, że ma rację. Danny dorastał na osiedlu komunalnym na przedmieściach Portsmouth, był jedynym dzieckiem samotnej matki, która przez lata z trudem wiązała koniec z końcem. Do wszystkiego doszedł sam, bez żadnej pomocy z zewnątrz. A niezależnie od tego, jak bardzo podupadł majątek rodziny FitzClarence’ów, nasze wychowanie *było* inne, to prawda. Zniewagą byłoby twierdzić, że jest inaczej.

– Okej, przepraszam, to... to było niezręczne. Nie o to mi chodziło. Chciałam tylko powiedzieć... Próbowałam wyjaśnić...

Przerywam. Chowam głowę w dłoniach. Mam dość. Danny był jedyną osobą po mojej stronie, jedyną, na której mogłam naprawdę polegać. Czy teraz to wszystko spieprzyłam, przez Tophera?

– Kiedy miałam dziewiętnaście lat – zaczynam znowu, tym razem wolniej – pojechałam na wczasy na narty z moim chłopakiem, Willem, i moim bratem, Alexem, przyjacielem

Willa. Jeździliśmy poza szlakami i byliśmy głupi. Złapała nas... – Przeżyłam. Nie wiem, jak o tym mówić, jak wyjaśnić tę straszną rzecz, która się wtedy wydarzyła. Brakuje na to słów. – Złapała nas lawina – mówię w końcu, zmuszając się. – Wyzwoliliśmy ją przypadkiem. Wszyscy mieliśmy plecaki lawinowe, ale Alex nie zdołał uruchomić swojego. Plecak Willa się napompował, ale go nie uratował, zakopał się zbyt głęboko i nie byłam w stanie go dość szybko wykopać. Tylko ja przeżyłam.

Przerywam. Nie potrafię mówić dalej. Nie umiem opisać tych koszmarnych godzin na tamtej górze, kiedy szlochając, kopałam zdrętwiałymi, krwawiącymi dłońmi, próbując dostać się przez twardo ubite zaspy do Willa, uwięzionego głową w dół pod setkami kilogramów śniegu i lodu. Kopałam i płakałam, i płakałam, i kopałam, używając wszystkiego, co zdołałam znaleźć w plecaku – biletem na wyciągi, butelką na wodę, wszystkim, z czego dawało się zrobić prowizoryczny kilof, bo kijków i nart dawno już nie miałam, porwało mi je gdzieś u góry stoku.

Było za późno. Wiedziałam o tym. Wiedziałam o tym, chyba jeszcze zanim zaczęłam kopać, a z każdą kolejną godziną wśród śniegu leżącego wokół w nieporuszonej ciszy jakoś znajdowałam w sobie siłę, by się z tym pogodzić. Ale nadal kopałam. Nie tylko dla Willa, ale też dla własnego ocalenia. Bo Will miał w swoim plecaku nadajnik sygnału GPS. I gdybym go nie uruchomiła, umarłabym razem z nim.

Zespół ratowniczy w końcu nas odnalazł. Kiedy przyjechali, byłam w hipotermii, leżałam przytulona do martwego ciała Willa. Alexa nie odnaleziono aż do wiosny.

– Ja... Ja nie mogłam wrócić – mówię bardzo cicho. – Rozumiesz to? Nie mogłam wrócić do dawnego życia. Straciło cały sens. Pochowałam Willa, a potem znowu wyjechałam w góry; najpierw dlatego, że nie byłam w stanie ich opuścić

bez Alexa, a potem, bo...

Przerywam. Tak naprawdę nie wiem, dlaczego zostałam. Wiem tylko, że nie mogłam wrócić do domu, gdzie dusiło mnie współczucie wszystkich moich przyjaciół oraz okropny, miazdzący żal rodziców. Wydawało mi się, że zostanie tutaj będzie jakimś rodzajem pokuty – wśród straszego, surowego piękna Alp, gdzie wciąż zmuszam się, by patrzeć na góry, które zabiły Willa i Alexa.

– To dlatego nie jeździsz na dziko – mówi ochryple Danny. Patrzy teraz na mnie zupełnie inaczej. Przeszła mu złość. Został tylko jakiś... żal. Boli mnie spoglądanie na jego twarz, więc odwracam się i kiwam głową.

– Tak, dlatego. Nadal kocham narty, co jest ironią losu, wiem o tym. Moi rodzice uważają, że jestem szalona. Ojciec nazwał mnie masochistką, kiedy podjęłam tę pracę. Ale nie mogę się zebrać, żeby opuścić góry, a nie da się tu mieszkać przez cały rok i nie jeździć. Myślę jednak, że nigdy nie zjadę poza szlak.

– Kurwa, Erin. Dlaczego mi nie powiedziałaś? – pyta Danny, ale nie mówi tego tak, jakby spodziewał się odpowiedzi. Pewnie wie, że nie dlatego, że nie chciałam mu tego wyjawić, po prostu nie umiałam się na to zdobyć. Nie mogłam też znieść myśli, by także w jego oczach stać się ofiarą.

Zapada cisza, po czym on mnie obejmuje i opieram twarz na jego ciepłym, umięśnionym ramieniu, zamykam oczy i wdycham przyjemny zapach Danny'ego. Czuję, że łyzy wsiąkają w jego znoszony, delikatny sweter.

– No to jesteś prawdziwą arystokratką, co? – pyta z dudniącym śmiechem, a ja w odpowiedzi chichoczę, podnoszę głowę i wycieram rękawem łyzy z nosa. – Powinnaś być z nimi, tymi z dołu, a nie tutaj, na zapleczu dla służby, z plebsem.

– Nie, nie *powinnam* – odpowiadam bardziej zdecydowanie,

niż zamierzałam, a Danny znów się śmieje, choć ja jestem poważna. – Nie, naprawdę, Danny. Już do nich nie należę. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek należałam. To, co sobą reprezentują...

Przerywam i myślę o Topherze oraz jego wygodnym życiu wśród pieniędzy – o tym, jak wszystko zostało mu podane na talerzu, jak nigdy nie musiał o nic walczyć, nie musiał się godzić z byciem lekceważonym przez szefa ani sprzątać brudnej bielizny po obcych ludziach, ani wykonywać tysięcy uwłaczających, nudnych prac, co dla reszty z nas jest codziennością.

Zdaję sobie sprawę, jacy są aroganccy – może Liz i Carl nie aż tak bardzo, ale wszyscy są do *pewnego* stopnia. Chroni ich magia ich akcji, statusu oraz ochrony własności intelektualnej. Myślą, że nic im w życiu nie grozi – tak jak ja kiedyś myślałam.

Tylko że teraz to się zmieniło. Życie ma ich w garści. I nie wypuści.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

– Mówisz, że za tym stoi Erin? – Miranda ma sceptyczną minę. Krzyżuje ręce na piersi i przygląda się Topherowi zmrużonymi ciemnymi oczyma. On wygląda, jakby się bronił.

– Nie. Nie powiedziałem tego... Ja po prostu...

– Ale tak sugerowałeś – upiera się Miranda.

Zauważam coś – Miranda nie lubi Tophera. Nie wiem, dlaczego nie dostrzegłam tego aż do teraz – może dlatego, że jest taka oficjalna i uprzejma. Teraz nie zawraca sobie głowy ukrywaniem swojego zdania.

– Mówię po prostu, że jeden wypadek to pech, ale dwa to *straszny* zbieg okoliczności. O ile śmiertelnych wypadków na nartach może się otrzeć jedna osoba?

– Och, może byśmy tak w końcu przestali owijać w bawełnę? – kwituje uszczypliwie Miranda. – Wszyscy wiemy, z jaką chęcią rzucasz oskarżenia na innych ludzi.

– Co ty sugerujesz? – pyta Topher, a jego ton robi się nagle groźny.

– Niczego nie *sugeruję* – mówi Miranda. Podchodzi do niego. Chociaż nie ma butów na obcasach, i tak są prawie równego wzrostu. – Stwierdzam fakty. Większość osób w tym pokoju mogła zyskać dużo pieniędzy, zanim zmarła Eva. Bardzo niewiele miało jakiś motyw, żeby się jej pozbyć. Ty byłeś jednym z tych niewielu.

Rik i Carl wymieniają zaniepokojone spojrzenia. Żaden z nich nie rzuca się na ratunek Topherowi.

– Po pierwsze, to jest, kurwa, pomówienie, a po drugie, mówisz o mojej *najlepszej przyjaciółce* – zaczyna wściekle Topher, ale wtedy głowę podnosi Tiger. Chrypi prawie niedosłyszalnie, ale wszystkie głowy zwracają się w jej stronę i Topher urywa w pół zdania.

– Co mówiłaś? – Miranda się odwraca, a Tiger z trudem wstaje i odgarnia sobie włosy z czoła. Jej twarz jest cała w czerwonych i białych plamach.

– Ona coś powiedziała – powtarza, a głos ma nadal ochryply od płaczu.

– Kto? – Rik wstaje i klęka koło niej. Ma zniecierpliwioną minę, chwyta Tiger za ramię. Chyba robi to mocniej, niż zamierzał, bo ona się trochę krzywi. – Kto powiedział i co?

– Wczoraj wieczorem, Ani. Właśnie mi się przypomniało. Ona coś powiedziała. Próbowwała mnie obudzić, ale byłam... – Przełyka ślinę, powstrzymując szloch. – Powiedziała: „nie widziałam jej”. Gdybym tylko była w stanie się wtedy



normalnie obudzić, gdybym nie wzięła tej tabletki nasennej...  
– Urywa. Po policzkach spływają jej dwie ogromne łzy.

– Tiger – mówi nerwowo Miranda. Kuca obok Rika. – Tiger, jesteś tego *pewna*? Wcześniej mówiłaś, że się nie obudziłaś.

– Wiem, wiem, że tak mówiłam, ale myliłam się, teraz mi się przypomniało. Pamiętam, jak mną potrząsała. Pamiętam te słowa.

Miranda rzuca Rikowi pytające spojrzenie, a on w odpowiedzi tylko nieznacznie wzrusza ramionami.

– No cóż – zaczyna Topher. W jego głosie pobrzmiwa nuta triumfu. – No, no, no. „Nie widziałam jej”. No to kto teraz ma powód, żeby zacząć rzucać błotem, panno Khan? W końcu wygląda na to, że to wyklucza połowę tego pokoju?

– Co takiego? – odzywa się niski głos od strony lobby.

Rozglądamy się wszyscy. Danny i Erin stoją razem w drzwiach. Erin wygląda, jakby płakała. Nie jestem pewna, czy całkiem się pogodzili, ale wygląda na to, że doszli do porozumienia na tyle, żeby stworzyć wspólny front. Topher wygląda na lekko niezadowolonego.

– Tiger twierdzi... – zaczyna Miranda, ale Tiger przerywa jej wściekłym szlochem.

– Niczego nie *twierdzę*. *Słyszałam* ją, jestem tego pewna. Ani próbowała mi coś wczoraj powiedzieć, potrząsnęła moim ramieniem i powiedziała: „nie widziałam jej”. Tylko że nie byłam w stanie się całkiem obudzić. Ale to pasuje... pasuje do tego, co mówiła Liz, że Ani próbowała coś zrozumieć, coś, czego nie była pewna.

– „Nie widziałam jej” – powtarza powoli Erin. – Jesteś tego pewna, Tiger?

– *Tak* – odpowiada Tiger, tym razem bardziej zdecydowanie.

– Tak, leżałam teraz na kanapie, próbując wrócić do poprzedniej nocy, myślałam o tym, czy coś słyszałam, i nagle przypomniało mi się, jak Ani do mnie podeszła i potrząsnęła

moim ramieniem. Miałam taką jakby retrospekcję.

– Co wskazuje – zauważa zadowolony z siebie Topher – że szukamy kobiety. Tak? „Jej”, tak powiedziała Tiger. Ani próbowała rozgryźć coś na temat jednej z kobiet z grupy.

Zerka na Mirandę.

– Niekoniecznie... – mówi powoli Danny. Marszczy brwi. Drapie się po głowie w namyśle. – Może nie mówiła o zabójcy. Ani była jedyną osobą, która widziała Evę na stoku. Prawda? Carl był jedynym, który jechał z nią wagonikiem, i on jej nie widział. Prawda?

– Prawda – odparł krótko Carl. – Ale do czego zmierzasz?

– Co, jeśli Ani zdała sobie sprawę, że popełniła błąd? Co, jeśli Eva wcale nie jechała tym stokiem?

– Ale *zjechała* – zauważa poirytowana Miranda. – Dowodzi tego geolokalizacja Elliota.

– To dowodzi, że jest tam jej telefon – mówi Danny. – Ale jedynym dowodem na to, że Eva była ze swoim telefonem na tym stoku, była relacja Ani. Co, jeśli zrozumiała, że się myliła? Co, jeśli... O, a co powiecie na to? Co, jeśli Eva sfingowała swoją śmierć?

Ta ostatnia sugestia wywołuje nieco przejęty szmer. Twarze się rozjaśniają. Ludzie chcą w to wierzyć. Pomysł Danny'ego jest rozwiązaniem, które nie zawiera mordercy, i wszyscy desperacko chcieliby, żeby to była prawda.

Ale jest pewien problem. A nawet dwa. To rozwiązanie nie wyjaśnia śmierci Elliota ani Ani. Nie da się w nie uwierzyć choćby na minutę. Co zauważyliby, gdyby to przemyśleli. Ale widzę, że *nie* myślą.

Na myśl o tym, że mam się odezwać przy wszystkich, ścisną mnie w żołądku, ale muszę coś powiedzieć. Nie mogę inaczej.

– Eva *była* na tym stoku – mówię z oporem. – Też ją widziałam.

Wszystkie oczy w pokoju zwracają się na mnie. Czuję, jakby

się we mnie wwiercały. Policzki mi się rumieniają. Mam ochotę zapaść się pod ziemię.

– Co powiedziałaś? – pyta Miranda, niemal oskarżycielskim tonem.

– Powiedziałam, że też widziałam Evę. Jechałam kolejką w dół, i wówczas zobaczyłam, jak zjeżdża, w dalszej części stoku, niż mówiła Ani, ale widziałam ją. Była na La Sorcière. Ani się nie myliła. Musiała mówić o czymś innym.

– I nie pomyślałaś, żeby wspomnieć o tym wcześniej?

– Ja nie... To nie... – Urywam.

– Nie o czymś innym. O *kimś* innym – oświadcza zdecydowanie Danny, i wtedy zapada chwila ciszy. Spojrzenia wszystkich zaczynają wędrować po pokoju, przenosić się z jednej osoby na drugą. Wszyscy zdają sobie sprawę z tego samego. Jeżeli Tiger miała rację, było bardzo nie wiele osób, o których mogła mówić Ani. Topher zakłada ręce na piersi. Jego postawa wyraża hasło „twój ruch” skierowane do Mirandy.

– Tiger, jesteś *pewna*? – pyta Miranda. W jej głosie pobrzmiewa nuta desperacji. – Jesteś absolutnie pewna, że Ani powiedziała „jej”?

– Jestem pewna – mówi z uporem Tiger.

Zapada długa, długa cisza. Miranda wstaje i wychodzi z pokoju.

– Wszystko mi jedno – rzuca przez ramię. – Wszystko mi *jedno*, co powiedziała Ani. W tym pokoju jest tylko jedna osoba, która miała motyw, by zabić Evę. *Jedna osoba*. Przestańcie udawać, że tak nie jest!

A potem następuje kompletna cisza, przerywana tylko stukaniem jej obcasów na spiralnej klatce schodowej, kiedy wchodzi do swojego pokoju.

Po jej wyjściu zapada wyjątkowo niezręczna cisza. Topher opiera się o kominek, wściekły i czerwony, Rik sprawia

wrażenie rozdartego. Tiger jest załamana, zakrywa twarz dłonią. Erin i Danny wyglądają, jakby było im bardzo nieprzyjemnie. Ciszę przerywa Carl.

– No ale ona ma rację, prawda?

Jego głos najwyraźniej przełamał jakiś urok, bo Topher prostuje się i rusza do drzwi.

– Pierdolę to – mówi. – Nie bawię się w to już dłużej.

– Co masz na myśli? – Rik odwraca się do niego i patrzy zdziwiony. – W co się nie bawisz?

– *W to.* Nie będę tu siedział jak żaba w szybkuwarze. *Nie* zabiłem Ewy, niezależnie od tego, co twierdzą Miranda i Carl, i na pewno nie zabiłem, kurwa, mojego najlepszego przyjaciela ani naszej asystentki. I nie będę tu siedział i czekał, aż dowiodę tego, będąc kolejną zabitą osobą. Spadam stąd. Zamierzam zjechać do St. Antoine le Lac.

– Oszalałeś – mówi natychmiast Rik. – Szlak jest cały rozwalony, wszędzie leżą drzewa i kamienie. I na Boga, spójrz na pogodę! Zamarzniesz na śmierć.

Topher wzrusza ramionami.

Zapada krótka cisza.

– Jesteś szalony – powtarza desperacko Rik. A potem dodaje: – Jadę z tobą.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoosserwujący: 10

Jest prawie południe, a nasza grupa spędziła ostatnią godzinę albo i dłużej, rozmawiając o decyzji Tophera i w kółko analizując, czy ten pomysł jest, czy też nie jest głupi. Sam Topher z determinacją się pakuje. Jak dotąd zbierał plecak lawinowy, wodę, latarkę, parę batoników energetycznych i linę, a teraz szuka szpadla, chociaż nie jestem pewna, jak w jego wyobrażeniu miałby z niego skorzystać. Gdyby nadeszła kolejna lawina, szpadel w plecaku go nie uratuje. Ale jeśli nie zdoła zjechać do St. Antoine przed zapadnięciem zmroku, będzie potrzebował jakiegoś schronienia, więc może to nie jest wcale takie niemądre. Słyszałam o gorszych technikach

przetrwania niż schronienie w śniegu.

Przede wszystkim jednak wydaje się skupiony po prostu na wyrwaniu się stąd – niezależnie od tego, jak bardzo ten plan może być głupi lub ryzykowny. Stwierdzenie Mirandy wywołało temat, z którym wcześniej nikt się nie chciał zmierzyć – Topher *jest* osobą, która najbardziej skorzystała na śmierci Ewy. Otrzymał właśnie wszystko, czego chciał – pełną kontrolę nad Snoopem. Z drugiej strony Rik i Liz tracą miliony funtów, jeśli do wykupu nie dojdzie, a do tego nie potrafię sobie wyobrazić, jak Miranda i Carl mieliby przetrwać ten wyjazd nadal na swoich stanowiskach. Niezależnie od tego, jaka jest prawda, trudno uwierzyć, że mieliby dalej pracować dla Tophera po tym, jak praktycznie oskarżyli swojego szefa o morderstwo. Z pewnych rzeczy nie sposób się wycofać.

Więc jestem w stanie zrozumieć, dlaczego czuje, że nie może tu zostać – podobnie jak Inigo uznał, że nie ma innego wyjścia poza ucieczką, gdy cała grupa obróciła się przeciw niemu. Bardziej zaskakujące jest, że Rik najwyraźniej też się wybiera – chociaż szczerze mówiąc, nie wiem, co na to Topher. Próbował odwieść Rika od tego pomysłu, ale nie sposób zaprzeczyć, że dwie osoby mają większe szanse niż jedna. Warunki na zewnątrz są zdradzieckie, a jeśli jedna osoba skreśli kostkę, bez telefonu komórkowego będzie już praktycznie martwa. Przy dwóch jest przynajmniej szansa, żeby wysłać drugą po pomoc.

Kwadrans po dwunastej Rik i Topher stoją w foyer, przyglądając się szczegółowej mapie miejscowości, która wisi na ścianie, i omawiają potencjalne trasy, kiedy po spiralnych schodach schodzi Tiger. Ma na sobie strój na snowboard i wygląda na zdecydowaną.

– Idę z wami – oznajmia bez wstępów.

Topher marszczy brwi.

– Tiger...

– Nie, nie próbuj mnie powstrzymywać. Jeżdżę tak samo dobrze jak ty... I lepiej od Rika – oznajmia bez fałszywej skromności. – I nie mogę tu zostać po tym, co... – Przełyka ślinę, urywa, po czym próbuje znowu. – Po tym, c-co się stało...

Ale nie jest w stanie dokończyć. Pod obszerną kurtką widzę jej małe, zaciśnięte w pięści dłonie.

Rik i Topher zerkają na siebie i nie jestem pewna, co sobie myślą. Tiger nadal pozostaje osobą, która miała największe możliwości, by zabić Ani, temu nie da się zaprzeczyć. Obie były zamknięte razem w pokoju, a jedna z nich się nie obudziła. Ale była też bardzo pewna ostatnich słów Ani, słów, które odciagały podejrzenia od Tophera, a to się wydawało dziwnym zachowaniem jak na mordercę. Poza tym Rik i Topher to dwóch chłopów na schwał, każdy z nich waży pewnie prawie dwa razy więcej od Tiger. Gdyby to Tiger *była* zabójczynią, wydaje się nieprawdopodobne, by zdołała pokonać któregoś z nich, a co dopiero obu. Z drugiej strony widzę niemal, jak Rik i Topher kalkulują w głowach, że jeśli jeden z *nich* jest mordercą, to może lepiej mieć trzecią osobę na świadka?

Znowu uderza mnie surrealizm tych przemyśleń i wyrywa mi się krótki, histeryczny chichot, a potem przyciskam sobie dłoń do ust.

– Co mówiłaś? – pyta Rik, odwracając się do mnie i marszcząc brwi, a ja kręcę głową. Z oczu płyną mi łzy, ale nie mogę powiedzieć dlaczego.

– Nic, przepraszam. Zignorujcie mnie.

– Dobra, możesz iść z nami – rzuca szorstko Topher do Tiger, podjąwszy decyzję.

– Rik. – Wszyscy obracamy się za głosem płynącym z góry i widzę, że Miranda też schodzi po schodach. Jest blada, ale minę ma zdecydowaną.

Rikowi rzędzie mina. Wie, co zaraz nastąpi, i już zaczyna kręcić głową.

– Rik, nie możesz tego zrobić – mówi Miranda. Jej słaby głos się łamie. Bierze go za rękę, wbija palce w jego kurtkę. – To niewiarygodnie głupie.

– Mirando, przepraszam – odpowiada Rik. Jego niski głos jest bardzo cichy, stara się, żeby to była sprawa tylko między nimi dwojgiem, ale to niemożliwe, bo jesteście dwa metry od nich. – Nie chcę iść... ale nie możemy tu zostać i dać się w taki sposób wykończyć jedno po drugim. Myślę, że Topher ma rację. *Musimy* sprowadzić policję.

– Ale nie z nim. – Miranda szepcze, jednak w tym pomieszczeniu jest doskonała akustyka. Słyszę ją, i Topher na pewno też. – Proszę, proszę, błagam cię. Nie idź z *nim*. Boję się, że już nie wrócisz.

– Mir...

– Pójdziemy razem. Założę swoje narty...

– Nie jesteś dość dobrą narciarką – odszeptuje. – Proszę, kochanie, uwierz mi, zostałbym, gdybym mógł, ale to po prostu zbyt...

– Nie zostanę tu bez ciebie.

– Ej, a co z tym drugim domkiem? – Wszyscy się odwracamy i widzimy Carla stojącego w wejściu do salonu z rękoma w kieszeniach. Miranda, zbita z tropu, marszczy brwi.

– Jakim drugim domkiem?

– Ten kucharz, Danny, nie miał przypadkiem iść wcześniej niej do jakiegoś innego domku? Zanim to wszystko się zaczęło.

Kiwam głową.

– Miał – odpowiadam. – Chalet Haut Montagne. To domek dużej sieci i bardziej prawdopodobne, że ktoś tam jest, niż w tych dwóch bliższych, ale to jest wspinaczka dobre cztery albo i sześć kilometrów doliną. Dlatego zostawił go na koniec.



– Widzicie? – mówi z triumfem Carl. – Cztery czy sześć kilometrów to tyle co nic. Moglibyście zrobić tę trasę rano.

– To nie jest nic – protestuję ostrożnie. – Przede wszystkim, nie da się przejść, trzeba iść na nartach, a to zupełnie inna umiejętność. A przy lawinie, nie wspominając o ponad tygodniu bez odśnieżania... Myślę, że to ze trzy godziny trasy na nartach. Może więcej, jeśli ktoś tego nigdy nie robił.

– To pewnie i tak lepiej niż trasa do miasteczka – odpowiada kategorycznie Carl. – W sensie, tam jest ile, dwadzieścia pięć kilometrów? Do tego kurewsko stromo. Wystarczy, że zgubisz nartę w tych zaspach, i po tobie.

– Nie zamierzam zgubić narty – odwarkuje Topher. – Po pierwsze, nie jeżdżę na nartach, tylko na desce. Po drugie, jestem w pełni kompetentny. A poza tym, co, jeśli dojdziemy do tego domku, a on będzie zamknięty? Zostaniemy z niczym. A *wiemy* przynajmniej, że w miasteczku są ludzie, którzy mogą nam pomóc. Nie, ja już dokonałem wyboru i się go trzymam.

Jego irytacja nie zbija z tropu Carla, który tylko wzrusza ramionami.

– Może to nie jest kwestia wyboru.

Zapada długa, przepełniona zdumieniem cisza.

– Co masz na myśli? – pyta w końcu Rik.

– Chodzi mi o to, że to może nie jest kwestia albo- albo. Słuchajcie, ci, którzy świetnie sobie radzą na śniegu, czyli ty, Toph i Tiger, spróbujcie dostać się do miasteczka i wszcząć tam alarm. Reszta z nas wyruszy do tego domku. Komu się uda, ten wyśle kogoś, żeby uratować tych drugich.

To... To właściwie nie jest zły plan. Widzę, jak Topher i Rik patrzą na siebie, zastanawiają się i dochodzą do tego samego wniosku. W końcu Topher kiwa głową, jakby Carl prosił go o zgodę, chociaż nie wydaje mi się, żeby tak było. Dawno już minął czas, kiedy Topher miał jakiś autorytet.

– No okej – odpowiada nieco kwaśno, zmierzając do nieuniknionego.

– Miranda? – pyta Rik, a ona z niezadowoleniem wzrusza ramionami.

– N-no chyba. Skoro nie zabierasz mnie ze sobą, to chyba lepsze to, niż tu siedzieć.

– Liz? – pyta Carl. – Co o tym myślisz?

Przez sekundę Liz tylko mruga, jakby była zaskoczona, że ktoś się do niej odezwał po imieniu. Przez chwilę nic nie robi, jak zastygłe w przerażeniu zwierzę, uchwycone w świetle reflektorów uwagi Carla.

Potem odrobinę się uśmiecha i niepewnie, drżąc kiwa głową.

Po raz pierwszy od kilku dni czuję w piersi promyk nadziei.

Może będzie dobrze.

Może naprawdę wszystko będzie dobrze.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snooserwujący: 1

Po tylu dniach, gdy tylko reagowaliśmy na kolejne wydarzenia, dobrze mieć plan. W swoim pokoju na górze wcisnąłam się w mój wyblakły niebieski kombinezon i wciągam skarpetki narciarskie oraz rękawice. Mój kask i gogle są na dole w szatni. Włożę je, kiedy będę gotowa do wyjścia. Jedno zerknięcie za okno podpowiada mi, że okulary przeciw słoneczne się nie przydadzą. Mimo południowej pory jest prawie ciemno. Słońce ledwo prześwituje przez chmury, a wiatr wyje, jakby próbował się wdrzeć do środka.

W tych rzeczach po raz pierwszy od kilku dni czuję, że mi

gorąco i jestem grubo ubrana. Dziwnie czuć znowu ciepło po tym, jak przywykłam do chłodu w domku. Opadam na łóżko i przez kilka chwil odpoczywam.

Teraz, kiedy już prawie jest po wszystkim, mogę popatrzeć wstecz na ten koszmar na jawie, który rozegrał się w ostatnich dniach. Jak do tego doszło? *Jak?* Wielu rzeczy spodziewałam się po tym tygodniu, ale nie tego postępującego koszmaru.

Odhaczam ich w głowie, jak na jakiejś makabrycznej szkolnej liście obecności.

Eva – nie żyje.

Elliot – nie żyje.

Inigo – zniknął i kto wie, co się z nim stało. Czy dostał się do St. Antoine? Albo może leży gdzieś, zamarznięty na śmierć, w jakiejś opuszczonej chacie z dala od szlaku?

Ani – nie żyje.

Pozostała nas szóstka. Ja, Rik, Miranda, Carl, Tiger i Topher.

Topher. Jakoś zawsze wszystko sprowadza się do niego. Bo Miranda powiedziała prawdę – niezależnie od tego, jak bardzo wszyscy starają się ignorować ten fakt, Topher ma bardzo wyraźny motyw w wypadku śmierci Ewy. Właś ciwie to najlepszy z nas wszystkich.

Ta myśl powinna mnie przyprawiać o ból w sercu. Topher, który który zatrudnił mnie, wybierając spośród wygadanych i zgrabnych absolwentek, i dał mi pierwszą szansę. Topher, który się za mną wstawił, czuwał nade mną, dopilnował, żebym dostała te akcje, które od tamtej pory się za mną ciągną. Topher – powód, dla którego tu przyjechałam.

I może to z tego ostatniego powodu – ale nie boli mnie serce. Nie czuję niczego – zupełnie niczego.

Ponieważ Topher jest przyczyną, dla której dałam się w to wciągnąć, w coś, czego nigdy nie chciałam ani o co nie prosiłam. Pomiedzy Tophera i Ewę, którzy mnie przepychali,

przeciągali, manipulowali mną jak figurą szachową w swojej wojnie o kontrolę nad Snoopem.

Wiem, co pomyślał Topher, kiedy dawał mi te akcje. Pomyślał, że przekazuje dwa procent firmy komuś, kogo może kontrolować. To było jego zabezpieczenie, na wypadek gdyby Eva i Rik obrócili się razem przeciw niemu. Sposób, by przenieść środek ciężkości na swoją stronę.

Topher myślał, że będę się zachowywać jak kit w jego dłoniach. Miękką. Podatną. Elastyczną. Myślał tak, bo taką mnie widział – potulną i cichą, źle ubraną, która nie skrzywdziłaby nawet muchy.

W świecie Tophera ludzie są twardymi, polerowanymi skorupami, ich lśniące pokrywy ukrywają w środku niedoskonałości i niepokoje.

Topher popełnił błąd. Nie zrozumiał, że niektórzy mają na odwrót. Ale Eva... Myślę, że Eva to zrozumiała. I być może to właśnie ją ostatecznie zabiło.

## **ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Jest trzynasta. Wszyscy oprócz Liz zgromadzili się w lobby ubrani w stroje narciarskie. Topher dzierży deski, narty i kijki. Miranda i Carl trzymają po parze śniegowców. A mnie serce wali w piersi. Wali, ponieważ... może to koniec. Może ten długi koszmar wreszcie się kończy. Wreszcie którejś z tych grup się powiedzie.

– Co, u licha, wyprawia Liz? – pyta zniecierpliwiona Miranda. Jest zdenerwowana, odkąd Rik jej powiedział, że nie może iść z nimi do miasteczka. Pomyśl z dwiema ekipami ma sens, a ona o tym wie, ale mimo wszystko wolałaby być z Rikiem, poznaję to po tym, jak jej wzrok ciągle ucieka do niego.

– Tu jestem – odpowiada nieśmiały głos z góry schodów, a my wszyscy podnosimy wzrok i widzimy Liz na szczycie spiralnych stopni. Ma na sobie za duży niebieski kombinezon, w którym była pierwszego dnia, i ściska kijki jedną dłonią w rękawiczce. Na głowie ma czapkę z pomponem, okulary zasłły jej mgłą. Wygląda na zgrzaną i spoconą, ale też, jak my wszyscy, jakby z ulgą przyjmowała myśl, że wreszcie coś robi.

Zaczyna schodzić po stopniach, i wtedy to się dzieje. Coś – kijek? pasek od kijka? – zahacza o poręcz, a ona się potyka. Stopa w skarpetce traci oparcie. Jedną dłonią Liz łapie się poręczy, ale rękawica jest śliska, a drewniana poręcz po prostu wymyka się spod sztucznego materiału. Owca

Patrzymy bezradnie, jak Liz spada w dół spiralnych schodów, objając się o nie takimi łupnięciami, aż człowiekowi robi się słabo. A potem ląduje na samym dole i zapada złowroga cisza.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Nie mogę oddychać.

Leżę tam, pulsuje we mnie panika, próbuję wziąć wdech i mi się nie udaje. Słyszę, że wydaję z siebie dziwne, krótkie sapnięcia, jak ryba wyciągnięta z wody.

– Liz! – To Erin. Podchodzi, kuśtykając. Ma białą twarz. Kuca koło mnie. – Liz! O Boże, wszystko w porządku?

Nie mogę odpowiedzieć. Nie mam dość oddechu, by się odezwać. Robię jakiś ruch, trochę jakbym kiwała głową, trochę jakbym nią kręciła. Czy wszystko w porządku? Nie jestem pewna.



– Do jasnej cholery. – Carl opada na kolana koło mnie. – Liz? – Odwraca się do pozostałych. – No, ale przynajmniej żyje. Możesz mówić, Liz? – Odzywa się bardzo głośno, jakbym miała uszkodzony słuch.

– Wydaje mi się, że po prostu nie może złapać oddechu – oznajmia Erin. Głaszcze mnie po czole. Powstrzymuję chęć, by się odsunąć. Zresztą nie jestem pewna, czy byłabym w stanie. – W porządku, nie walcz z tym. Po prostu staraj się powoli oddychać, ja będę z tobą liczyć. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... I wdech. I teraz raz, dwa, trzy, cztery, pięć, i wydech.

Dzięki odliczaniu Erin, powolnemu i rytmicznemu, udaje mi się wziąć wdech. A potem kolejny. W końcu niepewnie siadam.

– Wszystko w porządku? – pyta Erin. – Coś cię boli?

– Kolano – wykrztuszam. Podciągam nogawkę kombinezonu, ale zapomniałam, że mam pod spodem legginsy. Nic nie widać, ale moje kolano wydaje się gorące. Kiedy Erin delikatnie je ściska, nogę rozpala mi ukłucie bólu i się krzywię.

– Cholera jasna – mówi drżącym głosem Rik. – Przez chwilę myślałem...

Urywa. Nie musi kończyć. Doskonale wiem, co sobie pomyślał. Ja też tak pomyślałam przez sekundę. Przez chwilę było nas tylko pięcioro.

Erin pomaga mi wstać. Okazuje się, że się trzęsę.

– Możesz chodzić? – pyta Erin. Kiwam głową i robię kilka chwiejnych kroków. Carl ma ponurą minę.

– No ale chyba nie zrobisz kilku kilometrów po śniegu – stwierdza. To nie jest pytanie.

– To co, idziemy sami? – pyta Miranda. Teraz to Rik zaczyna się niepokoić. Wiem, co sobie myśli. Trzy osoby razem powinny być bezpieczne. Ale jeśli to Carl jest mordercą, wysyła Mirandę w śnieg sam na sam z zabójcą.

– Nie wiem... – odpowiada, ale Erin mu przerywa:

– Danny pójdzie z wami.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

– Danny pójdzie z wami.

Wypowiedziałam te słowa, zanim w ogóle zdążyłam je przemyśleć, ale kiedy tylko padły, pojęłam, że to rozsądne. Nie chodzi tylko o matematykę i wysyłanie dwóch osób razem w śnieg. Danny zna drogę. Carl i Miranda nie znają.

– Co? – pyta głos zza mnie, a kiedy się odwracam, widzę stojącego tam Danny’ego, który wydaje się niezłe na mnie wkurwiony. – Erin, możemy porozmawiać? – rzuca krótko. – W kuchni?

Zerkam na Liz, która jest blada jak ściana i wygląda, jakby miała w każdej chwili runąć, i idę za nim, a kiedy zamykają

się za nami drzwi wahadłowe, Danny się na mnie wydziera.

– Czyś ty, kurwa, oszalała? Rozmawialiśmy o tym. *Nie* zamierzam cię tu zostawiać ze złamaną kostką i psycholem na wolności.

– Nie chodziło mi tylko o ciebie – odpowiadam, starając się nie podnosić głosu. Dziwnie jest mówić w taki sposób o naszych podejrzeniach w zasięgu słuchu pozostałych. – Bardziej o to, że powinniście iść we troje. Przecież to oczywiste. Nie mogę uwierzyć, że nie pomyśleliśmy o tym wcześniej. Carl i Miranda nie mają pojęcia, dokąd idą, nawet z mapą, szlaki są zasypane lawiną, więc bardziej prawdopodobne, że zboczą gdzieś w głąb lasu i się zgubią. Ty wiesz, gdzie jest ten domek. Mówisz po francusku. I potrafisz się poruszać po śniegu. To najsensowniejsze. Mają większą szansę dostać się tam i z powrotem, jeśli pójdziesz z nimi. Poważnie bym się martwiła, gdybyśmy ich tam wysłali samych.

– Ha. – Danny wygląda na zaskoczonego. Widzi logikę w moim rozumowaniu. – Więc... co, ty i ta laska, Liz, zostanieie tu same?

– Tak jest. To znaczy, pomyśl sam, Danny. Ona nigdzie nie pójdzie z tym rozwalonym kolanem, kuleje tak samo jak ja. A zresztą nigdy nie braliśmy realistycznie pod uwagę, że to ona mogłaby być zabójczynią. Nie potrafi jeździć na nartach, więc wiemy, że jechała gondolą, kiedy zginęła Eva, a ze wszystkich tu osób ma najwięcej powodów, by *nie* chcieć jej śmierci. To znaczy, kto wie, co by się stało z resztą w przypadku wykupu, pewnie przynajmniej straciliby pracę. Ale Liz nie miała pracy do stracenia i mogła zyskać wiele milionów funtów, gdyby ten interes się udał. To jest dość silny kontrargument.

– Tak... rozumiem... – odpowiada powoli Danny.

– Proszę – mówię. Kładę mu dłoń na ramieniu. – Danny,

proszę, zaprowadź Mirandę i Carla do tego domku, skontaktujcie się z policją i powiedzcie im, co się dzieje. Nie możemy sobie pozwolić na kolejną śmierć, a ja nie wierzę w samego Carla i Mirandę.

– No dobra – odpowiada Danny, podejmując decyzję. – Pewnie masz rację. Pójdę po swój sprzęt. Ale wy zamknijcie się, kiedy nas nie będzie, i nie wpuszczajcie *nikogo* poza mną albo żandarmami. Rozumiesz? Nie obchodzi mnie, czy Topher wróci na czworakach z łzawą historyjką o tym, jak Rik zostawił go w śniegu. Nie obchodzi mnie, czy Tiger pęknie wiązanie. Nie wpuszczaj ich. Nikogo. I cholera wie, co się stało z Inigiem, ale nie podoba mi się, że on może tam grasować w śniegu, czekając, aż wszyscy wyjdą.

Jego słowa działają jak nieprzyjemne chlapnięcie zimną wodą w twarz. Inigo. Założyliśmy – *ja* założyłam – że nie musimy go już brać pod uwagę. A co, jeśli tak nie jest?

Niepokój skręca mi żołądek, ale zadzieram brodę do góry.

– Nic nam nie będzie. Nawet jeśli ktoś się pojawi, w co wątpię, jesteśmy we dwie, a on będzie jeden. I będzie na zewnątrz, w śniegu, gdzie będzie mu odmarzał tyłek.

– No dobra – odpowiada ponuro Danny. – Po prostu się tego trzymaj, okej? Ja cię znam. Ktoś się pojawi, będzie twierdził, że czołgał się trzynaście kilometrów w śniegu i jest poodmrażany, a ty otworzysz mu drzwi, bo jesteś miękka bułą. I nie opowiadaj mi pierdół o tym, że serce ci się kraje. Myśl najpierw o sobie.

Czuję ostre ukłucie winy – mimo że niczego nie zrobiłam – bo Danny ma rację. Tak bym właśnie postąpiła. Staram się sobie wyobrazić, jak siedzę w ciepłym, suchym domku, podczas gdy Inigo lub Topher, albo nawet całkiem obca osoba, powoli umiera przed drzwiami wejściowymi, błagając mnie, żebym go wpuściła do środka, i nie widzę tego. *Złamałabym się. Wpuściłabym ich.* Wiem, że bym tak zrobiła.

- Nic nam nie będzie - powtarzam, chociaż głos mam odrobinę mniej pewny, nawet sama to słyszę. - Po prostu idź i wracaj najszybciej, jak zdołasz.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Po tym, jak reszta poszła, Erin zamyka drzwi wejściowe na klucz i zasuwę. Naprawia wszystko, żeby było jak najbezpieczniej, ale nie jest idealnie. Drzwi zostały wypaczone przez lawinę, więc dolny zamek nie zamyka się dokładnie i stopiony śnieg wpływa przez szparę, ale zamek na górze działa. Potem Erin sprawdza wejście dla narciarzy, które nadal jest zasypane, oraz drzwi, które kiedyś prowadziły do części z basenem.

– Wszystko bezpieczne – informuje, gdy wraca do lobby. Ma pogodny i trochę sztuczny uśmiech. Panująca teraz cisza robi

się nieco uciążliwa. Jest ciężka i mam wrażenie, jakby nas przygniatała. – Jak się czujesz?

– Yyy... chyba okej. – Pocieram dłonią tył głowy, gdzie uderzyłam się o poręcz, a potem ostrożnie dotykam kolana przez gruby kombinezon. Wykręciłam je, ale nie jest tak źle, jak się obawiałam. Kiedy już minął pierwszy szok, jestem w stanie się na nim oprzeć. – Nadal trochę... chwiejnie, ale wydaje mi się, że to głównie szok.

– Dobrana z nas para – mówi Erin. Uśmiecha się do mnie, blizna na jej policzku się wygina. – Ja z tą kostką, a ty z kolanem. Dwie kulawe kaczki.

– Prawda. – Próbuję się zaśmiać, ale nie wypada to dobrze.

– Przypuszczam, że ekipa Danny'ego będzie potrzebowała około sześciu godzin, żeby dostać się do Haut Montagne i z powrotem. A kto wie, co będzie z tymi od Tophera. Nie mam pojęcia, jak bardzo zniszczony jest szlak. Jeśli nie da się po nim łatwo zjechać, to może zająć całe dni.

Kiwam głową. Gramolenie się przez głęboki do pasa śnieg w butach narciarskich to nie żarty. Wiem o tym.

– No, to chyba mamy przynajmniej sześć godzin, zanim będziemy musiały zacząć się martwić – mówi Erin. – Pytanie tylko, jak zabijemy ten czas?

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Minęła trzecia. Cała reszta wyruszyła, zjadłyśmy z Liz skromny lunch, na który składała się letnia zupa z puszki – chleb był tak czerstwy, że prawie niejadalny, ale maczanie w zupie czyniło go dość miękkim, by dał się przeżuć – i od tamtej pory gramy w karty. Domek jest zupełnie i niesamowicie cichy. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak ogłuszająca może być cisza, może dlatego że w Perce-Neige panuje tak rzadko – zawsze jest ono pełne hałasu, kroków gości, dzieci bawiących się w czasie szkolnych wakacji, stukania nart, Danny’ego krzątającego się w kuchni. Kiedy byli tu Topher i reszta, cały czas rozbrzmiewało brzęczenie



puszczanej przez kogoś muzyki, a później szmer rozmów. Nawet w dni wymiany słychać szum odkurzacza i dźwięki radia Danny'ego.

A teraz nie ma żadnej muzyki. Nasze telefony przestały działać. Telewizor i radio milczą, bo nie ma prądu, który mógłby je zasilić. Ciszę przerywa tylko trzaskanie polan w kominku. Nawet sypiący śnieg nie wydaje praktycznie żadnego dźwięku, bo odgradzają nas trzyszybowe skrzydła.

Co kilka minut wyglądam przez okno, sprawdzam pogodę. Jest... nie za dobra. Nie ma co tu owijać w bawełnę. W sumie mogło być gorzej, nie jest tak źle. Przynajmniej wiatr zelżał. Ale śnieg nadal pada, a z góry snuje się chmura spowijająca domek grubą, zimną, szarą mgłą, więc widoczność spadła do kilkudziesięciu centymetrów. Czuję ogromną ulgę, że Danny jest z Mirandą i Carlem i że wie, dokąd idzie. Mimo wszystko zaczynam się zastanawiać, czy będzie w stanie dotrzeć do Haut Montagne i z powrotem tutaj, nim zapadnie prawdziwa ciemność. Może utkniemy tu z Liz na noc. Nie jest to do końca przyjemna perspektywa.

Liz nerwowo rozciąga sobie palce, trzask, trzask, trzask, jakby wyrażając mój własny niepokój. Te dźwięki rozbrzmiewają w ciszy niczym strzały z broni palnej, aż zaciskam zęby.

– Swoją drogą, jak się znalazłaś w Snoopie? – pytam. Mówię trochę zbyt głośno, żeby zagłuszyć ten dźwięk. Liz poprawia się na krześle. Nie wiem, czy boli ją kolano, czy to pytanie sprawiło, że poczuła się niezręcznie.

– Po prostu złożyłam podanie. Wtedy byli na etapie start-upu, tylko Topher, Eva, Elliot i Rik. Byłam ich pierwszą... chyba można to nazwać sekretarką, może asystentką. Wtedy nie mieli tych swoich szalonych nazw stanowisk.

Znowu milknie, jakby ta nietypowo długa wypowiedź ją wyczerpała. Już mam zadać kolejne pytanie, kiedy, ku

mojemu zaskoczeniu, znowu się odzywa.

– Tęsknię za tym. Tęsknię za nimi. To było fajne... przez jakiś czas.

– Dlaczego odeszłaś? – pytam, ale wtedy ona znowu się zamyka. Jej twarz staje się bez wyrazu i nieczytelna.

– Bez powodu – odpowiada, zerkając w karty. – Po prostu chciałam coś zmienić.

W ciszy sięgam po kartę i wykładam króla. Liz go bierze i marszczy brwi. Weszłam na grząski grunt, ale nie jestem pewna jak. Myślę o tym, co Danny wspomniał o niemal kazirodczych relacjach pracowników Snoopa, o Evie sypiącej z Inigiem, Topherze z Ani. „Czy oni nie słyszeli o Me Too?”. Czy coś się wydarzyło między Liz i Topherem? Coś, przed czym ucieka? Ale nie, nie wydaje mi się. Ze wszystkich osób w firmie Liz zdaje się najlepiej dogadywać właśnie z Topherem. A Topher, jakkolwiek by był, nie wygląda na faceta, który wymusza jakieś seksualne relacje z pracownikami. Cokolwiek zaszło między nim i Ani, odniosłam wrażenie, że było to za jej zgodą.

*Ale Ani została zabita...*

Te słowa są szeptem w mojej głowie, nieprzyjemnym przypomnieniem faktu, że Liz i ja nie jesteśmy same w tym domku – na górze leżą z nami dwa ciała. A gdzieś wśród tych zamarzniętych szczytów leży trzecie, Ewy, i może też czwarte, bo kto wie, co się stało z Inigiem po tym, jak potknął się w śniegu. Czuję, że śmierć krąży wokół nas. Czuję, że Liz i ja możemy być następne.

Ale nie. Otrząsam się. To makabryczne, wręcz absurdalne.

– Twoja kolej – mówi Liz, a ja patrzę w dół i zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, kiedy zrobiła swój ruch. Sięgam po przypadkową kartę ze stosu i wykładam, nie myśląc zupełnie o strategii.

– Remik – mówi Liz i rozkłada cztery piki oraz trzy króle.

Zmuszam się do uśmiechu.

– Dobra robota.

Liz zbiera karty i znowu rozdaje. Podnoszę swoje.

Są dobre – od razu trzy takie same. Ale nie mogę się skupić na kartach.

– Śmierć Evy – mówię ostrożnie, a Liz podnosi wzrok. Nadal ma na sobie za duży błękitny kombinezon i wcale jej się nie dziwię. Nawet mimo drewna płonącego w kominku domek jest zimny do bólu, a kiedy mówię, widzę swój oddech. – To... to musiał być poważny szok. Przypuszczam, że teraz nie dojdzie do wykupu? Jakie to było uczucie... Mieć te wszystkie pieniądze, a potem zorientować się, że przeszły koło nosa?

Trochę się spodziewam, że Liz powie, że to nie moja sprawa – i miałyby rację, nie jest. Ale dawno minął już czas podziału na gości i pokojówkę, obie o tym wiemy.

– To było... dziwne – odpowiada powoli Liz. Ogień z kominka odbija się w jej okularach, przez co wyraz jej twarzy jest jeszcze trudniejszy do zinterpretowania niż zwykle, ale widzę bruzdy na jej czole, kiedy marszczy brwi.

– Czułaś urazę do Tophera? – pytam. – Za to, że odrzucił sprzedaż? Myślę, że ja bym czuła.

Ale Liz kręci głową.

– Szczerze mówiąc, nigdy tak naprawdę nie chciałam tych pieniędzy. Nigdy nie czułam, że są moje. To była taka głupia kwota, i to za co?

– Może za to, że byłaś we właściwym miejscu we właściwym czasie? – odpowiadam ze śmiechem, ale Liz się nie uśmiecha. Znowu kręci głową, chociaż nie jestem pewna, czemu zaprzecza. Nie mogę jej jednak o to winić. Gdziekolwiek teraz skończyliśmy, to na pewno nie jest właściwe miejsce.

Znowu zapada cisza. Zerkam na zegarek. Za dziesięć czwarta. Boże, czy ten dzień mógłby płynąć jeszcze wolniej? Nagle nie jestem już w stanie siedzieć i wstaję, ostrożnie

obciążając moją spuchniętą kostkę, i zbliżam się do wysokiego okna wychodzącego na dolinę.

Teraz jest prawie całkiem ciemno, ale domek też jest spowity mrokiem, więc nie muszę osłaniać oczu, żeby wyjrzeć na śnieg, zastanawiając się, gdzie są Danny i reszta. Czy dotarli już do Haut Montagne? I co z Topherem oraz jego ekipą? Żałuję, jeszcze nigdy niczego tak nie żałowałam, że nie mam telefonu z choćby jedną kreską zasięgu. Albo krótkofalówki. Albo czegokolwiek – *jakiegoś* sposobu komunikacji ze światem zewnętrznym.

– Cztery asy – mówi Liz za moim ramieniem, a ja wzdycham i wracam do ciemniejącego pokoju.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Jest piętnasta pięćdziesiąt osiem. Gramy w... sama nie wiem. Możliwe, że dwudziestą turę remika. Nie liczyłam. Myśli biegają mi po głowie jak szczury. Pytania w stylu: Co się stanie? Kiedy przyjdą? Co się stanie, kiedy przyjdzie tu policja?

Erin zerka na zegar na gzymsie kominka. Widzę, że czuje to samo, co ja.

– Jeszcze raz – mówi. – A potem wymyślę coś na kolację. Powinni już tam być.

*Jeśli im się udało.*

Te słowa zawisają niewypowiedziane w powietrzu, a Erin zaczyna rozdawać karty.

Bardziej żeby odsunąć od siebie niewypowiedziane wątpliwości niż dlatego, że naprawdę chciałabym wiedzieć, zadaję jej pytanie.

– Topher mówił, że złapała cię lawina. Jak to wyglądało?

Erin podnosi wzrok. Zaskakuję ją i przez sekundę jej twarz ją zdradza, jest przerażająco bezbronna. Wygląda, jakbym ją uderzyła. Przez chwilę żałuję, że spytałam. A potem zbiera się w sobie. Rozdaje ostatnich kilka kart, zanim odpowiada:

– To się wydarzyło trzy lata temu. To było... – Urywa, spogląda na pozostałe karty w dłoni. – To była najgorsza rzecz, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła.

– Przykro mi – odpowiadam. Wtedy coś mi przychodzi na myśl. – Nawet wliczając ten weekend?

Śmieje się, drżącym, ponurym śmiechem, i kiwa głową.

– Tak, to niewiarygodne. Nawet wliczając ten weekend. Nie potrafię wyjaśnić, jakie to było okropne. Ten hałas, to zaskoczenie, poczucie bezsilności... – Głos jej się załamuje, jakby z trudem znajdowała słowa. – Myślałam... myślałam, że teraz będzie jeszcze gorzej, wiesz? Wpaść znowu w ten sam koszmar. Ale w jakiś dziwny sposób... spodziewałam się tego. Tak jakbym raz uciekła przed górą, więc teraz po mnie wróciła.

Patrzy w ciemność. Siedzi przodem do mnie, powinnam się czuć, jakby wpatrywała się we mnie, ale mam dziwne poczucie, że tak nie jest, że patrzy *przeze* mnie, jakby mnie tam nie było. Dziwnie się z tym czuję. Jakbym już nie istniała.

– To wtedy... wtedy zrobiłaś sobie... – Nie umiem tego powiedzieć. Dotykam tylko swojej twarzy palcami, a ona kiwa głową.

– Tak. Rozciąłam sobie czymś twarz, kiedy spadałam, pewnie własną nartą.

– I to dlatego rzuciłaś studia? – pytam, a ona kiwa głową, bardzo powoli.

– Tak. Nawet teraz nie umiem dobrze wyjaśnić dlaczego. Po prostu... Czułam, jakbym się stała inną osobą; wiesz, co mam na myśli?

Też kiwam głową. Doskonale rozumiem, o co jej chodzi. Mam wrażenie, że być może mówi o tym po raz pierwszy w życiu.

– Musiałam go wykopać. – Jej głos jest niewiele głoś niejszy od szeptu. Muszę się wysilać, by go dosłyszeć. – Nie miałam przy sobie lokalizatora GPS. Musiałam wykopać mojego chłopaka, żeby uruchomić jego nadajnik, wiedząc, że on już nie żyje.

Opuszcza wzrok, dzieli talię na pół, kładzie pierwszą kartę na stosie, wszystko to robi mechanicznie.

Nagle czuję, że nie chcę już o tym rozmawiać. Żałuję, że w ogóle zadałam to pytanie. W końcu mam własne tajemnice i tematy, których nie chcę poruszać. Co, jeśli w odpowiedzi Erin spyta mnie o moją przeszłość? Co, jeśli znowu zacznie mówić o Snoopie? O tym, dlaczego odeszłam? Co, jeśli spyta mnie o przyjaciół, których nie mam, o kolegów z klasy, którzy gnębili mnie przez czternaście lat, o rodzinie, od której się odciąłam?

Znowu słyszę wyzwiska mojego ojca, szloch matki... Czuję smak krwi. Znowu obgryzam sobie skórki. Wkładam dłoń do kieszeni kombinezonu.

Ale Erin nie pyta o żadną z tych rzeczy. Wydaje się, że jest w zupełnie innym miejscu, gdzieś bardzo daleko. Kiedy się odzywa, jej głos brzmi dziwnie. Tak jakby się spowiadała.

– Wiesz, to była moja wina – mówi. Sięga po swoje karty. Dłonie jej trochę drżą. – To ja zaproponowałam, żebyśmy pojeździli na dziko. To ja chciałam to zrobić. Zabiłam ich. – Przełyka ślinę. – To zmienia człowieka.

Spogląda na mnie, jakby oczekiwała, że zrozumie. Mam przedziwną ochotę wziąć ją za rękę i powiedzieć jej, że wiem, co czuje.

Ale to byłoby szaleństwo. Więc nie robię tego. Zamiast tego spoglądam w swoje karty. Wyciągam trójkę kier i odrzucam waleta.

– Twoja kolej – mówię.



**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Nie wiem, dlaczego tak mi się udało przy Liz. To było przedziwne. Nigdy z nikim nie rozmawiałam o tamtym czasie – ani ze swoimi rodzicami, ani z rodzicami Willa; nawet koroner i zespół ratowniczy potrzebowali tylko suchych faktów, nie chcieli słuchać o osłupieniu i żalu.

Nie żebym nie miała okazji o tym opowiedzieć – moja matka namawiała mnie na wizytę u terapeuty, a do tego straciłam rachubę znajomych, którzy dzwonili ze słowami: „gdybyś chciała porozmawiać, zawsze możesz się do mnie odezwać”. Ale ja nie chciałam rozmawiać. Nie chciałam być tą osobą. Obiektem współczucia. Ofiarą.

Bo na swój sposób wiem, jak muszą się czuć Topher i reszta. Ja też się tak czułam. I to jest coś, czego nigdy nikomu nie mówiłam – że w tych minutach i godzinach, które spędziłam na szukaniu Willa i Alexa po lawinie, w głowie nie miałam strachu czy przerażenia, ale jakieś takie pełne szoku niedowierzanie, że to się przydarzyło *mnie*, *nam*. Ja nie byłam tą osobą. Tą, której przytrafiają się koszmarnie rzeczy. To inni ludzie, inne rodziny. Mnie zawsze było dobrze, z łatwością prześlizgiwałam się przez życie, otoczona bezpieczeństwem mojej rodziny, mojej urody oraz tego szczęścia, że odnalazłam miłość Willa.

Bo tak, to było szczęście. Pod każdym względem. I wiedziałam o tym. Ale też właśnie tak miało być, bo ja miałam *mieć szczęście*.

I wówczas nagle to szczęście się odwróciło.

A wtedy odkryłam, że nie jestem w stanie zostać tam z ludźmi, którzy nadal spacerują w złotych promieniach wiecznego słońca, podczas gdy sama żyłam w miejscu ciemnym od poczucia winy i żalu. Nie mogłam znieść tego, że widzę w ich oczach litość.

W salonie jest teraz prawie zupełnie ciemno, a kiedy podchodzę do zegara nad kominkiem; widzę, że dochodzi osiemnasta. Danny i reszta powinni byli dotrzeć do Haut Montagne jakieś dwie godziny temu. Możliwe, że zaczynają wracać. Możliwe, że zdołali się skontaktować z policją i helikopter jest już w drodze.

Możliwe. Nie na pewno. Możliwe.

Równie prawdopodobne, że droga jest koszmarna i nadal brną przez lodowe rumowisko albo że Haut Montagne było puste i zamknięte na cztery spusty.

Boże, te możliwości doprowadzą mnie do szaleństwa.

Nie wiem dlaczego, ale kiedy nie ma Danny'ego i reszty, czuję, że atmosfera w domku zagęszcza się wokół mnie i Liz.

Czuję ciężar śniegu napierającego na dach i ściany, czuję tysiące ton wciąż leżące na zboczu góry, czekające na kolejny impuls. Czuję ciemność zalewającą pokoje i korytarze.

Wiem, jakie to uczucie dojść do kresu wytrzymałości, bo raz już go przeżyłam – siedząc i zamarzając na lodowatym zboczu góry przy martwym ciele ukochanego, nie wiedząc, czy nadejdzie jakaś pomoc. Doświadczyłam tego i przeżyłam. Wróciłam. Do bezpieczeństwa. Wróciłam do normalności.

Ale czasem czuję się, jakbym była ponownie wciągana do miejsca, w którym nic już nie ma znaczenia, w którym każde uderzenie serca ciągnie cię bliżej skraju, i wydaje mi się, że znowu wpadnę w otchłań, a tym razem nie będę w stanie się stamtąd wyrwać.

Kiedy zamykam oczy, widzę jego twarz, twarz Willa, zimną i białą jak marmur, oraz spokojną, tak przerażająco spokojną.

– Erin. – Ten głos dochodzi z bardzo daleka. Kręcę głową. – *Erin.*

Otwieram oczy. Liz stoi przede mną i przygląda mi się z niepokojem.

– Erin, wszystko w porządku? Powinnyśmy coś zjeść?

Zmuszam się do uśmiechu.

– Tak. Pewnie. Chodź ze mną do kuchni i zobaczymy, co uda nam się znaleźć.

Prowadzę ją, kulejąc, a Liz idzie za mną do chłodnej, ciemnej jaskini kuchni, rozglądając się zdziwiona w wejściu, jak gdyby była to jaskinia Aladyna, a nie dość zwyczajna, profesjonalna kuchnia.

– T-tu jest puszka gulaszu z fasolką – mówię, próbując odczytać etykietę w słabym świetle. Z dala od ognia jest ekstremalnie zimno i zaczynam szcząkać zębami. – A przynajmniej tak mi się wydaje, że to g-gulasz, ale to może być też *confit* z kaczki. Trudno powiedzieć. Może być?

– Pewnie – odpowiada Liz. Nadal się przygląda, jakby była

zmartwiona. – Dobrze się czujesz, Erin?

– W porządku, po prostu... Martwię się o D- Danny'ego. Cały czas mam nadzieję, że coś usłyszymy.

Liz kiwa głową, a ja zdaję sobie sprawę, że musi być równie zmartwiona jak ja, tylko lepiej to ukrywa pod tym swoim spokojnym, stabilnym zewnętrzem. Zaczynam się zastanawiać, co sobie myśli, a kiedy zawartość puszki (to faktycznie gulasz) zostaje już przelana do rondla i grzeje się na opalanym kominku w salonie, zbieram się na odwagę, żeby zadać jej pytanie, nad którym się zastanawiałam, ale nie odważyłam się go dotąd zadać.

– Liz, jak myślisz, co się stało? To znaczy z Evą?

Jej twarz się marszczy i zdaję sobie sprawę, że trzyma w sobie niewyobrażalne rzeczy równie mocno jak ja.

– Nie wiem. Myślałam o tym i myślałam... Po prostu... nie mogę uwierzyć, że cokolwiek z tego jest prawdą. To się nie wydaje rzeczywiste. Wciąż się zastanawiam, czy z Evą to nie był wypadek, ale co wtedy z Elliotem i Ani?

No właśnie.

– Jak myślisz, co miała na myśli Ani? – pytam, powoli mieszając fasolkę, czując na twarzy ciepło bijące od ognia, a na plecach chłód pokoju. – Kiedy powiedziała „nie było jej tam”? – Czy to było raczej „nie widziałam jej”? Teraz nie pamiętam i to mnie dręczy.

Słyszę szelest wodoodpornej tkaniny, kiedy Liz wzrusza ramionami.

– Nie wiem. W kółko do tego wracam myślami. Na początku wydawało mi się, że musiała mówić o Evie, ale to nie ma sensu. Ona tam była, na stoku, ja też ją widziałam.

– Może chodziło o kogoś na szczycie? – Usiłuję sobie teraz przypomnieć te słowa dokładnie. Cholera. To może być ważne, a ja nie pamiętam. – Zastanawiam się... Kiedy wjechała na szczyt gondolą. Może kogoś już nie było, kogoś innego niż

Eva? Może ktoś już zdążył za nią zjechać?

– Ale kto? – pyta Liz. – Na szczycie nie było tak dużo kobiet. Ja zdążyłam już pojechać gondolą. Tam zostały dwie kobiety: Tiger, a w takim wypadku byłoby bardzo dziwne, że nam przekazała, co powiedziała Ani, oraz Miranda. Ale ona nie mogła pojechać za Evą. Zjechała kolejką z Ani.

– Może tego nie zrobiła. – Serce nagle zaczyna mi walić. – Może to właśnie się przypomniało Ani. Że Miranda *nie* pojechała kolejką. W końcu łatwo się pomylić; ludzie się tłoczą na szczycie, idą do jednej gondoli, jest pełna, wsiadają do innej. Może to właśnie zrozumiała Ani, że Miranda wcale nie wsiadła do kolejki?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Liz wygląda na zaniepokojoną. Jej brwi za grubymi okularami są ściągnięte, a w ciemności słyszę „trzask, trzask, trzask” jej knykcii, bo nerwowo rozciąga sobie palce.

– Może jeździ na nartach lepiej, niż dała po sobie poznać. Dość łatwo jest udawać gorszego. Może odłączyła się, kiedy wszyscy wsiadali do kolejki, i zamiast jechać nią, ruszyła za Evą w dół La Sorcière.

– No... no może – odpowiada powoli Liz. Wygląda na zmartwioną.

Nakładam gulasz do dwóch miseczek, kiedy coś do mnie dociera. Jeśli to prawda, jeśli dobrze zgaduję, to wysłałam Danny'ego z zabójcą. A moje serce ściska się tak, jakby ktoś je włożył w imadło.

Ponieważ tak, to prawda, ich jest dwóch, a ona jedna. Ale trasa do Haut Montagne ciągnie się po naprawdę zdradzieckich odcinkach. Jak trudno byłoby poczekać, aż ktoś znajdzie się na skraju, a potem lekko go popchnąć?

Nie mam na to żadnych dowodów, przypominam sobie desperacko. To tylko pewna teoria. To *tylko* pewna teoria.

Ale gardło mam ściśnięte, a żołądek jak kamień i jest mi

niedobrze, nagle nie jestem w stanie zjeść szybko stygnącej mieszanki fasolki i mięsa stojącej przede mną. Czuję się chora na myśl o tym, co mogłam zrobić.

Bo to ja mu powiedziałam, żeby poszedł. Ze swoim instynktem organizatorki, moją pewnością, że wiem, co jest najlepsze dla innych, *kazałam* Danny'emu iść samotnie w śnieg z Mirandą i Carlem.

Czy to prawda?

Czy wysłałam kolejnego przyjaciela na śmierć?

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Erin ledwo tknęła swoją kolację. Zmieniła się z profesjonalnej i przyjaznej w zupełnie inną w przeciągu jakiejś półgodziny. W ogóle tego nie rozumiem. Kiedy ją o to pytam, odmrukuje coś o tym, że martwi się o Danny'ego, ale nie jestem pewna, czy to rzeczywiście prawda.

Zjadam większość jej porcji razem ze swoją. Potem wstaję i po omacku idę do kuchni, żeby opłukać miski pod zimną wodą. Nie ma sensu próbować zmywać. Nie przejmujemy się już takimi rzeczami. To zaczęła być walka o przetrwanie.

Ale kiedy odkręcam kran, nic się nie dzieje. Próbuję drugi.

Nadal nic.

Kiedy wracam do pokoju, Erin siedzi zgarbiona, patrzy w ogień. Siadam obok niej, ostrożnie prostuję kolano, chociaż czuję się już dużo lepiej.

– Mamy problem – odzywam się.

Podnosi wzrok, jak gdyby przestraszył ją dźwięk mojego głosu.

– Co? Co mówiłaś?

– Mamy problem – powtarzam. – Nie ma wody. Wydaje mi się, że rury zamarzły.

– Kurwa. – Zamyka oczy i pociera sobie twarz, jak gdyby próbowała się obudzić z koszmaru, i w pewien sposób pewnie tak jest. – Cóż, nie możemy nic zrobić, tylko czekać. Danny i reszta *muszą* już tam być. Trzeba tylko przetrwać do rana. Jeśli zdołamy to zrobić i nie zamarznąć na śmierć.

Jej słowa są niepokojące, tym bardziej że zauważam, iż nawet w moim kombinezonie czuję, że w domku jest już nieznośnie zimno. Mój oddech w kuchni był białym obłoczkiem pary. Na górze musi być poniżej zera.

– Może... powinniśmy spać tutaj? – pytam.

– M-może. Tak. To chyba ma sens.

– Pójdę po swoją pościel – odpowiadam, podejmując decyzję. Erin kiwa głową.

– Przygotuję nam miejsce na kanapach. One się rozkładają.

Już prawie wychodzę z pokoju, kiedy mówi:

– Liz?

Oglądam się za siebie wyczekująco, zastanawiając się, co powie.

– Tak?

– Liz, chciałam tylko podziękować. Za to, że zostałam tu ze mną. I przepraszam, że tak to wyszło.

– W porządku – odpowiadam, ale jakoś trudno mi wypowiedzieć te słowa. Mam coś w gardle, jakąś



niespodziewaną kulę. – Nic nie szkodzi. To nie twoja wina.

A potem się odwracam i kuśtykam do lobby oraz w górę po spiralnych schodach, nim zobaczy łyzy w moich oczach.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Kiedy kroki Liz cichną w głębi korytarza, z westchnieniem opadam na siedzenie i przeciągam sobie dłonią po twarzy. „Przepraszam”. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, żeby to powiedzieć, poza tym, że Liz jest osobą, której najbardziej ze wszystkich współczuję. Nie jestem nawet właściwie pewna dlaczego – może powodem jest to, że od początku to było takie oczywiste, że ona nie chciała się tu znaleźć. Topher, Eva, niezależnie od tego, jak strasznie ten weekend obrócił się przeciw nim obojgu, do pewnego stopnia sami go na siebie sprowadzili – zdecydowali się tu przyjechać, wymachiwać swoimi pieniędzmi, przepychać ludzi jak małe figury szachowe

w swojej bitwie o kontrolę nad Snoopem.

Ale Liz – Liz jest tylko pionkiem, jak ja, załapana w coś, o co nigdy nie prosiła, czego nigdy nie chciała.

A jednak ani razu nie narzekała. Kiedy Topher sarkał na kiepskie jedzenie, Carl tupał i groził sankcjami karnymi, Rik odgrażał się, powołując na firmową odpowiedzialność za zdrowie i bezpieczeństwo, a Miranda rzucała oskarżenia – Liz po prostu dalej brnęła, zносиła to wszystko, mimo że pod jej nienarzucającym się sposobem bycia na pewno krył się taki sam strach jak u wszystkich.

Kostka pulsuje mi bólem, kiedy zmuszam się do wstania i zaczynam przekładać poduszki na kanapie, żeby wyjąć materac ukryty w stelażu. Ale kiedy podnoszę ostatnią poduszkę, dostrzegam coś pod nią, dokładanie w miejscu, w którym siedziałam z Liz. Migocze w świetle rzucanym przez ogień z kominka i przez sekundę myślę, że to broszka albo jakiś element biżuterii, ale kiedy chwytam ten przedmiot, zdaję sobie sprawę, że to klucz. Bardzo znajomy.

To klucz służbowy.

Natychmiast macam się po kieszeni, zakładając, że musiał mi się wysunąć z dzinsów, kiedy usiadłam, ale mój nadal jest, twardy kształt uspokajająco odciska mi się na tyłku.

Tylko że... to mnie wcale nie uspokaja.

Bo jeżeli mój klucz jest w mojej kieszeni, to znaczy... o Boże, to znaczy... To jest klucz Danny'ego.

Klucz Danny'ego, który został skradziony.

Klucz skradziony przez zabójcę.

Stoję tam przez długi czas, całkiem skamieniała, i tylko patrzę na klucz w swojej dłoni, i próbuję zmusić swój mózg do zrozumienia tego. Ktoś jakoś zdobył ten klucz – prawdopodobnie podczas awantury o wejście do pokoju Tiger po zniknięciu Iniga. Nietrudno sobie wyobrazić, że ktoś mógł go niepostrzeżenie zabrać z zamka, kiedy wszyscy byliśmy

zajęci sprawdzaniem, czy Tiger nic nie jest. Ktokolwiek go zabrał, użył go do otwarcia tego samego pokoju w środku nocy i zabił Ani. A potem, po jakimś czasie, pewnie dziś rano, gdy wszyscy byliśmy rozproszeni rozmowami o naszym planie, by pojechać na nartach do miasteczka, klucz wysunął się komuś z kieszeni i wpadł między poduszki na kanapie.

Pytanie tylko, kto go zabrał. Kto siedział w tym miejscu na kanapie dziś rano? Bo za nic nie mogę sobie przytomnieć.

Zamykam oczy, próbując sobie zwizualizować tę scenę – szlochającą Tiger, Mirandę próbującą ją pocieszyć, Rika rozdającego whiskey... Muszę umieścić wszystkie osoby w tym pokoju, jedną po drugiej, jakoś to rozgryźć.

Danny i ja staliśmy. To pamiętam wyraźnie. Topher... Topher opierał się o gzyms kominka. Miranda klęczała na podłodze przy stoliku. Liz siedziała w jednym z tych foteli przy kominku. Rik i Carl... Oni siedzieli na kanapie, ale na której? Zaciskam mocniej oczy i nagle widzę, jak Rik się pochyła i nalewa whiskey do szklanki na drugim końcu stołu. To była ta druga kanapa, przy oknie. Co oznacza... otwieram oczy.

To oznacza, że Tiger leżała na sofie, na której znalazłam klucz, jej biodro było dokładnie w tym miejscu, w którym łączą się poduszki. To miałoby sens – klucze mogłyby łatwo wysunąć się jej z kieszeni, kiedy tam leżała i płakała. Tylko że... nie, to nie miało w ogóle sensu. Tiger była jedyną osobą, która nie potrzebowała klucza, by zabić Ani. I tak była w tym samym pokoju. A gdyby potrzebowała alibi, mogłaby po prostu powiedzieć, że zapomniała zamknąć drzwi.

Ale nikt inny nie zajmował tego miejsca po tym, jak zaginął klucz, oprócz mnie...

...i Liz.

Jak zahipnotyzowana podnoszę wzrok na sufit, gdzie na piętrze Liz chodzi po swoim pokoju, zbierając kołdry i poduszki. Słyszę ciche skrzypienie desek podłogi, a potem

dźwięk zamykania jej drzwi.

Słyszę szuranie, gdy ciągnie kołdrę po korytarzu.

Potem rozlegają się przerywane odgłosy jej stąpania po spiralnych schodach, tym razem schodzi ostrożnie, nie chce się znowu poślizgnąć.

Następnie pojawia się w drzwiach salonu, niesie naręcze pościeli, jej twarz w słabym świetle jest nieczytelna, płomienie kominka migoczą w jej wielkich, swoich okularach i z dziwnym, lekkim ukłuciem przypominam sobie, że pierwszego dnia przypominała mi sowę sparaliżowaną przez blask światła nadjeżdżającego samochodu.

Nadal wygląda jak sowa, ale nagle to podobieństwo wydaje się zupełnie inne, a mnie znowu przechodzą ciarki, kiedy zdaję sobie sprawę, że się myliłam – tak bardzo, bardzo się myliłam.

Bo tak. Wydaje nam się, że znamy sowy. Są mięciutkimi, przyjaznymi, mrugającymi stworzeniami z dziecięcych wierszyków i historii. Może i są mądre, ale często są też powolne i łatwo je zmylić.

Problem w tym, że to wszystko nie jest prawda. Sowy nie są wolne. Są szybkie – jak błyskawica. I wcale nie tak łatwo je zmylić. W swoim żywiole – w ciemności – są żwawymi i bezwzględnymi myśliwymi.

Sowy są ptakami drapieżnymi. Drapieżnikami.

To właśnie zobaczyłam w Liz już tamtego pierwszego dnia. Byłam tylko zbyt oślepią własnymi błędnymi założeniami, by to rozpoznać.

W ciemności sowy nie są ofiarami, tylko myśliwymi. A teraz jest ciemno.

– Hej – mówi Liz i uśmiecha się nieczytelnym uśmiechem zza tych swoich pustych, migoczących szkieł. – Wszystko w porządku?

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopservujący: 1

Kiedy wracam, z rękoma pełnymi kołder i poduszek, Erin stoi nieruchomo na środku pokoju, a jedną rękę trzyma na stelażu kanapy, jakby właśnie przyszła jej do głowy jakaś myśl.

– Hej – mówię. Rzucam pościel na fotel. A potem, kiedy nadal się nie porusza, dodaję: – Wszystko w porządku? – Nie wiem, dlaczego to mówię, po prostu wygląda naprawdę dziwnie. – Coś nie tak z kanapą?

– Co? – Zupełnie jakby się otrząsnęła. Uśmiecha się do mnie i krótko się śmieje. – Nie, przepraszam. Zamyśliłam się. Myślałam... myślałam o Dannym. Muszą już być teraz na miejscu. Zastanawiałam się, czy dostaniemy dziś od nich jakąś wiadomość.

Zerkam na zegar na kominku. Jest teraz tak ciemno, że prawie nie da się dojrzeć wskazówek, ale wydaje mi się, że dochodzi dwudziesta.

– Pewnie masz rację. Mówiłaś, że ile to powinno zająć?

– Myślałam, że trzy godziny. Ale biorąc pod uwagę, że Miranda i Carl nigdy dotąd nie chodzili po śniegu, może się przeciągnąć. Ale jednak wyruszyli tuż po pierwszej. Nawet

wliczając postoje i tak dalej, powinni być już w Haut Montagne. Może nawet już wracają, chociaż nie wiem, czy będą szli po ciemku.

Pociąga za metalowy stelaż. Kanapa rozkłada się ze skrzypnięciem.

– Mam nadzieję, że masz rację. – Przekładam swoją pościel na materac, a potem pomagam Erin zdjąć poduszki z drugiego mebla i go rozłożyć. – Mam wrażenie, że utrata wody to kropla, która przelała czarę.

– Będziemy musiały topić śnieg – mówi Erin. W słabym świetle jej twarz jest biała i napięta, ale to naprawdę nic zaskakującego. – Nie mogę uwierzyć, że od lawiny minęły dopiero dwa dni. Wydaje się, jakby to była wieczność.

– Dwa dni? – Przez sekundę jej nie dowierzam, a potem liczę w głowie i zdaję sobie sprawę, że ma rację. Dwa dni i cztery godziny. Wydaje się, jakby to było wieki temu. *Naprawdę* czuję się, jakbyśmy były tu uwięzione od zawsze. A teraz już prawie po wszystkim. Dziwne, że nie jestem pewna, czy potrafię znowu zmierzyć się z rzeczywistością. Zaczyna do mnie docierać, że to, co wydaje się niewolą, jest w istocie idyllicznym spokojem. Perce- Neige to miejsce zbrodni. A my jesteśmy podejrzanymi. Kiedy wrócimy do prawdziwego świata, będziemy musieli się zmierzyć z pełnym blaskiem sławy. Odbędzie się policyjne śledztwo, zjawią się dziennikarze, nowe historie. Wywiady. Już widzę te nagłówki: „DOMEK ŚMIERCI”.

Zewsząd powychodzą na jaw różne rzeczy.

Teraz jest moja kolej, żeby stanąć nieruchomo i zapatrzeć się w ciemność, w zamyśleniu.

– Pójdę po swoją pościel – przerywa ciszę Erin. – Możesz dołożyć polano do pieca?

– Pewnie – odpowiadam, otrząsając się i wracając do tu i teraz. Przyglądam się jej, jak podnosi latarkę i idzie do lobby,

a cienki snop światła kręci się wokół, kiedy wspina się po schodach, jej dłoń robi „klik, klik, klik” na poręczy, jakby coś twardego, może pierścionek, uderzało o metal.

„Klik. Klik. Klik”.

Znowu słyszę zdyszane, nerwowe słowa matki: „och, Liz, wiesz, że tatuś tego nie lubi...”.

Stuk. Stuk. Stuk. Znikanie w ciemności.

Może to na myśl o policji i o wszystkim, co się na nas zwali, ale nagle, nie wiem dlaczego, to brzmi jak zegar odliczający czas do zera.



## **ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Serce mi wali, kiedy idę korytarzem do części służbowej i wchodzę do swojej sypialni. Pokój jest całkiem ciemny, oświetlony tylko wąskim snopem latarki, ale nie chcę ryzykować, że baterie się wyczerpią, więc wyłączam ją i w ciemności opadam na swoje łóżko. Muszę *pomyśleć*.

Moja pięść zaciska się wokół klucza, który mocno przywiera mi do dłoni, niczym fizyczne przypomnienie szaleństwa tej sytuacji, i teraz, kiedy tam siedzę, rozpaczliwie próbując zrozumieć tę zagwozdkę, okazuje się, że ściskam go tak mocno, aż wbija mi się w palce i pozostawia wgłębienia, które nadal czuję, kiedy siłą rozwieram dłoni.

Co to znaczy? Co to *znaczy*?

Jeżeli Liz zabrała ten klucz... czy to ona jest zabójczynią?  
*Ale jak?*

Wracam myślami, odtwarzam w pamięci to zamieszanie na korytarzu, kiedy Danny włamał się do pokoju Tiger. Liz tam była, jestem tego pewna. Ale pamiętam, że gdy wszyscy przepychali się do pokoju, ona została z tyłu. Wtedy pomyślałam, że to z powodu jej naturalnej rezerwy – to było

zupełnie w jej stylu, w porównaniu z tym, jak wszyscy parli naprzód, chcąc zobaczyć, co się dzieje. Ale teraz się zastanawiam. Może trzymała się z tyłu, żeby niepostrzeżenie zwinąć ten klucz?

Ale *dlaczego*, tego nie potrafię zrozumieć. Liz nie mogła zabić Ewy. Pomijając już motyw, ona jest jedną z niewielu osób, razem z Ani i Carlem, którzy nie mieli w ogóle okazji tego zrobić. Kiedy Eva zjeżdżała z La Sorcière, ona siedziała w gondoli wracającej do podnóża Blanche-Neige.

Ale ten klucz... Klucz, który jest twardy i wyszczerbiony i którego istnienia w mojej dłoni nie da się podważyć, tak jakby nie pozwalał mi zapomnieć o tym, że jest materiałem dowodowym.

Co z tym kluczem?

Pocieram sobie dłonią twarz, dotykając lśniącej tkanki blizny, wiecznego przypomnienia o tym, co zrobiłam, o cenie, jaką zapłaciłam za zbyt dużą pewność siebie, i nagle uświadamiam sobie, że siedzę tu już... nie jestem pewna, jak długo, ale długo. Za długo. Podejrzenie długo. Muszę wrócić na dół, inaczej Liz się dowie, że coś jest nie tak.

Z powrotem włączam latarkę i zgarniam naręcze kołder, a potem, z latarką w zębach, opartą na stosie poduszek, wolną ręką otwieram drzwi.

Liz stoi tuż za nimi, prawie twarzą w twarz ze mną, światło latarki odbija się od jej okularów.

Krzyczę, a latarka odbija się od poduszek i spada na podłogę z łoskotem, potem gaśnie.

Serce łomocze mi w piersi jak młot pneumatyczny.

– Jezu – wykrztuszam z siebie, głos mi drży. – Liz, przestraszyłaś mnie.

Odkładam na ziemię drżącymi rękoma pościel i szukam po omacku latarki.

– Przepraszam – odpowiada. Brzmi, jakby się uśmiechała,

ale w ciemności nie jestem pewna. Jej głos jest jakiś bez wyrazu, trudny do odczytania. – Długo cię nie było. Zmartwiłam się.

– Och... – O cholera, co mogę powiedzieć? Jakiej użyć wymówki? – Przebierałam tylko bluzkę.

Co? Dlaczego, *u licha*, to powiedziałam? Będzie mogła zobaczyć, że mam na sobie te same ubrania co wcześniej. Co za *głupie* kłamstwo.

Z nerwów jest mi niedobrze. Nie potrafię dobrze kłamać. Nawet w szkole nie umiałam w dwulicowe „Och, wyglądasz tak pięknie! Ja wyglądam koszmarnie!”, tak jak robiły to inne dziewczyny. Jedyne chwile, kiedy potrafię udawać, to te w trybie pokojówki. Wtedy jestem uprzejma wobec wszystkich i radosna, niezależnie od tego, jak się czuję – nie dlatego, że ich lubię, tylko dlatego, że są gośćmi, a ja jestem z obsługi i to moja praca.

Ta myśl mnie uspokaja.

To moja praca. Dam radę. Liz jest gościem, a moja praca to bycie wobec niej uprzejmą. Muszę tylko skupić się na tej myśli.

Włączam latarkę i zmuszam się do uśmiechu.

– Zejdziemy na dół? Tu jest naprawdę zimno.

A Liz kiwa głową i rusza w stronę schodów.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snooserwujący: 1

Z Erin jest coś nie tak. Nie jestem pewna co. Powiedziała, że martwi się o Danny'ego, ale jeśli tak jest w istocie, to nie wiem, dlaczego jej lęki pojawiły się tak nagle. Była dość pogodna, co zmieniło się jakieś dwie godziny temu. Wtedy zrobiła się nerwowa i drażliwa.

Leżymy w ciemności od godziny albo dłużej, ale ona nie śpi. Nie chodzi tylko o to, że nie chrapie – kątem oka widzę, że jej oczy są nadal otwarte, kiedy mruga, odbija się w nich światło rozżarzonego węgla. Leży tak w ciemności, obserwując mnie w milczeniu. Myśli o czymś. Ale nie wiem o czym.

Co ona sobie myśli?

Zaciskam oczy, próbując wyglądać możliwie najbardziej normalnie.

Kilka minut później słyszę skrzypnięcie sprężyn materaca. Erin ostrożnie zestawia nogi z łóżka.

– Dokąd idziesz? – pytam.

Podskakuje jak jakiś przestępca przyłapany na gorącym uczynku i przykłada sobie dłoń do serca.

– Boże! Liz, wystraszyłaś mnie.

– Przepraszam. – Nie mówię nic więcej. Z mojego doświadczenia wynika, że jeśli ktoś milczy, ludzie się denerwują. Zaczynają mówić. Wypełniają ciszę własnymi rozmowami. W ten sposób wiele się można dowiedzieć. Oczywiście po chwili Erin odpowiada na moje pytanie, a ja nawet nie muszę go powtarzać.

– Nie chciałam cię obudzić. Nie mogę spać. Idę do t-toalety.  
– Trzęsie się. Słyszę, że zęby zaczynają jej dzwonić. W pokoju jest teraz bardzo, bardzo zimno. Ogień wygasł, pozostał tylko świecący żar.

– Okej. – Przewracam się na drugi bok i podciągam sobie kołdrę pod brodę. – Nie zapominaj, że rury zamarzły.

– W-wiem. – Otwiera kominek i dorzuca kolejne polano. – Skorzystam z którejś z łazienek na górze. Wydaje mi się, że spuściłyśmy już wodę z obu toalet na parterze.

Nie odpowiadam. Przyglądam się jej tylko, jak owija się ciaśniej kurtką, a potem idzie po schodach. Potem przewracam się znowu i szukam dłonią klucza w kieszeni.

Nie ma go.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Cholera jasna. Serce mi wali, kiedy wspinam się na palcach po schodach. Nie wiem, skąd mi przyszło do głowy to kłamstwo o toaletach, ale jeszcze nigdy się tak nie cieszyłam z zamarzniętych rur. Zapewniły mi dokładnie to, czego potrzebowałam – wymówkę, żeby iść na górę.

Nie mam pojęcia, jaka jest prawda dotycząca tego klucza. Czy Liz go *zabrała*? Nie mam odwagi o to spytać. Może ktoś inny siedział na tej kanapie, kiedy mnie nie było. Albo może Liz znalazła klucz, podniosła go, ale bała się komukolwiek przyznać, żeby nie zaczęli jej podejrzewać. Niewinnych

wyjaśnień mogło być kilkanaście. Albo mogło być jedno, bardzo oskarżające.

Tak czy inaczej, nie mogłam już ani sekundy dłużej leżeć w ciemności, nasłuchując jej cichego, regularnego oddechu. Musiałam coś *zrobić*. I w końcu moja podświadomość naprowadziła galopujące myśli na coś, o czym zupełnie zapomniałam, a co zauważyłam przypadkiem.

Powerbank Elliota. Ta ogromna zewnętrzna bateria, której używał do zasilenia swojego laptopa, zanim sam umarł, a jego komputer został zniszczony. Jeżeli zdołam zdobyć tę baterię i podłączyć swój rozładowany telefon, może zdołam uzyskać choć skrawek jakiegoś połączenia. Warto spróbować. Nie jest to coś, przed czym Liz mogłaby protestować. A jednak, z jakiegoś powodu, nie chcę się nad tym zastanawiać, nie chcę jej o tym mówić.

*Dlaczego nie?* – szepcze w rytm kroków mój mózg, kiedy idę na palcach korytarzem. *Dlaczego nie?*

Bo jej nie ufam.

*Dlaczego nie?*

Ponieważ... Przełykam i słyszę suche kliknięcie mojej szczęki w upiornej ciszy. Bo w głębi serca myślę, że ona mogła zabić Evę. Nie wiem *jak*, ale strach, który czuję od dwóch godzin, pokazał mi coś, w co nie uwierzyłabym przed dzisiejszym wieczorem: uważam, że Liz potrafiłaby zabić. Nie chodzi tylko o klucz – chociaż on jest już dość martwiący. Ta panika, którą poczułam, kiedy otworzyłam drzwi swojego pokoju i zobaczyłam ją stojącą za nimi, uśmiechającą się do mnie beznamiętnie, ukrytą za tymi srebrzystymi szklami – w tej panice było coś głębokiego, prawdziwego, rzeczywistego. Powiedziała mi coś, czego wcześniej przed sobą nie przyznawałam: boję się Liz. Może i jest uległa, cicha i niemal do bólu zachowawcza, ale pod tą potulnością moim zdaniem kryje się stal, i tak, myślę że mogłaby kogoś zabić. Wierzę,

a nie wierzyłam w to w przypadku Iniga ani nawet Tophera, mimo piętrzących się przeciw niemu dowodów.

Wierzę, że spośród wszystkich tylko Liz potrafiłaby zabić z zimną krwią i ukryć ten fakt przed nami wszystkimi. Nikt nie zwraca na nią uwagi. A dla zabójcy jest to rodzaj supermocy.

Jestem prawie przy drzwiach Elliota. Idę teraz najciszej, jak potrafię, bo pamiętam, że kroki Liz na korytarzu były słyszalne w pokoju na dole. Wyciągam z kieszeni swoje klucze, wybieram jeden, wsuwam go do zamka, przekręcam i bardzo, bardzo cicho otwieram drzwi Elliota.

Skrzypią, ale tylko odrobinę, i wstrzymuję oddech z nadzieją, że Liz tego nie usłyszała. Ale z dołu nie dochodzi żaden dźwięk. Gdyby tu przyszła, nie miałabym żadnej wymówki dla tego, że jestem po tej stronie korytarza. Naturalne byłoby, gdybym poszła do łazienki dla obsługi, dokładnie po przeciwnej stronie. Albo, gdyby nie chciało mi się iść daleko, do którejsz z sypialni gości bliżej schodów. Nie Elliota. Nie do pokoju z...

Zapach uderza mnie, kiedy otwieram drzwi. To zapach, który pamiętam z praktyk w szpitalu.

W tym pokoju znajduje się martwe ciało – obok odoru moczu oraz nedorzecznie przytulnego zapachu rozlanej kawy czuć śmierć. Nie mocno, w pokoju jest na to za zimno, ale nie da się tego pomylić z niczym innym. Duszący, zwierzęcy zapach.

Nie ma szans, żeby ktoś wybrał ten pokój do czegokolwiek, jeśli miał inny wybór.

Od tego zapachu zbiera mi się na wymioty, ale powstrzymuję się i skradam się przez pokój na drugą stronę, do biurka Elliota. I oto jest – wygląda jak kawałek pustaka na podłodze, mrok przecina pojedyncze LED-owe czerwone światełko. Moje serce uderza z ulgą. I niemal w tym samym



czasie zauważam dwie rzeczy. Po pierwsze, jego telefon jest podłączony do ładowarki i włączony, w pełni naładowany. Elliot zostawił swój telefon podłączony. *Oczywiście*, że tak.

Ale po drugie, widzę, że on ma Androida, a ja iPhone'a. Mam swój telefon w kieszeni, ale nie mogę użyć jego ładowarki.

Pluję sobie w brodę. Trzeba było najpierw zabrać ładowarkę – to było niewiarygodnie głupie z mojej strony. Czy mam czas? Normalnie zajęłoby mi to mniej niż minutę, żeby pobiec na drugi koniec korytarza, otworzyć drzwi dla obsługi i zabrać ładowarkę leżącą koło łóżka. Ale teraz nie mogę biegać. Nie mogę trzaskać drzwiami. Nie mogę sobie pozwolić na hałas.

Podjęmę decyzję. Spróbuję najpierw zajrzeć do telefonu Elliota. Niektóre numery alarmowe można wybrać przy zablokowanym ekranie – tylko nie mam pojęcia, czy sto dwanaście albo siedemnaście do nich należy.

Podnoszę go i ekran się rozświecila, ale z rozczarowaniem dostrzegam, że nie ma zasięgu – widać tylko „x” na szarej skali. Nie mogę do nikogo zadzwonić.

Mimo wszystko na ekranie blokady jest kilka powiadomień z aplikacji i przewijam je z iskierką nadziei, próbując sprawdzić, czy telefon miał jakiegokolwiek połączenie w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Jeśli łapie choćby maleńkie sygnały zasięgu, to by mogło wystarczyć. Gdybym dostała się do tego telefonu, mogłabym wysłać SMS, który po prostu czekałby w skrzynce nadawczej, aż w końcu sprzęt się połączy. Nie musiałabym nic robić. Tylko czekać, aż się wyśle.

I jest. Powiadomienia WhatsAppa sprzed sześciu godzin. A pod spodem powiadomienie ze Snoopa. Anon<sub>101</sub> jest *geoclose*, cokolwiek to znaczy. Geoclose? Nigdy nie miałam takich powiadomień na swoim koncie.

Jednak nie mam czasu się tym przejmować. Pytanie tylko, jak odblokować ten telefon. Mam trzy szanse, zanim się

zablokuje, a potem nie będę miała innego wyboru, jak tylko iść po swoją ładowarkę i czekać, aż mój telefon się naładuje, co zajmie na tyle długo, że Liz zacznie się zastanawiać, gdzie jestem.

Wyteżam umysł, próbując sobie przypomnieć, czy Kate kiedykolwiek podawała mi datę urodzin Elliota, a jeśli tak, czy próbować z rokiem, czy też dniem i miesiącem, ale kiedy widzę ekran blokady, okazuje się, że niepotrzebnie. To nie jest blokada na pin, tylko odcisk palca.

Ściska mnie w żołądku z rozczarowania, ale wtedy zdaję sobie sprawę, co to oznacza, i doświadczam innego rodzaju ściśnięcia, tym razem ze wzbudzającego obrzydzenie przerażenia, kiedy dociera do mnie, co muszę teraz zrobić. O Boże. Mogę tak zrobić? A jeśli mogę, to jakim mnie to czyni człowiekiem?

Zerkam na biurko. Zmuszam się, by spojrzeć na kształt, który próbowałam zignorować, pomijałam go wzrokiem: Elliot. Ciało Elliota.

Jego ręka jest wyciągnięta na biurku i czuję, że moje policzki robią się na zmianę gorące, zimne, a potem znów gorące, z takiego głęboko przeszywającego wstydu przed tym, co zamierzam zrobić. Ale *muszę* się dostać do tego telefonu.

Wstaję. Odłączam telefon od ładowarki i robię krok w stronę miejsca, gdzie leży rozciągnięty Elliot. A potem kolejny. I w końcu staję przy jego biurku, sięgam po jego dłoń – zimną, sztywną dłoń.

Jest trochę lepka, chociaż to głównie wina zimna w pokoju, a ramię okazuje się zaskakująco ciężkie do manewrowania, ale stężenie pośmiertne już ustało i bez większego trudu rozwijam jego dłoń i chwytam jego długi, kościsty kciuk w swoje palce, jest chłodny i twardy jak kawałek mięsa.

– Przepraszam – szepczę do niego. – Bardzo, bardzo przepraszam.

A potem przyciskam czubek kciuka do czujnika blokady.

Przez minutę nic się nie dzieje i czuję przeszywające, bolesne rozczarowanie. Czy telefon jest w stanie to jakoś rozpoznać? Czy sprawdza ciepłość ciała? Czy wie, że to martwy człowiek, a nie żywy właściciel?

Jest tylko jeden sposób, by się dowiedzieć. Czuję się jeszcze gorzej, ale odkładam telefon i pocieram zimny, lepki koniec kciuka Elliota dłonią, trę go, żeby przenieść trochę własnego ciepła na skórę Elliota.

Jest zaskakująco twardy. Moje dłonie też są zimne i przez długi czas czuję tylko przenikliwe zimno martwego ciała na swoim. Ale nie przestaję, chucham na jego kciuk, żeby spróbować go rozgrzać swoim oddechem, i w końcu zaczynam odczuwać jakąś różnicę temperatury. Nim się rozproszy, sięgam po telefon i szybko przyciskam go do czubka kciuka, wstrzymując oddech.

Wtedy sprzęt się rozjaśnia i widać na nim wściekle różowy ekran powitalny aplikacji Snoopa. Oto jestem w środku telefonu Elliota.

Już mam zminimalizować Snoopa i przejść do SMS-ów, ale się zatrzymuję. W jego aplikacji jest coś naprawdę dziwnego.

Śledzi go 1,2 miliona ludzi. Co chyba nie jest takie zaskakujące. Jest znany jako jeden z założycieli firmy, a jego Snoop ID jest publiczne.

Dziwne jest jednak to, że sam śledzi tylko dwie osoby. Pierwszą jest Topher – pamiętam jego avatar i ID, bo sama go śledzę – Xtopher – i jego zdjęcie, jak balansuje łyżką na swoim nosie, a do tego mały ptaszek wskazujący, że konto zostało zweryfikowane. „Snoopserwujesz Xtopher od 3 lat” – widnieje tekst obok jego imienia. Ale nie to jest dziwne.

Dziwne, że drugą śledzoną przez niego osobą jest całkowicie anonimowy użytkownik, Anon<sub>101</sub>. Anon nie ma zdjęcia, a kiedy klikam w pustą przestrzeń, w której powinien się znajdować

jego awatar, w jego biogramie też niczego nie znajduję. Jediną linijką zamieszczoną w polu „O mnie” jest „Idź stąd”, co może wyjaśniać, dlaczego ma tylko jednego obserwatora. To wszystko.

Ale pod „lokalizacją” nic nie ma. Jakieś łańcuchy współrzędnych GPS i małe logo z napisem „beta” w nawiasie.

To musi być ta aktualizacja, nad którą pracował Elliot przed śmiercią – ten Geosnoop, którym się tak ekscytowali z Topherem i który pozwolił mu namierzyć Evę. Ale kim jest Anon<sub>101</sub> i dlaczego Elliot go śledzi? Czy to Eva? Ale nie, to byłoby absurdalne, nie z jednym obserwowującym. A poza tym snoopowałam Evę. Nie mogę sobie przypomnieć jej ID, ale pamiętam awatar – panterę śnieżną w ray banach.

Wracam do poprzedniego ekranu.

„Snoopujesz Anon<sub>101</sub> od dwóch dni” – mówi tekst pod nazwą użytkownika.

Elliot zaobserwował Anon<sub>101</sub> tuż przed swoją śmiercią.

Jeździ mi teraz w żołądku, a mój kciuk zastyga nad „geosnoopem” (beta) w menu głównym. Przypomina mi się teraz to powiadomienie na ekranie głównym – to, które tak beztrąsko przesunęłam. „Anon<sub>101</sub> is geoclose”.

Wciskam zakładkę Geosnoop.

„Ostatnio w twojej okolicy:” – widnieje tekst na górze menu. A potem, pod spodem, widać listę tylko dwóch osób:

Littlemy

Anon<sub>101</sub>.

Ja jestem Littlemy. A to znaczy... Anon<sub>101</sub> to musi być... Liz.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Coś jest nie tak. Erin nie wróciła ze swojej wyprawy do toalety. Nie ma jej od dłuższego czasu, ale co gorsza, zupełnie nic nie słyszę. Żadnego otwierania drzwi. Żadnych kroków na schodach. Żadnych odgłosów spuszczonej wody. Czy coś się stało? Czy zasnęła?

Leżę tak, przygryzając wargę, próbując wymyślić, co zrobić. Poprzednio po nią poszłam. Martwiłam się, kiedy tyle jej zajęło przebieranie bluzki, ale nie jestem pewna, czy to był dobry pomysł. Panika na jej twarzy, kiedy otworzyła drzwi sypialni i zobaczyła tam mnie stojącą tuż pod nimi i gotową do

pukania, sprawiła, że uznałam to za swój błąd. I teraz zastanawiam się, czy to nie wtedy zmieniło się jej zachowanie. Może się mnie boi. Może myśli, że ją prześladowuję.

Ludzie zwykle się ode mnie odsuwają. Zauważam to od lat. Zaczęło się od dziewczynek w szkole – na początku były miłe, a ja próbowałam się odwdzięczać przyjaznymi gestami, i wtedy ich nastawienie zaczynało się ochładzać, z powodów, których nie potrafiłam nigdy określić. Więc próbowałam bardziej. Podejmowałam większe wysiłki. Ale im bardziej się starałam, tym stawały się chłodniejsze, aż w końcu wyglądało na to, że wszystko, co robię, skłania je tylko do tego, by bardziej mnie nienawidzić.

W podstawówce inne dziewczynki nie były takie subtelne. „Idź sobie, Liz, jesteś dziwna” – słyszałam w kółko i w kółko. Kiedy dorosłyśmy, dziewczyny z mojej klasy udawały miłsze, ale w głębi ducha myślały sobie to samo, pod tym swoim „och, przepraszam, to miejsce jest zajęte” albo „moja mama powiedziała, że mogę zaprosić tylko trzy koleżanki na noc, bardzo cię przepraszam, Liz”.

Dziewczyny były okropne. Chłopcy byli gorsi. A najgorszy ze wszystkich był Kevin.

Wzdrygam się nawet na jego imię.

*Lubiłam* Kevina. Myślałam, że on może też mnie trochę lubi. Miał trądzik, a jego oddech był trochę nieświeży, i nie był jakoś szczególnie przystojny. Nie wydawał się aż taki nieosiągalny jak niektórzy inni chłopcy. Wypożyczyłam z biblioteki książkę o tym, jak sprawić, żeby chłopcy cię lubili, ale była myląca i sama sobie zaprzeczała. „Śmieję się z jego żartów” – mówiła. Więc się śmiałam. Ale Kevin patrzył wtedy na mnie jak na wariatkę i pytał: „Z czego ty się śmiejesz?”.

„Daj mu coś, co będzie mu o tobie przypominać”. Podarowałam mu parę rękawiczek, które sama wydzierałam. Zostawiłam mu je w szkolnej szafce, ale on nigdy ich nie nosił.

Później trafiłam na nie w biurze rzeczy znalezionych.

„Doprowadzaj do przypadkowych spotkań”. Chodziłam za nim. Sprawdziałam, czy jest, opierając się o szafki, kiedy wychodził z męskiej toalety. Czekałam koło jego przystanku autobusowego. Jednego dnia poszłam za nim do domu.

Był listopad i już prawie zmierzchało. Nie chciałam, żeby mnie zauważył, ale tak się stało. Przeszliśmy prawie trzy kilometry, zanim się do mnie odwrócił. „Czego ty chcesz, pierdolona dziwaczko?” – spytał, a głos mu się łamał i załamał na ostatnim słowie. W zasadzie tego nie powiedział. Podszedł tuż do mojej twarzy i wykrzyczał to. Czułam jego nieświeży oddech i to, jak spada na mnie jego ślina.

Było ciemno. Zaczął padać deszcz. Byliśmy w pustej części parku. Jakaś mała część mnie chciała go zabić. Ale nie zrobiłam tego. Zamiast tego cofnęłam się przed nim, kuląc się przed jego złością, a potem, kiedy mnie odepchnął i krzyknął: „Czy ty jesteś jakaś zdesperowana, czy co?”, uciekłam. Płakałam i się trzęsłam.

Nim zostałam zatrudniona w Snoopie, już się nauczyłam. Trzymałam się z dala od innych. Nie próbowałam się z nikim przyjaźnić. Nikomu nie ufałam.

Ale Erin... z jakiegoś powodu Erin wydawała się inna. Była taka przyjazna, kiedy przyjechaliśmy. Pamiętam jej współczucie, kiedy poprosiłam ją o poradę w związku z dress code'em, i jaka była uprzejma, kiedy zaholowała mnie do wyciągu pierwszego dnia. Naprawdę zdawała się mnie lubić. Teraz nie jestem pewna. Czy od początku udawała?

Chcę tam iść i spytać, co sobie o mnie myśli, czy się mnie boi, co tam *robi* w tych ciemnościach. Ale nie wiem, jak by się z tym poczuła. Może mogłabym powiedzieć, że się o nią martwię? W końcu zginęły już trzy osoby. Tak robią dobrzy znajomi. Zatrzaszczyłabym się o nią. Sprawdziła, czy wszystko w porządku.

Ale czy ona by to tak widziała? Czy *wiedziałyby*, że tylko odgrywam dobrą koleżankę? Albo czy znowu by tak na mnie spojrziała – tym przepełnionym paniką, przerażonym wzrokiem, który zobaczyłam w oczach Kevina, kiedy się do mnie odwrócił? Tym samym, który dojrzałam w oczach Erin, kiedy ostatnio otworzyła drzwi? To spojrzenie mówiące „ty dziwaczko”. To spojrzenie mówiące „boję się”.

Dziesięć minut później nadal jestem rozdarta. W końcu nie mogę już dłużej znieść tej ciszy. *Muszę się dowiedzieć*, co ona robi.

Zestawiam nogi z łóżka i wstaję. Nadal mam na sobie mój narciarski kombinezon, więc nie jest mi tak zimno. Kolano nadal boli, ale mogę już na nim stanąć. Naprawdę bardzo się cieszę, że nie idę przez śnieg do innego domku. To znaczy, nigdy nie spadłabym ze schodów celowo, to byłby naprawdę głupi pomysł, mogłabym się zabić. Ale dobrze się skończyło.

W każdym razie ostrożnie wchodzę po schodach, trzymając się poręczy. Drewno pod moimi skarpetkami jest śliskie, same stopnie trudno dostrzec w ciemności i na pewno nie chcę kolejnego upadku.

Na szczycie schodów przystaję, wstrzymując oddech, i próbuję nasłuchiwać. *Gdzie* ona jest? W części dla obsługi? Już mam skrócić w lewo, żeby sprawdzić, czy jest na tym końcu korytarza, kiedy słyszę jakiś hałas. Bardzo cichy, ale dochodzi z przeciwnego kierunku – z tej strony korytarza, z której znajdują się pokoje Mirandy, Elliota i mój. Co ona może tam robić?

Ale nim to sprawdzę, słyszę kolejny dźwięk z tego samego kierunku – tym razem nie dało się go z niczym pomylić. To odgłos spuszczenia wody w toalecie. Otwierają się drzwi pokoju Mirandy i wychodzi z niego Erin. Tym razem nie wygląda na taką zaskoczoną moim widokiem, tylko się uśmiecha.



– Cześć, Liz. – Jest trochę zdyszana. – Przepraszam, martwiłaś się?

– Trochę. – Marszczę brwi. – Co robiłaś w pokoju Mirandy?

– Spłukałam już wcześniej wodę w służbowej toalecie. Pomyślałam, że Miranda nie będzie miała nic przeciwko, a tu było najbliżej. Yyy, Liz, małe ostrzeżenie... – Trudno stwierdzić w tej ciemności, ale wygląda na to, że ma trochę zarumienioną twarz. – Przepraszam, to może trochę za dużo informacji, ale mam jakiś problem z żołądkiem. Wydaje mi się, że może ten gulasz nie był za dobrze odgrzany. Dlatego... cóż, dlatego trochę dłużej mi zeszło.

– Och! – Nie jestem pewna, co na to odpowiedzieć.

Powinam się zaśmiać? Nie, to by dziwnie wyglądało. Przyjmuję taki wyraz twarzy, który – jak mam nadzieję – przypomina współczujący uśmiech. Potem martwię się, że może jednak wygląda po prostu jak zwykły uśmiech, więc zamiast tego marszczę brwi.

– O rany, przykro mi.

– Zdaję sobie sprawę, że pewnie nie chciałaś tego wiedzieć, ale pomyślałam, że powinam cię ostrzec na wypadek... No wiesz, zjadłyśmy tę samą kolację.

– Och, nic mi nie jest – odpowiadam pospiesznie. To prawda. Nie poczułam nawet żadnego dyskomfortu. Ale w sumie ja nigdy nie miałam problemów z trawieniem.

– Och, to dobrze – odpowiada. Na twarzy ma wypisaną ulgę.

– Nie chciałam cię jeszcze zatruć na dodatek do tego wszystkiego, co się dzieje. – Śmieje się drżącym śmiechem, a potem mówi: – To co?

Przez chwilę nie jestem pewna, o co jej chodzi, ale potem kiwa głową w stronę schodów i już rozumiem, o czym mówi.

– Pewnie – odpowiadam. Ale wtedy coś mnie zatrzymuje. – Właściwie ty idź. Ja też jeszcze muszę do toalety.

Kiwa głową i zaczyna kuśtykać w dół po spiralnej klatce

schodowej. Przez chwilę patrzę, jak idzie, a potem ruszam korytarzem w stronę swojego pokoju. Otwieram drzwi i wślizguję się do środka, podchodzę do zabudowanej szafy w kącie. Drzwi są otwarte, tak jak je zostawiłam. Ale czy to moja wyobraźnia, czy też są otwarte trochę szerzej niż wcześniej?

Przez dłuższy czas stoję nieruchomo, wpatrując się w te drzwi. Są uchylone może na pięć centymetrów. Wydaje się, że więcej. Tak jakby ta luka była teraz szersza. Ale nie mam pewności.

Podejmuję decyzję, otwieram drzwi i wyciągam swoją walizkę, a potem odpinam pokrywę. W środku, wciśnięta na samo dno walizki, pod jedwabistą poszewką i kawałek kartonu, powinna tkwić szkarłatna kurtka narciarska. Jest zbyt ciemno, żeby ją naprawdę zobaczyć, a ja zostawiłam swoją latarkę na dole, ale kiedy wtykam palce przez wąską szparę, czuję, że tam jest – jej puchowa miękkość mnie uspokaja. Wzdycham z ulgą i siadam z powrotem na piętach.

Potem zapinam podszewkę i odkładam walizkę z powrotem do szafy, wstaję z bólem i idę do łazienki. Skoro już tam jestem, to mogę równie dobrze uwiarygodnić swoją wymówkę.

Ale dopiero kiedy jestem w połowie zdejmowania z siebie kombinezonu narciarskiego, coś mnie uderza, coś, co sprawia, że nieruchomieję.

Ta walizka była na górze stosu, *na* mojej małej walizce kabinowej na kółkach.

Zostawiłam je odwrotnie. Jestem tego zupełnie pewna.

Ktoś zaglądał do mojej szafy.

Erin? Czy ktoś inny?

Serce mi wali.

Powoli, bardzo powoli zapinam kombinezon, intensywnie myśląc i próbując zdecydować, co zrobić.

Potem spuszczam wodę w toalecie i wracam schodami

w dół, próbując przewidzieć, ile wie Erin.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Słyszę z góry, jak Liz spuszcza wodę w toalecie, i moszczę się pod kołdrą z nadzieją, że dam radę udawać śpiącą, kiedy wróci. Moje myśli galopują, gdy próbuję zrozumieć, co mogło się wydarzyć.

Dzięki Bogu, że usłyszałam, jak wchodzi po schodach, i zdążyłam wyjść z pokoju Elliota, a potem schować się dwie pary drzwi dalej, u Mirandy. Gdyby zobaczyła, jak wychodzę od Elliota, musiałabym jej powiedzieć prawdę. A szczerze mówiąc, za bardzo się boję, żeby to zrobić.

Co to, do diabła, znaczy? Czy Liz jest morderczynią? Ale

*jak?* Pomijając już motyw, ma żelazne alibi. Kiedy Eva została zabita, Liz siedziała w gondoli zjeżdżającej do doliny.

Tylko że...

Tylko że nikt tak naprawdę nie *widział*, jak wsiada do kolejki.

Próbuję wrócić myślami do tego ostatniego zjazdu z góry, do tego, jak wszyscy go opisywali. Eva wjeżdżała gondolą. Carl przewrócił się na dole, próbując wsiąść, a Ani mu pomagała. Cała reszta stała w kółeczku na górze niebieskiego szlaku, Blanche-Neige, wśród ryczącego wiatru, czekając na przybycie Ewy, Carla i Ani.

Potem Liz odmówiła zjazdu i Topher próbował ją do niego zmusić.

Wszyscy zgadzali się co do tego, co było potem – Liz wypięła się z nart i poszła na szczyt do kolejki, żeby wsiąść do wagonika, który miał ją zwieźć z powrotem do domku.

Ale co, jeśli tego nie zrobiła? Co, jeśli przeszła przez ten mały budynek z wyciągiem prosto na drugą stronę, w kierunku czarnego szlaku, La Sorcière? Potem, na samej górze szlaku, tuż przed najbardziej stromym fragmentem zjazdu, stała i czekała.

Próbuję sobie wyobrazić, jak Liz mogła zwieźć Ewę na drugą stronę. Może udawała, że bezradnie zsunęła się w dół czarnego szlaku, w stronę stromego urwiska. Może udawała, że ma problem z butem albo z nartą. Tak czy inaczej, musiała zawołać Ewę, a potem, kiedy Eva była bardzo blisko niej i straciła czujność, Liz zepchnęła ją w przepaść.

To mogła być najbardziej ryzykowna część. Nie ewentualność, że ktoś ją zobaczy – widoczność była na to zbyt kiepska, a budynek wyciągu oddzielał je od narciarzy stojących na Blanche-Neige. Tylko ryzyko, że nie uda jej się zepchnąć Ewy z krawędzi. Gdyby Ewie udało się uratować albo, co gorsza, gdyby chwyciła się napastniczki i zabrała ją ze sobą

w dół, byłoby po wszystkim. Ale udało się. Musiało się udać. A teraz Liz musiała tylko dać sobie alibi – upewnić się, że Eva była widziana cała i zdrowa *po tym*, jak Liz miała wrócić w dół wyciągiem.

Pamiętam ten wielki, obszerny kombinezon narciarski, w którym pociła się Liz, stojąc tylko u podnóża wyciągu. Pamiętam nawet, jak pomyślałam, że zastanowiłam się, dlaczego ma na sobie coś takiego w taki piękny dzień. Teraz *wiem* dlaczego. To nie był wcale brak doświadczenia. To zostało zaplanowane.

To nie byłoby trudne, żeby włożyć drugi kombinezon narciarski pod spód. Potrzebowałyby kilku sekund, żeby rozpiąć luźną niebieską kurtkę, zdjęć szkarłatną kurtkę spod spodu i włożyć ją na wierzch. W połączeniu z jej kaskiem, goglami i ciemnymi spodniami narciarskimi, z daleka każdy wziąłby ją za Evę.

I tak ruszyła w dół La Sorcière, zatrzymując się tylko po to, żeby przynajmniej jedna osoba – mała, wierna Ani, wysoko nad nią w kolejce – była w stanie potwierdzić jej wersję.

Myślę o ostatnich słowach Ani do Tiger, jej zaskoczonym „nie widziałam jej”.

Wszyscy pomyśleliśmy, że mówiła o Evie.

Ale co, jeśli... Co, jeśli mówiła o Liz? Liz, która miała być w gondoli zjeżdżającej z góry w tym samym czasie, kiedy Ani nią wjeżdżała. Co, jeśli z *tego* zdała sobie sprawę Ani – że Liz ich nie minęła, rzekomo jadąc w dół? Że wcale nie wsiadła do tej kolejki?

To wiarygodne. To wszystko przerażająco wiarygodne. I mogłoby zadziałać, gdyby nie jedna rzecz. Aplikacja z geolokalizacją Elliota, która skrycie zbierała dane na temat wszystkich z ekipy.

Bo Elliot nie był głupi. Kiedy tylko zrozumiał, że Eva nie żyje, sprawdził ruchy wszystkich osób na tej górze tamtego

dnia. Wiedziałyby, że tą osobą, która zjechała La Sorcière, nie była Eva, tylko Anon<sub>101</sub>. Jednak nawet mając te wszystkie dane, nie mógł mieć pewności, kim był Anon<sub>101</sub>.

Więc zaobserwował Anon na Snoopie. I próbował do tego dojść w drodze eliminacji. Ale został zabity, zanim zdążył się podzielić swoimi podejrzeniami z Topherem.

Ta teoria wyjaśnia prawie wszystko. Wyjaśnia, dlaczego Elliot musiał umrzeć, dlaczego jego komputer, ze wszystkimi danymi dotyczącymi lokalizacji, został zniszczony. Wyjaśnia, dlaczego zginęła Ani.

Nie wyjaśnia tylko jednej rzeczy. *Dlaczego.*

Dlaczego w ogóle Eva została zabita.

Bo Liz nadal nie ma motywu.

A jednak przypominają mi się słowa Danny'ego. „Bo ja wiem. Gdybyśmy chcieli, to pewnie każdemu znaleźli byśmy jakiś motyw”.

To prawda. Kluczowe jest alibi, nie motyw.

A ja właśnie doszczętnie obaliłam alibi Liz. Pozostaje tylko jedna kwestia – jeśli mam rację, to stawia mnie to następną w kolejce do zabicia.

Zostałam sama w odosobnionym domku z mordercą i nic nie mogę na to poradzić.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Kto przełożył moją walizkę?

To pytanie podgryza mnie jak szczur, kiedy powoli wracam po schodach. Gdy wchodzę do salonu, widzę, że Erin skuliła się pod kołdrą. Oczy ma zamknięte, oddycha cicho i rytmicznie. Ale wydaje mi się – i nie wiem, czy nie popadam tu w paranoję – że leży w trochę sztuczny sposób. Czy ktokolwiek naprawdę wygląda tak spokojnie, kiedy śpi?

– Erin – szepczę bardzo cicho. Porusza się, jej powieki lekko mrugają, ale wygląda na to, że się nie obudziła.

Siadam na rozłożonej kanapie obok niej i próbuję się



zastanowić.

*Jestem* stuprocentowo pewna co do walizki. A przynajmniej tak mi się wydaje. Ale nie zaglądałam do tej szafki od niedzieli. Każdy mógł przełożyć moją walizkę. Nawet jeśli ją przesunął, to nie znaczy, że zajrzał pod podszewkę. To mógł być Elliot – zbierający informacje, zanim poszedł ze swoimi podejrzeniami do Tophera. To mogło być też coś zupełnie niewinnego.

Mogłabym zabić Erin. Nie o to chodzi. Mogłabym przyłożyć jej poduszkę do twarzy, tak jak to zrobiłam z Ani, ale w tym problem: jeśli zabiję Erin, to wszyscy się dowiedzą, że to ja. W promieniu kilku kilometrów nie ma tu nikogo innego. Nie mam nadziei na to, że zdołałabym kogokolwiek przekonać, że włamał się tu jakiś nieznany intruz i udusił ją we śnie.

Zabiłam Elliota i Ani, bo musiałam. Działałam szybko, bez namysłu, wykorzystując to, co miałam pod ręką. Z Elliotem były to tabletki nasenne Evy, pokruszone do kubka z czarną kawą. Niczego nie podejrzewał, kiedy zaproponowałam mu dolewkę. Pewnie zawsze byłam dla niego tylko kimś takim: osobą, która przynosi kawę.

Przy Ani była to jej własna poduszka, przyciśnięta do nosa i ust. Umarła po cichu, jej opór został stłumiony przez owiniętą wokół niej grubą kołdrę. Czułam się... Cóż, chciałabym powiedzieć, że miałam wyrzuty sumienia wobec nich obojga, ale prawda jest taka, że wcale nie. Elliot sam się prosił tym swoim węszeniem i podglądaniem. Było mi szkoda Ani. Ale znalazła się w złym miejscu w złym czasie. To, co zobaczyłam w jej oczach, kiedy stała skamieniała w moich drzwiach tamtego wieczoru, sprawiło, że nagle zdałam sobie sprawę, co zobaczyła. Czego *nie* zobaczyła. Puste, szklane gondole wyciągu wracające do dolnej stacji, podczas gdy w jednej z nich powinnam być ja.

Zrozumiała, co to oznaczało. Zobaczyłam to od razu

w chwili, kiedy nasze spojrzenia się spotkały, a jej oczy wypełnił nagły strach. Pobiegła do swojego pokoju, zamknęła za sobą drzwi. Pewnie czuła się bezpieczna. Nie wiedziała, że mam zapasowy klucz.

Ale nie miałam wyrzutów sumienia nawet wobec Ani, bo to nie jest moja wina; żadna z tych rzeczy nie jest moją winą. Utknęłam w czymś, na co nie mogłam nic poradzić, w osobistej grze o tron Tophera i Evy – nie byłam nawet jednym z głównych graczy, tylko pionkiem Evy, którym mogła zagrać przeciw Topherowi w odpowiednim momencie, moja własna przeszłość obróciła się przeciw mnie.

Bo chodzi o to, że ja jestem *dobrym* człowiekiem. Nigdy tego wszystkiego nie chciałam. Na pewno nie chcę nikogo zabijać, jeśli nie muszę. Jeżeli Erin nie zajrzała do tej walizki, jeżeli się nie domyśliła, no, to ja nie chcę jej skrzywdzić.

Nie muszę działać szybko. Potrzebuję czasu, żeby się nad tym zastanowić. Nie ma szans, żeby pomoc dotarła tu przed porankiem. Co daje mi moment, żeby się zastanowić, czy ona coś wie, a jeśli tak, to co mogę na to poradzić. To musiałyby być wypadek albo musiałyby na taki wyglądać. Może kolejne poślizgnięcie na schodach? Zatrucie czadem? Chociaż nie jestem pewna, jak miałabym to zorganizować.

Powoli zdejmuję okulary i kładę się, ale nie zamykam oczu. Leżę przodem do Erin, obserwuję ją. Patrzę, jak śpi.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Liz mnie obserwuje. Nie śmiem otworzyć szerzej oczu, ale pod pretekstem wiercenia się przez sen przesuwam trochę głowę i mrugam powiekami, a wtedy ją widzę, jak leży i bez mrugania patrzy w ciemność.

Bez okularów wygląda zupełnie inaczej. Nie ma już tego sowego, nieprzeniknionego spojrzenia i wydaje się młodsza, ale też jednocześnie w jej pustym, niezachwianym wzroku jest coś jeszcze bardziej niepokojącego. Kiedy zamykam oczy i układam się z powrotem z udawanym chrapnięciem, czuję, jak jej oczy wwiercają się we mnie.

Strach mnie paraliżuje. Co mam zrobić?

Staram się zmusić do wolnego oddechu – żeby to rozsądnie przemyśleć. Czy jestem w niebezpieczeństwie? Bezpośrednim zagrożeniu? Nie wiem. Jeśli mam rację, to Liz zabiła trzy osoby – ale nie wydaje mi się, żeby zabijała dla przyjemności. Nadal nie mam pojęcia, dlaczego Eva musiała umrzeć, ale Ani i Elliot zginęli tylko dlatego, że mieli konkretne informacje na temat winy Liz. Jeśli jestem w stanie nie obnosić się z moimi podejrzeniami do rana, to może nic mi nie będzie.

Zaciskam oczy i myślę o telefonie Elliota podłączonym do baterii na górze, z SMS-em w skrzynce nadawczej, który napisałam do Danny'ego, czekającym na skrawek połączenia. „SOS. Proszę, wyślij pomoc. TO LIZ”. Wiadomość, którą stworzyłam trzęsącymi się palcami, próbując manewrować pomiędzy komunikatem, który Danny będzie w stanie zrozumieć, takim, który będzie jakąś wskazówką, jeśli coś się stanie przed rankiem, oraz takim, który mogłabym wiarygodnie wyjaśnić, gdyby Liz się na to natknęła.

Nie *wydaje mi się*, żeby miała dostęp do telefonu Elliota. Ale nie wiem. W tym problem. Niczego nie wiem. Robiła coś tam na górze, kiedy twierdziła, że poszła do toalety. Dużo za dużo czasu spędziła w swoim pokoju i słyszałam, jak spaceruje, otwierając i zamykając drzwi. Weszła do łazienki i od razu spuściła wodę, nie zamknąwszy się w środku; z tego, co słyszałam, nie zdążyła choćby usiąść na toalecie.

Ona coś wie. Coś podejrzewa. Tylko nie mam pojęcia co. Wiem jedynie tyle, że Ani została zabita we śnie, więc nie odważę się przysnąć.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snooserwujący: 1

Erin wie.

Na początku nie byłam pewna, ale kiedy czas się ciągnie i coraz bardziej czuję, że ta noc nigdy się nie skończy, jestem tego pewna.

Niezależnie od tego, co początkowo zakładałam, ona *nie* śpi. Udaje, że śpi. Leży z zamkniętymi oczyma i od czasu do czasu, kiedy wydaje jej się, że nie patrzę, leciutko rozchyła powieki, żeby sprawdzić, czy nadal nie zasnęłam. Widzę błysk księżycowego światła między jej rzęsami, a potem znowu je zaciska i sztucznie cicho pochrapuje.

To takie niesprawiedliwe. *Boże*, to takie niesprawiedliwe!

Nigdy o to nie prosiłam. Nigdy niczego z tego nie pragnęłam. Chciałam tylko, żeby zostawili mnie *samą*.

Tylko tego zawsze chciałam. Tylko tego chciałam od dziewczyn w szkole, które zachowywały się jak suki, drażniły się ze mną i mnie prześladowały.

Tylko tego chciałam na uczelni, gdzie ludzie zadręczali mnie prośbami o to, żebym dołączyła do klubów i chodziła na spotkania studentów pierwszego roku.

Tylko tego chciałam w Snoopie. I na początku tak było – dali mi spokój, i wiecie co? To było w porządku!

A potem nie było. Wszystko się rozpadło. I dlatego tak bardzo ich nienawidzę.

Nienawidzę Tophera za to, że mnie w to wciągnął, obciążył mnie tymi akcjami jak kamieniem młyńskim u szyi.

Nienawidzę Evy za to, że mieszała, mieszała i mieszała, kiedy powinna była dać spokój. Nienawidziłam jej „nic ci nie jest?” oraz „czy mogę coś dla ciebie zrobić”, a także „naprawimy to, Liz, przysięgam”.

Nienawidzę Elliota za to, że wtrącał się, węszył i był ciut za bystry.

Nienawidzę Rika po prostu... po prostu za to, że jest jednym z *nich*. Taki uprzywilejowany. Taki sprytny. Pływa z rekinami i nigdy nie dzieje mu się krzywda, bo jest jednym z *nich*. Bo jest mężczyzną, chłopakiem z prywatnej szkoły, a do tego jest tak bardzo, bardzo czarujący.

A teraz nienawidzę też Erin.

Leży tam i oszukuje, że chrapie, do tego jeszcze na wpół się uśmiecha, a przez cały ten czas łączyła elementy układanki...

Tylko że jest za późno. Co mogę zrobić? Gdybym tylko była tego pewna wcześniej – nadal mam w kieszeni osiem tabletek nasennych Evy. Byłoby możliwe – nie łatwe, ale możliwe – żeby wrzucić je do gulaszu. Mogłabym zamienić nasze talerze,

kiedy Erin nie patrzyła. Teraz już za późno. Choć może już jej to przyszło do głowy. Może tak naprawdę to właśnie robiła w toalecie, kiedy zeszło jej tak długo i wróciła z tym ewidentnym kłamstwem o zatruciu pokarmowym. Może wywoływała u siebie wymioty.

Czy mogłabym upozorować włamanie? Może mogłabym udawać, że wrócił po nas Inigo? To mogłoby zadziałać – ale nie gdyby sam Inigo miał jakieś alibi. A problem w tym, że jeżeli Inigo *ma* alibi, a Erin mnie *nie* podejrzewa, to ujawniłabym się bez powodu. Strzeliłabym sobie w stopę.

Muszę być bardzo, bardzo ostrożna. Nie mogę sobie pozwolić na błąd.

Ale muszę wiedzieć. Muszę się dowiedzieć, co ona wie.

– Erin – szepczę bardzo cicho. Odpowiada mi zupełna cisza, ale nie jest to cisza kogoś, kto głęboko śpi. Bardziej cisza kogoś, kto nad czymś myśli.

W końcu słychać westchnienie i Erin mówi:

– Tak?

– Jeszcze nie śpisz?

– Nie mogę zasnąć. Cały czas myślę o innych, zastanawiam się, gdzie są.

To mogłaby być prawda. Ale jednak myślę o tej małej szparce jej oka zerkającego na mnie w ciemności. Nie wydaje mi się, że tak jest. Nie sądzę, żeby właśnie to nie dawało jej spać. Podchwytuję temat.

– Martwisz się o Danny'ego?

Następuje kolejna długa przerwa. Chyba próbuje wymyślić, co powiedzieć. Próbuje wymyślić, czy powinna udawać, że podejrzewa kogoś innego.

– Trochę – odpowiada w końcu. – Wiesz, miałam nadzieję, że wrócą wieczorem.

Już mam coś powiedzieć, nie jestem pewna co, jakieś bzdury o tym, że Danny'emu na pewno nic nie jest.

Tylko że wtedy, w ciszy, podczas której szukam słów, rozlega się podwójne piknięcie. Bardzo ciche, dochodzące z góry, ale zdecydowanie nie do pomylenia z niczym innym.

Jest to dźwięk, który sprawia, że mój puls zaczyna galopować, zanim jeszcze zdaję sobie sprawę, co to takiego.

To dźwięk przychodzącego SMS-a.



## **ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Od razu widzę, że Liz usłyszała. Całe jej ciało tężeje zaalarmowane, kiedy podnosi się na łokciu, uważnie nasłuchując.

*Kurwa.*

– Co to było? – pyta.

Serce mi wali. Cholernie dobrze wiem, co to było. To był Danny odpowiadający na wiadomość Elliota. Musi tak być. Telefon Elliota jest jedynym w całym domu, który jest choć trochę naładowany. Musiał się pojawić jakiś sygnał zasięgu – taki sam strzępek jak ten, który pozwolił na przesłanie powiadomienia ze Snoopa.

Ale staram się przyjąć neutralny wyraz twarzy.

– Nie mam pojęcia. Chyba brzmiało jak telefon, prawda? Ale to niemożliwe.

Liz się we mnie wpatruje, jakby próbowała zrozumieć, co się we mnie kryje. O mój Boże, ona *wie*. Na pewno wie. Nie jest tylko wystarczająco pewna, żeby jakoś zareagować na swoje podejrzenia. Muszę być bardzo, bardzo ostrożna.

– Brzmi, jakby dochodził z góry – mówi Liz. Sięga po swoje

okulary i zestawia jedną nogę z łóżka.

– Tak... – odpowiadam powoli, moje myśli galopują. Za żadne skarby nie mogę jej pozwolić wejść do pokoju Elliota. Jeśli zobaczy tę wiadomość, będę miała poważne kłopoty. Bardzo trudno będzie wyjaśnić SMS ode mnie. – Tak, to prawda.

Czy ona *może* mnie zabić? Nie wiem. Jej kolano jest tak samo skręcone jak moja kostka. Czy zdołałaby mnie prześcignąć, kulejąc, gdybym próbowała uciec? Usiłuję wymyślić jakiś plan. Czy mogłabym ją jakoś wywabić na zewnątrz? Zamknąć drzwi na klucz? Ale wtedy myślę o słowach Danny'ego, o pojawieniu się Iniga, który miałby błagać, żebym go wpuściła, i wiem, że miał rację. Nie potrafiłabym stać i patrzeć, jak inny człowiek zamarza na śmierć kilka centymetrów ode mnie, podczas gdy dzieliłaby nas tylko szyba. Po prostu bym nie mogła. Nawet gdyby to była Liz.

Ale nie mogę też jej pozwolić znaleźć tej wiadomości.

Moje myśli galopują, próbuję sobie przypomnieć, co widziałam na ekranie blokady Elliota, zanim usunęłam powiadomienia. Niektórzy mają tylko nazwę nadawcy albo tylko „masz wiadomość”. Jak jest u Elliota? Dlaczego tego nie *sprawdziłam*, zanim odblokowałam telefon i usunęłam powiadomienia? Oczywiście, jeżeli Liz przyjdzie do głowy, by użyć martwego ciała Elliota, żeby odblokować telefon, jak ja to zrobiłam, nic z tego nie ma znaczenia.

– Brzmi jakby z pokoju Mirandy – mówię powoli, próbując wymyślić, jak zmylić jej trop.

– Tak myślisz? – odpowiada Liz. Twarz ma sceptyczną. – Wydawało mi się, że brzmi bardziej jak z pokoju Elliota. To byłoby w jego stylu, żeby mieć jakąś super mocną baterię do ładowania.

Ściska mnie w żołądku. Oczywiście. Oczywiście, że ma

rację. Ona *zna* tych ludzi. A teraz zdaję sobie sprawę, że jestem w pułapce. Nie mogę zasugerować, żebyśmy się rozdzieliły, żebym *ja* sprawdziła w pokoju Elliota, skoro już sama powiedziałam, że moim zdaniem dźwięk dochodzi z pokoju Mirandy. Będę musiała przystać na jej sugestię.

– Czy powinniśmy... pójść sprawdzić? – Staram się wyglądać na pełną wątpliwości. – Czy to nie będzie brak szacunku? Może powinniśmy najpierw wykluczyć pozostałe pokoje?

Liz zestawia drugą nogę z łóżka. Robi to zdecydowanie.

– Moim zdaniem ważniejsze, żebyśmy dostały się do tego telefonu, póki jeszcze ma zasięg – odpowiada rozsądnie, a ja nie potrafię jej zaprzeczyć, bo po prostu ma rację. Sama bym tak powiedziała, gdybym nie wysłała tego cholernego SMS-a. – Zrozumiem, jeśli nie chcesz pójść – dodaje.

Waham się. To kuszące. Ale nie mogę jej pozwolić na to, żeby poszła sama. To byłoby gorsze. Może jest jakiś sposób, żebym dostała się do tego telefonu przed nią i usunęła odpowiedź Danny'ego.

– Oczywiście – odpowiadam, jakbym zbierała się, żeby zrobić coś koniecznego. – Oczywiście, masz rację, po prostu jestem przeczulona. Ważniejsze jest, żeby się skomunikować. W każdym razie drzwi będą zamknięte. Potrzebowałabyś mojego klucza.

– Oczywiście – powtarza po mnie i przez sekundę, tylko przez sekundę, jej dłoń wędruje w stronę kieszeni, gdzie musiał być schowany zaginiony służbowy klucz. Jest to zupełnie mimowolny gest, którego nie zauważyłabym, gdybym nie obserwowała jej każdego kroku. Spostrzega się, nim ręka trafi do kieszeni, więc wygląda to tylko, jakby poprawiała sobie kombinezon. Ale ja wiem, o czym myślała.

Kiedy idziemy na górę, mam ostre, przeszywające poczucie *déjà vu*, tyle razy wspinaliśmy się po tych schodach za dnia

lub w ciemności, żeby dokonać jakiegoś przerażającego odkrycia. Tylko tym razem ja wiem, co nas czeka na górze, i to ja boję się ujawnienia.

Moje serce wali jak oszalałe, kiedy zbliżamy się do drzwi Elliota, i kiedy sięgam do kieszeni po swój klucz, widzę, że ręka mi się trzęsie.

– Wszystko w porządku? – pyta Liz. Włożyła z powrotem okulary, które połyskują w ciemności. – Nie musisz wchodzić, jeśli nie chcesz.

– Nic mi nie jest – odpowiadam przez zaciśnięte zęby. – To z zimna.

A potem przekręcam klucz w zamku i już jesteśmy w pokoju Elliota; odór śmierci stał się jakoś jeszcze gorszy niż wcześniej, chociaż tak na logikę wiem, że to niemożliwe, nie w ciągu tych paru godzin od mojej ostatniej wizyty tutaj.

Liz się krztusi i przykłada dłoń do ust, a jej reakcja daje mi wymówkę.

Powerbank leży koło biurka, nie widać go od strony drzwi. Gdybym zdołała skupić jej uwagę na przeciwnej stronie pokoju...

– Zapach jest okropny – mówię. – Jeśli chcesz się skupić na stronie pokoju z łóżkiem, to ja się mogę zająć biurkiem.

Kiwa głową i idzie na drugą stronę pokoju. Ja jestem zajęta wykonywaniem bezsensownych ruchów, otwieraniem szuflad, udawaniem, że szukam telefonu, który – jak dobrze wiem – jest poza zasięgiem wzroku, kiedy coś słyszę.

I wtedy...

– Erin.

Podnoszę wzrok, patrzę w stronę łóżka, ale nic tam nie ma. Poszła za mną. I znalazła telefon.

Moje serce zaczyna bić tak głośno, że jestem pewna, iż Liz zdoła je usłyszeć.

„Uciekaj, uciekaj, uciekaj”, krzyczy głos w mojej głowie. Ale

nie robię tego. Stoję nieruchomo. Może nadal jestem w stanie się z tego jakoś wytłumaczyć. Co tam jest napisane? Co tam jest *napisane*?

Żałuję, że nie widzę ekranu blokady, ale nie jestem w stanie go zobaczyć. Liz trzyma telefon w dłoni, przechyla go w swoją stronę, tak że widzę tylko światło z ekranu odbijające się w jej okularach.

– Ten dźwięk... – mówi, bardzo powoli. Patrzy na mnie, jej zmarszczone brwi stykają się pomiędzy szklami okularów. – To *był* SMS. I to do ciebie.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Zerkam na ekran, a potem na pozbawioną wyrazu twarz Erin.

To nie ma sensu. Czy ma?

„Wiadomości:” widać na ekranie blokady, a w małym okienku podglądu wyświetla się pierwsza linijka SMS-a. „Kurwa. Erin, czy to ty?”.

Erin patrzy na mnie jak zwierzę w potrzasku.

Telefon Elliota odblokowuje się kciukiem. Czyli mój kolejny krok jest bardzo prosty.

Sięgam i chwytam jego zimną, ciężką dłoń.

– Nie! – krzyczy Erin i sięga po telefon, ale jest już za późno.

Otworzyłam.

„SOS” czytam, czując, jak wzbiera we mnie furia, a policzki robią się gorące. „Proszę, wyślij pomoc. TO LIZ”.

Wpatruję się w Erin, patrzę jej prosto w oczy, czuję, jak szczęka opada mi w szoku po tej zdradzie.

Co za suka. Totalna suka.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Widzę, jak twarz Liz się zmienia, kiedy to czyta, i natychmiast wiem, że nie ma szans, żebym zdołała się z tego wytłumaczyć.

Jej twarz bieleje, tężeje zupełnie, ale nie wydaje mi się, żeby Liz paraliżował strach... Myślę... myślę, że to może być coś innego. Myślę, że to może być złość.

– Nie rozumiesz – mówię słabo, ale głos mi się łamie i wiem, że to nie ma sensu. Nie wiem, jak w ogóle mogłam pomyśleć, że ta wiadomość była dwuznaczna. Patrząc na twarz Liz, widzę, że można to zinterpretować tylko w jeden sposób.

– Wiesz – mówi, a jej głos jest przerażająco spokojny.



Chcę, żeby krzyczała i wrzeszczała – *wszystko* byłoby lepsze od tego lodowatego opanowania.

Ale jej słowa dają jakąś ulgę, bo teraz mogę przestać udawać. Mogę zaprzestać tego koszmarnego tańca „czy ona wie, że ja wiem, że ona wie” i po prostu zmierzyć się z prawdą.

– Tak, wiem – odpowiadam cicho. A potem robię krok wstecz i opadam na łóżko Elliota, chowam twarz w dłoniach. Częściowo dlatego, że strasznie boli mnie kostka i z tego bólu zaczyna mi się robić niedobrze, a częściowo dlatego, że nogi tak mi się trzęsą, iż nie mogę już na nich ustać.

Ona wciąż tkwi w miejscu, patrząc na mnie, twarz ma bez wyrazu, nie jestem w stanie nic z niej odczytać za tymi wielkimi okularami. Światło z telefonu nadaje jej twarzy upiorny blask od dołu. Za nią, rozciągnięty na biurku, leży Elliot – przerażające przypomnienie tego, do czego się posunęła, żeby ochronić swoją tajemnicę. Tajemnicę, którą teraz znam. O Boże, co ja zrobiłam? Danny, gdzie ty jesteś?

– Boże, jak on *śmierdzi* – mówi w końcu, krzywiąc się. Strzela palcami, „klik, klik, klik”, ale nie brzmi już nerwowo. Bardziej jakby rozgrzewała się przed walką. – Wyjdźmy stąd. Chodźmy na dół i porozmawiajmy.

Jak we śnie – a może jak w koszmarze – wychodzę za nią z pokoju. Przed sobą trzyma telefon, jak świecę, i oświetla nim korytarz, a kiedy stajemy przy schodach, odzywa się:

– Ty pierwsza.

Waham się.

Nie chcę jej złościć – ale jednocześnie nie ma mowy, żebym zeszła tymi śliskimi, niebezpiecznymi schodami, mając ją za plecami. Po prostu nie.

Liz widzi moje wahanie i śmieje się wymuszenie.

– Okej, nie dziwię ci się. Ja pójdę pierwsza. Ale zachowaj odstęp, okej? Też nie chcę, żebyś mnie zepchnęła ze schodów.

Kiwam głową. Nie mam nic przeciwko utrzymywaniu

dystansu. To by było dla niej niemal zbyt łatwe, gdyby mogła chwycić mnie za kostkę, idąc przede mną, podobnie jak dla mnie kopnąć ją w tyłek.

Boże, to jest surrealistyczne.

Patrzę, jak ostrożnie schodzi po schodach, trzymając się poręczy, a telefon wskazuje jej drogę niczym błady błędny ognek.

Na dole odsuwa się od podnóża schodów i wrzuca kolejne polano do kominka, robiąc duży płomień, który swoim blaskiem oświetla pokój, a ja schodzę szybko na dół, póki stoi odwrócona do mnie plecami; serce bije mi szybko, dopóki nie znajdę się na stabilnym gruncie.

Jestem sama z morderczynią. Jestem sama z *morderczynią*. Może jeśli będę sobie powtarzać te słowa, zacznę czuć, że to się dzieje naprawdę?

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snooserwujący: 1

Do pewnego stopnia czuję ulgę, że już wszystko wiadomo. Wiedziałam, że coś jest nie tak, a zawsze nienawidziłam czytania między wierszami, domyślania się, prób analizowania każdego zmarszczenia brwi czy pustego spojrzenia albo pauzy, która może coś oznaczać, a może nie oznaczać niczego.

Teraz obie wiemy, na czym stoimy. Co daje ulgę. Ale także tworzy problem. Bo lubiłam Erin. Nie, źle. Nie powinnam używać czasu przeszłego. Jeszcze nie.

Lubię ją. Naprawdę ją lubię. Nie chcę tego robić. Ale zachowała się bardzo, *bardzo* głupio, wysyłając tę wiadomość, a teraz nie mam wyboru. Serio, zmusiła mnie do tego. Jeśli ktoś tu jest winny, to *ona*.

Znowu wzbiera we mnie poczucie niesprawiedliwości. To takie *niesprawiedliwe*.

– Wiesz, wcale tego wszystkiego nie chciałam – mówię do niej, kiedy opada na jeden z foteli i patrzy w płomienie. Trzęsie się. Nie jestem pewna, czy to z zimna, czy z szoku.

– Co?

Podnosi wzrok i czuję, jak gotuje się we mnie złość, ale ją

w sobie uciszam. Czy ona w ogóle mnie słucha?

– *Powiedziałam, że nigdy tego nie chciałam.* – Opadam na fotel naprzeciw niej. Wpatruję się w ogień, czuję jego ciepło na swojej twarzy. – Nie zabiłabym nikogo z nich, gdybym mogła temu zapobiec. *Ja też* jestem tu w równym stopniu ofiarą.

Mruga – i przez minutę wygląda, jakby chciała skomentować, ale potem chyba zmienia zdanie.

– Opowiedz mi o tym – mówi.

Więc to robię.

## **ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Zamyślam się, kiedy Liz przede mną siada, i chwilę mi zajmuje, zanim zdaję sobie sprawę, że ona coś mówi. Jej słowa nie mają sensu – jakieś bzdury, że to *ona* jest prawdziwą ofiarą w tym wszystkim.

Podnoszę wzrok i patrzę w jej oczy, ogarnia mnie ochota, żeby ją uderzyć w twarz, potrząsnąć nią, krzyknąć: „Ty? Chyba sobie żartujesz? A co z Evą? Co z Elliotem? Co z cholerną Ani, która nigdy nie skrzywdziłaby muchy?”.

Ale nie wypowiadam tych słów.

Bo nagle rozumiem, co muszę zrobić.

Muszę ją zabawiać. Muszę sprawić, by mówiła na tyle długo, by Danny zdążył tu wrócić ze wsparciem. On robi wszystko, co zdoła, żeby mi pomóc. Nie wiem, która jest godzina, ale musi być sporo po północy. Jeśli tylko zdołam ją dość długo ciągnąć za język, może uda mi się to przeżyć. Może nawet będę mogła zdobyć dowody wszystkich jej morderstw.

Jestem odporna, Liz tego o mnie nie wie. Widzi wrażliwą, pretensjonalną dziewczynę z takiego samego środowiska jak Topher i Eva, kogoś, kto nigdy nie musiał pracować na swoje

utrzymanie ani walczyć o życie.

Ale to nie jest prawda. Nie w moim przypadku. Mimo mojego rodzowego nazwiska *nie* dorastałam w dobrobycie, nie w takim stopniu jak Topher i Eva. Zawsze wiedziałam, że nie jestem najlepsza i muszę walczyć o swoje. Wiem, jak to jest utrzymywać się ze sprzątania po innych ludziach.

Ale co więcej, czego Liz nigdy nie zrozumie, *nie może* nigdy zrozumieć, chyba że znajdzie się w moim położeniu: spojrzałam już raz śmierci w oczy, a ona odeszła.

Mogę to zrobić jeszcze raz.

– Opowiedz mi o tym – proszę. Coś mnie ściska w gardle, a głos mi drży z wysiłku, bo staram się, by brzmiał spokojnie, podczas gdy ja wcale taka nie jestem. Ale Liz zdaje się tego nie zauważać. Zamiast tego się uśmiecha. To niewiarygodne, nieprawdopodobne, ona się uśmiecha.

I zaczyna mówić.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snooserwujący: 1

– Nie masz pojęcia, jak to było na początku Snoopa – mówię. Łatwiej mi nie patrzeć na Erin, kiedy jej o tym opowiadam, więc znowu odwracam wzrok do ognia, wspominając tamten pierwszy dzień: jak otworzyłam drzwi biura i zobaczyłam ich wszystkich, leniących się w środku, śmiejących się, przekomarzających bez żadnego wysiłku, do bólu fajnych. – Tak jakbym weszła do innego świata. Jakiegoś prosto z telewizji, gdzie ludzie zawsze są szczupli, piękni i błyskotliwi. Jakby innego gatunku, a ja tak bardzo chciałam być taka jak oni. Szkoła... szkoła była taka straszna. Nie potrafię tego wyjaśnić. Widziałam, że byłam inna niż wszystkie pozostałe dziewczyny z klasy, wiedziałam, że wszystkie się ze mnie śmiały. Ale z jakiegoś powodu myślałam, że kiedy zacznę prawdziwe życie, to będzie inaczej. Myślałam, że może byłam po prostu brzydkim kaczątkiem.

Przełykam. Dziwnie mi się uzewnętrzniać, odkrywać tajemnice, które nosiłam w sobie przez trzy lata.

– Ale kiedy dostałam się do Snoopa, zrozumiałam, że to nieprawda, że nie zmienię się którejs nocy magicznie

w łabędzia. Eva i Topher, na swój sposób nawet Elliot i Rik, oni byli zupełnie inni, wyjątkowi i piękni od dnia swoich narodzin. A ja nie. Nigdy nie miałam być łabędziem. Ale musiałam to zaakceptować. *Byłam* dobra w swojej pracy. Naprawdę dobra. Snoop nieźle sobie radził. A mnie na nim zależało, na nich. Więc kiedy firma miała problem z finansami tuż przed wejściem na rynek, zaproponowałam Topherowi i Evie pieniądze po mojej babci. Do dziś pamiętam szok na ich twarzach. – Śmieję się, wspominając minę Tophera po tym, jak odezwałam się na tamtym spotkaniu, tak jakby jego krzesło biurowe przemówiło, proponując rozwiązanie problemów finansowych. – Myślę, że wtedy zdali sobie sprawę, jak mnie nie doceniali, tego, że ta dziewczyna, która przynosiła im kawę i protokołowała zebrania, była prawdziwym człowiekiem, który jest w stanie zrozumieć tabelę zysków i strat oraz zauważyć, gdy firma ma kłopoty. Tak jakby naprawdę po raz pierwszy na mnie *spojrzeli*. Eva zasugerowała, że odda mi pieniądze z procentem, to była korzystna propozycja. Dostałabym prawie dwa razy tyle, zanim wszystko by spłacili. Ale Topher... Topher zaprosił mnie do swojego biura i powiedział mi, że powinnam poprosić o akcje, i upierał się tak długo, aż je dostałam.

Wzdycham.

– Wiedziałam, że to było ryzyko. Rik niezwykle dokładnie to wyjaśnił; bardzo długo nie zobaczyłabym swoich pieniędzy z powrotem, a gdyby firma upadła, straciłabym wszystko. Ale Topher... Nie znasz go dobrze. Jest taki charyzmatyczny. Potrafi sprawić, że czujesz się *najważniejsza*, wierzysz, że on się o ciebie zatroszczy, że twoje pieniądze nie mogą trafić w lepsze ręce. Więc ostatecznie się zgodziłam. Wtedy myślałam, że Topher był hojny. Wydawało mi się, że o mnie dba. – Wpatrywałam się w płomienie, czując, jak ich blask wypala mi źrenice, jakby był w stanie wypalić wspomnienia,



które nosiłam w sobie przez te lata. – Nie wiedziałam wtedy tego, co wiem teraz, czyli że spodziewał się, jak to się ułoży w przypadku braku porozumienia, i myślał, że jestem kimś, kogo w razie kłótni będzie w stanie zmanipulować.

Przerywam. Nagle czuję, że to trudne na sposób, o jakim wcześniej nie myślałam. Dobrze, że to się ze mnie wylało. Erin jest z pewnych względów dobrą słuchaczką, ja się czuję, jakbym rozcinała wrzód – wypuszczam całą truciznę, która się zebrała od tamtego wieczoru. Ale jest to też bolesne. I kiedy mimo bólu przełykam ślinę, mam suche gardło. Dzięki temu wpadam na pewien pomysł.

– Może zrobię nam herbatę? – proponuję.

– Przepraszam? – reaguje Erin. W jej głosie słychać ton niedowierzania. Wcale jej się nie dziwię, to pytanie musiało zabrzmieć surrealistycznie pomiędzy tym wszystkim.

– Herbatę – odpowiadam. – Nie wiem, jak tobie, ale mnie bardzo chce się pić.

– Herbatę? – powtarza Erin, jak ktoś mówiący w obcym języku, a potem śmieje się nerwowo. – Herbatę... było by świetnie. Dokładnie tego właśnie potrzebuję.

Wstajemy i kuśtykamy do kuchni, gdzie znajduję dwa kubki, a Erin przynosi czajnik z kominka i pudełko herbaty.

– Obawiam się, że nie ma mleka – mówi i wkłada czajnik pod kran. – Wczoraj się zepsuło.

Obie stoimy, czekając, aż czajnik się napełni, ale nie słychać lejącej się wody. I wtedy sobie przypominam. Na twarzy Erin widzę nagły przyływ zrozumienia, ona też sobie przypomniała.

– Rury – mówi niepotrzebnie. Kiwam głową.

– Powinniśmy zebrać śnieg? – pytam.

– Chyba... tak? – odpowiada Erin, ale po wahaniu w jej głosie słyszę, że nie chce wychodzić na zewnątrz. Nie powiedziałabym, że mam jej to za złe. Ja też za bardzo nie

chcę wychodzić. Obie wiemy, że wyjście z domku dałoby drugiej osobie szansę na zamknięcie się od środka, a osoba na zewnątrz prawdopodobnie zamarzlaby na śmierć. Ale śnieg leży pod drzwiami wejściowymi, więc jeśli zrobimy to dobrze, żadna z nas nie będzie musiała wychodzić.

– Jeżeli otworzysz drzwi – mówię – i staniesz tam z czajnikiem, ja mogę zebrać kawałki śniegu z tej zasy za drzwiami.

Kiwa głową, a po jej minie widzę, że jest wdzięczna, iż wzięłam na siebie to trudniejsze zadanie. Śnieg leży tak wysoko, że trzeba wspiąć się na zaspę, żeby wyjść z domu, więc jest to raczej nieprawdopodobne, by ktoś zdołał odepchnąć kogoś od drzwi, jednak nadal możliwe.

– Dzięki – odpowiadam i idziemy razem do foyer, gdzie Erin otwiera wygięte drzwi wejściowe. Zaczynam kopać w twarde ubitym śniegu łyżką, odskrobując kawałki, a potem wrzucam je do czajnika trzymanego przez Erin. W końcu obie trzęsiemy się z zimna, ale czajnik jest pełen, więc zamykamy drzwi i wracamy do salonu oraz płonącego ognia, gdzie Erin ustawia czajnik na brzegu i obie grzejemy sobie dłonie przy szkle.

– Mówiłaś... – podsuwa mi, kiedy czajnik zaczyna syczeć i wzdychać – o akcjach? – Jej słowa przenoszą mnie z powrotem do naszej obecnej sytuacji. Obracam w palcach puste opakowanie po tabletkach nasennych. Myślę o tym, co muszę zrobić.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Szukanie czajnika, zbieranie śniegu, wszystkie te przyziemne czynności związane z parzeniem herbaty pozwalają mi na chwilę odsunąć całą tę sytuację na dalszy plan, ale kiedy ogarnia nas cisza, czuję, jak strach zaczyna mi ciążyć z tyłu, na karku. Liz milczy, jej twarz jest bez wyrazu, nie da się z niej nic wyczytać, ręce ma wyciągnięte do ognia, a jej milczenie jest jakoś bardziej przerażające niż mowa. Próbuję się domyślić, co jej chodzi po głowie – czy obmyśla sposób, jak się z tego wykręcić? Czy też myśli o tym, co zrobiła?

Czajnik cicho syczy. Liz po prostu siedzi, patrzy na czajnik, jedną rękę wyciąga w stronę ciepła, drugą trzyma w kieszeni,

a ja nagle nie mogę już tego dłużej znieść.

– Na czym skończyłaś? – wyrzucam z siebie.

Liz podnosi wzrok. Spogląda na mnie oceniająco, nie podoba mi się to. Chrupie jakimś kawałkiem plastiku w kieszeni. W ciszy ten dźwięk jest tak głośny, że jeśli się nie odezwie, to chyba zacznę krzyczeć.

A potem przełyka ślinę i wraca do swojej opowieści.

– Akcje. Tak. No więc tak, więc tak to wyglądało, miałam dwadzieścia dwa lata i udziały w tej dobrze się zapowiadającej aplikacji. A Toph i Eva zaczęli mnie traktować bardziej jak człowieka, odkąd zainwestowałam w ich firmę. Mam tylko dwa procent. Nawet Elliot i Rik mnie przyćmiewają. Ale *posiadam* akcje. A pewnego wieczoru, kilka dni po podpisaniu tych dokumentów, była impreza w takim szpanerskim londyńskim barze, nie pamiętam dlaczego, to chyba było po tym, jak nawiązali współpracę z jakąś firmą streamingową, jakieś *quid pro quo*.

Przerywa. Zmierzają do czegoś, widzę to. Nie wiem, do czego konkretnego, ale mam poczucie, jakby Liz się do czegoś zbierała, zmuszając się do opowiedzenia części historii, której nie chce z siebie wyrzucić.

– Pokłócili się o to, czy powinnam tam iść. Pamiętam, jak Rik powiedział: „Czy waszym zdaniem powinniśmy prezentować taki wizerunek?”. Oczywiście nie wiedział, że słuchałam. Byli w biurze Ewy, a ja ich słyszałam przez interkom. A Eva powiedziała: „Do jasnej cholery, Rik, to nie jest fizyka kwantowa, mogę ją doprowadzić do jakiegoś przyzwoitego stanu. A poza tym, dzięki Tophowi, na papierze ona jest jedną z nas, więc równie dobrze może zacząć wyglądać”. Potem przerwała i dodała: „Poza tym Norland lubi takie w jej stylu. Lubi młode”. Więc zdawałam sobie sprawę, co się dzieje, kiedy Eva przyszła do mojego domu przed tą imprezą i zaproponowała, że pożycz mi sukienkę, bo mi się

nie przelewa po tym, jak władowałam wszystkie pieniądze w Snoopa. Kiedy to powiedziała, brzmiało to najzupełniej sensownie, nawet miło, ale ja znałam prawdę.

Bierze wdech.

– No wiesz, widziałaś Evę. Wiesz, jaka ona jest. W Londynie są prawdopodobnie trzy inne kobiety, które byłyby w stanie wcisnąć się w jej dzinsy. Ale coś jakoś nam się udało znaleźć, Eva zrobiła mi makijaż, a kiedy dotarliśmy do baru i zostaliśmy przedstawione zarządowi tej drugiej firmy... sama nie wiem... naprawdę zaczęłam się czuć jak prawdziwa snooperka. Eva przedstawiła mnie nie jako swoją asystentkę, ale jako „Liz, która jest mniejszościową akcjonariuszką”, a oni rozmawiali ze mną z szacunkiem i z biegiem wieczoru rzeczywiście zaczęłam wierzyć, że to jest to, to było życie, na które czekałam. Zwykle nie piję dużo, ale tamtego wieczoru piłam. Wypiłam dużo... dużo drinków i...

Przerywa. Czajnik syczy, bulgocze, a ona podnosi go ostrożnie za uchwyt i napełnia nam kubki, po czym dorzuca do nich torebki herbaty. Biorę ten, który mi podaje, zaglądam do niego ukradkiem. Nie chcę budzić jej podejrzeń, ale z uwagi na to, jak zmarł Elliot, byłoby głupio z mojej strony, gdybym nie sprawdziła. Stopiony śnieg jest trochę mętny, a herbata zaczyna wytrącać się z torebki i zabarwiać wrzątek, ale nadal widzę dno kubka i na pewno nic tam nie ma. W każdym razie żadnych tabletek.

– I? – zachęcam ją, bardzo łagodnie, a kiedy odwraca wzrok, dodaję: – Przepraszam, nie chcę wsadzać nosa w nie swoje sprawy. Jeśli to jest zbyt bolesne...

– Nie – odpowiada pospiesznie. – Naprawdę, w porządku. Ja... To mi w jakiś dziwny sposób pomaga, kiedy o tym mówię. Po prostu bardzo dawno o tym nie myślałam. Wszyscy byliśmy bardzo, bardzo pijani. I jakimś sposobem... nie pamiętam jak... skończyło się na tym, że wyszłam z baru z Evą...

z jednym z dyrektorów. Byliśmy tylko we troje. Topher też miał przyjechać, pamiętam to, bo siedział w taksówce, ale w ostatniej chwili się wymigał i poprosił kierowcę, żeby go wysadził. Pojechaliśmy do domu tamtego gościa w Pimlico i, mój Boże, to było wspaniałe... Tam było tak pięknie, ten jego georgiański budynek z wysokimi piętrami, z balkonami wychodzącymi prosto na rzekę... – Zaczęła teraz patrzeć za mnie, jakby widziała coś, czego ja nie dostrzegam. – Zabrał nas na piętro, wyszliśmy na ten balkon, a on nas poczęstował szampanem i przez chwilę rozmawialiśmy, po czym Eva nas przeprosiła i poszła do łazienki.

Przerywa. Ale wydaje mi się, że nie dlatego, iż nie może mówić dalej. Nie do końca. Raczej dlatego, że próbuje przemyśleć, co powiedzieć, *jak* to powiedzieć.

– On próbował mnie wykorzystać – mówi w końcu wprost. – Włożył mi ręce pod ubranie, ja próbowałam go odepchnąć. I ja... ja...

Przerywa, a potem chowa twarz w dłoniach.

– Popchnęłam go. Naprawdę mocno. Zepchnęłam go z tego balkonu.

– O mój Boże – mówię. Tego się w ogóle nie spodziewałam. – Liz... tak mi... tak mi przykro. To...

W głowie wirują mi wnioski, nawet kiedy dukam moje żałośnie niedopasowane próby wyrażenia współczucia.

*Ona zabiła człowieka.*

*Ale to było w obronie własnej.*

Jednak Liz nadal mówi, ignorując mnie, spiesząc się, jakby chciała mieć już za sobą tę część opowieści.

– Załamalam się, kiedy zdałam sobie sprawę, co zrobiłam. A Eva... ona... Ona była wspaniała. Przybiegła, a kiedy zobaczyła, co się stało, nie zadawała żadnych pytań, tylko wydstała nas obie stamtąd, i kiedy ta sprawa trafiła do gazet, została opisana jako nieszczęśliwy wypadek. W jego

organizmie wykryto narkotyki i alkohol, a ludzie chyba założyli, że spadł albo że się sam rzucił. Nikt nigdy w ogóle nie wspomniał, że my z Evą tam byliśmy. To dobitnie mi pokazało, co można dostać dzięki pieniądзом i wpływom.

Odwraca wzrok, a potem pochyla twarz nad herbatą, tak że parują jej okulary.

– Po tym nie mogłam zostać – wyjaśnia bardzo cicho. – Odeszłam ze Snoopa i nigdy o nim nie myślałam. Poszłam do pracy w jakimś zupełnie innym miejscu, w infolinii bankowej. Przerażająco koszmarny epizod mojego życia został zamknięty. Aż do propozycji wykupu. I znów zostałam wciągnięta w to wszystko.

– Bardzo mi przykro – powtarzam, i to szczerze. *Jest mi przykro.* Przykro, że to biedne dziecko zostało wessane w świat, którego nie rozumiało.

Ale nadal nie do końca pojmuję. Została zaatakowana. Próbowwała uciec przed napastnikiem. I nawet jeśli bała się, że sąd w to nie uwierzy, i jestem w stanie zrozumieć ten lęk, to wciąż nie wyjaśnia to, dlaczego Eva musiała umrzeć. Dotrzymała tajemnicy Liz.

I wtedy dociera do mnie przerażająca, piorunująca myśl.

To Topher dał akcje Liz, w milczącym porozumieniu, że ona go poprze, gdyby kiedykolwiek doszło do rozłamu. Zawdzięczała mu wszystko.

Eva natomiast wiedziała o Liz coś, co mogło ją zniszczyć. Ostatecznie wplątałaby się w okropną publiczną rozprawę sądową, a znam już Liz na tyle dobrze, by wiedzieć, że to byłyby dla niej tortury. W najgorszym wypadku mogła by się spodziewać oskarżenia o zabójstwo i więzienia.

Niezależnie od tego, czy to zostało wypowiedziane na głos, czy nie, to Eva była osobą, która ukryła to, co się wydarzyło. O wszystkim wiedziała, pewnie miała dowody. I przez te wszystkie lata musiała przypominać o tym Liz.

Nic dziwnego, że ta ostatnia nigdy nie zdobyła się na odwagę, by powiedzieć, jak zamierzała zagłosować.

Mogła zrobić to tak, żeby zdradzić swojego mentora, człowieka, który ją zatrudnił, ujął się za nią i przede wszystkim załatwił jej akcje.

Albo mogła głosować przeciwko osobie władnej decydować o jej życiu. Osobie, która mogła ją odesłać, by gniła w więzieniu.

Kiedy zdaję sobie z tego sprawę, czuję pokrętny impuls współczucia dla Liz.

Myślę o tej biednej młodej dziewczynie, prosto po studiach, która trafiła na wody zbyt dziwne i niebezpieczne, by się w nich rozeznac. Uświadamiam sobie, że Liz była ofiarą nie jednej koszmarnej sytuacji, ale dwóch. Eva pomogła jej uciec od jednego koszmaru tylko po to, by stworzyć dla niej swój własny – szantaż dziewczyny, której rzekomo pomogła.

Oczywiście Liz postąpiła rozsądnie. Powiedziała Evie, że zagłosuje tak jak ona. Ale co następnym razem? I jeszcze następnym? Jak mogła żyć własnym życiem, wiedząc, że Eva zna ten sekret i może się do niego odwołać, kiedy tylko będzie chciała uzyskać od Liz coś, czego ona nie chciała jej dać?

Nie. Musiała zapewnić sobie bezpieczeństwo na zawsze. Musiała się pozbyć tej osoby, od której to wszystko się zaczęło, jedynej osoby, która znała jej tajemnicę.

Musiała zabić Evę.



**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

– Czyli to tak – mówię w końcu. Przykładam do ust swoją herbatę i przez długi czas udaję, że piję ją wielkimi łykami.

Erin na mnie patrzy, ale nie potrafię powiedzieć, co oznacza jej mina. Wydaje się lekko przerażona – ale to może być współczujące przerażenie tym, co przeszłam. Czy mi wierzy? Nie umiem zdecydować.

„Nie chcesz się napić herbaty?” – chcę spytać, ale nie mogę tego powiedzieć. To by zabrzmiało podejrzanie. Zamiast tego znowu podnoszę kubek do ust z nadzieją, że przekażę jej tę sugestię podświadomie. Ku mojej radości to działa. Erin sięga

po kubek. Widzę, jak pracują jej mięśnie gardła, kiedy przełyka.

– Więc nie miałaś wyboru – mówi cicho, a ja próbuję przybrać taki wyraz twarzy, którego ona się spodziewa. Coś w rodzaju... zboląłego żalu. I to prawda, żałuję tego. Przede wszystkim tej nocy.

– Nigdy tego wszystkiego nie chciałam – odpowiadam. – Czuję się po prostu, jakbym została wrzucona w coś okropnego i przerażającego.

Erin kręci głową, ale nie w taki sposób, jakby mi nie wierzyła. Bardziej jakby potępiała to, co doprowadziło nas do tego miejsca. Zagląda do swojego kubka. Nie widzę zbyt dobrze jej twarzy. To mnie martwi, ale potem bierze kolejny łyk herbaty, a ja zaczynam się czuć bardziej rozluźniona.

Też przykładam swój kubek do ust, żeby nie wyglądać podejrzanie. Uważam, żeby tak naprawdę nie przełknąć ani trochę płynu.

– Domyśliłam się, co zrobiłaś – mówi Erin, stawiając sobie kubek na kolanach, obejmując go dłońmi. Z mojego miejsca widzę, że jest do połowy pusty, a dzięki temu czuję się pewniej. – To było bardzo sprytne. Miałaś taką kurtkę narciarską jak Eva. Spotkałaś ją na szczycie przy wyciągu...

Przerywa i wiem dlaczego. Stara się nie powiedzieć tego, co zrobiłam, tak jakby to miało mnie w jakiś sposób obrazić. Ale w porządku. Muszę żyć z tym, co się stało, nie ma sensu tego unikać.

Kiedy Eva wysiadła, czekałam na szczycie, tuż przy barierce, gdzie wcześniej tego dnia udawałam, że straciłam równowagę i prawie zjechałam w przepaść z Rikiem. Tak naprawdę wcale nie straciłam równowagi. To było celowe, chciałam sprawdzić, czy przepaść jest tak blisko, jak pamiętałam, i czy może barierka została podniesiona od mojej ostatniej wizyty przed dwoma laty.

Nic się nie zmieniło. Było idealnie.

O ironio, bardzo dobrze jeżdżę na nartach. Ale Topher, Rik i reszta chętnie wierzą, że dziewczyna z ogólniaka w Crawley nie potrafi odróżnić jednego końca kijka narciarskiego od drugiego. Tak naprawdę, gdyby chciało im się mnie kiedyś o to spytać, dowiedzieliby się, że kocham jeździć na nartach – od tego pierwszego razu, kiedy pojechałam na szkolną wycieczkę w wieku piętnastu lat. Nigdy wcześniej nie postawiłam nogi na stoku narciarskim, ale pamiętam, jak nauczyciel powiedział z podziwem: „Liz, ty masz wrodzony talent!”.

Tak było. Ogólnie nie jestem wysportowana. Nie wychodzi mi dobrze nic, co wymaga pracy zespołowej albo biegania w kółko. Nie lubiłam mieć czerwonej, spoconej twarzy, kiedy wszystko nieprzyjemnie się trzęsło pod klejącą się do ciała koszulką, a dziewczyny krzyczały na mnie, żebym podała piłkę, nie, nie w ten sposób, rany, Liz! Aż w końcu miałam ochotę uciec i ukryć się przed nimi wszystkimi.

Jednak jazda na nartach była inna. Narty to sport jedno osobowy – a do tego strategiczny. Trzeba szybko myśleć, w ułamku sekundy podejmować decyzje, które mogą ocalić twoje życie lub sturlać cię w dół stromego zbocza z prędkością stu kilometrów na godzinę.

Kocham to.

Udało mi się wrócić w liceum i dwa razy na studiach – na najtańszych wycieczkach, jakie zdołałam zorganizować: autokar do Bułgarii i pobyt w posowieckim betonowym monolicie; Ryanair do Rumunii i własne zakwaterowanie na Air-bnb z ciepłym nawiewem, który pachniał szynką. Ale było warto. Wszystko to było warte zaciskania pasa, oszczędzania oraz długich nocy, które spędziłam wciśnięta w fotele klasy ekonomicznej, oraz toczenia się po niemieckich autostradach w ciemności.

Kiedy pracowałam w Snoopie, zorganizowali firmowy wyjazd

na narty, na którym zabiegali o inwestorów. Oczywiście mnie nie zaprosili. Ale odkąd opuściłam Snoopa, odkąd zarabiałam własne pieniądze, wracałam w Alpy co roku, czasami dwa razy do roku. I zaczęłam bardzo, bardzo dobrze jeździć na nartach. Nie tak dobrze jak Eva, która wybierała się na stok co roku od wczesnego dzieciństwa. Ale prawie. I dwa razy byłam w St. Antoine. A w dodatku bardzo dobrze znam La Sorcière.

Kiedy wysiadła z kolejki, byłam przy barierce. Zawołałam ją, udając, że mam jakiś problem, a kiedy podjechała do mnie, odczekałam, aż znajdzie się obok, pochyli, popatrzy na wiązanie przy jednej z moich nart, a potem popchnęłam ją z całej siły, przewracając ją tyłem na niską barierkę zabezpieczającą.

Barierka podcięła ją na wysokości kolan, tak że przewróciła się jak kręgiel i wylądowała w głębokim, nietkniętym śniegu tuż na skraju urwiska, jej narty załopotwały w powietrzu. Przez chwilę myślałam, że się nie udało. Myślałam, że wyląduje na wąskiej półce śniegu, podpełźnie z powrotem do barierki i spyta mnie, co ja, do cholery, wyprawiam.

Ale potem rozległ się niemal niedosłyszalny dźwięk – jakby westchnienie. Półka śniegu zaczęła się przesuwać i przechylać, na górze pojawiło się pęknięcie. Przez sekundę widziałam, jak Eva, skamieniała ze strachu, wpatruje się we mnie i wyciąga ręce, jakbym miała ją ocalić – a potem cała ta półka się osunęła i już jej nie było.

Odczekałam chwilę, a potem rozpięłam swój kombinezon i wyciągnęłam czerwoną kurtkę, którą miałam pod spodem. Włożyłam ją na swoją niebieską, podciągnęłam w górę szalik i zakryłam twarz goglami. Potem obróciłam swoje narty w kierunku stoku i zaczęłam zjeżdżać La Sorcière.

Skłamałabym, mówiąc, że to nie było trudne. Było. Ta trasa wiję się i skręca, jest pełna stromych zjazdów, przerażająco ciasnych zakrętów oraz pionowych lodowych fragmentów,

gdzie nie da się zrobić nic poza swego rodzaju kontrolowanym upadkiem. Gdybym nie znała dobrze tego stoku, chybaby mnie zabił. Ale nigdy nie jechało mi się lepiej.

Zatrzymałam się w połowie drogi, żeby złapać oddech, i czekałam, aż przestaną mi drżeć nogi; właśnie wtedy zobaczyłam Carla i Ani jadących wysoko w górze gondolą. Spojrzałam w górę, czując się bezpiecznie z wiedzą, że moje gogle są podciągnięte, a czapka opuszczona i że nikt nie będzie w stanie powiedzieć, kto ma na sobie tę wyróżniającą się, szkarłatną narciarską kurtkę. Pomachałam swoim kijkiem, zyskując sobie alibi, a Ani mnie zobaczyła i pomachała mi w odpowiedzi.

Miałam pecha, że dostrzegła też coś innego: puste wagoniki gondoli wracające do doliny. Wagoniki, które powinny wieźć *mnie* do St. Antoine.

Tamtego wieczoru, kiedy przyszła do mojego pokoju, dojrzałam w jej oczach rozpoznanie. Dosłownie widziałam, jak łączy fakty, stojąc w tych drzwiach, jej konsternacja zmieniała się w przerażenie, kiedy się tłumaczyła. Nagle nie chciała już więcej ze mną rozmawiać. Pragnęła uciec – zastanowić się, co zrobić, a ja nie miałam innego pomysłu niż zasłonić jej usta dłonią i zaciągnąć ją do swojego pokoju. Więc pozwoliłam jej odejść.

Wiedziałam, co muszę zrobić. Podziękowałam swojej szczęśliwej gwiazdzie za bezsenność Tiger oraz instynktowi, który pchnął mnie, by zwinąć zapasowy klucz, który Danny zostawił wcześniej tego dnia w drzwiach.

Chociaż właściwie tak naprawdę nie miałam szczęścia. Prawda jest taka, że nie jestem osobą, której sprzyja szczęście. Tak, akurat z Tiger poszło po mojej myśli – ale równie dużo rzeczy obróciło się przeciwko mnie. A ten klucz – to nie było szczęście. To byłam *ja*. Szybka decyzja, która najwyraźniej miała ocalić mi skórę.

Może i nie mam szczęścia. Ale *jestem* dobra w wymyślaniu rozwiązań na poczekaniu. Może dlatego tak bardzo lubię narty. To wymaga tych samych umiejętności, tych samych zakrętów i zwrotów, tej samej ekscytacji i szybko bijącego serca. Tego samego ścisnięcia żołądka, kiedy zdajesz sobie sprawę, że popełniłeś głupi błąd, a potem tego samego wzrostu ekscytacji, kiedy widzisz, że jesteś w stanie się z tego wydostać.

Chociaż było mi głupio z powodu Ani. Tak głupio, jak nie czułam się wobec Elliota. Elliot zasłużył sobie na to, co go spotkało. Niepotrzebnie węszył i wsadzał nos w nie swoje sprawy. To był jego wybór. Ani nie miała żadnego wyboru – znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, zupełnie jak ja. Tragedia. Ale to nie moja wina. Muszę o tym pamiętać. Nic z tego nie jest moją winą.

– C-co mówiłaś? – pyta Erin, a ja zdaję sobie sprawę, że musiałam wymamrotać któreś z tych słów na głos. Już mam odpowiedzieć, kiedy przyglądam się uważniej Erin. Wydaje się niemal... pijana. Przechyliła się na jedną stronę.

– Nic, nie przejmuj się. Jesteś zmęczona? – pytam. Staram się, żeby nie było po mnie słychać nadziei. Kiwa głową.

– Tak, czuję się... – mówi niewyraźnie, a kiedy mruga, wygląda, jakby mięśnie jej twarzy poruszały się w zwolnionym tempie. – Czuję się naprawdę źż- ziwnie.

– Musisz być wykończona – odpowiadam. Staram się zabrzmieć kojąco, ale moje serce przyspiesza z przejęcia. Odstawiam swoją nietkniętą herbatę na stół, ocieram sobie resztki z twarzy i zaglądam do kubka Erin. Jest pusty. – Może się położysz?

– Dziwnie się czuję... – mówi znowu, ale urywa jej się głos.

Pozwala mi się położyć na kanapie. Jej ciało jest ciężkie. Nie mam pojęcia, ile pigułek wypila. Może trzy, cztery? Zostało mi osiem i włożyłam je wszystkie do czajnika, wierząc, że

gotująca się woda je rozpuści. Nie miałam pojęcia, czy ciepło nie zaszkodzi substancjom chemicznym, ale wiedziałam, że Erin będzie czujna co do tego, czy nie majstruję przy jej kubku, i miałam rację – przyglądała mi się jak jastrząb, kiedy wkładałam do niego torebkę herbaty i nalewalam wodę.

Czajnik był moją jedyną szansą – wrzucałam pigułki jedna po drugiej razem ze śniegiem, polegając na tym, że biały śnieg ukryje białe tabletki, a mocny, niecodzienny smak herbaty bez mleka ukryje jakikolwiek dziwny posmak. I, co niemal nieprawdopodobne, to chyba zadziało. Erin wypila cały kubek. Elliot miał pięć sproszkowanych tabletek w swojej filizance i one go zabiły. Erin jest mniejsza i lżejsza, a także miała połowę wody z czajnika, co daje około czterech tabletek. Cztery powinny wystarczyć, zakładając, że ciepło wody nie rozłożyło substancji aktywnej. Będę musiała się upewnić. Nie mogę brać jej milczenia za pewnik. Ale najpierw muszę coś zrobić. Coś bardzo pilnego.

Zerkając bokiem na Erin, rozciągniętą na kanapie, ze śliną lecącą jej z kącika ust, wychodzę z pokoju. Biegnę najszybciej, jak się odważam, do pokoju Elliota. Drzwi są otwarte, znowu odblokowuję jego telefon. Potem przechodzę do wysłanych i wiadomości Erin do Danny'ego. „SOS. Proszę, wyślij pomoc. TO LIZ”.

Jego odpowiedź nadal tam jest. „Kurwa. Erin, czy to ty?”.

Urwisko znajduje się tuż przede mną – a ja profesjonalnie skręcam, żeby go uniknąć.

„Nie” – odpisuję. „Już ci pisałam – to LIZ. Erin właśnie wszystko wyznała i mówi o tym, że chce się zabić. PROSZĘ, WRACAJ”.

I wtedy wciskam „wyślij”.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Leżę całkiem nieruchomo, tylko nasłuchując, w czasie gdy Liz zagląda do mojego kubka, a potem staje nade mną, ciężko oddychając. Potem wydaje się, że podejmuje jakąś decyzję, i słyszę cichy dźwięk jej stóp w skarpetkach powracających do lobby oraz skrzypienie, gdy zaczyna wchodzić po schodach.

Leżę nieruchomo tak długo, jak jestem w stanie wytrzymać, a potem siadam wyprostowana i krzywię się na każdy szelest materiału, każde skrzypnięcie sprężyn.

Moje ramię i uda są mokre od herbaty – ale dzięki Bogu, Liz najwyraźniej nie zwróciła uwagi na powiększającą się plamę wilgoci na kanapie, tylko na pusty kubek.



Tabletki były w czajniku. Zaczęłam to podejrzewać, kiedy tylko spróbowałam pierwszy łyk herbaty – była w niej dziwna, chemiczna cierpkość oraz bardzo słaby słodki posmak, który musiał się wziąć z cukrowej otoczki pigułek. A kiedy zobaczyłam, że Liz przykłada kubek do ust, ale tylko udaje, że pije, byłam już pewna. Potem wiedziałam, co muszę zrobić. Też musiałam udawać, że piję, i korzystając z ciemności, wylewałam sobie herbatę na rękę, na kanapę, za każdym razem, kiedy Liz się odwróciła.

Nie miałam pojęcia, ile czasu potrzebują te tabletki, żeby zadziałać – ale musiałam zaryzykować, że Liz także nie wie. Nie była w stanie dokładnie określić, jakie przyjęłam stężenie ani jak szybko zadziała. Dziesięć minut? Piętnaście? W każdym razie najwyraźniej kupiła mój występ z popadaniem w bełkot, a potem utratą przytomności.

Wszystko zależy teraz od tego, czy dała mi dość, żeby mnie zabić. Jeśli myśli, że podała mi śmiertelną dawkę, będę bezpieczna trochę dłużej – przynajmniej dopóki nie wróci i nie zauważy, że nadal oddycham. Ale jeśli dała mi tylko tyle, żeby mnie uśpić, to zaraz się tu zjawi, żeby ze mną skończyć. Czy to będzie poduszka na twarzy, tak jak w przypadku Ani, czy uderzenie w głowę, upozorowane jako upadek ze schodów? Czy coś zupełnie innego?

Tak czy inaczej, nie chcę się dowiedzieć. *Muszę uciec, im szybciej, tym lepiej.*

Wstrzymując oddech i nasłuchując wszelkich dźwięków z góry, kuśtykam tak szybko i cicho, jak tylko potrafię, przez lobby do drzwi za schodami, tych prowadzących do szafek ze sprzętem narciarskim. Moje własne ciuchy narciarskie są w pokoju na górze, nie mogę ryzykować, żeby się do nich dostać, ale buty i narty są na dole, a do tego powinno być tam porozwieszanych dość wolnych ubrań, żebym złożyła z nich jakiś strój, w którym będzie mi dość ciepło na jazdę na

nartach. Nie mam na sobie dość warstw, żeby przetrwać noc na dworze, i nie jestem w stanie chodzić z tą kostką. Będę *musiała* dostać się do St. Antoine. Ale jak? Jedyнным wyjściem są narty i żywię wielką nadzieję, że buty narciarskie zapewnią mojej kostce dość wsparcia, żebym dała radę to zrobić.

Drzwi do szatni otwierają się z cichym kliknięciem, wsuwam się do środka i zamykam je z najwyższą ostrożnością, serce mi wali. W środku jest bardzo ciemno, światło księżyca słabo prześwituje przez okno niemal całkowicie zasłonięte śniegiem, ale moje oczy przywykły do ciemności i jestem w stanie wypatrzeć niewyraźne kształty kurtek oraz spodni narciarskich zwisające z wieszaków oraz buty suszące się na podgrzewanych wieszakach. Pospiesznie, z sercem podchodzącym mi do gardła, wciągam na nogi parę spodni na szelkach. Dopiero kiedy patrzę na siebie, zdaję sobie sprawę – należały do Ani. Ta myśl, że dosłownie ubieram się w strój zmarłej dziewczyny, sprawia, że przewraca mi się w żołądku od poczucia winy. Ale nie mogę sobie pozwolić na to, by się nad tym roztkliwiać. Ani nie ma – nie mogę jej ocalić. Ale może mogę wymierzyć sprawiedliwość jej zabójcy.

Wciskam się w czyjaś kurtkę narciarską – sądząc po rozmiarze, Elliota – przypomina mi się uzalenie się i biadolenie Liz, kiedy opowiadała o wszystkim, co się wydarzyło. I szczerze mówiąc, *prawie* to kupiłam. Nie mam pewności, co się wydarzyło na tamtym balkonie, ale jestem w stanie uwierzyć w tę część, w tę przestraszoną dziewczynę, desperackie odepchnięcie. Jestem też w stanie uwierzyć w to, jak ją przyparto do muru, i strach, kiedy zdała sobie sprawę, że Eva trzyma ją w szachu – oraz jej przerażoną reakcję.

W wypadku Elliota sytuacja wyglądała inaczej. I przede wszystkim w kwestii Ani. Biedna, mała Ani, zabita w czasie snu bez powodu, tylko dlatego, że zobaczyła coś, czego zdaniem Liz nie powinna.

Niezależnie od tego, co Liz myśli o Evie oraz o tym nienazwanym inwestorze, a może nawet o Elliocie, Ani, ona najbardziej ze wszystkich, *nie zasłużyła* na śmierć. Nie mogła.

Tylko potwór mógł zabić Ani.

Widzę teraz przed oczyma twarz tej dziewczyny, kiedy wciągam mokre narciarskie skarpetki i szukam rękawic.

Twarz Ani, naznaczona wybroczynami, które ujawniają kłamstwo w opowieści Liz.

Bo Liz twierdzi, że nie chciała śmierci Ani – ale ja wiem, że to nie jest prawda. Ani musiała walczyć o życie. Walczyła o każdy oddech, tak bardzo, że popękały jej naczynka krwionośne.

A Liz stała i przyciskała jej tę poduszkę do twarzy przez cały ten długi, długi czas.

Trzeba *pragnąć* czyjejś śmierci, by zdołać go zabić przez uduszenie. Trzeba tego *bardzo* chcieć.

To o Ani myślę, kiedy rozpinam moje buty narciarskie najbardziej, jak się da. O Ani, kiedy wsuwam do środka stopę, zaciskając zęby, gdy kostkę rozpala mi nagle silny, gorący ból.

Kwilę, pomiędzy zębów wydobywa mi się szloch bólu, mimo że muszę być cicho, gdy przeciskam stopę przez zagięcie buta i słyszę, jak kości w stopie strzykają, zgrzytają w proteście; kiedy czuję, jak spuchnięte ciało przyciska się do twardej, plastikowej skorupy. Ale muszę to zrobić. *Muszę*.

*Ani. Ani. Ani.*

A potem, z chrupnięciem, moja stopa znajduje się na miejscu. Pocę się i trzęsę z bólu, na moją górną wargę występują zimne krople. Ale stopa jest w środku. I jakimś cudem, kiedy próbuję stanąć, ból nie jest taki straszny, jak się spodziewałam, przód buta jest na tyle ciasny, że przenosi część mojego ciężaru z kostki na goleń. Spinam wiązania tak mocno, jak tylko się da, modląc się, by to wsparcie utrzymało staw stabilnie na tyle długo, żebym zdołała zjechać do doliny.

Jeśli mam złamaną kość, to możliwe, że po tym będę już zawsze kulą – ale lepsze to niż śmierć.

Pospiesznie wsuwam drugą stopę do buta i zapinam go.

I wtedy słyszę jakiś dźwięk dochodzący ze schodów.

Wydaje mi się, że moje serce stanęło. To Liz schodzi po spiralnych schodach.

Na sekundę nieruchomieję. Mam wszystko, czego potrzebuję – ale czy mogę się wymknąć tylnym wejściem? Drzwi dla narciarzy wychodzą na tę samą stronę co basen i będą zablokowane przez lawinę.

Otwiera się do środka. Chyba że... Nie, jestem tego raczej pewna. Przyciskam sobie dłonie do skroni, próbując sobie przypomnieć. Tak, otwierają się do środka. Pytanie tylko, czy zdołam się przekopać.

I wtedy mój wzrok wędruje do wąskiego małego okienka ponad szafkami na narty. Przypomina otwór na listy i mimo że na pewno jest dość szerokie, ma pewnie tylko jakieś trzydzieści centymetrów wysokości, nawet mniej, jeśli wziąć pod uwagę ramę i zawiasy. Ale może być moją największą szansą.

Wzdrygając się na każdy dźwięk, wspinam się na drewnianą ławkę, a stamtąd pochylam się nad szafkami na narty i otwieram okno.

Lodowato zimny podmuch omiata mi twarz, ale widzę, że przejście nie jest zasłonięte – ten śnieg na szybie to były tylko przyklejone płatki. Zaspą sięga niemal do wysokości szafek – zamortyzuje mój upadek.

Najpierw wystawiam narty, jedna po drugiej, słuchając, jak głucho opadają. Potem kijki. Wkładam pożyczone rękawice i chwytam przypadkowy kask z wieszaka. Dzięki Bogu, pasuje, bo nie mam czasu, żeby szukać innego. Wspinam się, żeby położyć się na szafkach. Niebezpiecznie się bujają – ale tylko przez chwilę.

Jest mi niedobrze z nerwów. Gdzieś z głębi domku słyszę zaskoczony okrzyk, a potem wołanie: „Erin?... Erin, gdzie ty jesteś?”.

Liz odkryła, że mnie nie ma.

Najpierw wysuwam nogi. Boję się upaść na chorą kostkę, ale do wyboru mam jeszcze upadek twarzą prosto w śnieg i to też mnie nie zachęca. Okej, mam na głowie kask, ale przy takim upadku i tak mogłabym sobie skręcić kark, albo – jeśli zaspą jest dość głęboka – mogłabym do niej wpaść pionowo i się udusić, nim zdołałabym się odkopać. Bezpieczniej będzie stopami do przodu.

Trudno się precyzyjnie, ale daję radę. Jeden but bokiem, najpierw zdrową nogą, potem drugi. Kiedy zwisający but obciąża moją chorą kostkę, wydaję okrzyk bólu, ale jest to do zniesienia, choć ledwo.

I wtedy otwierają się drzwi do szatni.

Na początku nic nie widzę, bo postać trzyma w ręku latarkę – telefon Elliota – i świeci mi prosto twarz. Ale widzę kształt w drzwiach i wiem, kto to jest, zanim rusza do mnie z wściekłym wrzaskiem, który brzmi bardziej zwierzęco niż ludzko.

Czuję, jak jej dłonie chwytają moje ramiona, rzucają się na mnie, drapią, ale jej paznokcie ześlizgują się z grubej, gładkiej tkaniny; nie ma za co się złapać. Przeciskam tyłek przez wąską szparę, a potem mój środek ciężkości zajmuje się resztą, ciągnie mnie w dół – aż nagle utykam, z duszącym szarpnięciem.

Przez sekundę nie rozumiem, co się stało. Czy Liz zamknęła okno? Chwyciła mnie za kask? Wtedy do mnie dociera.

*Kurwa.* Kask się nie przecisnie.

Zwisam i zaczynam się dławić, bo pasek od kasku wbija mi się w szczękę i gardło, a ja wiję się jak ryba na wędce. Sięgam dłońmi w rękawicach do szyi, desperacko próbując się uwolnić

od nacisku paska. Stopy szamoczą się w miękkim śniegu, szaleńczo próbując znaleźć dość oparcia, żeby poluzować nacisk na moje gardło.

Znajduję coś stopą, gubię to znowu, a potem znajduję jeszcze raz, zaledwie na sekundę – akurat na dość długo, żebym odpięła pasek.

A potem spadam, sapiąc i krztuszając się, w górę miękkiego śniegu i jakichś przeszkód, które po minucie albo dwóch identyfikuję jako moje własne narty i kijki.

Nie mam czasu, żeby odpocząć.

Liz wściekle wali w kask zaklinowany w oknie, próbując go wyciągnąć, żeby mogła za mną ruszyć. Spodziewam się, że będzie krzyczeć albo kląć, ale nie robi tego, co jest jakoś bardziej przerażające. Nic nie mówi – słyszę tylko jej rżący oddech, kiedy walczy z kaskiem w oknie. *Muszę uciec, zanim go wyciągnie.*

Udaje mi się stanąć na nogi, zapadam się i używam nart jako podpory, żeby wygrzebać się z zasy na twardo ubity śnieg.

Potem w ułamku sekundy robię przegląd. Rękawice – są. Narty – tak, dwie. I moje kijki.

Szalik – przepadł. Musiał zostać ściągnięty razem z kaskiem. I oczywiście nie mam czapki. Zwykle żadnej nie noszę – kask jest dość ciepły – ale kiedy zimny wiatr przeszywa mi policzki i twarz, wiem, że będę tego żałować. Mimo wszystko, nie mogę nic na to poradzić. Nie mogę zawrócić. *Muszę się jakoś dostać do St. Antoine.*

Nie mam też plecaka lawinowego.

*Kurwa. Kurwa. W którą stronę?*

Powoli, boleśnie ciągnę siebie i moje narty na bok domku, żeby obejrzeć zjazd.

Długi, niebieski szlak do St. Antoine jest doszczętnie zniszczony – nie ma innego słowa, by go opisać. Widziałam

górze szlaku, kiedy wracaliśmy z Dannym od wyciągu. Lawina zasypała go wszystkim – wielkimi głazami, fragmentami kolejki, pniami drzew. Nie tylko nie da się nim zjechać na nartach, zupełnie nie można się przezeń przedrzeć. A ścieżka przez las do zielonego szlaku, Archoum, jest kompletnie niedostępna – mały zagajnik przyjął na siebie pełne uderzenie lawiny, drzewa są połamane, zakopane pod setkami ton śniegu.

Ale jest inna droga.

Nazywa się Secret Valley, a przynajmniej tak na nią mówią angielscy narciarze. Wydaje mi się, że nie ma oficjalnej nazwy – to nie jest szlak, tylko ścieżka, którą *da się* zjechać, jeżeli warunki są dobre, jeżeli ktoś jest dobrym narciarzem i lubi wyzwania. Poza tym „szlak” daje mylne wyobrażenie – kojarzy się z płaską połacią śniegu, na której narciarze wyprzedzają się, robiąc eleganckie zwroty. To w ogóle czegoś takiego nie przypomina. Jest to długi żleb pomiędzy dwiema stromymi skalnymi ścianami, uformowany w głębokiej szczelinie górskiej. Trzeba dużo śniegu, żeby przykryć szczyrbate kamienie na jego dnie, a nawet jeśli warunki są dobre, to ścieżka jest tak wąska, że zmieści się tam tylko jeden narciarz, a miejscami, jeśli rozłoży się dłonie, można końcami palców dotknąć jednocześnie obu ścian.

Jeśli zdołam się tam dostać, to chyba będzie przejezdny – na pewno mieliśmy dość śniegu, by pokryć najgorsze ze skał, a poza tym znajduje się poza trasą głównej lawiny.

Ale nie jest to zjazd, raczej trasa z przeszkodami – wijący się, kręty slalom pomiędzy głazami i pniami drzew, trudny do przejechania nawet za dnia, a co dopiero w świetle księżyca. Jest także bardzo podatny na małe lawiny – śnieg zbiera się na brzegach u góry i odpada bez ostrzeżenia, zasypując narciarzy na dole.

Nie to jest jednak najgorsze. Najgorsze, co sprawia, że się

waham, jest to, że jeśli już człowiek się tam znajdzie, to nie da się stamtąd wydostać. Ściany stają się coraz wyższe i wyższe, nie ma szans, żeby jakiś helikopter albo pojazd ratunkowy dostał się do kogoś tam uwięzionego. Trzeba po prostu jechać dalej, aż zjazd wypłuje cię między drzewami na górze miasteczka.

To moja najlepsza szansa. A Liz najprawdopodobniej o nim nie wie. Nie da się go znaleźć, dopóki ktoś ci nie pokaże wejścia.

To także mój najgorszy koszmar.

Ale nie mam wyboru.

Wspierając się na nartach jak na kulach, zaczynam iść w stronę początku przejazdu.



**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Erin zniknęła.

Prawie mi to umyka. Kiedy pierwszy raz wchodzę do salonu, jestem taka pewna, że ona tam jest! Nawet mi nie przychodzi do głowy sprawdzić. Ale wtedy zauważam coś kątem oka – coś jest inaczej, niż to zostawiłam. Odwracam się i widzę, co się zmieniło: kanapa jest pusta.

Przez chwilę po prostu tam stoję, zbyt zaskoczona, żeby się zmartwić. Obudziła się? Doczłapała się do toalety?

– Erin? – wołam. Wracam do lobby. Rozglądam się w ciemnej przestrzeni, świecę latarką w górę schodów, do

kuchni. – Erin, gdzie ty jesteś?

Nie mogła pójść daleko. Wypiła tyle tych tabletek, że powinna leżeć nieprzytomna przez tydzień.

Dopiero gdy wracam do salonu, dostrzegam rozciągającą się na kanapie ciemną plamę. Dotykam jej i wążam palce. Pachną *herbatą*. Wtedy pojmuję. Wcale tej herbaty nie wypiła.

Zwykle nie przeklinam, ale robię to, kiedy to widzę i orientuję się, jak mnie oszukała.

Biegnę. Najpierw do drzwi w lobby, ale śnieg na zewnątrz jest nienaruszony. Nie ma mowy, żeby tędy opuściła budynek.

Potem do kuchni – ale tam też nikogo nie ma.

Jestem w połowie schodów, gotowa sprawdzić sypialnie, kiedy słyszę jakiś dźwięk. Jest bardzo cichy, ale brzmi, jakby coś wypadło na śnieg na zewnątrz. Dochodzi z tyłu domku, gdzie jest wejście dla narciarzy.

Wracam na dół do lobby i otwieram drzwi do tylnej części budynku, gdzie znajdują się wszystkie szafki na sprzęt. Potrzebuję chwili, żeby moje oczy przywykły do ciemności – i wtedy coś widzę – albo kogoś – jakiś ruch w przeciwległym końcu pokoju. To Erin. Wspięła się na górę szafek narciarskich i prawie już wydostała się przez okno.

Rzucam się przez szafki, ignorując rwący ból w kolanie, wspinam na ławkę, którą postawiła pod oknem, i łapię za jej kask, który zaraz ma zniknąć po drugiej stronie.

Wtedy zdaję sobie sprawę, dlaczego ona tam nadal jest. Kask nie może przejść przez otwór. Utknęła. Erin zwisa na kasku, z jej gardła dochodzą potworne, świszczące dźwięki, a ona wymachuje nogami i kopie, próbując oprzeć się na śniegu na tyle, żeby się uwolnić.

Ale nim zdołam wymyślić, co zrobić, czuję nagłe szarpnięcie i ciężar odpada od kasku. Zapięcie się zerwało – albo sama je odpięła, nie jestem pewna. Przez sekundę leży zdyszana, łapiąc powietrze, a potem się gramoli, wstaje, podnosi narty

i zaczyna kuśtykać w kierunku frontu domku oraz ścieżki prowadzącej do kolejki.

Muszę ją *dogonić*, ale kask utknął w ramie, blokuje ją. Dopiero po paru minutach bezowocnego szarpania zdaję sobie sprawę, że to głupie. Erin ma narty i kijki. Najwyraźniej zamierza zjechać na nartach do St. Antoine – a ja muszę ją powstrzymać.

Muszę pojechać za nią na nartach.

Puszczam kask i odwracam się w stronę pokoju. Mam już na sobie kombinezon. Potrzebuję tylko butów i rękawic. *Szybko*, zanim Erin mi ucieknie.

Zdaję sobie sprawę z dwóch pocieszających rzeczy – po pierwsze, w miękkim śniegu nie zdoła ukryć swoich śladów. Będę mogła dokładnie powiedzieć, w którą stronę poszła.

A po drugie, jestem w stanie jechać szybciej od niej. Moje wykręcone kolano prawie już wydobrzało, podczas gdy z jej kostką robi się tylko gorzej. Widziałam, jak kulała po drodze z kuchni z herbatą zaledwie parę godzin temu. Nie potrafiła oprzeć na niej ciężaru. Jestem prawie pewna, że jest złamana – a nie ma szans, żeby Erin jechała agresywnie ze złamaną kostką. Będzie musiała się poruszać powoli i ostrożnie, a do tego pewnie dużo czasu zajmie jej wgramolenie się przez popękana pokrywą śnieżną na początku niebieskiego szlaku. Widziałam, jak to wyglądało po lawinie – rumowisko kamieni i odłamków. Zajmie jej chwilę, żeby się przez to przedrzeć, nawet jeśli dalej jest lepiej. Zdołam ją dogonić. *Jeżeli* zadziałam szybko.

Podaję decyzję. Wciskam stopy w buty i łapię swoje narty oraz kijki ze stojaka. Moje rękawice są w kieszeni kombinezonu. Ale kask... gdzie *jest* mój kask? Nie ma go w szafce; po kilku sekundach dociera do mnie: to ten, który zabrała Erin, i utknął w oknie.

Próbuję go jeszcze raz wyciągnąć, ale to nie ma sensu, więc

przez chwilę szukam jakiegoś w zamian, ale potem zdaję sobie sprawę, że tracę czas. Jeżeli Erin ruszy dużo szybciej ode mnie, nawet ze swoją kostką, nie złapię jej.

Wsuwam telefon Elliota do kieszeni, zarzucam sobie narty na ramię i stukając butami, wracam korytarzem do lobby, gdzie otwieram drzwi na śnieg i przeciskam się przez zaspę w noc.

Na zewnątrz jest niewiarygodnie zimno i zdaję sobie sprawę, że jakkolwiek w domku bez ogrzewania było chłodno, tak naprawdę dobrze nas chronił przez żywiołem.

Teraz, na zewnątrz, nie wiem, jaka jest temperatura, ale chyba niewiele wyższa niż minus dwadzieścia stopni. Może nawet mniej. Niebo jest bezchmurne, a księżyc ma tę dziwną, mroźną poświatę, która pokazuje się tylko przy ekstremalnym zimnie.

Trzęsąc się nawet w moim ciepłym kombinezonie, przypinam sobie buty do nart, a potem prostuję się i szukam śladów Erin.

Są – głębokie żłobienia w śniegu, ciemne na tle rozświetlonej księżycem bieli.

Ale nie prowadzą ścieżką do zniszczonego niebieskiego szlaku. Wiodą w drugą stronę, do lasu.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Zapomniałam o początku. O Boże, ten początek. To stroma ściana grubego, miękkiego śniegu, otoczona drzewami, upstrzona głązami, zwężająca się w stromą ścieżkę szeroką na zaledwie kilkadziesiąt centymetrów. A pierwszy krok jest praktycznie skokiem z urwiska, z wiarą, że śnieg cię utrzyma.

Na dwóch zdrowych nogach mogłabym to zrobić – pewnie nie pięknie, ale dałabym radę. Trochę zardzewiałam, ale jeździłam poza stokami wystarczająco dużo, żeby być dość pewną swojej techniki. Wiem, jak sobie radzić w głębokim, ciężkim śniegu, jak brać ostre zakręty, jak unikać wpadania w zaspy i zwały śniegu oraz trzymać tempo.

Wszystko to w teorii znam. Tylko że minęły już ponad trzy lata, odkąd jeździłam poza stoki. I nie wiem, czy jestem w stanie cokolwiek z tego wykorzystać w praktyce ze złamaną kostką.

Serce podchodzi mi do gardła. Ale Liz zobaczy moje ślady w śniegu. Ruszy za mną. *Muszę to zrobić.*

Moja zjazdowa noga przyjmie większość ciężaru. Wpinam buty w narty, a potem odwracam się, ustawiam pod takim kątem, żeby zdrowa celowała w dół Secret Valley. Potem, z koszmarnym uczuciem, odpycham się.

Na początku idzie dobrze. Szusuję na boki po świeżym, puszystym śniegu, czując się jak ktoś, kto próbuje pływać z nogami owiniętymi kołdrą. Ale zbliżam się szybko w stronę drzew. Będę musiała skrócić – na chorą nogę.

Udaje mi się nieporadny, równoległy skręt, zapomniałam jednak o fizyczności jazdy w głębokich zaspach. Śnieg przyczepia mi się do nart, prawie mnie przewracając; największym problemem jest szok, kiedy kończę zakręt i ląduję na chorej nodze. Czuję igły bólu idące mi wzdłuż kręgosłupa i pospiesznie skręcam z powrotem, próbując trzymać zdrową nogę z przodu.

Ale nie jest dobrze – znowu muszę skrócić, żeby uniknąć drzewa, które wyziera z ciemności, a tym razem moja zjazdowa narta wpada w zaspę i wykręca mi kostkę z tak potworną siłą, że krzyczę, a ten dźwięk rozchodzi się echem po stromych ścianach doliny. Ciężko ląduję na chorej nodze, próbuję się uratować, wymachując kijkiem, a potem – nie wiem, co się dzieje potem. Wiem tylko, że moja noga się osuwa, kijek zapada, a ja turlam się w głębokim śniegu, rękoma osłaniając głowę, żeby nie uderzyć nią w częściowo zakopane głązy wystające na stoku.

Jedna narta mi odpadła, kijki wykręcają mi nadgarstki, głowę mam to w górze, to na dole, potem zjeżdżam na tyłku,

aż wreszcie koziółkuję – ląduję z wstrząsającym uderzeniem o skałę na dole zjazdu.

Przez sekundę nie jestem w stanie zrobić nic, tylko leżeć tam, sapiąc i dysząc, próbując nie wyć z bólu pulsującego mi w nodze. Ale muszę się ruszyć.

Mój kręgosłup wydaje dźwięki jak chrzęszczące szkło, kiedy próbuję usiąść, i czuję, że mogę z wymiotować z powodu bólu w kostce – ale jestem świadoma. Nie mam wstrząśnienia mózgu. A przynajmniej tak mi się wydaje. Kiedy podnoszę się na kolana, ból w nodze jest intensywny, ale znośny. Ledwie.

Podciągam się, żeby wstać, używając jednego kijka, a potem chwilę odpoczywam, dysząc, trzęsąc się z szoku i bólu, zmuszając się, żeby oddychać powoli i długo. To działa... do pewnego stopnia. Potem, kiedy już się w miarę uspokajam, strząsam śnieg z włosów i kołnierza, a następnie oceniam sytuację. Mam jedną nartę i trzymam w ręku jeden kijek. Drugi leży oparty o skałę na dalekim końcu żlebu, kuśtykam w jego stronę i chwytam go dłońmi, które nadal mi się trzęsą od adrenaliny. Okej. Jest dobrze

Ale druga narta... Gdzie ona jest? Mogę zjechać z jednym kijkiem, ale nie dam rady nic zrobić na jednej nartce. Jeśli nie zdołam jej znaleźć, to po mnie.

I wtedy ją widzę. Jej czubek wystaje ze śniegu kilka metrów w górę urwiska, skąd przed chwilą spadłam. Wzdycham, odpinam brakującą nartę i czołgam się po miękkim, przesuwającym się brzegu urwiska, żeby ją wyciągnąć, ale jest za głęboko, wiązania zahaczyły o coś w śniegu, więc zaczynam kopać rękoma w rękawicach. I wtedy nagle uderza mnie obezwładniające, wstrząsające wspomnienie – najbardziej wyraźne, jakie miałam, od tych pierwszych strasznych dni, kiedy każdego ranka budziłam się spocona prosto z przeżywanego na nowo koszmaru.

*Kopanie. Kopanie w śniegu. Włosy Willa. Koniec jego narty.*

*Jego zimna, woskowa twarz...*

Zbiera mi się na mdłości.

Odpycham ten obraz od siebie.

Drapię śnieg palcami.

*Śnieg na jego rzęsach, odmrożony czubek nosa...*

Chcę płakać, ale nie mogę. Nie mogę pozwolić sobie na więcej hałasu, niż już zrobiłam. Liz może być bardzo blisko.

*Oddarty kawalek jego szalika. Jego niebieskie usta...*

I mam już nartę. Wiązania są wolne od śniegu i mogę wyciągnąć całą z dziury.

Wszystko we mnie drży, kiedy zsuwam się z powrotem do miejsca, gdzie zostawiłam moją drugą nartę. Zęby mi dzwonią, ręce drżą tak mocno, że nie mogę ich przełożyć przez pętle na kijkach, a buty muszę wciskać w wiązania sześć czy siedem razy, nim wreszcie usłyszę w odpowiedzi „klik” i poczuję stabilne mocowanie.

Kiedy to już gotowe, stoję przez chwilę, opierając się znużona na kijkach, dając moim biednym, rozdygotanym mięśniom moment wytchnienia. Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy to ból, czy wyczerpanie, czy też wspomnienie śmierci Willa i Alexa najbardziej mnie męczy. Może wszystko naraz. Ale nie mogę sobie pozwolić na odpoczynek. *Nie mogę.*

Ze zbocza nade mną dochodzi jakiś hałas. To może być świstak albo tylko potracony śnieg spadający po moim przejeździe, ale nie mogę sobie pozwolić na to, żeby zostać i to sprawdzić.

Odpycham się kijkami i zaczynam ostrożnie zjeżdżać dalej.



**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Czy popełniłam błąd? Ślady Erin urywają się na szczycie czegoś, co wygląda jak stromy uskok wprost do wąwozu. Sam jar znajduje się w głębokim cieniu i nie widzę jego dna. Na dole może być wszystko – wyszczerbione skały, górski strumień, uskok głęboki na tysiące metrów...

A jednak, kiedy przyglądam się uważniej, dostrzegam ślady w śniegu. Coś – albo może ktoś – tam był. Nie mogę uwierzyć, że cokolwiek poza kozicą byłoby w stanie zjechać po tym stoku w jednym kawałku, ale kiedy moje oczy przywykają do ciemności, widzę dwa wgłębienia w śniegu, które wyglądają,

jakby ktoś przysiadł na nartach, łapiąc oddech przed pokonaniem zakrętu.

Wstaję, waham się, zastanawiam się, co zrobić. Erin chyba tędy nie zjechała, nie ze złamaną kostką? Nawet dla kogoś doświadczonego w jeździe poza trasami to wygląda jak samobójstwo.

Ale jej ślady na pewno tu prowadzą. I na pewno tu się urywają. Zeszła w dół? Nie. Ktokolwiek dostał się niżej, miał na sobie narty. Czy *spadła*? Jeśli tak, to być może moje problemy rozwiązują się same.

Albo może to jest jakieś skomplikowane oszustwo?

Stoję przez chwilę, patrząc w górę i w dół doliny, ale nie widzę, jakim cudem mógłby to być podstęp. Do tego miejsca wiodą tylko dwie pary śladów, Erin i moje, żadne z nich nie prowadzą dalej. A ona nie miała dość czasu, żeby zrobić coś w stylu Sherlocka Holmesa. Gdyby wróciła po własnych śladach, żeby zostawić fałszywą wskazówkę, spotkałabym ją w drodze powrotnej.

To *musi* być droga do St. Antoine. I jakimś cudem Erin zdołała się tam zgramolić.

Cóż, jeśli ona mogła, ja też dam radę.

Na pewno nie będę tędy zjeżdżać na nartach. Nie obchodzi mnie, czy Erin tak zrobiła – nie jeździłam poza stokami wystarczająco dużo, żeby ufać swoim umiejętnościom w tak stromym miejscu. Zamiast tego odpinam narty, trzymając je w jednej ręce, siadam na skraju uskoku i obniżam się w miękki śnieg, żeby spróbować zejść w dół urwiska.

Od razu się okazuje, że to był błąd. Bez nart, na których rozłożyłby się mój ciężar, wpadam głęboko, głęboko w puszystą zaspę. Drapię się do góry, szukam podparcia, używam nart jako wsparcia, ale kiedy się szamoczę, śnieg zaczyna się pode mną osuwać. Nagle ustępuje i ześlizguję się z nim w dół stoku z przerażającą prędkością – ja, narty

i śliska, pędząca masa śniegu. Na początku jest to przerażające, ale okej. Udaje mi się pozostać w pozycji wyprostowanej, widzę, dokąd zmierzam, i jestem w stanie manewrować sobą z dala od drzew, spowalniać upadek.

Ale wtedy zahaczam butem o jakąś skałę. Nie mogę się zatrzymać. Ciężar śniegu napierającego na moje plecy jest zbyt duży. Pochylam się. Narty wypadają mi z dłoni. Spadam – spadam w przerażającej, białej plamie śniegu, skał i nart.

Rękoma zakrywam sobie głowę. Czuję, że coś uderza mnie w policzek, a ramię trafia na coś twardego. Wydaje mi się, że krzyczę. Wydaje mi się, że umieram. Nie tak chciałam skończyć życie.

A potem rozlega się wielki huk i zdaję sobie sprawę, że przestałam się ruszać.

Leżę na plecach, moja głowa jest skierowana w dół zbocza, a z policzka płynie mi gorąca krew. Moje ramię pulsuje z bólu. Możliwe, że złamałam sobie obojczyk.

Próbuję się podnieść i usiąść, ale śnieg wyslizguje się spode mnie zdradziecko i powstrzymuję kolejny okrzyk, bo zaczynam znowu spadać. Na szczęście śnieg zatrzymuje się po kilkudziesięciu centymetrach, więc leżę, dyszę, szlocham ze strachu; zdaję sobie sprawę, że ten ostatni zjazd zabrał mnie niemal na sam dół zbocza. Kilka stóp pode mną widać ścieżkę. Widzę, że jedna z moich nart leży w poprzek niej.

Powoli, z bólem, mocuję się, żeby się okręcić, tak żeby moje buty znalazły się przodem do podnóża stoku, i zjeżdżam te kilka ostatnich metrów na plecach. Jestem na dole. Leżę w dolinie, właściwie płacząc z ulgi.

Wszystko mnie boli. Czuję smak krwi w ustach. Ale jestem na dole. A teraz, kiedy znajduję się na ciemnym dnie urwiska, widzę, że miałam rację, a ta świadomość daje mi impuls podniecenia, który pomaga mi odciągnąć myśli od ramienia pulsującego bólem.

Ponieważ widzę ślady nart prowadzące w dół doliny, w kierunku St. Antoine. Jedna para nart, odcisnięta głęboko w śniegu, a po obu bokach wgłębienia tam, gdzie narciarz odpychał się kijkami.

Erin tu *była*. I jeżeli się pospieszę, zdołam ją dogonić.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

To trudniejsze, niż mogłam się spodziewać. Pamiętam, jak pokonywałam tę trasę za dnia – słońce błyszczało na oszronionych drzewach nade mną, odbijało się od jasnego śniegu pod naszymi stopami. Pamiętam zakręty, zwroty, śmiechy, przeskakiwanie przez na wpół zasypane głązy i unikanie muld.

Teraz tego wszystkiego nie widzę. Z ciemności wyzierają pułapki – gałęzie drzew, które omiatają mi twarz, postrzępione skały wyskakujące bez ostrzeżenia, przed którymi muszę skręcać tak gwałtownie, że robi mi się niedobrze, a moja kostka pali mnie przy każdym skręcie i wstrząsie.

Do pewnego stopnia pomaga mi fakt, że żleb grubo pokrywa świeży śnieg. Sprawia, że jedzie się powoli i żmudnie, nie ma żadnych śladów, które mogłyby mnie prowadzić, ale to oznacza, że nie muszę nieustannie sama zwalniać. Kiedy jechałam tędy ostatnio, trasa była twardo ubita przez narciarzy korzystających z tej drogi przede mną. Widziałam, którzy lawirowali i jak skręcali, gdzie źle ocenili kąt i zmiotli nieoczekiwane krzaczkę albo wjechali pługiem w zaspę, której się nie spodziewali. Ale jednocześnie sprawiało to, że jechałam szybko i wściekle, a że jest tu za wąsko na odpowiednie skręty, większość mojej uwagi skupiała się na próbach zwolnienia do bezpiecznego tempa.

Gruby śnieg usuwa ten problem. Ale też stwarza inny. Liz będzie jechać za mną, gdzie zdążyłam już ubić śnieg. Będzie się poruszać dużo szybciej. I ma moje ślady, które ją poprowadzą.

*Muszę pojechać szybciej. Ale jeśli to zrobię, mogę się tu zabić.*

Odpycham się mocno kijkami, jadę przez ciasny zakręt, moja kostka wyraźnie protestuje, a potem wpadam w coś, co musiało być ukrytym w śniegu spiętrzeniem lodu. Impuls bólu przebiegający przez moją nogę sprawia, że krzyczę, zataczam się i upadam głośno, uderzając boleśnie w kamienisty bok żlebu. Przez kilka minut po prostu tam leżę, dysząc, sapiąc, a po twarzy płyną mi gorące łzy. Nie mogę uwierzyć, że to tak boli. Nie odważam się rozpiąć buta, żeby sprawdzić, co jest w środku, ale czuję, że cała noga mi pulsuje. Nie wiem, czy po tym będę w stanie dalej jechać. Nie wiem, czy będę w stanie jeszcze *chodzić*.

Ale Liz zabiła już trzy osoby. *Muszę ruszać dalej.*

Biorę głęboki wdech i podciągam się na kijkach. Ale nie umiem się podnieść. Moje mięśnie tak drżą, że nie potrafię się do tego zmusić – nie potrafię się zebrać, przekonać, że mam

znów oprzeć ciężar na nodze, całe ciało mi drży, kiedy tylko o tym myślę.

I wtedy gdzieś z wąwozu słyszę jakieś dźwięki. Rozlega się krzyk – brzmi jak ktoś, kogo może właśnie uderzyła w twarz niespodziewana gałąź – a po nim szorstki chrobot nart zmuszonych do nagłego hamowania pługiem.

Liz się zbliża. I jest bardzo niedaleko.

Muszę to zrobić. *Muszę to zrobić.*

Wbijam mocno kijek w ziemię, podciągam się na nim, pocąc się i trzęsąc. A potem się odpycham.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Gdzie. Ona. Jest.

Gdzie. Ona. *Jest.*

Te słowa powtarzam sobie w głowie, kiedy biorę kolejne zakręty, wiernie jadąc śladami Erin. Nie może być tak daleko przede mną, a jej kostka jest w dużo gorszym stanie niż moje kolano. *Powinnam* już ją dogonić. Ale nadal się nie udało. Ten fakt sprawia, że jestem... nie do końca zmartwiona. Nie doszłam jeszcze do tego etapu. Ale na pewno sfrustrowana.

Częściowo moja złość wynika z tego, że ta jazda jest trudna, trudniejsza, niż sobie wyobrażałam. Nawet po tym, jak moje



oczy przyzwyczyły się do rozświetlanego tylko księżycem półmroku w dole wąwozu, nie widzę wiele więcej niż ślady nart Erin i nie mam innego wyjścia, jak tylko ślepo nimi podążać, najszybciej, jak potrafię, z nadzieją, że jeśli ona czegoś nie spieprzyła ani nie wypadła z trasy, to ja też tego nie zrobię.

Zbliża się długi, prosty kawałek, więc odpycham się kijkami i pochylam, czyniąc moje ciało bardziej aerodynamicznym. Czuję wiatr na twarzy, a potem uderzam w małą muldę, niewidoczną w słabym świetle. Przez chwilę czuję, że moje narty unoszą się w powietrzu, a potem spadam w dół, całym ciężarem na chore kolano, w taki sposób, że brakuje mi tchu. Powinnam zwolnić, odzyskać równowagę, ale nim zdążę to zrobić, znikąd pojawia się gałąź drzewa i uderza mnie w twarz tak, że krzyczę.

Natychmiast odruchowo hamuję pługiem, śnieg szumi pod moimi nartami, serce mi wali, a ja się zatrzymuję.

Było blisko. Gdybym nie miała gogli, ta gałąź mogłaby mnie oślepić. Za to teraz otworzyła na nowo rozcięcie na moim policzku. Czuję spływający po nim, łaskoczący strumyk gorącej krwi.

Ale nie mogę sobie pozwolić na to, żeby się zatrzymać. Po prostu muszę zachować większą ostrożność. Znowu się odpycham, wpatrując się w ciemność. Muszę ją doganiać. *Muszę.*

Wtedy, zaledwie sto metrów przed sobą, słyszę to – syczący szum nart na śniegu. Ktoś przede mną szybko przejeżdża ciasny skręt, rozrzucając śnieg tyłem nart.

Puls mi przyspiesza, a ja ruszam szybciej, żeby ją dogonić.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Teraz w dole wąwozu jest bardzo ciemno. Kamienne ściany wznoszą się tak wysoko, że nie dociera tu w ogóle światło księżycy, a wysokie sosny pochylają się na górze, ich korony przesłaniają niebo. Ale nie ośmielam się zwolnić.

To jest ta część trasy, którą pamiętam najlepiej. Ta część, z której wypada się już do miasteczka. Muszę być już prawie na miejscu. Tu jest długi, śliski zakręt, który zabiera cię na bok żlebu, pomiędzy dwa postrzępione małe drzewka. Wjeżdżam pomiędzy nie, próbując zignorować ból kostki oraz drżące uderzenia serca, zalewanego większą ilością adrenaliny, niż jest w stanie unieść.

Potem skręcam w prawo.

I wtedy – oż, kurde.

Jestem już prawie tam, kiedy sobie przypominam. Coś, co wygląda jak urwista skalna ściana, a do tego zakręt, na którym można sobie złamać kark, w takim momencie ścieżki, tak wąskim, że to praktycznie niemożliwe, żeby tam zwolnić.

Jego czerń wyziera z ciemności i rzucam się w desperacki ślizg w bok, moje narty wzbijają błyszczącą, syczącą mgiełkę kryształków wokół mnie. Jedna narta zahacza o drugą i prawie tracę równowagę. Kostka płonie mi bólem, ale nie mogę powstrzymać tej szalonej próby zahamowania – jeśli uderzę w zakręt z taką prędkością, nie tylko mnie zmiecie, bez kasku po prostu zginę.

Skręcam, skręcam, moje narty układają się prawie prostopadle do stoku – i jestem już za zakrętem, a wtedy niemal natychmiast uderzam w korzeń drzewa, moja kostka się poddaje i tym razem rzeczywiście wypadam z trasy, w wirującym тумanie nart i śniegu.

Muszę wstać. Liz jest teraz bardzo blisko. Słyszę zbliżający się szum jej nart, ten dźwięk robi się coraz głośniejszy, niesie się po żlebie. *Muszę wstać.* Tylko że kiedy próbuję się odepchnąć, żeby się podnieść, nie potrafię tego zrobić. Kostka nie jest w stanie utrzymać mojego ciężaru. Próbuję – kolano ucieka spode mnie. Próbuję jeszcze raz, tym razem, szlochając, nie przejmuję się już hałasem, i upadam w śnieg, z płaczem i przekleństwami.

Ona już prawie tu jest. Zbliży się, zbliży się *szybko*.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1

Jestem teraz bardzo blisko Erin – i wtedy to słyszę. Krzyk gdzieś z przodu i stukot nart. *Tak*. Przewróciła się!

Czuję nagły przypływ triumfu, który dodaje mi sił – przyspieszam. Będzie dobrze. Dogonię ją! Nie myślę o tym, co się wtedy stanie. Na to przyjdzie czas później.

Znowu przykucam. Czuję wiatr na twarzy. To jest to. Mogę tego *dokonać*.

Wpadam na muldę i ogarnia mnie ta sama euforia, która towarzyszyła mi przy zjeździe czarnym szlakiem, tylko tym razem jest jeszcze lepiej. Jadę teraz czysto instynktownie, jak

ptak niesiony prądem powietrznym, obracając się i skręcając bez wysiłku. Prawie jakby...

I wtedy to się dzieje.

Jakaś skalna ściana wyłania się z ciemności, zaledwie parę metrów ode mnie.

Chyba krzyczę, nie jestem pewna – ktoś krzyczy.

Desperacko próbuję hamować pługiem – ale ścieżka jest zbyt wąska, a ja nie zwalniam, ja nie zwalniam, ja...

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Dźwięk uderzenia nie przypomina niczego, co w życiu słyszałam.

To dźwięk pękających nart i łamanych kości. To dźwięk ciała uderzającego o skałę.

Jest w nim coś wilgotnego i miękkiego, a jednocześnie twardego jak gład.

Czy miała na głowie kask? *Czy miała na głowie kask?*

Zapada cisza. Całkowita, nieprzerwana cisza.

– Liz? – wołam drżącym głosem, ale nie pada żadna odpowiedź, nawet żadne kwilenie.

Próbuję wstać, ale nie jestem w stanie. Ból przeszywa mi nogę, a moja kostka się poddaje.

Przykucam na śniegu, przechylona na bok, próbując nie wymiotować z bólu.

Wiem, że powinnam ją zostawić, ale tego też nie mogę zrobić.

Myślę o słowach Danny'go przed jego wyjściem. „Ja cię znam... I nie opowiadaj mi pierdół o tym, że serce ci się kraje. Myśl najpierw o sobie”.

Wiem, że miał rację. Ale nie umiem tego zrobić. Nie mogę jej tu zostawić na pewną śmierć, tak jak Alexa, tak jak Willa, samej w śniegu.

Zdejmuję z rąk kijki. Wypinam buty z nart, a potem podnoszę się na rękach i kolanach i zaczynam pełznąć z powrotem w górę, w stronę zakrętu.

**LIZ**

Snoop ID: ANON<sub>101</sub>

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 1



**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 10

Kiedy tam docieram, panuje zupełna cisza.

Liz leży na boku u podnóża urwiska, niczym zgnieciona kupka czerwieni, bieli i niebieskiego. Niebieski jest jej kombinezon, biały śnieg, a czerwony... czerwień jest *wszędzie*.

Krwawiła na śnieg, ale teraz przestała. W czasie, który minął, nim wczołgałam się sześć metrów z powrotem w górę, Liz zdążyła umrzeć. Z jej popękanych ust nie wydobywa się oddech. Kiedy przykładam palce z boku jej szyi, skóra jest ciepła i śliska od krwi, ale nie ma pulsu, nawet pojedynczego drgnienia.

Przez chwilę myślę o tym, żeby spróbować niemożliwego – ucisków klatki piersiowej, oddychania usta-usta... ale kiedy

bardzo delikatnie obracam ją na wznak, widok, który mi się ukazuje, sprawia, że padam na plecy i dławię się z przerażenia. Lewa strona jej czaszki jest rozbita jak jajko, na śniegu leży tkanka mózgowa.

Czuję, że robi mi się słabo, zalewa mnie fala obrzydzenia i mdłości, które sprawiają, że łąduję skulona na ziemi, kiwając się, ściskając własne kolana, a rozdzierający dźwięk w moich uszach musi być moim własnym szlochem, ale brzmi, jakby pochodził od kogoś zupełnie innego.

Nie mam pojęcia, ile mija czasu. Wiem tylko, że dwie rzeczy wytrącają mnie z mojej katatonicznej rozpacz.

Po pierwsze, zaczyna wschodzić słońce. Jar jest zbyt głęboki, żeby sięgnęły tu promienie słoneczne, ale blad różowe promyki zaczynają znaczyć chmury nade mną.

A po drugie... po drugie słyszę, że coś bzyczy.

Przez minutę nie mogę zrozumieć, co to takiego. Brzmi jak telefon, ale ja żadnego nie mam – moja komórka jest całe kilometry stąd w górach, została w domku Perce-Neige, z baterią tak martwą, jak te wszystkie ciała, które pozostawiła za sobą Liz.

Bzyczenie się urywa, a potem zaczyna znowu – i tym razem do mnie dociera. Liz. To z kieszeni Liz.

Jej kombinezon jest przesiąknięty zamarzną krwią, ale wiem, że muszę to zrobić, więc sięgam, ramiona mam sztywne od zimna, i dotykam jej biodra. Odpinam zamek, moje palce w rękawicach są zdrętwiałe i nieporadne, a wtedy coś wyslizguje się na śnieg, coś jasnego jak jakiś szlachetny kamień, brzęczące tak, że do oczu napływają mi łzy.

To telefon Elliota.

Dzwoni.

A dzwoniący to Danny.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: The Pixies / Where Is My Mind

Snooperzy: 8

Snoopserwujący: 151

Nie wiem, jak długo tam leżałam, tuż obok Liz, w rozmokłej kałuży jej szybko zamarzającej krwi. Wiem tylko, że kiedy ratownicy w końcu wspięli się do wąwozu z noszami, byłam prawie w stanie hipotermii i nie potrafiłam odpowiedzieć na ich pytania.

To dzięki Danny'emu przetrwałam te długie godziny, z jego głosem przy uchu, który mówił, mówił, opowiadał mi, że są już w drodze, że muszę wytrzymać, że nie mogę się poddać.

Ale kiedy zespół ratowniczy w końcu przybył i ktoś oderwał siłą telefon od mojej zamarznętej rękawicy, gładkiej od lśniącej, zamarznętej krwi, też nie umiał im powiedzieć, co się stało.

Dopiero po dwóch dniach byłam w stanie poskładać to w całość – wyjaśnić opuszczony domek, tajemniczą wiadomość oraz ucieczkę na oślepie przez zdradziecki wąwóz. Ale nawet ja nie potrafiłam naświetlić wszystkiego. Bo jak wytłumaczyć kogoś takiego jak Liz?

Wyjaśnić to znaczy wskazać jakieś rozsądne powody, zrozumieć czyjeś zachowanie, w pewien sposób uzasadnić.

A ja nie umiem, *nie będę* umiała uzasadnić tego, co zrobiła Liz.

Po kilku dniach zostaję wypuszczona ze szpitala, ale nie mogę wrócić do domu. Po części dlatego, że nie chcę. Mam dwadzieścia dwa lata, nie zamierzam wracać do swojej dziecięcej sypialni z plakatami dawno zapomnianych zespołów oraz ze zdjęciami Willa i Alexa, wiecznych duchów snujących się tuż za mną.

Ale po części dlatego, że dosłownie *nie mogę*. Policja nie skończyła jeszcze badać miejsca zbrodni, jakim stało się Perce-Neige, i poprosili wszystkich zainteresowanych, żeby zostali w okolicy przynajmniej do końca wstępnego dochodzenia. Nie jesteśmy podejrzanymi – a przynajmniej nie wydaje mi się, żebyśmy byli – więc prawnie nic nas nie powstrzymuje przed powrotem do kraju. Ale wyglądałoby to na poważne działanie na szkodę śledztwa i wszyscy o tym wiedzą.

Oczywiście to niemożliwe, żeby wrócić do domku, dopóki pozostaje miejscem prowadzenia śledztwa, więc z pewną ulgą przyjmuję propozycję policji, żeby zatrzymać się w hotelu w St. Antoine le Lac. Dopiero kiedy tam docieram, z plastikową reklamówką z moimi rzeczami, zdaję sobie sprawę, co oznacza ta oferta.

Umieścili tam *wszystkich*. Tophera. Rika. Mirandę. Danny'ego. Carla. Tiger. Nawet Iniga.

Właściwie to Iniga widzę jako pierwszego, kiedy otwieram drzwi i wchodzę do recepcji, i szczeka mi opada.

– Inigo! – Wyciągam z uszu słuchawki, a on się odwraca od lady, przy której próbował załatwić sobie z francuskiej ęzyczną recepcjonistką dostęp do internetu. Na mój widok rumieni się głęboką czerwienią, tak ciemną, że niemal fioletową. Ten rumieniec do niego nie pasuje i odbiera mu jego niewiarygodnie przystojną aparycję, aż zaczyna wyglądać na prawie normalnego człowieka.

– *YYY, excusez-moi, proszę* – zwraca się niezręcznie do dziewczyny za ladą. – *Un moment. Je...* to znaczy... muszę... Boże, Erin, co ty musiałaś... Daj, poniosę ci torbę.

Wskazuje na kulę, której używam, i na pooperacyjną ortezę na kostce, a potem odbiera mi reklamówkę z wolnej dłoni.

– W porządku – odpowiadam ze śmiechem, chociaż ta sytuacja naprawdę nie jest zabawna. – Z moją kostką jest w porządku. To znaczy... nie jest w porządku, jest złamana, ale teraz mogę chodzić, odkąd jest unieruchomiona.

– Ale mimo wszystko – odpowiada udreńczonym tonem.

Wskazuje mi wełnianą kanapę z lat siedemdziesiątych w rogu recepcji i siadamy tam naprzeciwko siebie, niczym zakłopotani goście w jakimś programie telewizyjnym. Wtedy dostrzegam, że ma opatrunek na czole i dwie śliwy pod oczami. Bił się z kimś?

– Erin, musiałaś myśleć... Musisz myśleć... To znaczy, Boże, byłem skończonym debilem. Bardzo cię przepraszam. Bardzo, bardzo przepraszam.

– Za co przepraszasz? – pytam zaskoczona.

– Za to, że pojechałem i tak was wszystkich zostawiłem! Nie miałem pojęcia, że Liz... że ona...

– Inigo, to nie była twoja wina!

– Ależ *była*. To znaczy nie Liz, ale gdybym nie był takim idiotą z tym telefonem, to Ani może nadal... może nadal...

Urywa, a ja zdaję sobie sprawę, że jest bardzo bliski płaczu i rozpaczliwie próbuje się opanować. Dociera też do mnie, że nie mam pojęcia, o czym on mówi. Tak naprawdę w ogóle nie mam pojęcia, co się działo z Inigiem. O co właściwie chodziło z tą rozmową telefoniczną? Dlaczego uciekł?

– Inigo, nie mam pojęcia, o czym ty mówisz – odpowiadam łagodniej. – Co się stało? Czy ty w końcu *naprawdę* udawałeś tę rozmowę telefoniczną? Dlaczego?

– Co? – Teraz on wygląda na zszokowanego. – Nie! Boże, nie! Jak mogłaś sobie coś takiego pomyśleć?

– Więc dlaczego uciekłeś?

– Powiedziałem ci! Zostawiłem kartkę, bo popełniłem taki głupi błąd.

Powstrzymuję westchnienie irytacji i zastanawiam się, nie po raz pierwszy, czy Inigo kiedykolwiek był właściwie dobrym asystentem. Jak Topher z nim wytrzymał?

– Tak, ale nigdy nie sprecyzowałeś, jaki to był błąd – wyjaśniam. – Wszyscy myśleliśmy... – A potem urywam. Inigo znowu się rumieni, tym razem jeszcze bardziej, ale podnosi głowę.

– Wiem. Wszyscy myśleliście, że to ja. Dlatego musiałem odejść, żeby wszystko naprawić. Ten błąd... Boże, byłem taki durny. Powiedziałem policji, że byliśmy w domku Blanche-Neige.

Przez minutę nie rozumiem. A potem opada mi szczęka. Mam nagłą, wyraźną retrospekcję rozmowy Iniga z policją. „Tak... Okej... Domek Blanche-Neige”.

Blanche-Neige. Królewna Śnieżka. Perce-Neige. Przebiśnieg. Łatwy do popełnienia błąd dla kogoś, kto nie mówi po francusku. Ale ten błąd okazał się śmiertelny dla Ani. Och, Inigo, ty *idiot*.

– Znam domek Blanche-Neige – odpowiadam powoli. – Znajduje się jakieś piętnaście kilometrów dalej, po drugiej stronie doliny. Oczywiście. Oczywiście, dlatego policja nie przyjechała. Źle im wskazałeś miejsce.

Inigo kiwa głową, żałośnie przyznając mi rację.

– To był cholernie głupi błąd. I następnego dnia dotarło do mnie, co zrobiłem, więc próbowałem się dodzwonić, żeby to wyjaśnić, ale nikt nie odpowiadał – tłumaczy łamiącym się głosem. – Wiedziałem, że jedyne, co mogę zrobić, by to naprawić, to spróbować zjechać do miasteczka i powiedzieć policjantom, co się stało oraz gdzie jesteście. I tak ruszyłem. Wiedziałem, że to głupie, ale czułem taki... taki wstyd i chciałem wszystko naprawić. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli komukolwiek powiem, co robię, będą chcieli jechać ze mną, a ja tego nie chciałem, nie zamierzałem narażać nikogo na niebezpieczeństwo z powodu mojego błędu. A tymczasem... – Nabiera powietrza, a ja widzę łzy napływające mu do oczu. Wiem, co sobie myśli, podobnie jak ja, o Elliocie i Ani, którzy oboje mogliby żyć, gdyby policja przyjechała tamtego południa, gdyby wiedzieli, gdzie szukać. – Tymczasem zgubiłem się, wjechałem w *drzewo* i obudziłem się w szpitalu. – Dotyka czoła, tego opatrunku, który zobaczyłam, kiedy usiadłam. Dopiero teraz zauważam poobcieraną skórę na jego policzkach i palcach oraz poczerwiałe koniuszki uszu, które musiał sobie odmrozić. – Gdybym tylko nie... – Głos mu się łamie. – Gdybym nie...

– Inigo, nie mogłeś tego wiedzieć – zauważam cicho. – To była pomyłka... po prostu straszna pomyłka. – Takie słowa ludzie powtarzali w rozmowach ze mną miesiącami, teraz już latami. „Nie mogłaś wiedzieć, co się stanie, kiedy zaproponowałaś zjazd poza szlakiem. To nie twoja wina. To była pomyłka... po prostu straszna pomyłka”.

Są takie zdania, które zawsze wydają się pozbawione

znaczenia. A teraz nagle najważniejsze jest to, żeby Inigo w nie uwierzył.

– To *nie twoja wina* – dodaję pospiesznie, starając się z całej siły, by moje słowa zabrzmiały jak najbardziej przekonująco. Wyciągam dłoń, żeby dotknąć jego ręki, czuję szorstkie palce usiane pęcherzami. On uśmiecha się do mnie słabo. Nie wiem, czy mi wierzy. Może. Może nie.

Ani i Elliot mogliby dalej żyć, gdyby Inigo podał właściwą nazwę. Ale nie podał.

Może nauczy się żyć z tym, co się stało, podobnie jak ja to zrobiłam. Jak ja to robię.



**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 160

Nie spotykam się z resztą aż do pory kolacji, solidnej, nie dla wegetarian, którą hotel serwuje równo o dziewiętnastej. Nie ma żadnych rezerwacji, nie można sobie wybrać potrawy ani pory. Tak jak przy rodzinnym posiłku – przychodzisz, kiedy szef kuchni ci powie, i dostajesz danie dnia albo nie zjesz w ogóle. To bardzo wygodne.

Jestem w swoim pokoju, leżę zwinięta w łóżku, na wpół śpię, kiedy słyszę dźwięk dzwonka na kolację i wstaję, czując różne rodzaje bólu w kościach po ostatnich kilku dniach, i pocieram sobie bok policzka w tym miejscu, gdzie odcisnęły się na nim zmarszczki od poduszki. Potem wychodzę na

korytarz.

Kuśtykam w stronę schodów, kiedy otwierają się drzwi i wytacza się przez nie inny gość; prawie mnie przewraca i wytrąca mi kulę z ręki. Schylam się, żeby ją podnieść, czuję, że moja kostka boleśnie daje o sobie znać, a kiedy się prostuję, chcę rzucić jakąś wyrażającą poirytowanie uwagę, i wtedy widzę jego twarz. Stoi nieruchomo, po prostu wpatrując się we mnie.

To Danny.

– Danny!

Zarzucam mu ramiona na szyję, ale on tylko stoi, nie odwzajemnia uścisku, a potem topnieje niczym lodowa rzeźba, obejmuje mnie i ściska za mocno, prawie jakby próbował się upewnić, że naprawdę przed nim stoję.

– Nie uwierzyłem jej – mówi w końcu, jego niski głos dociera do mnie głównie przez klatkę piersiową, do której przyciskam twarz. – Nie uwierzyłem jej. Ten SMS... wiedziałem, że coś było nie tak. Natychmiast ruszyłem, nigdy jeszcze w życiu nie szedłem tak szybko, ale was nie było. Myślałem, że nie żyjesz. Myślałem... Myślałem...

Ale nie jest w stanie dokończyć. Po prostu szlocha, przyciskając twarz do moich włosów, a ja czuję jego mokre łyzy na przedziałku.

– Kuźwa, nie powinienem był stamtąd wychodzić – mówi i ściska mnie jeszcze mocniej. – Wiedziałem, że to niebezpieczne zostawiać cię samą. Mówiłem ci, nie rób niczego głupiego. I co się stało? Zjechałaś poza stokiem ze złamaną kostką. Nie jesteś Jasonem, kurwa, Bourne'em.

Kręcę głową i zacieśniam uścisk, chowam twarz w jego ramieniu, próbując ukryć, że wstrząsa mną szloch. Kocham go – kocham te jego próby wprowadzenia lepszej atmosfery i śmiania się z tego, ale nie potrafię udawać, że się śmieję. Jestem w stanie tylko go przytulać i płakać, i płakać, i płakać,

przez wszystko.

– Do diabła – mówi, a jego głos jest szorstki i cichy, buja mnie w przód i w tył, w przód i w tył. – Nic ci nie jest, Erin. Nic ci nie jest, mała.

A ja chcę mu wierzyć. Ale nie jestem pewna, czy to prawda.

– Wyglądasz jak gówno – mówi w końcu i odsuwa się ode mnie, żeby zmierzyć mnie wzrokiem. Czuję, że chce, żebym się zaśmiała, a we mnie też coś by tego chciało. „Powinieneś zobaczyć tego drugiego gościa”. Mam tę ripostę na końcu języka. Ale Liz nie żyje i to nie wydaje się zabawne. Po prostu wzruszam ramionami, a jego usta układają się w coś jakby prychnięcie.

– Pieprzona suka.

– Przestań – odpowiadam. – Przestań... Nie wiesz, co ona...

Ale przerywa mi drugi dzwonek na kolację i Danny przewraca oczami.

– Lepiej chodźmy. Jesteś gotowa?

– Nie bardzo. A ty?

– Mnie nic nie jest. To ty odstawiałaś Beara Gryllsa.

Śmieję się, ale nerwy mam nadal na postronkach, kiedy powoli i niezdarnie schodzę po wąskich schodach ze swojego pokoju, z kulą pod pachą, drugą ręką podpierając się na chwiejnej poręczu.

Kiedy wchodzę do jadalni, wszyscy już tam są – wszyscy ludzie, którzy w różnym czasie zniknęli. Topher, Tiger, Rik, Inigo, Miranda i Carl – wszyscy siedzą przy długim stole jadalnym, a kiedy wchodzę, niepewna, z jakim powitaniem się spotkam, wszyscy wstrzymują oddech, a potem, ku mojemu zaskoczeniu, Topher przerywa ciszę powolnym klaskaniem, które najpierw podchwytuje Inigo, a potem Rik, Miranda i cała reszta.

– O cholera – mówi Carl, zrywając się ze swojego miejsca, żeby pomóc mi z kulą i z krzesłem. – Wyglądasz gorzej niż

Inigo, a to naprawdę coś.

Moje miejsce znajduje się obok Tiger, która obejmuje mnie ramieniem, kiedy Carl przysuwa mi krzesło, i trzyma w ciepłym, jednostronnym uścisku.

– Erin – mówi. – Wszystko w porządku? To musiało być przerażające. Strasznie cię przepraszam, nie powinniśmy byli cię zostawiać.

– W porządku – wyduszam z siebie. Oczywiście mam pełne łez. Nie mogę wymyślić, co powiedzieć. Moja kostka, wewnątrz ortezy, boleśnie pulsuje, i czuję wszystkie skupione na mnie spojrzenia. Cieszę się, że Danny zmienia temat, kiedy wysuwa sobie krzesło z mojego drugiego boku i opada na nie z westchnieniem.

– Pachnie znowu jak ten pieprzony gulasz – zauważa ponuro. – Ostatnio był koszmar. – Jego irytacja jakoś przełamuje lody i Inigo uśmiecha się blado.

– Trochę głośniej, stary – rzuca Carl, kiedy młoda kelnerka, ta sama dziewczyna, która przyjmowała mnie w recepcji, wchodzi do pokoju, ostrożnie niosąc trzy talerze gęstego, bladego gulaszu, ciężko oddychając w skupieniu, kiedy omija róg stołu. – Chcemy mieć pewność, że napluje do właściwego talerza.

– Biorąc pod uwagę, co podawali wczoraj wieczorem, to trochę śliny wyszłoby temu jedzeniu na dobre – rzuca pod nosem Rik.

– Szszsz – syczy surowo Miranda, a Rik się uśmiecha i głaszcze ją po karku z taką swobodną poufałością, aż myślę sobie, że niezależnie od tego, co czeka na nich w domu, tych dwoje nie wróci do Anglii tylko jako koledzy z pracy. Coś się między nimi zmieniło, nieodwołalnie, a Rik wydaje się silniejszy, bardziej zdeterminowany niż ten człowiek, którego poznałam zaledwie przed paroma dniami.

Za to Topher wygląda na bladą, sflaczałą wersję tego

charyzmatycznego mężczyzny, który wysiadł wtedy z kolejki. Właściwie nic w tym zaskakującego – stracił współzałożycielkę i najlepszą przyjaciółkę, dla każdego byłaby to straszna cena za odzyskanie kontroli nad własną firmą. Zdaje się, że go to postarzyło i odebrało mu część jego pewności siebie i blasku. Chociaż nadal siedzi u szczytu stołu i kiedy podają gulasz, stuka widelcem w swoją szklankę oraz odchrząkuje, a my wszyscy spoglądamy na niego z wyczekiwaniem.

– Yyy... słuchajcie, nie będę mówił długo – oznajmia, a potem urywa i ociężale pociera sobie czoło, jakby zgubił wątek. – Ale... no cóż, mam dwie nowe wieści. Pomyślałem, że zasłużyliście na to, żeby dowiedzieć się o tym jak najszybciej.

Popija duży łyk czerwonego wina z kieliszka stojącego przed nim, po czym krzywi się i ociera twarz. Nie przypuszczam, żeby to był taki dobry rocznik, do jakich przywykł.

– Po pierwsze, cóż, nie jest mi o tym łatwo mówić. – Przełyka, jego grdyka się rusza. – Ta... yyy... propozycja wykupu została wycofana.

Wokół stołu przebiega pomruk. Brzmi jak mieszanka zaskoczenia i zmartwienia, ale ludzie nie są zbyt zdziwieni. Rik i Miranda wymieniają się spojrzeniami.

– Co to oznacza dla sytuacji firmy, kiedy wszystko wyjdzie na jaw? – pyta wprost Carl. Topher nie odpowiada. Rik zakłada ręce na piersi, a jego usta układają się w cienką linię wyrażającą pełnię irytacji.

– Wszystko leci do kibla, mam rację? Nie musisz nam tu pierdolić, Toph. To nie są umizgi do inwestorów. Zero zaskoczenia, co? Szeroko nagłośniona masakra w czasie pracy, jeden współzałożyciel nie żyje, prawdopodobnie ten, którego inwestorzy bardziej lubili...

– Rik! – odzywa się Tiger. Wstaje, jej krzesło skrzypi na kafelkach, ma wykrzywioną twarz, jej aura spokoju raczej zniknęła. – Rik, na Boga! Czy to jest ważne? Eva nie żyje.

Elliot nie żyje. Ani nie *żyje*. – Głos załamuje jej się na ostatnim słowie. – Jak możesz w ogóle zawracać dupę wyceną akcji?

Ma rację i Rik o tym wie. Opada z powrotem na krzesło i słabo wzrusza ramionami.

– Takie są fakty – odpowiada, ale nie w taki sposób, jakby się z nią spierał, tylko jakby próbował się wycofać ze swojej niedelikatności. – Tylko tyle chciałem powiedzieć.

No i ma rację. To są fakty, i to istotne dla ludzi, którzy tracą pieniądze oraz pracowników, którzy wkrótce być może stracą pracę, gdy pęknie bańka Snoopa. Ale Tiger też ma rację. Te fakty są niczym w porównaniu z utratą ich kolegów z pracy.

– A jaka była ta druga rzecz? – pyta Miranda. Jej wtrącenie się w nieprzyjemną ciszę po wybuchu Tiger jest niespodziewane i Topher przez chwilę wygląda na skonsternowanego. – Powiedziałeś o dwóch wiadomościach – przypomniała mu. – Jaka była ta druga?

– Och. – Topher wygląda... Sama nie wiem. Jakby zrobiło mu się niedobrze. Pociera twarz. – Dostałem list. To znaczy mejl. Od Arnauda.

Arnauda? Danny zerka na mnie, marszcząc brwi, a mnie się wtedy przypomina.

– Męża Evy – szepczę mu, a na twarzy Danny'ego pojawiają się zrozumienie i niepokój.

– Dowiedział się? – pyta Rik. Wygląda na trochę chorego. Topher kiwa głową.

– Policja mu powiedziała. Nie przedstawili mu wszystkich szczegółów, tylko podstawowe fakty, że zginęła w wypadku na nartach. W każdym razie wysłał mi pliki.

– Pliki? – Miranda wygląda na zagubioną. Nie ona jedna. – Na temat Evy?

– Cały folder. Na temat różnych ludzi. Listy. Zdjęcia. Nagrania wideo. Eva poprosiła go, żeby to wszystko mi wysłał w przypadku jej śmierci. Arnaud żadnego z nich nie widział,

były chronione hasłem, ale ja to przejrzałem i... jest tam takie jedno nagranie... – Przeciąga ręką po swoich poczochranych blond włosach, mierzwiąc je, ale nie wyglądają już, jakby sterczały w artystycznie ułożony sposób, tylko po prostu na nieuczesane. – Wiecie co, nie wiem, co mam z tym, kurwa, zrobić. Eva to na mnie zrzuciła i reszta jest naprawdę okropna, ale to... Ta jedna rzecz... to jakby za dużo na jedną osobę.

Wydaje się... Szukam słowa. Wydaje się zagubiony.

– Chcesz, żebyśmy też to obejrzel? – pyta Rik. – Wszyscy?

Jego wzrok wędruje na mnie i Danny'ego. Łatwo się domyślić, czego nie dodał – czy to są tajne sprawy Snoopa? Ale ku mojemu zaskoczeniu Topher kiwa głową.

– Wszyscy. To dotyczy nas wszystkich.

Obok mnie Danny marszczy brwi i wiem, jak się czuje. Coś zostanie na nas zrzucone – a ja nie rozumiem dlaczego. Dlaczego to ma coś wspólnego ze mną i z Dannym? Czy Eva wysłała coś do swojego męża przed śmiercią?

Topher wyciąga swojego macbooka, klika w link i wstukuje hasło. Potem ustawia ekran w stronę stołu, zerka na drzwi do kuchni, żeby sprawdzić, czy nie krąży tam kelnerka, i wciska *play*.

Przez minutę trudno ocenić, na co patrzę. To wygląda na nagranie z telefonu komórkowego, ale w nocy, a do tego ze słabą, ziarnistą rozdzielczością. Przypomina jakiś ogród – albo nie, to balkon, w tle widzę dachy domów. Stoją tam jakiś mężczyzna z kobietą, rozmawiają, ale chociaż słyszę oddech osoby filmującej, nie słyszę wcale pary na balkonie, więc przychodzi mi do głowy, że są nagrywani ze środka, przez szybę.

Ta kobieta opiera się o przeciwną ścianę, jej twarz jest ukryta w cieniu, więc nie sposób powiedzieć, kto to, ale w jej postawie jest coś znajomego, a do tego widać, że jest mocno

podpita. Opiera się dla równowagi dłonią o ścianę, a kiedy mężczyzna się pochyła, proponując jej więcej szampana, kieliszek w jej dłoni z pewnością się buja.

Nie rozpoznaję tego mężczyzny. Jestem tego pewna. Stoi plecami do balkonowego parapetu, więc widzę go tylko z profilu, ale to nikt, kogo znam. Jest przystojny w taki oczywisty sposób, a w jego zachowaniu jest coś protekcyjnego, jakby podobało mu się traktowanie z góry tej młodej kobiety przed nim, cieszy go jej uległość. Podnosi swój kieliszek do ust i wypija go do dna, a potem mówi coś do niej.

Ona kręci głową. Próbuje się jakby odsunąć, ale mężczyzna kładzie rękę na ścianie nad jej głową, blokując jej przejście. Jest wciśnięta między jego ciało po jednej stronie a ścianę domu po drugiej. Moje serce zaczyna bić szybciej. Wiem, co się dzieje. Byłam tą kobietą. Czuję jej panikę. Wiem, jak bardzo będzie chciała uciec.

A potem, z premedytacją, on kładzie dłoń na jej piersi.

Krzyczę w sobie do niej, żeby kopnęła go w golenie, przyłożyła kolaniem w jaja, *uciekła*.

Ale zaczynam mieć złe przeczucie, że znam tę kobietę. I wiem, co zaraz zrobi.

Kuli się z jednej strony, próbując się wydostać z jego uścisku, ale on ją blokuje, kładzie tam drugą dłoń, żeby zapobiec jej ucieczce, a teraz się pochyła, zbyt blisko dla mnie, żebym zobaczyła, chociaż jestem w stanie sobie wyobrazić, potrafię to sobie wyobrazić zbyt dobrze. Moje serce wali teraz jak szalone, aż mi słabo. Dlaczego ta osoba trzymająca telefon jej nie pomoże?

To pchnięcie, kiedy nadchodzi, nie jest dla mnie zaskoczeniem, mimo że słyhać, jak osoba nagrywająca wydaje okrzyk, podobnie jak kilka osób oglądających to ze mną w jadalni.



Na ekranie mężczyzna zatacza się do tyłu, na niską barierkę balkonu, bez tchu. A kolejne kilka sekund rozgrywa się tak szybko, że ledwo widzę, co się dzieje.

Ta kobieta podchodzi do niego i przez sekundę myślę, że chce mu pomóc. Ale nie robi tego. Znowu go popycha. A tym razem jego nogi się podnoszą, kieliszek wyslizguje mu się z dłoni, ręce wymachują w powietrzu – i już go nie ma.

Dopiero kiedy ta kobieta się odwraca, żeby odejść, widzimy jej twarz.

Jest całkowicie spokojna.

To oczywiście jest Liz.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: offline

Snoopserwujący: 160

Kiedy Topher zamyka i odkłada laptop, przy stole panuje całkowita cisza. Pierwszy odzywa się Carl.

– Kurwa, co my właśnie obejrzeliliśmy?

– Wydaje mi się... – odzywa się Miranda, jej twarz jest pozbawiona kolorów. – Wydaje mi się... że właśnie obejrzeliliśmy, jak Liz kogoś morduje.

– To dlatego Eva została zabita – dodaje Topher ochryłym głosem. – To musi być to, prawda? Liz musiała zdawać sobie sprawę, że ona wiedziała.

– Ale... to nie ma żadnego *sensu* – odpowiada zdumiona

Miranda. – Dlaczego miałyby zabijać Evę, skoro wiedziała, że ona miała nagranie?

– Przypuszczam, że nie wiedziała o tym nagraniu – odpowiada Topher. Wygląda na nieopisanie zmęczonego; na jego twarzy wyryły się zmarszczki mężczyzny dziesięć lat starszego od niego.

– Nie miała o nim pojęcia – odpowiadam. Moje słowa wpadają w ciszę jak kamienie do studni, a wtedy wszyscy odwracają się zaskoczeni w moją stronę.

– Wiedziałaś o tym? – pyta z ociążaniem Miranda.

Kiwam głową.

– Tak, wiedziałam. Liz przyznała mi się, zanim... – Urywam, nie mogę się zdobyć na to, żeby opowiedzieć, co się stało, mimo że przeszłam już przez to z policją: niekończąca się noc, pigułki w czajniku, koszmaryny pościg w ciemnościach, jej przerażająca, samotna śmierć. – Zanim uciekłam – kończę nieprzekonująco.

– Kurde, ona z zimną krwią zabiła jakiegoś faceta – mówi Carl. Jest w takim szoku, że jego głos brzmi pusto.

– On ją zaatakował – odpowiada sztywno Miranda, ale nie słucham wynikającej z tych słów kłótni. Jestem zbyt zajęta myśleniem nad czymś innym.

Kto to nagrywał? I dlaczego?

Jest tylko jedno wyjaśnienie – to musiała być Eva. Z relacji Liz wynikało, że tamtego wieczoru nie było tam nikogo innego. I miała to nagranie. To ona *musiała* być tą osobą ukrywającą się wewnątrz mieszkania, nagrywającą przez zamknięte okno. To jedyne wyjaśnienie mające jakiś sens i łączy się z opowieścią Liz o tym, co się wtedy działo, o tym, jak Eva ich przeprosiła i wyszła do łazienki tuż przed tym, kiedy to się wydarzyło.

Ale... Łączę ze sobą fakty, podczas gdy wokół mnie wybucha kłótnia, piskliwy głos Mirandy przekrzykuje niskie tony Carla.

Dlaczego Eva miałyby to nagrywać? Chyba że wiedziała, a przynajmniej miała silne przeczucie, że Liz będzie napastowana.

I wtedy przypominam sobie słowa Liz, kiedy powtarzała po Evie: „Poza tym Norland lubi takie w jej stylu. Lubi młode”.

Czy... Czy Eva *wysłała* tam Liz, wiedząc, że Norland prawdopodobnie będzie się do niej przystawiał, wiedząc, że Liz będzie się bronić i potem... co?

I wtedy wszystko wskakuje na swoje miejsce, tworząc koszmarnie zakończenie.

Wtedy Eva miałyby nagranie faceta, potencjalnego inwestora, który napastuje seksualnie jej pracownicę.

Miałyby go w garści.

Eva była szantażystką – o tym już wiedziałam. Ale z jakiegoś powodu ta okrutna, skalkulowana ustawka jest o niebo gorsza od wszystkiego, co sobie do tej pory wyobrażałam.

Wysłała Liz jak jagnię na rzeź. Nie wiedziała tylko, że Liz wcale nie jest jagnięciem.

Tak jak Liz mówiła, nikt w Snoopie jej nie doceniał.

Cóż, to był błąd. A błąd Evy ją zabił. Zabił też Norl anda. A teraz zabił Liz.

– Ona wiedziała – mówię cicho i na początku mnie nie słyszą, kłótnia toczy się dalej gdzieś ponad moją głową, ale wtedy odzywa się Tiger:

– Co powiedziałaś, Erin?

– Ona wiedziała. – Gdy to powtarzam, wszyscy inni milkną, więc moja słowa wpadają w nagłą ciszę jak małe ładunki wybuchowe.

– Kto? Liz?

– Eva. Ona *wiedziała*, że ten facet prawdopodobnie będzie napastował Liz. Dlatego to nagrywała. Powiedziała ci to, Rik, pamiętasz? „Poza tym Norland lubi takie w jej stylu. Lubi

młode”.

Rik nic nie odpowiada, ale jego mina wyraża więcej niż jakiegokolwiek słowa. Pamięta. Pamięta doskonale. I rozumie. Mimo wszystko wyjaśniam to reszcie.

– Odstawiła Liz i zabrała ją do jego mieszkania, wiedząc, że Norland prawdopodobnie będzie się do niej przystawiał, a Liz spanikuje. I że będzie miała to wszystko nagrane.

– Kuuuurwa – mówi Carl, twarz ma ziemistą. – Powiedziała mi kiedyś, kiedy ją spytałem, w jaki sposób zrobiła się taka dobra w przekonywaniu inwestorów... Powiedziała, że każdy ma jakiś słaby punkt, trzeba go tylko znaleźć i przycisnąć go najmocniej, jak się potrafi, nawet jeśli ten ktoś będzie piszczeć.

– Ten film miał jej dać ten słaby punkt – zauważam. – Tylko że to nie potoczyło się tak, jak zaplanowała.

– Przez cały ten czas – mówi powoli Tiger. – Przez cały ten czas ciągle przypominała o tym Liz. Co my teraz *zrobimy*?

– Co *możemy* zrobić? – pyta Topher. Wstaje, przeczesuje dłońią włosy. – Kurwa, to jest potworne: ten pieprzony folder. I to nie dotyczy tylko Liz. Miała haki na mnóstwo różnych ludzi. To jak jakaś bomba zegarowa.

– Czy Arnaud o tym wie? – pyta Rik. Topher kręci głową.

– Nie, nie powiedziałem mu, co zawierają te pliki. Jeżeli wypłyną, to będzie *koniec* Snoopa. Co my mamy zrobić? Firma oparta na szantażowaniu inwestorów? Moglibyśmy przetrwać śmierć Evy, a nawet te rewelacje na temat Liz. Ale jeśli to wypłynie, może być po nas. – Rzuca przez stół spojrzenie Rikowi. – Serio, *dostownie* po nas. Ty i ja moglibyśmy się spodziewać odsiadki. Jak mielibyśmy udowodnić, że o tym nie wiedzieliśmy?

– Nie możemy tego ukryć! – woła Tiger przerażonym tonem.

– Topher, co ty sugerujesz? Mamy udawać, że tego nie wiedzieliśmy?

– Mówię tylko... – Topher jest zdesperowany. Znowu przeciąga dłonią po włosach w kolorze słomy, wygląda teraz na wpół obłąkanego. – Pytam tylko, co dobrego mogłoby wyniknąć z tego, że byśmy to wszystko ujawnili? Eva nie żyje. Liz nie żyje. Norland nie żyje. Nikomu nie można wymierzyć sprawiedliwości. Możemy tylko skrzywdzić Arnauda i Radisson.

– I *Snoopa* – podsuwa oskarżycielsko Tiger. – O to ci tak naprawdę chodzi, prawda? Nie o Arnauda, tylko o ochronę własnego stanowiska. – Jej zwykle spokojny głos zrobił się wysoki ze złości i udreki. – A co z Liz?

– Liz jest morderczynią! – krzyczy Topher.

– Ona jest ofiarą!

– Ona jest pieprzoną psychopatką – zauważa rzeczowo Carl.  
– To znaczy była.

Zapada cisza, wszyscy się nad tym zastanawiamy.

Bo rzeczywiście. Liz *była* ofiarą. I tak jak powiedziała, nigdy nie chciała tego wszystkiego. Była po prostu biednym, zagubionym dzieciakiem, który znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Ale nie mogę zapomnieć tego drugiego, dodatkowego pchnięcia. I nie mogę zapomnieć Ani, małej, ufnej Ani. Może oni *wszyscy* mają rację. Może Liz była jednym i drugim.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: The Verve / Bitter Sweet Symphony

Snooperzy: 43

Snoopserwujący: 164

Kiedy kolacja się kończy, dyskusja nadal trwa, a ja niezdarnie wspinam się po stromych schodach do swojego pokoju, zostawiając za sobą podniesione głosy innych pochłoniętych wściekłą wymianą zdań i błędne koło kłótni. Z ulgą wtykam do uszu słuchawki i opadam na łóżko z kostką uniesioną do góry, nie myśląc o niczym innym, tylko o muzyce w mojej głowie.

Ledwo słyszę pukanie do drzwi, ale coś sprawia, że

wyciągam jedną słuchawkę z ucha i rozlega się znowu, krótkie „puk-puk”.

Wzdycham, zestawiam nogi z łóżka i kuśtykam do drzwi.

To Danny. Trzyma w rękach moją kulę.

– Zostawiłaś to, mała.

– Och, rzeczywiście. – Uderzam się dłonią w czoło. – Idiotka ze mnie. Dzięki. – Podaje mi ją i zapada chwila niezręcznej ciszy. – Chcesz wejść? – pytam, machając dłonią w kierunku mojego dość skromnego pokoju. – Wiem, że to może nie jest Ritz, ale nie jestem pewna, czy dam radę siedzieć tam na dole ze wszystkimi.

Ku mojemu lekkiemu zaskoczeniu Danny kręci głową.

– Nieee. Ja... no, w sumie to ja wychodzę. Na drinka.

– Z kim? – Jestem zaskoczona. Jeszcze bardziej mnie zaskakuje, że Danny się rumieni.

– Z Erikiem. Synem właścicielki. Wiesz, prowadzi knajpę przy drodze, tę na rogu, z metalowym barem, Petit Coin. Powiedział... no wiesz. „Wpadnij na drinka po kolacji”.

– Danny! – Nie mogę powstrzymać uśmiechu, który pojawia się na mojej twarzy. – To wspaniale. Czy on jest...?

Danny unosi jedną brew, przeciągając ciszę, sprawiając, że się rumienię, a potem wytrąca mnie z zawstydzenia.

– Jeśli pytasz, czy lubi piña coladę, to moje źródła twierdzą, że tak.

– Ha. No proszę. Brawo.

– Jesteś pewna? To znaczy, mogłabyś przyjść... – Urywa, ale ja się śmieję i kręcę głową.

– Nie. Nie, dziękuję. Mnie dziś nie trzeba piña colady. Położę się wcześniej.

– Okej. Dobry plan, Batmanie. – Urywa, ale nadal nie wychodzi. Stoi po prostu, marszcząc brwi i patrząc w swoje stopy, śledząc paluchem błady wzorek na dywanie. – To było cholernie pokręcone, co?



– Ta cała sprawa z filmem? Tak. Jak myślisz, co oni zrobią?

– Cholera wie. Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy sami iść z tym na policję, ale nie wiem, czy to ma jakiś sens.

Zastanawiałam się nad tym samym, ale też niczego nie wymyśliłam i ostatecznie tylko wzruszam ramionami.

Danny się odwraca, jakby miał już iść, a ja mam właśnie zamknąć drzwi, kiedy nagle zawraca, jakby zmienił zdanie. Pochyla się i spodziewam się, że powie mi coś na ucho, ale zamiast tego, dość uroczo i z zaskoczenia, całuje mnie. Czuję jego pełne, miękkie usta na swoim policzku.

– Kocham cię, mała – mówi. Obejmuję go i ściskam.

– Ja też cię kocham, Danny. A teraz idź. Piña colada czeka.

## **ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz: Carole King / Tapestry

Snooperzy: 28

Snoopserwujący: 345

Minęły zaledwie trzy tygodnie; przy kominku w domku wyglądam przez wysokie okno wychodzące na dolinę, słucham muzyki i nie myślę o niczym konkretnym.

Ciągle dziwnie jest siedzieć w tym domku i nie pracować. Zarówno ja, jak i Danny nadal jesteśmy zatrudnieni, technicznie rzecz biorąc, ale nie wiem, ile to może jeszcze potrwać. Po tym, jak Perce-Neige został oficjalnie ogłoszony miejscem zbrodni, jego zdjęcie pokazało się we wszystkich gazetach w kilku krajach, stało się oczywiste, że nawet jeśli szkody po lawinie zostaną naprawione, to nie będzie to chatka na urlopowe wyjazdy, przynajmniej w tym sezonie.

Pozostałe rezerwacje na ten rok zostały albo odwołane, albo pospiesznie przeniesione do innych miejsc zarządzanych przez naszą firmę narciarską, a teraz Danny i ja po prostu czekamy na to, co się stanie, spacerujemy po pustych pokojach, patrzymy na miejsce, w którym po raz ostatni siedziała Ani,

widzimy ducha Elliota wiosłującego łyżką sarninę, słyszymy stukanie obcasów Evy na parkiecie i trzaskanie drzwi sypialni Liz.

Nie mogę zostać w tym miejscu. Teraz to wiem. Ale nie mogę też cały czas uciekać.

Czuję zapachy z kuchni i burczy mi w brzuchu, właś nie myślę o tym, żeby dźwignąć się z fotela i podejść do Danny'ego spytać, o której godzinie będzie podawał, kiedy nagle urywa się mój streaming Snoopa. Przez minutę nie jestem pewna, co się stało. Nie snoopowałam nikogo innego, więc nie powinno mnie tak odciąć. To była *moja* muzyka.

Zaglądam do telefonu, żeby sprawdzić apkę, i wtedy zauważam. Powiadomienie o mejlu. To od Kate. W temacie widzę linijkę „Trudne decyzje”. Coś mnie ściska w żołądku.

– Danny! – przekrzykuję odgłosy garnków i patelni z kuchni. Nie pada żadna odpowiedź, więc już mam wstać i iść, żeby pokazać mu powiadomienie, kiedy pojawia się w drzwiach, ze swoim telefonem w dłoni.

– Też dostałaś? – pyta, a ja kiwam głową.

– Tak, wydaje mi się, że oboje byliśmy załączeni. Co tam jest?

– Otwórz i sama zobacz.

Przewraca mi się w brzuchu, kiedy otwieram wiadomość i skanuję wzrokiem zawartość. „Trudna decyzja... niepraktyczne ponowne otwarcie... ostatecznie sprzedaż... chorobowe... hojna odprawa... czterotygodniowy okres wypowiedzenia”.

– Zamykają domek. – Podnoszę wzrok na Danny'ego. On poważnie kiwa głową.

– No. Na to wygląda. Muszę powiedzieć, że nie jestem tak do końca zaskoczony. Co za tępak chciałby mieszkać w miejscu, w którym zabito czworo gości? Trudno to nazwać domową atmosferą, nawet jeśli pominąć ten zniszczony basen. Co

zrobisz?

– Co ja zrobię? – Patrzę na niego. To głupie, bo miałam już trzy tygodnie, żeby to przemyśleć, ale nadal nie jestem bliższa decyzji. Czy wrócę do pracy? Czy chcę? Teraz to nawet nie jest pytanie.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam w końcu. – A ty?

– Wiesz, moglibyśmy ich pozwać – zagaja Danny. – To znaczy, cytuję, hojna odprawa jest bardzo w porządku, ale kurde, my tu prawie zostaliśmy zamordowani na posterunku. Przypuszczam, że to zasługuje na coś więcej niż kilkutygodniową wypłatę i pudełko pieprzonych czekoladek.

– Nie chcę pozywać – odpowiadam odruchowo, nawet o tym nie myśląc, ale kiedy tylko moje słowa wybrzmiewają, upewniam się, że są słuszne. Nie chcę. Wystarczająco trudno było przechodzić przez to wszystko raz. Nie zamierzam sobie robić tego po raz drugi przed sądem, a co dopiero ciągnąć za sobą Tophera, Tiger, Rika i wszystkich, żeby złożyli zeznania.

– Nooo, ja też tak naprawdę nie chcę – odpowiada Danny, zerkając na ekran z lekkim westchnieniem. – Chociaż nie wzgardziłbym jakimś groszem. No cóż, jak to mawiała moja matula, gdyby babcia miała wąsy, to wiadomo. – Znowu wzdycha i dodaje: – Mogę podawać? Zupa dyniowa z gremolată z orzechów laskowych i przypalony fougasse.

– Brzmi pysznie – odpowiadam, siłąc się na uśmiech. – Nie mogę się doczekać.

**ERIN**

Snoop ID: LITTLEMY

Słucha teraz:

Snooperzy:

Snoopserwujący:

Po lunchu siadamy z Dannym przed telewizorem, a ja wyjmuję swój telefon. Trochę się uzależniałam od sprawdzania, jak rośnie mi liczba snoopserwujących. Nic tak nie podbija statystyk, jak krążąca wieść, że o mało co nie zostałam zamordowana. I lubię też sprawdzać, co u Tophera, Rika, a także reszty. Rik to w aplikacji Rikshaw i nie ma co prawda aż tylu snooperów co Topher, ale dużo bardziej odpowiada mi jego gust muzyczny. Ostatnio słuchał jakiegoś świetnego

kubańskiego rapu.

Ale kiedy otwieram apkę, nic tam nie ma, tylko pusta strona startowa.

Przez chwilę myślę, że niechcący się wylogowałam, ale nie – nadal jestem zalogowana, w prawym górnym rogu widać moje zdjęcie profilowe. Mała Mi z *Muminków* spogląda z ekranu z niezadowoloną miną. Ale nie ma nic na liście ostatnio odtwarzanych, żadnych sugestii profili do śledzenia, brakuje też listy snoopserwujących – właściwie to zniknęły też moje statystyki. Znowu padł internet? Ale pamiętam, jak było poprzednio, i nie wyglądało to tak. *Zbanowali* mnie?

– Danny – odzywam się.

Danny przegląda Netfliksa. Odpowiada, nie odwracając głowy od ekranu.

– Tak, właśnie tak mam na imię.

– Danny, czy twój Snoop działa?

– Tak... dlaczego? – odpowiada, a potem otwiera apkę, żeby sprawdzić. – Nie, czekaj, co takiego? Straciłem wszystkie subskrypcje i ulubione profile. Co się dzieje?

– Nie wiem. Czy kiedyś już tak było? Zbanowali nas?

– Nie... – Danny przewija menu. – Nie, nie wydaje mi się... W zasadzie nie ma niczego, *za co* mogliby cię zbanować. To nie Twitter, tu nie możesz wrzucać jakiegoś skrajnie prawicowego gówna. Nie możesz zrobić niczego poza śledzeniem ludzi. Wydaje mi się... Wydaje mi się, że tak się kiedyś stało, lata temu, kiedy dopiero zaczynali i mieli za mało serwerów. Pamiętam, że na kilka dni cała aplikacja po prostu się zawiesiła i tak to wyglądało. Po prostu pusty ekran. Może to jakieś problemy z serwerem z ich strony?

– Może...

Otwieram Google i wpisuję „Snoop nie działa”.

Wyskakuje mi mnóstwo artykułów. „Z OSTATNIEJ CHWILI” – czytam w pierwszym. „Brytyjski technologiczny start-up Snoop rozpoczął postępowanie upadłościowe”.

I inny: „Użytkownicy Snoopa przeżyli nieprzyjemny szok, kiedy zalogowali się dziś do swojej ulubionej aplikacji, która powitała ich pustym ekranem po tym, jak firma zamknęła serwery w wyniku ogłoszenia upadłości przez jej założyciela i prezesa, Tophera St. Clair-Bridgesa”.

– Kurwa. – Po jego twarzy i po tym, jak na mnie patrzy, widzę że Danny wyszukał właśnie to samo i czyta ten sam artykuł albo jakiś podobny. – Kurwa, splajtowali. Rik miał rację.

Wypuszczam z siebie powietrze i czuję, jak schodzi ze mnie napięcie, z którego istnienia nie zdawałam sobie sprawy. Nie chodzi o to, że się cieszę z tego, że Snoop zbankrutował – wręcz przeciwnie. Myśl, że Inigo, Tiger, Carl i cała reszta zostali bez pracy, nie wspominając już o tych wszystkich osobach, których nie poznałam – to mi nie daje żadnej przyjemności. Ale uspokaja to mój umysł w kwestii decyzji, która dręczyła mnie podświadomie już od trzech tygodni. O tym, co zrobić z nagraniem Evy.

Ponieważ tej jednej kwestii nie rozwiązaliśmy, zanim Snoop wyjechał z St. Antoine. Z jednej strony był silny argument Tophera, że nikomu nie przysporzy to niczego dobrego i zniszczy to Snoopa tak, że już się po tym nie podniesie, a prawdopodobnie setki ludzi stracą pracę.

Ale z drugiej strony, to właśnie dokładnie to równanie sprawiło, że trzymanie tego w tajemnicy było takie niewygodne. Nie robiliśmy tego, bo tak było *słusznie*, tylko dlatego, że było to *korzystne*, co Tiger podkreślała w kółko i w kółko przez kilka ostatnich dni ich pobytu w hotelu w St. Antoine podczas powracających, przepełnionych goryczą kłótni.

– Czy ty chcesz mi powiedzieć – wściekał się Topher – że gdyby nie chodziło o Snoopa, to chciałabyś, żeby rodzina Evy musiała przez to wszystko przechodzić? Świadomie dopisałaś kolejnego trupa na konto Liz, otworzyłaś te wszystkie stare rany, o których rodzina tego mężczyzny myślała, że od lat ma za sobą, męczyłaś Arnauda czymś, czego wcale nie musi wiedzieć? Czy to wszystko rzeczywiście jest warte poświęcenia, żeby ujawnić prawdę, kiedy wszyscy, których ona dotyczy, już nie żyją?

– Nie! – krzyczała Tiger. – Ale nie o to chodzi, my nie rozważamy tego wszystkiego w opozycji do prawdy, my rozważamy *Snoopa* w opozycji do prawdy i dlatego to jest takie problematyczne! Topher, nie możesz iść przez życie, spodziewając się, że każdy będzie w stanie poświęcić swoje zasady dla twojej wizji firmy, to nie *działa* w ten sposób. Przez to wychodzisz tylko na aroganckiego, uprzywilejowanego...

– Uprzywilejowanego, uprzywilejowanego, kurwa, znowu uprzywilejowanego! – wrzeszczał na nią Topher. – Mam tak cholernie dość tego słowa! Z tego się zrobił jakiś kij do bicia białych mężczyzn. Czy ty wiesz, co to w ogóle *znaczy* uprzywilejowany, Tiger? To *znaczy*, że na coś *zastępujesz*, że coś ci się legalnie *należy*, z jakiegoś powodu. Pomyśl o tym, zanim następnym razem nazwiesz kogoś uprzywilejowanym.

I wtedy wybiegł.

Teraz, trzy tygodnie później, ponownie o tym myślę. Myślę, co tak naprawdę oznacza uprzywilejowanie. O tym, że rodzina nieznanego mi dyrektora ma przywilej poznać prawdę o swoim synu i bracie. O tym, że niewinna córeczka Evy ma przywilej dorastać bez wiszącego nad nią cienia czynów popełnionych przez jej matkę. I myślę o tym, że umarli mają przywilej spokoju.

Topher jest uprzywilejowany, i to prawda. Uprzywilejowany w taki sposób, o jaki chodziło Tiger. Idzie przez życie, biorąc,



biorąc i biorąc, podobnie jak to robiła Eva. Wykorzystywali ludzi jak figury szachowe. Pracowników, inwestorów, przyjaciół, związki – brali i brali od nich wszystkich. I nigdy nie zaakceptowali, że ponoszą odpowiedzialność za wyrządzone przez siebie krzywdy.

Myślę o tym, co oznacza odpowiedzialność.

Myślę o poczuciu winy.

Myślę o tym, żeby zacząć żyć dalej.

## **ERIN**

Jestem w swoim pokoju, pakuję się, kiedy przychodzi mejl. Nie wiem, czego się spodziewałam – może Kate z jakimiś ostatnimi szczegółami na temat naszych odpraw albo HR z jakimiś prawnymi klauzulami do podpisu. To nie jest żadna z tych rzeczy. A ja nie rozpoznaję adresu nadawcy.

Ale w temacie widzę „Przepraszam”, więc klikam i otwieram wiadomość.

Zerkam na dół mejla, żeby sprawdzić, od kogo jest – i imię tej osoby sprawia, że zamieram z zaskoczenia. Topher. Co on, do diabła, mi wysyła?

Marszczę brwi. Potem przewijam na górę, żeby przeczytać, co właściwie napisał.

*Droga Erin,*

*przypuszczam, że dowiedziałaś się już z mediów o bankructwie Snoopa. Pieprzone kapitalistyczne żmije. Kiedy jesteś na czasie, to wszyscy chcą ci wepchnąć język do gardła, a gdy naprawdę ich potrzebujesz, to się okazuje, że równie*

*dobrze możesz mieć opryszczkę.*

*Gdyby Eva tu była, powiedziałaaby „a nie mówiłam”, jak sądzę, ale jej nie ma – więc nie mogę jej dać nawet tej niewielkiej satysfakcji.*

*Pobrałem Twój e-mail z bazy użytkowników, zanim się zamknęliśmy. Wiem. Nie wydaj mnie. Ale słuchaj, chciałem powiedzieć... Och, pieprzyć to. Nie wiem. „Przepraszam” albo jakieś bzdury w tym stylu. Przepraszam za wszystko, co Ci się przydarzyło, ale przede wszystkim przepraszam za to, że byłem takim tępym złamasem, jeśli chodzi o Alexa i Willa. Wciąż wracam myślami do tego popołudnia w domku, kiedy zdałem sobie sprawę, kim jesteś, i... no słuchaj, nie mogę cofnąć swoich słów, ale przede wszystkim nigdy do tej pory za nie nie przeprosiłem, więc robię to teraz.*

*Nie jestem za dobry w przepraszaniu. Szczerze mówiąc, nie mam w tym zbyt wiele wprawy, więc po prostu to powiem. Przepraszam. Alex i Will – to były dobre chłopaki. Nie zasługiwali na to, co im się przydarzyło, i Ty też nie. I cholernie mi przykro z powodu tego, co zasugerowałem – nie jestem pewien, ile z tego usłyszałaś, nie było Cię wtedy w pokoju, ale pod wpływem chwili powiedziałem dużo strasznie gównianych rzeczy i nie jestem z tego dumny.*

*Bo chodzi o to, że teraz, kiedy już opadł kurz, a ja miałem trochę czasu, żeby się z tym pogodzić, zrozumiałem. Rozumiem, co utrata takich ludzi robi z człowiekiem. Eva, Elliot – oni nie byli moją rodziną, ale byli jej najbliżsi. Elliot i ja przetrwaliśmy razem tę samą szkołę podstawową, a Eva... sam nie wiem. Trudno to wyjaśnić. Nawet po tym, jak się rozstaliśmy, nigdy tak naprawdę nie urwaliśmy tego, co nas łączyło.*

*Więc teraz rozumiem. Rozumiem, dlaczego nam nie powiedziałaś. Rozumiem, dlaczego nie mogłaś wyjechać.*

*Myślę o nich przez cały czas. O Elliocie, który został*

*poddany sekcji zwłok w jakiejś francuskiej kostnicy. O Evie, która nadal leży tam zamrożona w górach, jak Śpiąca Królewna. I o Liz chyba też. Kurwa.*

*W każdym razie – to naprawdę wszystko. Chciałem to tylko powiedzieć po raz ostatni.*

*Przepraszam.*

*Topher*

*PS Chciałem Ci tylko powiedzieć; te pliki – przekazałem je wszystkim policji. Czuję, że to jest właściwa rzecz. Zrobiłem to na koniec, w zeszłym tygodniu. Zanim to wszystko się stało. I nie dlatego upadł Snoop – chciałbym powiedzieć, że to był powód, ale nie. Mimo wszystko zależało mi, żebyś wiedziała.*

Kiedy podnoszę wzrok znad ekranu, zauważam z zaskoczeniem, że mam mokre policzki. I chociaż nie wiem, jak zareagować, klikam przycisk odpowiedzi i przez długi czas siedzę, a moje palce czekają tuż nad klawiszami. Aż w końcu piszę. Tylko sześć słów. I naprawdę, naprawdę mam nadzieję, że to prawda.

*Drogi Topherze, wszystko będzie w porządku.*

## **ERIN**

– Oj, mała. – Ramiona Danny’ego mam wokół szyi, jego twarz wtula się w moje ramię. – Będę za tobą tęsknił, ty głupia krowo.

– Ja też będę za tobą tęskniła. – Odwzajemniam uścisk, czując jego silne ramiona, twarde pod kurtką, pachnące jego stałym zapachem francuskiego gotowania: długiego duszenia gulaszy pełnych wina, topienia masła, podsmażania czosnku, samych dobrych rzeczy.

– Nic ci nie będzie?

Kiwam głową. Bo po raz pierwszy od długiego czasu... wydaje mi się, że mam się dobrze.

– Muszę wracać do domu – odpowiadam, tym razem szczerze. Nie domu w St. Antoine, tylko domu w Anglii, gdzie pograżeni w żałobie rodzice Willa oraz moja rodzina czekają cierpliwie, aż pogodzę się ze swoimi duchami.

Byłam z nimi tak długo sama, słuchając Willa i Alexa w swojej głowie, próbując się pogodzić z tym, co się wydarzyło, co zrobiłam – próbując się pogodzić z odpowiedzialnością za wypowiedzenie tych trzech niewinnych słów: „Pojedźmy poza

stok”.

Leżąc tam w śniegu z Liz, czując, jak jej życie gaśnie mi pod palcami, zrozumiałam – nie mogę już więcej uciekać. I może to dobrze.

– A czy tobie nic nie będzie? – pytam. W oddali nadjeżdża autobus. Słyszę dźwięk zimowych opon na odśnieżonej drodze.  
– Co będziesz robił? Spróbujesz dostać pracę w którymś z innych domków?

– Och – odpowiada Danny i ku mojemu zaskoczeniu lekko się rumieni. Koniuszki jego uszu wystające spod czapki są zabarwione na różowo. – Och, tak, no cóż, właściwie to mam już ustawione miejsce.

– Masz?

– Tak. – Odkasłuje trochę zakłopotany. – Yyy, pamiętasz tamten hotelik, w którym umieściła nas policja?

– Ten z obrzydliwym gulaszem? Oczywiście, że pamiętam!

– No to zwolnili swojego kucharza. A, hm, no wiesz, kumpel mnie polecił.

– Kumpel? – Uśmiecham się teraz szeroko. – *Kumpel?* Czy tym kumplem jest może seksowny Eric, syn właścicielki? Pan Piña Colada z le Petit Coin?

Danny rumieni się tak wściekle, że nie mogę się powstrzymać i szturcham go w żebra, żeby go rozbawiać.

– Och, Danny! Co musiałeś zrobić, żeby na to zasłużyć?

– Tym się nie martw. – Policzki ma czerwone i na wpół patrzy na mnie gniewnie, a na wpół odwzajemnia mój uśmiech, ale widzę, że promienieje szczęściem. – Odrobina nepotyzmu jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

– Poważnie wątpię, czy to był nepotyzm. Wystarczy jeden kęs twojego gulaszu i Eric musiałby być szaleńcem, żeby cię nie zwerbować.

Chcę wiedzieć więcej. Chcę wiedzieć wszystko, ale teraz autobus jest już prawie na miejscu i nie mam czasu. Całuję

Danny'ego w policzek, a on podnosi moją drugą torbę i kiedy autobus podjeżdża, podaje ją człowiekowi zajmującemu się pakowaniem bagażu.

– Proszę mieć ją na oku – mówi po francusku do kierowcy, a ja powoli wchodzę po schodach. Nie potrzebuję już kuli, ale moja kostka nadal jest w ortezie. – Nie jest taka twarda, na jaką wygląda.

– *Bien sur!* – woła w odpowiedzi kierowca i do mnie mruga.

Wsuwam się na swoje miejsce i słyszę, że Danny woła coś przez grube okno, więc otwieram mały wietrznik na górze i klękam na siedzeniu, żeby spojrzeć na niego z góry.

– Co takiego?

– Zapomniałem powiedzieć! Ściągnij sobie Choon!

– Choon?

– To jest nowy Snoop, mała. Tylko lepszy. C, H, podwójne O, N.

– Choon. Dobra! – wołam w odpowiedzi. A potem auto karusza i zamykam okno. Przyspiesza, a ja macham do Danny'ego i on macha do mnie, posyła mi całusa, a ja czuję łzę spływającą mi po policzku.

Potem woła coś przez szybę, ale nie mogę zrozumieć, co to takiego.

– Nie słyszę cię! – wołam. Moja twarz się marszczy. Ocieram łzy z policzka, czując sztywny, nierówny brzeg blednącej blizny pod knykciami. – Kocham cię! – Ale jesteśmy już zbyt daleko i wiem, że on też nie słyszy.

Opadam z powrotem na siedzenie i czuję, jak serce mnie boli na myśl o wszystkich, których straciłam, o wszystkim, co zostawiam za sobą w tych górach. Po twarzy spływa mi kolejna łza i przez minutę myślę, że nie będę w stanie tego powstrzymać – że łzy będą płynąć niezależnie od tego, czy tego chcę, czy nie, a ja będę sobie wyplakiwać oczy w auto busie. Ale wtedy mój telefon wydaje pojedynczy dźwięk.

To SMS. Od Danny'ego.

„CHOON, mała. A, i moje ID to DANNYBOI. Kocham Cię”.



**ERIN**

Choon ID: Little-My

Obserwujący: 1

## **Podziękowania**

Pisanie książki jest w dużej mierze egoistycznym i samotnym zajęciem, ale nie mogę pominąć tego, do jakiego stopnia jej wydawanie jest wysiłkiem zespołowym. Stoją za tym niestrudzone zespoły redaktorów, wydawców, marketingowców, projektantów, sprzedawców, ludzi zajmujących się prawami, redaktorów prowadzących i wszystkich innych osób, które są zapomnianymi bohaterami świata książek, razem z księgarzami i bibliotekarzami, troszczącymi się o nasze dzieła po tym, jak opuszczają one drzwi wydawnictwa. To dzięki nim ta książka, która powstała w mojej głowie, trafia do waszych rąk, i aż brakuje mi słów, by za to podziękować.

Alison, Liz, Jade, Sara, Jen, Maggie, Noor, Meagan, Sydney, Aime, Bethan, Catherine, Nita, Kevin, Richard, Faye, Jessica, Rachel, Sophie, Mackenzie, Christian, Chloe, Anabel, Abby, Mikaela, Tom, Sarah, David, Christina, Jane, Sophie, Jennifer, Chelsea, Kathy, Carolyn oraz wszyscy z Simon & Schuster oraz PRH – dziękuję wam wszystkim z całego serca. A także księgarzom, bibliotekarzom, blogerom, czytelnikom i recenzentom – nie mogę was wszystkich wymienić, ale to wy jesteście przyczyną, dla której nadal to robię, i dziękuję wam

za każdy dzień.

Podczas gdy wszystkie postaci i sytuacje w tej książce sama wymyśliłam, bezwstydnie korzystałam z cudzych pomysłów przy tworzeniu Snoopa – więc dziękuję wam, Joe, Jamesie oraz Jamesie, za porady na każdy temat, poczynając od muzycznych playlist, a kończąc na porozumieniach akcjonariuszy.

Eve i Ludo – bez was dosłownie nie dałabym rady tego zrobić.

Carmen Sane oraz moi wspaniali przyjaciele pisarze – jesteście zabawnymi, mądrymi, wspaniałymi i wrednymi ludźmi. Bez was pracowałabym dużo więcej, ale miałabym dużo mniej radości.

Jilly, Ali i Marku – dziękuję wam za to, że byliście najlepszą narciarską ekipą wsparcia, asystentami od mediów, dziennikarzami oraz towarzyszami przy kieliszku. I oczywiście za to, że zmusiliście mnie do zjazdu Secret Valley (choć nie w nocy).

I w końcu największe podziękowania zawsze kieruję do mojej kochanej rodziny, za wszystko.

# Spis treści

Z zakładki „O nas” na stronie internetowej firmy Snoop

Ze strony internetowej BBC News Czwartek, 16 stycznia

PIĘĆ DNI WCZEŚNIEJ

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN



ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

LIZ

ERIN

ERIN

ERIN

ERIN

ERIN

ERIN

ERIN

ERIN

ERIN

ERIN

Podziękowania